

P. 9 + 86 Chr. Arch.

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/304 - 2/305 1973



• *« La Culture »* • *Revue mensuelle* •

K. OKULICZ :

GABRIEL NARUTOWICZ

J. HUSSOWSKI :

ZAOLZIE

M. BROŃSKI :

**TRACTACULUM MYTHOLOGICO-
PHILOSOPHICUM**

ZESZYTY HISTORYCZNE - KWARTALNIKIEM


SPIS RZECZY

Kazimierz Okulicz:	<i>Gabriel Narutowicz</i>	3
Czesław Miłosz (opr.):	<i>Aleksander Wat opowiada</i>	15
Gustaw Herling-Grudziński:	<i>Dziennik pisany nocą</i>	31
Roman Karst:	<i>Blokada</i>	43
Zygmunt Haupt:	<i>Ptaki</i>	51
A. Lubelski:	<i>Strach. — Towarzysz broni</i>	63
—	<i>„Zeszyty Historyczne” — kwartalnikiem</i>	74
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Alicja Iwańska:	<i>Wielkie rozchetanie</i>	70
Juliusz Miroszewski:	<i>Kordian i cham</i>	75
S. W. Kozłowski:	<i>7-my Bundestag w Bonn</i>	86
Brukselczyk:	<i>Widziane z Brukseli</i>	89
Jolanta Dworzecka:	<i>Metternich w Białym Domu</i>	99
SĄSIEDZI		
Adam Kruczek:	<i>W sowieckiej prasie</i>	105
Józef Lewandowski:	<i>Krajowe ukrainica</i>	112
Kazimierz Okulicz:	<i>Colloquium w Lindenfels</i>	121
K R A J		
Prof. dr X:	<i>Polska Rzeczpospolita Wewnętrzna od „A” do „E”</i>	124
Jan Hussowski:	<i>VII Kongres Związków Zawodowych</i>	128
—	<i>PRL a „Kultura”</i>	135
WOLNA TRYBUNA		
Zbigniew Byrski:	<i>O amerykańskim i sowieckim globalizmie i historycznych analogiach</i> ..	136
SPRAWY I TROSKI		
Jan Hussowski:	<i>Zaolzie</i>	151
Edward Puacz:	<i>Polonia w ostatnich wyborach amerykańskich</i>	159
—	<i>Fundatorzy POSK'u</i>	162
KRONIKA KULTURALNA		
Józef Czapski:	<i>Konieczność i łaska</i>	167
Witold Wirpsza:	<i>Śmierć wygnanica</i>	173
Marek Głogoczowski:	<i>Słowo o przyjacielu</i>	175
—	<i>Emigracyjne nagrody pisarskie</i>	178
NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI		
Józef Lewandowski:	<i>„Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego</i>	187
K S I Ą Ż K I		
M. Broński:	<i>Tractaculum mythologico-philosophicum</i>	193
Jerzy Kalinowski:	<i>O logice norm</i>	202
Aleksander M. Schenker:	<i>Antologia Baudouin de Courtenay</i> ..	208
Roman Czech:	<i>Czytając Tyrmanda</i>	214
Maria Danilewiczowa:	<i>Krajowe nowości wydawnicze</i>	218
—	<i>Nadstane nowości wydawnicze</i>	224
◆		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	225
◆		
J. Dobranowski, J. Gidyński, H. Grynberg, J. Mackiewicz, St. Merło, T. Piszczkowski (i odpowiedzi Redakcji):	<i>Listy do Redakcji</i>	236
—	<i>Sprostowanie</i>	240

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty - Janvier-Février 1973

INSTYTUT  LITERACKI

WPLĄTY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Mieczysław Błaszkievicz, Brooklyn, N.Y. (USA), po raz jedenasty	F. 25,00
Ryszard Fiks, Chicago, Ill. (USA), po raz ósmy	F. 50,00
W. Iwanowski, Milton, Mass. (USA), po raz trzynasty	F. 50,00
K. Jagodziński, Irvington, N.J. (USA), po raz czwarty	F. 15,00
W. T. Kinastowski, Toronto, Ont. (Kanada), po raz dziewiąty	F. 15,00
A. Kowalska, Auckland (N. Zelandia), po raz drugi	F. 10,00
KTT, Stockholm	F. 55,00
Stefan Nędzyński, Genewa	F. 140,00
Dr St. Nałęcz-Korzeniowski, River Forest, Ill. (USA), po raz dwudziesty pierwszy	F. 25,00
Dr Joanna Perelmuter, Toronto, Ont. (Kanada)	F. 75,00
„Polonia Technica, Inc.”, New York, po raz siódmy	F. 125,00
A. Romaniuk, Johannesburg, po raz trzeci	F. 50,00
Prof. Henryk Skolimowski, Ann Arbor, Mich. (USA), po raz drugi	F. 150,00
Fr. Strociak, Park Ridge, Ill. (USA), po raz dwunasty	F. 65,00
W. Sudyło, Irvington, N.J. (USA), po raz ósmy	F. 45,00
J. Uhmyer, Portsmunth, Va. (USA)	F. 15,00
Bezimiennie z Mediolanu, po raz dziesiąty	F. 50,00
Bezimiennie z New Yorku „w uznaniu za zamieszczenie w Kulturze opowiadania Brychta 'Żywi' — polskich miniaturówych martwych dusz”	F. 250,00

DZIĘKUJEMY!



P. 9486 chr.



Imprimé en France.

1973 W 434/1

Gabriel Narutowicz

(W 50-LECIE TRAGICZNEJ ŚMIERCI)

Szesnastego grudnia 1922 roku, podczas wernisazu w warszawskiej „Zachęcie” padł z ręki polskiego inteligenta, urzędnika państwowego i artysty-malarza pierwszy prezydent Rzeczypospolitej, Gabriel Narutowicz. Kiedy stał w licznym gronie osób w jednej z sal, skrytobójca zbliżył się do niego z tyłu i trzema strzałami z rewolweru zamordował legalnie obranego przez Zgromadzenie Narodowe Głowę Państwa.

Gabriel Narutowicz, profesor Politechniki w Zurychu, znakomity inżynier-hydraulik, znalazł na polskiej scenie państwowej w stolicy wyidealizowanej ojczyzny — obok czterech już ugruntowanych partii politycznych — całe kłębowisko zmiennych, czasowych, dzielących się i całkiem znikających formacji politycznych. Było pomiędzy nimi niemało ludzi „sprawiedliwych”, rozumnych i poważnych. Ale w rozgarzanie najwyższego napięcia wojny z najazdem bolszewickim latem 1920 roku, zalewał ich wielki tłum roznamiętnionych walką z Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, pobudliwych, łatwowiernych, karmionych kłamstwem, oszczerstwem i nienawiścią rasową. Zwycięskie zakończenie wojny nie położyło kresu temu pandemionium. Po dwóch latach polska scena polityczna nie różniła się prawie od tej, którą zastał w roku 1920. Gdy w grudniu 1922 roku nieoczekiwanie stanął przed Narutowiczem dylemat: przyjąć czy odrzucić kandydaturę na urząd prezydenta Rzeczypospolitej, — ogarnęło go w pierwszej chwili niemal przerażenie przed niewykonalnym, zdawało mu się, zadaniem, jakie po doświadczeniach Naczelnika Państwa oczekiwało jego następcę.

Górowały wówczas w Polsce — zwłaszcza w masach drobniomieszczactwa — „myśli nowoczesnego Polaka”: melanz adoracji narodu, jako najwyższej wartości, z nieufnością lub nawet nienawiścią do wszystkiego co nie jest polskie z pochodzenia, języka, obyczaju, a nawet brzmienia nazwiska. Ten „nowoczesny Polak” identyfikował się gorliwie z katolicyzmem, którym chciał się posługiwać; głosił Polskę jako państwo jednonarodowe, mimo że wykrajał na wschodzie granice obejmujące duże obszary niepolskie; większość ich ludności, białoruską, litewską, ukraińską, miał zamiar spolonizować; będąc moskalofilem bez elementarnej nawet znajomości Rosji, pochopnie sądził, że będzie się ona przyglądała zyczliwie temu procesowi polonizacji na ziemiach, które uważała za jej przynależne, „iskoni-russkije”, zagarnięte przez dawną Rzeczpospolitą; za pomocą praw wyjątkowych lub praktyki administracyjnej miał usunąć spod nóg ludności żydowskiej podstawy materialne jej egzystencji i zmusić tym do masowego exodus'u; ster życia społecznego w państwie składał w ręce drobniomieszczactwa, średniego ziemiaństwa i pozyskanego dla „idei narodowej” duchowieństwa, przy jednoczesnych staraniach skaputowania na swoją stronę zamożniejszego, statecznego elementu chłopskiego; odpowiednio do tych koncepcji wykształcona policja miała pilnować ustalonego porządku; ugoda z Rosją po traktacie ryskim, w której trwałość „nowoczesny Polak” naiwnie wierzył, miała mu ułatwić likwidację wewnętrznej niemczyzny, rządy mocnej ręki i trzymanie w szachu lewicy.

Z prawa i z lewa tego „jądra” etnicznej Polski rozlewały się luźne i zmienne ugrupowania, oscylujące dokoła trzech haseł: konserwatyzmu, ludowości i socjalizmu. Grupy ludowe znajdowały się w stanie ciągłego fermentu, niektóre z nich ulegały wpływowi prawicy.

O narodowe potrzeby i interesy grup niepolских, które obejmowały przeszło 30 procent ludności państwa, troszczył się nieco Rząd, głównie pod kątem bezpieczeństwa, oraz dość liczne jednostki i grupki społeczne, terytorialnie z tymi niepolскими grupami współzysujące lub marzące o odtworzeniu dawnej, wielonarodowej lecz zmodernizowanej Rzeczpospolitej. Polskie partie demokratyczne nie miały konkretnego planu rozwiązania tego zagadnienia, nie znały się na nim zupełnie i nawet nie próbowały stworzyć ram do objęcia w jedną organizację identycznych grup innych narodowości. Chcąc stać na gruncie realnym, musiały przyjąć praktycznie zasadę narodową, jako podstawę organizacji. Uprawiano politykę dojrutką, spychając to zagadnienie z dnia na dzień na potem.

Narutowicz przyjechał na stałe do Polski w czerwcu 1920 roku, po 33 latach zamieszkiwania w Szwajcarii, w demokratycznym kraju czterech równouprawnionych narodowości. Żył i pracował tam w warunkach niemal przeciwstawnych istniejącym podówczas w Polsce. Zdecydował o tym długotrwałym uchodźstwie nie wolny wybór lecz konieczność. Urodzony na Żmudzi w powiecie Telszewskim, ukończył gimnazjum rosyjsko-niemieckie w pobliskiej Libawie. W Petersburgu, jako student Uniwersytetu, nabawił się gruźlicy. Wysłano go do Davos w Szwajcarii, gdzie odzyskał zdrowie i wstąpił na Politechnikę w Zurychu. Zbliżył się tam z grupą polskich radykałów i, choć do organizacji nie należał, ratując kolegę, Aleksandra Dębskiego przed aresztem lub wysiedleniem, został posądzony o współudział w akcji rewolucyjnej i wezwany przez poselstwo rosyjskie do powrotu do Rosji. Wtedy postanowił zostać w Szwajcarii, jako uchodźca polityczny i już nigdy swoich stron ojczyźtych i rodzinnych Brevik, gdzie mieszkał jego brat Stanisław, nie ujrzał.

Tylko dwa razy w ciągu tych 33 lat przyjeżdżał do Polski: w roku 1911 do zaboru austriackiego, dla zbadania warunków wykorzystania siły wodnej rzek w Galicji, oraz w roku 1918 dla zapoznania się ze stanem rzeczy pod koniec okupacji. Od początku wojny opowiedział się za polityką Piłsudskiego i Legionami. Założył w Zurychu „Polski Komitet Pomocy”, który później połączył z „Komitetem Polskim” Henryka Sienkiewicza w Vevey i był przez cały czas wojny członkiem jego dyrekcji. Starał się łagodzić stosunki między zwalczającymi się obozami polskimi na obczyźnie i znaleźć wspólną platformę działania. Posiadał wybitne cechy urodzonego mediatora i arbitra, dzięki czemu nie było w Zurychu żadnego sądu honorowego czy arbitrażu, do którego by nie zapraszano Narutowicza.

Podczas pobytu w Polsce w 1918 roku postanowił wrócić do kraju i oddać swoją wiedzę, doświadczenie i znajomość szerszego świata na usługi ojczyźnie, o czym stale w swoim emigracyjnym życiu marzył. Ciężkie choroby córki i żony, Ewy z Krzyżanowskich, oraz śmierć tej ostatniej w lutym 1920 roku zmusiły Narutowicza do odraczenia powrotu. Ale już parę miesięcy po stracie żony, został zaproszony przez ówczesnego premiera, Władysława Grabskiego, do objęcia Ministerstwa Robót Publicznych. Przenosząc się do Polski, musiał ponieść duże straty materialne: rozstać się z katedrą naukową, zlikwidować prosperującą, znane w Europie, biuro inżynierii hydraulicznej, sprzedać szybko dom i zakończyć wszystkie interesy. W Polsce musiał obniżyć dotychczasową stopę życiową, gdyż — jak świadczy szwagierka jego p. Kodisowa — pensja ministra w Polsce nie przewyższała połowy pensji jego gospodyni w Zurychu.

Polska znajdowała się pod znakiem wojny, która wchodziła właśnie w krytyczne groźne stadium. Narutowicz musiał swoje plany wyposażenia zrujnowanej Polski w gmachy publiczne, mieszkania, koleje, mosty, zapory wodne, podporządkować wymogom toczącej z Rosją wojny. Mimo to, dokonał w tym zakresie bardzo dużo. Zreorganizował i usprawnił zaniedbane dotąd Ministerstwo, poczynił niezbędne odbudowy dróg, mostów i budynków. Na posiedzeniach Rady Ministrów jego głos zdobywał sobie powoli walor znakomitego fachowca, doświadczonego człowieka w stosunkach z ludźmi i szerokim światem, zawsze dążącego do usunięcia przeciwieństw i jałowych sporów. Nie znosił doktrynerstwa i partyjnictwa w praktycznych zagadnieniach życia społecznego i często swoją powagą, dobroduszością i znajomością natury ludzkiej godził nierozwiązalnie zdawałoby się spory. Prestiż jego rósł z każdym miesiącem. Minister Spraw Zagranicznych Skirmunt prosił go o towarzyszenie mu na konferencję międzynarodową w Genui w charakterze wiceprezesa delegacji polskiej. W maju 1922 roku kilkudniowy następca premiera Ponikowskiego, Artur Śliwiński, porucił mu tekę ministra spraw zagranicznych, którą Narutowicz zachował i w następnym Rządzie Juliana Nowaka.

Był znakomitym negocjatorem i miał swoją, w polskich stosunkach nieznaną, metodę: unikał napięcia w dyskusjach, a jeżeli się ono pojawiało, robił przerwę, dobrym humorem rozładowywał atmosferę, nie ustępując z tego co uważał za istotne i osiągalne. W czasie kilku miesięcy kierowania Ministerstwem Spraw Zagranicznych zdobył szacunek i uznanie personelu — tego „gniazda os”, jak go nazywał Marszałek Piłsudski — oraz świata dyplomatycznego, z którym wskutek znajomości głównych języków europejskich i obycia w kołach międzynarodowych, miał doskonałe stosunki.

Niefuność, niechęć, a potem nienawiść do Narutowicza polskich sfer „narodowych” wyrosła ze zwolna utrwalającego się u nich przekonania, że ten człowiek, tak odrębny swoim światopoglądem, liberalizmem, sposobem bycia, nieznaną typowych nacjonalistycznych reakcji na przejawy życia codziennego, a zarazem nieugięty w stawianiu interesów państwowych ponad prywatne lub partyjne, jest wielką zawadą na drodze do realizacji „myśli nowoczesnego Polaka” i ich politycznych konsekwencji. Zwalczano Narutowicza nie z otwartą przyłbicą. Nie była to krytyka rzeczowa ani polityczna jego działalności, lub jego publicznych wypowiedzi. Szeptanym przekazem mnożyły się najnie-

dorzeczniejsze plotki, zjadliwe dowcipy nie tylko w kawiarniach, szynkach, na targach, lub ulicach ale i w wielu najpierwszych salonach warszawskich, klubach, biurach itd.

Będąc ministrem, Narutowicz zdawał się nie dostrzegać tego, a w każdym razie nie liczył się ze swoimi niewidzialnymi wrogami. Był przez długi czas optymistycznie usposobiony do stosunków polskich. Józef Piłsudski w swoim wspomnieniu o Gabrieli Narutowiczu pisał m.in.:

„(G.N.) twierdził, że może okazać się nieudolnym ministrem spraw zagranicznych, lecz pewny jest, że przez to nie utraci tych, jak mówił, przyjaznych stosunków, jakie ma we wszystkich stronnictwach... Jeżeli nie był pewnym siebie w rozwiązywaniu zawitych nieraz problemów naszej polityki międzynarodowej, to czuł się spokojny w stosunkach polskich i pewny co do możliwości załagodzenia zaciętych nieraz sporów wewnętrznych, które poprzednio obserwował. Jakby z wyrzutem w stosunku do mnie, powtarzał to kilka razy: trzeba być tylko względniejszym dla ludzi, ludzie nie są tak źli”.

Nawykiły do intensywnej pracy, która zawsze go cechowała, obracając się w kołach rządowych i parlamentarnych, traktowany wszędzie na pozór z szacunkiem, niekiedy z przymieszką zawzięci z powodu szybkiej „kariery”, Narutowicz nie stykał się bezpośrednio z agitowaną przez niższe instancje „narodowego” obozu masą kołtunerii, gdzie prym trzymało żydożerze Towarzystwo „Rozwój”. Ale „inność” Narutowicza od jej modelu była dla niej widoczna i sprzyjała oszczerczej kampanii o kumanie się z „wrogami narodu” — Żydami, Niemcami, masonami i w ogóle z międzynarodową lewicą. Wrogość narastała w miarę zwiększania się roli Narutowicza w sprawach państwowych, w rządzeniu krajem. Pojawiły się pogłoski o jego kandydaturze na urząd prezydenta Rzeczypospolitej w wypadku odmowy Piłsudskiego, w co początkowo nie wierzono. Aż wybuchła nienawiść płomieniem, gdy, po stanowczym oświadczeniu Marszałka, że nie przyjmie urzędu prezydenta, pogłoski o kandydaturze Narutowicza znalazły potwierdzenie przez postawienie jej w klubie sejmowym „Wyzwolenie” przez Stanisława Thugutta.

W sztabach obozu narodowego zawrzało. Układ sił w nowym Sejmie i ostateczna odmowa Piłsudskiego otwierały duże możliwości, a u wielu zapalczywszych nawet pewność wprowadzenia na urząd prezydencki swego kandydata. Narutowicz w oczach tych sztabów był najgroźniejszą zawadą na tej drodze. Był człowiekiem najbardziej niezależnym, z europejskim nazwiskiem, kulturą i stosunkami, przeciwnikiem nacjonalizmu, związanym z Piłsudskim, nie służbowo, jako jego podwładny, lecz jednością

idei. Obydwaj nosili w mózgu i sercu obraz zmodernizowanej dawnej Rzeczypospolitej i dobrowolnego związku narodów, zagrożonych nieustanną ekspansją Rosji.

Narutowicz usiłował wielokrotnie, lecz bezskutecznie, skłonić Marszałka Piłsudskiego do przyjęcia urzędu prezydenta, uzasadniając to argumentami o nieodpartej obiektywnej słuszności, które Piłsudski przytacza w swoim wspomnieniu o Narutowiczu, Lecz Marszałek nie chciał tylko reprezentować państwa bez wpływu na politykę, tym bardziej państwa, które się ostatecznie uformowało nie podług jego koncepcji.

Przekonawszy się, że nic nie wskóra, Narutowicz próbował znaleźć większość dla kandydatury hr. Maurycego Zamoyskiego, późniejszego swego kontrkandydata, którego uważał za człowieka rozsądnego i umiarkowanego, lecz spotkał się z oporem stronnictw ludowych. Jeszcze w przeddzień Zgromadzenia Narodowego Narutowicz odmówił Thuguttowi postawienia swej kandydatury. Ale nazajutrz, gdy Thugutt telefonicznie tuż przed otwarciem posiedzenia, zwrócił się do niego z dramatycznym apelem, argumentując widmem zupełnie przypadkowego wyboru, Narutowicz odpowiedział: „Ja kandydatury nie stawiam, ale jeżeli „Wyzwolenie” wybór przeprowadzi — wybór przyjmę” (zob. „Autobiografię” Thugutta).

Niespodziewany dla prawicy narodowej wynik wyborów (w piątym głosowaniu Narutowicz otrzymał 289 głosów, Zamoyski — 227) wprawił ją w szal. Rozsądniejsi pośród niej ludzie poddali się nastrojom rozagitowanej ulicy. Droga do opanowania rządów w Polsce została utrudniona. Postanowiono zgodny z konstytucją wybór obalić, zmuszając elekta terrorem ulicy do ustąpienia. Kluby prawicy narodowej ogłosiły nazajutrz oświadczenie, odmawiające wszelkiej współpracy z prezydentem, „narzuconym głosami obcych narodowości, Żydów, Niemców i Ukraińców”, oraz zapowiadające podjęcie „walki o narodowy charakter państwa” (zob. „Księga pamiątkowa o Gabrielu Narutowiczu”). Oświadczenie podpisali przywódcy obozu narodowego: Głabiński, St. Grabski, Marian Seyda, Chaciński, Korfanty, Dubanowicz, St. Stroński. Pod względem prawnym miało ono charakter rewolucyjny, przeczyło bowiem zasadniczym przepisom konstytucji. Odezwy innych organizacji szły jeszcze dalej i wzywały do użycia siły. Postanowiono nie dopuścić do zaprzysiężenia elekta przez Zgromadzenie Narodowe.

Gdy Prezydent 11 grudnia jechał powozem do Sejmu na akt zaprzysiężenia, zgromadzony na otaczających gmach Sejmu ulicach kilkudziesięcny tłum rozpoczął zamieszki od wrogich pod jego adresem okrzyków, a widząc bezczynność policji, rzucił się na powóz Prezydenta próbując go zmusić do zejścia na bruk.

Obrzucano go błotem, kamieniami, nie szczędząc obelg. Bronił Prezydenta przed napastującymi szef protokołu MSZ hr. Stefan Przeździecki, któremu premier Nowak przeźornie polecił zastąpić go w towarzystwie Prezydentowi, wymawiając się niezdrociem, co mu nie przeszkodziło udać się do Sejmu inną drogą i zasiąść na ławie rządowej.

Próba zastraszenia przez interwencję ulicy jednak nie udała się i zaprzysiężenie odbyło się w nieobecności posłów i senatorów bloku „narodowego”. Nazajutrz Prezydent rozpoczął konsultację stronnictw dla utworzenia Rządu, z całym spokojem zrywając po kolei wszystkie kluby, nie wyłączając „rewolucjonizujących” poprzedniego dnia. Konsultacja odbywała się przy akompaniamencie chóru historycznych artykułów w prasie, przybierających czasem ton bezpośredniej groźby. Konsultacja nie dała wyniku. Przywódcy prawicy narodowej powtarzali swoje antykonstytucyjne tezy, lewica nie pozostawała w tyle ze swoim ciasnym partykularyzmem. Każdy niemal z dostojników suwerennego Sejmu ciągnął wóz państwowy w inną stronę. W wywiadzie prasowym w przeddzień morderstwa Prezydent, nawykły w Szwajcarii do pomyślnych mediacji, z żalem rozkładał ręce: „dwa wielkie obozy (w Sejmie) stoją naprzeciwko siebie z siłami niemal równymi”, lecz „bez zrozumienia konieczności wzajemnych ustępstw” (zob. Malinowski: „Najnowsza historia polityczna Polski”, tom II, str. 602). Aby nie przedłużyć bezrządu, postanowił utworzyć natychmiast Rząd pozapartyjny, fachowy, i powierzył tę misję Ludwikowi Darowskiemu, ministrowi Pracy i Opieki Społecznej w poprzednich dwóch rządach.

Nazajutrz, 16 grudnia 1922 tragiczna śmierć pierwszego Prezydenta Rzeczypospolitej całkowicie odmieńnięła położenie na polu walki politycznej. Na wczorajszych „rewolucjonistów” padł strach, wielu z nich ukryło się. Daszyński z trudem wyperswadował warszawskiej organizacji PPS zorganizowany odwet na pośrednich sprawcach zabójstwa. Zastępujący prezydenta marszałek Sejmu Rataj powołał za radą Piłsudskiego rząd z gen. Sikorskim na czele. Rząd ogłosił stan wyjątkowy i ostrzegł przed dalszymi próbami zamieszek. Marszałek Piłsudski objął szefostwo Sztabu Głównego. Wzburzone fale „rewolucji narodowej” zaczęły opadać.

W parę dni później, 20 grudnia, Zgromadzenie Narodowe wybrało na prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, za młodu działacza PPS, później zwolna zbliżającego się do sfer narodowych. (Z tego zapewne powodu, jako ewentualny łącznik pomiędzy lewicą a prawicą, był kandydatem Marszałka Piłsudskiego przed pierwszym wyborem — zob. jego wspomnienie o G. Narutowiczu w „Pismach zbiorowych”, tom VI,

str. 52). Wybór St. Wojciechowskiego odbył się tymi samymi głosami co Narutowicza — ale prób puczu ze strony prawicy już nie wywołał.



Stosunek Narutowicza do Piłsudskiego układał się powoli, zanim doprowadził do obustronnego zaufania i przyjaźni. Marszałek znał rodzinę Stanisława, Billewiczównę, spowinowacony. Ale, w tych latach, kiedy Piłsudski prowadził robotę konspiracyjną, potem akcję bojową wreszcie wojskową, Narutowicz, sympatyzując jego celom politycznym i wspomagając akcję niepodległościową za granicą, nie uznawał konspiracji i nie akceptował żadnej doktryny politycznej, a więc i PPS. (Zob. Wspomnienie St. Rechniewskiego i J. Kodisowej w „Księdze pamiątkowej o G.N.”). Nie należał przeto za młodu do organizacji tajnych ani do żadnej partii politycznej. Marzył natomiast o otwartej walce zbrojnej z zaborcą rosyjskim i szykował się do niej, studiując sztukę wojenną na specjalnym wydziale Politechniki w Zurychu. Wzorem geniuszu militarnego był dla niego Napoleon, politycznego — Maurycy Mochnecki.

Lecz w ciągu przeszło 30 lat pobytu w Szwajcarii żył i działał na powierzchni życia demokratycznego państwa i społeczeństwa. Było ono w niejednym diametralnie różne od konspiracyjnej, tropionej bezustannie przez wroga pracy konspiracyjnej Piłsudskiego. Mimo że wyszli z tej samej ziemi żmudzkiej, że mieli w sobie dużo krwi litewskiej, że ich idee i dążenia polityczne były jednakowe, byli to dwaj mężowie o bardzo różnym stylu i różnym stosunku do ludzi. Piłsudski miał naturę wodza, przywykł rozkazywać i wymagać maksimum wysiłku od swoich podwładnych, a jako konspirator plany swe tworzył sam i nikogo się nie radził. Narutowicz był urodzonym mediatorem i arbitrem, działał nie rozkazem lecz argumentem, doświadczeniem i perswazją. Ta metoda wymagała rozważań, cierpliwości i dobrej woli, a o te cnoty w Warszawie owego czasu nie było łatwo. Był wyrozumiały dla ludzkich słabostek, ale nie ustępował z pozycji, którą uważał za konieczną.

Z Ministerstwem Robót Publicznych Naczelnik Państwa mało miał do czynienia, ale osoba Narutowicza zainteresowała go z innych powodów (poza tym że był jego krajanem). Słyszał to nazwisko nieraz i zawsze wymawiane przez Polaków z szacunkiem, co nie było częstym zjawiskiem. Z drugiej strony, wiedział, że Narutowicz studiował nauki wojskowe co pośród inteligencji końca XIX wieku modne nie było, a w oczach Piłsudskiego stanowiło ważny rys z jego własną postawą pokrewny. Zdziwił

się też Naczelnik Państwa — jak sam to pisze w swoim wspomnieniu — gdy się dowiedział, że Narutowicz wygrał batalię budżetową z ministrem Skarbu Michalskim, czego nikt inny z ministrów nie dokazał. Jeszcze bardziej zastanowiło Marszałka, że minister Spraw Zagranicznych Skirmunt uprosił Narutowicza by mu towarzyszył na konferencję międzynarodową w Genewie (kwiecień-maj 1922 roku) w charakterze wiceprzewodniczącego polskiej delegacji. Gdy następnie, po powrocie z Genewy, główni członkowie delegacji składali Naczelnikowi Państwa sprawozdanie z jej przebiegu i wyników, był zdziwiony, podług jego własnych słów,

„gdym usłyszał, po raz pierwszy może, spokojną, rzeczową ocenę nie tylko szczegółów konferencji, lecz i stosunków międzynarodowych. Widać było w każdym niemal słowie, że p. Narutowicz mówi o świecie zagranicznym jak człowiek, który świat ten zna, z tym światem się żył i obraca się w nim ze znacznie większą swobodą, niż w świecie polskim”.

Zawiązywało się pomiędzy tymi dwoma ludźmi coraz większe wzajemne zaufanie i przyjaźń. Podczas dalszych rozmów nasuwały się już tematy z życia osobistego i wrażeń Narutowicza po powrocie do Polski, o czym zawsze marzył.

„Czuł się w Polsce dobrze — pisze Piłsudski na podstawie tych zwierzeń — więcej, był szczęśliwy i dziwił się tylko, że ludzie, z którymi się spotyka, są ciągle czegoś niezadowoleni... Stale tłumaczył że ten krótki czas, jakimś mieli do urzędowania się w Polsce, nie pozwala zbyt ostro i krytycznie oceniać dotychczasowych prac... Wyznał mi wreszcie otwarcie, że podczas swego życia za granicą przeszedł przez tyle upokorzeń z powodu krytyk i lekceważących ocen naszej narodowości, że po prostu wdrożył się do natychmiastowej obrony przed modą poniewierania wszystkiego co polskie”.

Gdy został ministrem Spraw Zagranicznych współpraca tych dwóch ludzi bardzo się zacieśniła. Co parę dni Narutowicz przychodził do Belwederu, informował, radził się i dyskutował. Za chował jednak niezależność sądu i w niektórych wypadkach (np. w sprawie Kłajpedy) decydował wbrew opinii Naczelnika Państwa, starając się jednak — jak pisze Piłsudski:

„osłonić mnie od najmniejszego uczucia upokorzenia... Ten rys specjalnej delikatności charakteru człowieka o wysokiej kulturze pozostał mi zawsze we wspomnieniu wdzięcznego serca”.

W ciągu zaledwie kilku miesięcy sprawowania urzędu ministra Spraw Zagranicznych rozstrzygnął Narutowicz pomyślnie kilka ważnych i niebezpiecznych dla Polski problemów. Unieszczył plany bolszewickie względem państw bałtyckich w zakresie rozbrojenia i izolacji Polski, przeprowadził, wbrew gwałtownej

opozycji prawicy, bardzo trudną ustawę o samorządzie Galicji Wschodniej, czym w znacznej mierze ułatwił uznanie polskich granic wschodnich w następnym roku. Wreszcie, we wrześniu 1922 doprowadził do wizyty Naczelnika Państwa w Bukareszcie, jako aktu przypieczętowanego traktat sojuszniczy z Rumunią.

Sukcesy Narutowicza w polityce zagranicznej były widoczne dla całego świata politycznego i rodziły nieuniknione zawiści. Była ta polityka kontynuacją generalnej linii Naczelnika Państwa, dostosowaną do nowych, definitywnych, zdawało się, warunków pokojowych. Krytyka i opozycja prawicy narodowej wpływała bardziej z całokształtu jej wyobrażeń o „narodowym charakterze państwa”, niż z powodu tych czy innych bieżących zagadnień. Narutowicz coraz bardziej wyrastał w jej oczach na kontynuatora polityki Piłsudskiego po jego zapowiadany ustąpieniu i jednego z głównych przywódców obozu zwanego „belwederskim”. Wysunięcie kandydatury Narutowicza na prezydenta Rzeczypospolitej zdawało się potwierdzać te obawy, zwłaszcza że odmienna, bardziej perswazyjna metoda jego pracy i w stosunkach z ludźmi mogła znaleźć większy oddźwięk w centrowych, chwiejnych sferach parlamentarnych.

Narutowicz, objąwszy urząd prezydenta i dysponując wielką umiejętnością godzenia rozbieżności i łagodzenia przeciwności, mógł być w normalnych warunkach demokratycznego państwa podjąć niejedną próbę stworzenia kompromisowej platformy dla rządu. I od tego zaczął zaraz po objęciu władzy, mimo tak obiecującego wstępu. Spotkał się z ultimatum i żądaniem ustąpienia — i to ze strony tych, którzy przegrali swój partacki zamach stanu 11 grudnia! Dzielenie się władzą nie było zresztą z reguły celem politycznym prawicy narodowej. Odpowiadała jej ambicjom tylko pełnia władzy, totalizm narodowy.

Kiedy Marszałek dowiedział się o zamieszkach ulicznych 11 grudnia i o napastowaniu jadącego na zaprzysiężenie elekta błotem i kamieniami, zażądał natychmiast szczegółowych informacji i przekonał się — jak pisze we wspomnieniu — że „zapobieżenie tym burdom było nadzwyczaj łatwe”, lecz zarządzone nie zostało. Fakt ten był wymowny: wskazywał na „wyczekujące stanowisko” władz. Ministra Spraw Wewnętrznych Kamińskiego z trudem odnaleziono w jakimś kinie. Gdy po zaprzysiężeniu przybiegł do Sejmu i chciał się tłumaczyć, kilku postów wyrzuciło go za drzwi, jako już zdymisjonowanego.

Piłsudski natychmiast po zejściu był u Narutowicza, który, głęboko poruszony, przypomniał bezwzględność jego sądów o lu-

dziach. „Ma Pan rację — przyznał — to nie jest Europa” — i wyrzucił na stół kupę listów anonimowych, pełnych brudu, inwektyw, płaskich dowcipów, gróźb. „A telefony? — zapytał, śmiejąc się Piłsudski — dzwonki, rozmyślnie poplątane, zapytania zadawane żydowskim akcentem, czy zdarzają się już u Pana?” — Prezydent zerwał się z fotela: Ależ tak! — zawołał. „Skąd Pan wie o tym?” — „Ależ, Panie, — ja byłem w Polsce Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, więc wszy włączyły zewsząd. Zwykle rzeczy. To „narodowa robota”! Gabriel Narutowicz nie mógł z tym się pogodzić. „Po co te brudy? — wołał. — Po co te brudy?”

Piłsudski przekonał się w ciągu czterech lat sprawowania najwyższego urzędu, że są w Polsce siły gotowe do szkodenia, podgryzania, szkalowania — ale zawsze anonimowe, ukryte, zamaskowane, — nawet w krytycznych chwilach wojny. Przywykł do tego i do zamieszek 11 grudnia nie przywiązywał większego znaczenia. Wstrząsnęło go dopiero głęboko targnięcie się na życie legalnie wybranego Prezydenta nie przez jakiegoś anarchистę, bolszewika lub wariata, lecz polskiego inteligenta, urzędnika państwowego, — w imię pewnej doktryny politycznej, zwanej narodową, w imię pobudek rzekomo „patriotycznych”.

Piłsudski siedział długo w Belwederze, w pokoju sąsiadującym z katafalkiem i rozmyślał. Pożegnał się z wiernym przyjacielem i w oficjalnym pogrzebie udziału nie wziął. Przyszły wkrótce potem zeznania mordercy przed sądem. Nie przyznał się do winy, lecz tylko do złamania prawa. Wyznał, że miał zamiar zamordować Józefa Piłsudskiego na wystawie w kamienicy Baryczków 6 grudnia. Zamiaru tego poniechał, dowiedziawszy się że Piłsudski nie zamierza kandydować. „Zabójstwo Narutowicza — powiedział przed sądem — było epizodem w walce o polskość, o naród”.

Na tle tego koszmarnego zwichnięcia i wynaturzenia pojęć i uczuć ludzkich, śmierć Narutowicza stała się słupem granicznym na życiowej drodze Józefa Piłsudskiego. Musiała mu rozbłysnąć w mózgu i utrwalić, jak na błonie fotograficznej pewność, że istnieją w narodzie polskim znaczne i zakorzenione siły, które dla tryumfu zasady wyłączności narodowej, totalizmu polskości, znajdują moralne i polityczne uzasadnienie do użycia wszelkich środków, nie tylko tych których on sam był celem w najbardziej krytycznych chwilach początków państwa i najazdu bolszewickiego, ale nawet przemocy, gwałtu i zbrodni.

Po zamieszkach 11 grudnia i oddaniu władzy Narutowiczowi, Piłsudski spędził z nim dwa wieczory w Belwederze. O jednej z tych rozmów pisze:

„(Narutowicz) nie chciał, by wojsko, które w większej ilości sprowadziłem do Warszawy, pokazywało się na ulicach, miał bowiem nieprzewidywany wstręt do tego, by używać gwałtu i przemocy... Nie chciał się jednak, pomimo gorzkiej nauki, którą otrzymał, wyzbyć łagodnego optymizmu i jakiejś naiwnej wiary w szybką moralną naprawę ludzi. Pytał mnie, czym w początkach swego urzędowania mniej surowo sądził o ludziach i czym już tak z Magdeburga przyjechał bezwzględny i nieufny. A gdy mu powiedział, że jadąc do Warszawy z więzienia pruskiego, byłem wewnętrznie przekonany, że wiele z naszych wad niewoli natychmiast odpadnie i że wraz z odrodzeniem Polski odradzą się pocznie i dusza polska, ucieszył się jak dziecko”.

Zamach styczniowy 1919 roku zbagatelizował Piłsudski, jako operetkowy. Zaskoczony już został oszczerczą kampanią przeciwko Naczelnemu Wodzowi. Przypisywał jej załamanie się morale wojska latem 1920 roku, podczas odwrotu. Sejm Konstytucyjny sprawił mu zawód, puszczając na flukta partyjnych machinacji i sztucznych koalicji, bez skutecznych hamulców, władzę w państwie. Strzały do Prezydenta Narutowicza były wymierzone w reprezentanta współczesnej demokratycznej koncepcji państwa. Były próbą zwalczania idei za pomocą zbrodni.

Piłsudski już odtąd nigdy nie wrócił do wiary, z którą jechał z Magdeburga do Warszawy w listopadzie 1918 roku.

Kazimierz OKULICZ

Aleksander Wat opowiada

W numerze 7/298-8/299 *Kultury* ogłosiłem fragment z opowieści Aleksandra Wata nagranych na taśmę. Była tam mowa m.in. o najważniejszym polskim komunistycznym czasopiśmie międzywojennego dwudziestolecia, *Miesięczniku Literackim*, którego Wat był redaktorem. Teraz podaję fragment o roku 1928. Dlaczego 1928? Zamierzcha to epoka. Polska obchodziła wtedy dziesięciolecie niepodległości i osiągnięcia jej w różnych dziedzinach pokazywała wielka Wystawa Krajowa w Poznaniu (na tę wystawę jeździły szkoły z całej Polski i byłem na niej z wycieczką naszego gimnazjum). Równocześnie w Niemczech, siły mające przesądzić o losach całej Europy przygotowywały się już do skoku. Wat mówi właśnie o Niemczech. Mówi też o Paryżu. Wspomniana tu Rue Blondel występuje również w jego poemacie „Sny sponad Morza Śródziemnego” (1962):

„... Ładne te oczy: jedno zielone, drugie piwne. I przed każdą — jej kufel. Czyli bock. Jak na Blondel, za dwa franki, aragant Bruno złapał szklenicę, nachyla koński łeb, spija, odstawia, 'dobhe piwko', mlasnął, pada, skona w mękach łagrowych na dalekiej, ach jak dalekiej Północy. Biedny drwal. Zmówmy za niego paciorek”.

„Aragant Bruno” to Bruno Jasiński, poeta, autor powieści „Je brûle Paris” (1928), za którą został wydalony z Francji, i socrealistycznej powieści „Czełowiek mieniajet kożu” (1932).

Czesław MIŁOSZ

Wat: Jeszcze łączy się z *Miesięcznikiem* taki epizod mojej podróży w 28-ym roku na Zachód. Pierwszy raz pojechałem w 26-ym, ale jeszcze nie byłem zaangażowany, a drugi raz w 28-ym. A stało się tak, że już wtedy był zamiar wydania pisma, więc połączyłem pożyteczne z pięknym i bardzo chciałem nawiązać liczne kontakty, żeby pismo było bardziej uniwersalne. Więc zatrzymałem się w Niemczech i we Francji. Szukałem kontaktów.

Jeszcze taki epizod, jak wyjechałem za granicę? Z czego to wyszło. To znówu rzuca światło na polskie stosunki ówczesne. Taka zupełnie nieznaną pozycją, bo zupełnie niezauważoną. To może zanadto autobiograficzne, ale rzuca światło na stosunki. W 28-ym roku, jak ci wiadomo, było 10-lecie Polski i urządzano Wystawę. Powodziło się jeszcze wtedy nie najgorzej, tak że każde ministerstwo miało jakieś olbrzymie, jak na Polskę, sumy na urządzenie tej Wystawy. Więc któregoś dnia przyszedł do mnie doktor Krygier. Alfred Krygier. Stary pepesowiec, człowiek ogromnej, *nota-bene*, zacności. Po wojnie był dyrektorem ZUS-u i to on mi dał mieszkanie w Warszawie, po powrocie z Rosji. Po starej przyjaźni. A to był pepesowiec, raczej prawicowy. Stał już na czele ogólnopolskiego Związku Kas Chorych, rozporządzał jakimś potężnym budżetem. To była jedna z najbogatszych instytucji, Kasa Chorych. I to była domena, to były te feudalne baronaty, to była domena PPS-u. Ponieważ on interesował się wszystkimi nowatorskimi ruchami, więc zwrócił się do mnie z bardzo dziwną propozycją. Mianowicie, żebym zrobił sceniczny montaż, pod tytułem Polityka Społeczna. Sztukę teatralną na Wystawę poznańską, która by zobrazowała dziesięciolecie ustawodawstwa społecznego w Polsce. Jednocześnie zwrócił się do Schillera i do Daszewskiego, jako przyszłego dekoratora. Wydawało mi się to dziwne i zwariowane. Jeszcze wtedy takich wzorów scenicznych fotomontaży w ogóle nie było. Nikt takich rzeczy jeszcze nie pisał. Ale zaimponowało mi to i podjąłem się. Dał mi mnóstwo materiałów, m.in. wychodziły takie bardzo wielkie tomy ankiety z Inspektoratu Pracy, rzeczywiście literatura pierwszorzędna, to znaczy niezwykle rzetelne materiały stosunków panujących w dziedzinie polityki społecznej w fabrykach, w ogóle w przemyśle.

Miłosz: Czy dzisiaj oceniasz te osiągnięcia pozytywnie, to znaczy czy uważasz że były...

W.: Pierwszych dziesięciu lat — olbrzymie. Polska miała najbardziej postępowy, po Niemczech, system ustawodawstwa społecznego. Poza tym, to pokolenie społeczników, wychowanych jednak przed 18-ym rokiem, bardzo dobre pokolenie, takich trochę romantycznych Judymów, ale niekoniecznie, pozytywistów. To było liczne pokolenie inteligentów. Ono obsadziło stanowiska w ustawodawstwie społecznym, w Inspektoracie Pracy, w Opiece nad Młodocianymi. To byli społecznicy, w prawdziwym tego słowa znaczeniu, jakich Polska Ludowa nie miała.

M.: Jak te ustawy przechodziły w Sejmie?

W.: Bardzo wcześnie, kiedy PPS miało jeszcze bardzo dużą siłę. To na zasadzie prawie amerykańskiej. To były pakty. Pakty.

M.: Z oporem prawicy.

W.: Nie. Prawica dostawała, powiedzmy, Oświatę i zazdrośnie każdy resort pilnował swoich praw. Bardzo zazdrośnie. Oczywiście były miejsca konfliktów. Były ciągle starcia i konflikty, ale te wielkie partie, dopóki nie zostały rozgromione, bardzo mocno broniły swego stanu posiadania. I aż do małego przewrotu, nie, daleko później, aż do tych sfalszowanych wyborów do Sejmu, PPS bardzo silnie stało w ustawodawstwie społecznym. Kasy Chorych, one reprezentowały wtedy coś bardzo istotnego. Kasy Chorych miały bardzo duży ciężar gatunkowy. Ja już wtedy — jak wiesz — byłem półmarksistowski, komunizujący. Więc co ja zrobiłem? Oczywiście to był montaż: więc i film i telefon i speaker. Taki piskatorowski, meyerholdowsko-piskatorowski. Pierwszy w Polsce. Teksty okropne, bo musiałem to zrobić wszystko w cztery, czy pięć tygodni. Więc całymi nocami czytałem Komisję Ankietową, bo ona mnie piekielnie przy tym zainteresowała. To dopiero ona dała mi rzeczywisty obraz. Cóż ja wiedziałem o losie robotników! W różnych zakątkach Polski. Tam — rzeczywiście — to była mapa, to były rzetelne sprawozdania. Więc wlałem w materiał i po prostu nie zdążyłem w tym czasie materiału przetworzyć, przetrwać. Tak, że on był surowy, na wierzchu. Teksty były fatalne. Były tam i śpiewy i chóry i marsze, monologi i telefon się odzywa, a na ekranie, powiedzmy: ośmiogodzinny dzień pracy. Speaker czyta ustawę. Króciutki paragraf, a potem telefon. Podnosi słuchawkę i sprawozdania z różnych wielkich fabryk. Ile w ciągu roku spisano protokołów za nieposzanowanie ustawy, za łamanie ustaw w tej i w tej wielkiej fabryce. Słowem, pokazałem, że wszystkie ustawy są łamane. Chór bezrobotnych, oczywiście — bo już wtedy było bezrobocie.

M.: Czy prawda, że ustawy były łamane?

W.: Bywały łamane. No, oczywiście, że były łamane. Ale Związki były dość potężne. Więc za łamanie ustaw fabrykanci płacili robotnikom. Jakies nadliczbowe godziny. Płacono. Nie przesadzajmy. Była walka, jednak w zasadzie, to niewątpliwe, ruch był bardzo pro-robotniczy. Już szedł ku temu. Potem nastąpił kryzys. Nie tylko piśsudzczycy złamali te domeny, te baronaty wielkie i Związki Zawodowe, potęgę Związków Zawodowych, ale jeszcze przedtem złamało co innego. Mianowicie kryzys, bezrobocie. Ale wtedy bezrobocie dopiero brało rozpęd. Jednym słowem...

wem absolutnie komunistyczna sztuka. To miał być teatr dość duży i Krygier, jak to przeczytał, to mu włosy stanęły na głowie. Najpierw była narada. Naradził się z takim wspaniałym człowiekiem, starym esdekiem, naczelnym dyrektorem ZUS-u, Kas Chorych w Warszawie, nie pamiętam nazwiska. A poza tym z posłem Żuławskim. Była taka trzyosobowa narada, czy w ogóle to jest możliwe. Nie żądał ode mnie żadnych skreśleń, żadnych zmian. Uchwalili żeby to puścić, wyobraź sobie! A Krygier był przecież pravicowcem w PPS-ie. Ale nie robić koło tego reklamy. W jakim celu to puścić? Jemu to się bardzo podobało. Uważał, że to jest znakomite, że będzie znakomite widowisko. Bywał w Berlinie, gdzie widział przedstawienia Piscatora i, żeby w najbrzydszy sposób to określić, działał pewien snobizm artystyczny. Schiller bardzo był tym przejęty. Daszewski był przejęty. I w końcu, zostałyby z niczym. A zrobił już ten plan. To są te osobiste jakieś względy. To już był jego plan. Jego ulubione dziecko. No, więc w tym gmachu w Poznaniu, na wystawie Ministerstwa Pracy, zbudowano specjalnie w podziemiach teatr. I nie robiono koło tego żadnej reklamy. Był tylko program. Między innymi występowała Buczyńska. A z żyjących aktorów Zawistowski, obecnie reżyser. Roman Zawistowski. Ale poza Zawistowskim już nikt nie żyje. A nie — Daszewski jest jeszcze. Schiller włożył w to bardzo wiele pracy. Pojechałem na premierę tego do Poznania. Miało nie być żadnej reklamy. Nikomu poza wtajemniczonymi nie mówiono, że coś takiego jest. Kto zwiedzał ten gmach, to trafiał. Tak, że salka była zawsze pełna. Były jakieś kosztowne reflektory. To niesłychanie było kosztowne. I któregoś dnia była wycieczka przemysłowców z Górnego Śląska. I oni na to trafili. Byli wtedy w Poznaniu Prystor i Piłsudska. Nazajutrz zaprowadzili Prystora i Piłsudską. Natychmiast, oczywiście zamknęli teatrzyk. Krygier miał wielkie przykrości. Ale był człowiekiem niezwykle delikatnym i taktownym i kiedy go pytano o te przykrości, to zawsze przeczył. I zachował dla mnie całą przyjaźń, mimo że miał te przykrości. I o mało nie wyleciał. Ale, rozumiesz, paradoksy tego kraju. To się zresztą do dnia dzisiejszego nie skończyło. I dzisiaj masz pełno paradokсів. Ta Polska. Polak! Na dziesięciolecie powstania państwa! Miała być apologia. I zresztą — rzeczywiście — najlepsze co zrobili — ustawodawstwo. I ja jakoś tak obrzydliwie ich sponiewierałem. Zarobiliśmy wtedy bardzo dużo. To znaczy: Schiller i Daszewski nie mogli mi wybaczyć, bo ja spowodowałem, że nie tyle, ile można było. Na to były fundusze. Te fundusze trzeba było wydać. A wtedy artystom, malarzom i w ogóle wszystkim, którzy coś robili płacono olbrzymie sumy. Krygier mnie zapytał ile bym ja chciał za to. Na samym początku. Więc odpowiedziałem mu:

i tak muszę panu to za 5 tygodni dostarczyć, więc powiedzmy — tysiąc dwieście, tysiąc pięćset. On się rozeźmiął, powiedział — pan się myli, to na pewno jest większa praca — ja panu dam trzy tysiące. A potem mi dał, jakoś cichaczem — pięć tysięcy. Potem mówiono mi, że to frajerostwo, że skrzywdziłem moich kolegów, bo każdy z nas mógł dostać po piętnaście. A to były bardzo duże pieniądze, jak pamiętasz. W 28-ym roku. To było tysiąc dolarów. Na Polskę, to było znacznie więcej. Za te pieniądze, ja z Olą i Daszewscy, pojechaliśmy za granicę. I ponieważ był projekt założenia *Miesięcznika*, więc postarałem się o to, żeby mieć kontakty do prokomunistów i postępowców niemieckich, a potem francuskich. I rzeczywiście, te kontakty dostałem. Zrobiły na mnie kolosalne wrażenie. Berlin wniósł jeszcze jeden z tych ważnych komponentów fascynacji komunizmem, których ja raczej nie miałem. Z natury byłem sceptyczny. To znaczy dał mi wizję, że to się spełni. Wizję spełnienia. Że nie dziś, to jutro, pojutrze, komunizm jest za drzwiami. Berlin 28-go roku. Żeby tak po krótkce powiedzieć, co ja zobaczyłem w Berlinie 28-go roku. Oczywiście, to co hitlerowcy dostrzegali. Dekadencja. Dekadencja. Rozpusta Babilonu. No więc, na Friedrichstrasse, na pryncypalnych ulicach, w biały dzień, w południe, to nawet było dość uderzające, frapujące, szły rzędem, cały trotuar zajmowały prostytutki. Ale wszystkie takie jakieś Kory akropolskie. Takie macierzyńskie bardzo, Germanki. Germanki jasnowłose, szły dumnie ulicami. Trzy, cztery, rzędem. Tak że przechodnie musieli czasem zejść z jezdni. Tak w biały dzień. Kurfürstendamm, niesłychana ilość twarzy z Grosza, z Otto Dicksa, potworne gęby spekulantów. Pierwszego wieczoru wpadłem od razu na Stefana Napierskiego, który wtedy był po ślubie, z siostrą Tuwima, Ireną Tuwim. Wyjechali w podróż poślubną i on mówi do mnie: wiesz, spędzimy wieczór razem. Ja ci pokażę Berlin.

M.: Co mu tam do ślubu, biednemu Mareczkowi?

W.: No, rodzice chcieli go wyleczyć z pederastii, w którą wciągnął go jeden z naszych kolegów, mieszkając u niego. Poza tym on miał dużą dawkę snobizmu, wiesz, aureola Tuwima. Zresztą Irena Tuwim mogła się szalenie podobać, miała niesłychanie dużo wdzięku, wtedy. I urodę i wdzięk. I była pociągająca w ścisłym tego słowa znaczeniu. Jakaś niesłychana miękkość. Tuman, wiesz. Za mgłą. Miękkość za mgłą. No więc, ja ci pokażę Berlin. Oczywiście zaprowadził mnie między innymi na boczną ulicę Kurfürstendamm, więc jakiś nocny lokal pederastów. Pierwszy raz widziałem to. Przebrani niektórzy, malowane twarze. Ich tańce monotonne, tańczyli jak automaty. Tani blichtr lampionów tej sali i niesłychany ich smutek, dramatyczność, za serce ścisłał ten

smutek. Te pary męskie — prostytutki — tańczyły jak automaty. Wiesz, weź domy publiczne paryskie, na Rue Blondel, do których bardzo lubił — ale tylko na *bocka*, tylko na piwo — nie stosował w praktyce — chodzić na piwo Bruno Jasiński. Bardzo często z nim i z Bruczem chodziliśmy. Na Rue Blondel. Tam były te nagie kobiety. Chodziło się na *bocka*, dwa franki kosztowało. I w skrótach dawało obraz jakiegoś społeczeństwa. Nie społeczeństwa oczywiście, ale jakiegoś odzwierciedlenia społeczeństwa. Jedno z luster postawionych na drodze. Bo takich zwiedzających tylko, chodzących na *bocka* Francuzów było mnóstwo. I to nie było nawet, żeby się podniecić. Nie to co we Włoszech widziałem. We Włoszech to straszne. To są ci, którym się w bebeczach wszystko przewraca. Niecierpliwi. A w Paryżu — nic podobnego. Nic im się nie przewraca. To jest *drôle*. To jest rodzaj zabawy ludowej. To jest folklor. W każdym razie dopóki to było, to był folklor. Wieczorami robotnicy, inteligenci, ojcowie rodzin. Wcale nie na rozpustę. Więc na Rue Blondel — tam nie było smutku. prostytutki nagie, które ze sobą tańczyły, to było bardzo *drôle*, nie było żadnej melancholii. W Berlinie, te męskie prostytutki, to był smutek tego wszystkiego. *La tristesse de tout cela*. Aż się serce rwało.

Więc mówimy o dekadencji. Bezrobocie potworne. Już wtedy. Więc znowu, od strony prostytucji. Gdzieś o jedenastej wieczorem, jakaś stara prostytutka zatrzymuje, nawet porządnie ubrana, elegancko. Zrobiłem jakąś minę bardzo zimną. A ona: dobrze, ale ja mam córeczkę piętnastoletnią. Mogę pana zaprowadzić. I to kosztuje tyle i tyle. Sprzedawanie córeczek. Wiesz, nędza straszliwa. Zapuszczałem się w te dzielnice, tam ginęli z głodu. Tam ludzie rzeczywiście przymierali głodem. Obok tych luksusów. Trzecia rzecz. To był początek filmu mówionego. Dawano wtedy: *Sonny-boy*. Pierwszy raz byłem na takim filmie. I jak wchodziłem tam — wiesz, miałem wyobrażenie o Niemcach: grube nogi itd. I nagle widzę, jak wychodzi poprzednia fala z kina i wychodzą dziewczęta. Jakieś sklepowe, biuralistki, sekretarki. Wszystkie: Greta Garbo, Marleny Dietrich. Zgrabne. Wszystko już jakieś nowe pokolenie, pokolenie już tej cywilizacji masowej. Zautomatyzowanej.

M.: A co się z nimi wszystkimi stało?

W.: Są. Teraz są już wszystkie, wybrane.

M.: Z tamtymi, indywidualnie?

W.: Częściowo potem były w SS, poginęły, różnie. Ale ich córki są już teraz *sposz da riadom*. Wszystkie są tak zrobione. Nie-słychanie zgrabne.

M.: Najciekawsze są losy indywidualne tych, na które patrzyłeś wtedy.

W.: Można się tylko brzydko domyślać. Ale co jest najważniejsze. Miałem kontakt do *Linkskurve* przede wszystkim. I to było właśnie takie czasopismo najbardziej komunistyczne. Było *Weltbühne*, z którym też zresztą nawiązałem kontakt *Neuerbücherschau*. Ale to byli popuczczyki. *Weltbühne* to byli: Osietzky, Tucholsky. Z Tucholskim się zbliżyłem. To był popuczczyk. Wiesz, w Niemczech jeszcze była kwestia pieniędzy. Pieniądzy płynących z różnych ambasad. Między innymi Ambasada Polska, na przykład, podtrzymywała — pacyfistów, jak ci wiadomo.

M.: Nie, nie wiedziałem.

W.: Pacyfistów niemieckich. To wiadome było i ja o tym mówię, bo to było ujawnione.

M.: Osietzkiego?

W.: Nie, Osietzky nie. Ale tę grupę z *Weltbühne*, owszem. Tam gdzie komunizm, tam jest niestety również policja. To są dwie uzgadniające się rzeczy. Nie ma na to rady. To przenikanie się policji z komunizmem, ściśle od samego początku. Jeszcze za carskich czasów. Jeszcze we frakcji bolszewickiej, w Dumie, już byli prowokatorzy. Ale nie tylko to. Później, po osiemnastym roku, to było na złość. Polacy podtrzymywali komunistów, czy komunizujących, przynajmniej niemieckich. Pacyfistów zwłaszcza. Niemcy Weimarskie ogromnie popierały komunistów polskich. Właściwa centrala na kraj przed hitleryzmem była w Berlinie.

M.: Fantastyczne to co opowiadasz.

W.: No jakże. Potem była w Gdańsku. Konferencje partyjne, między innymi taka konferencja, gdzie Polska Partia, KPP, wystąpiła przeciw zagarnięciu przez imperialistyczną Polskę, oczywiście jako wasala Francji — Górnego Śląska i Gdańska. Jest taka uchwała KPP. Jest w materiałach. Nie pamiętam daty. Jest w historii Partii. Uchwała w Gdańsku właśnie wniesiona. Konferencje partyjne odbywały się w Gdańsku. Po zamknięciu *Miesięcznika* przyszedł do mnie znajomy odgrywający dość dużą rolę w Partii, komunista z którym się przyjaźniłem i który teraz mieszka w Paryżu od wielu lat. Wymknął się jakoś. Mieszka cicho w Paryżu. Liwyszyc. Nie najważniejszą, ale w każdym razie był szyszką, był kimś w Partii. Przed wyjazdem moim do Ameryki odwiedził mnie w Paryżu. Pytam go: czy pan pisze pamiętniki, przecież pan ma kopalnię informacji. — Nie, nie piszę.

Był z tych, którzy się po wojnie schowali. Na jakichś małych posadach, na prowincji. Dużo było tych przedwojennych komunistów. Niektórzy się wypychali, ale ja spotkałem bardzo wielu znanych mi sprzed wojny komunistów, którzy starali się ukryć, gdzieś na prowincji, na bardzo małych posadkach. Niektórzy stali się katolikami. Jeden odwiedzał Laski bardzo często. No, więc po zamknięciu *Miesięcznika*, kilka miesięcy po zamknięciu, on przyszedł do mnie i proponował mi, żebym pojechał do Berlina, na spotkanie ze Standem, który specjalnie przyjechał do Berlina, żeby się ze mną spotkać w sprawie sposobów i warunków założenia nowego pisma. Nie pojechałem w końcu. To miało się tak odbyć, że miałem jechać na Górny Śląsk, gdzieś niedaleko granicy miałem wejść do górnika określonego i zapytać go: czy sprzedaje pan koks? A on miał mi odpowiedzieć coś w tym rodzaju: koks będzie jutro o godzinie dwunastej. To miało być hasło. I jakiś lewy papier, przepustka graniczna lewa. W przebraniu robotniczym, miałem przejść na drugą stronę, a tam już, po stronie niemieckiej, już by mnie od razu wyekspediowano do Berlina, na to spotkanie. Po hitleryzmie to taką centralą stała się Praga czeska, pod okiem władz czeskich. Znowu te rywalizujące państwa, które podniecały wzajemnie partie komunistyczne. No, ale mówię ci o tym Berlinie. Jeszcze jedno, zanim przejdę do komunizmu. Taka rozmowa z mieszczanami, np. z gazeciarzem, z łodziarzem. Wdawałem się z nimi w rozmowy. Mówiliśmy o polityce. O Hitlerze prawie nikt nie mówił. Jedna osoba, pamiętam, tam tylko wspomniała o Hitlerze. To był rok 28-my. Jakoś mało się interesowali. Ale napięcia uczuć hitlerowskich były szalone. W powietrzu. I u ludzi. Mieszczan właśnie. W wagonie miałem już to. Jechałem przez Niemcy, spotkałem znajomego w wagonie. Filolog — Weinberg, o bardzo semickim wyrazie twarzy. Wsiadł Niemiec gruby, który go w ogóle chciał zepchnąć z siedzenia. *Polnische Juden, Polnische Schweine*. Awanturował się. Ale ci drobniomieszczanie, taki łodziarz mówił: *Ich kümmere mich nicht in dem Politick*. Nie interesuje się polityką. Ale idę na tę *Linkskurve*, czasopismo mieściło się w domu Partii. Dom Partii im. Liebknechta, na Alexanderplatz. To proletariacka już dzielnica się zaczyna. I — to jest twierdza. Wspaniała, wielka twierdza. I trafił zdarzył, że jak szedłem do tego Alexanderplatz, do tego domu Partii, to mijałem o jakieś 100, czy 150 metrów koszary policji. Akurat wrota były otwarte, a na podwórzu — to było w biały dzień — ćwiczenia gimnastyczne policjantów. Wszystkie były szkielety, hemoroidalny kolor twarzy jak u Akakia Akakiewiczza. Zdawało się, że dotkniesz, to to upadnie. Widocznie obarczeni rodzinami i źle płatni. Prusy były wtedy rządzone przez

rząd socjaldemokratyczny. Potem wchodzę do tego domu Partii. Buldogi opasłe. Łoża odźwiernego. Odźwierny — niemiecki buldog. Mówię że przyszedłem umówiony przez Kurta Klebera. Redaktora *Linkskurve*. — Nie ma go! Będzie za godzinę dopiero, bo ma konferencję. Na co mu odpowiadam: No, to ja załatwię sobie jeszcze coś na mieście i za godzinę przyjdę. — Ale nie! Wychodzi ten buldog-odźwierny, bierze mnie pod rękę, prowadzi do pokoju bocznego i zamyka mnie na klucz. Jak już tam wszedłeś, dopóki się nie przekonają kto — więzień! Rozumiesz? No więc dopiero jak Kurt Kleber przyszedł, to dopiero mnie zwolnił. Ale to wszystko jakiś muskuł, mięsień, siła, dynamika. Tryumfujące jutro. Śpiewające jutro. Właśnie na tle hitleryzmu, wzrastającego bezrobocia, rozkładu, dekadencji społeczeństwa — wtedy jeszcze nie wierzyło się, że hitleryzm da radę. Przecież to była potężna armia komunistyczna. Potężna. Komunistów zdecydowanych. Przecież mieli broń. Moją hipotezę jest, że Stalin świadomie w pewnym momencie sparaliżował Partię. Przecież Partia była paraliżowana. Przecież to nie była tylko polityka, że wróg jest na lewicy i to nie było tylko to, że wspólne strajki — jak ci wiadomo szoferów, przeciwko socjaldemokratycznym rządóm w Prusach. Partia komunistyczna niemiecka z hitlerowską, przecież razem robiły strajki. Ale w tym szaleństwie była pewna metoda. Dwie rzeczy tylko wspomnę. Jedna rzecz: mówiłem ci o *Imprekorze*, takie pismo międzynarodowe, kominternowskie, które dostawałem. Po objęciu władzy przez Hitlera ukazał się numer. Na pierwszej stronie tego numeru, na całej stronie — bębny i puzony. Ogromny artykuł, triumfalny, biednego Leńskiego-Leszczyńskiego, który potem zginął tak tragicznie.

M.: Jego wykończyli w łagrach?

W.: Tak. Potem. Zdaje się, że go rozstrzelali. Leńskiego artykuł — on wtedy był na czele Partii. Był w Moskwie. No, ale prawdopodobnie krążył. Wtedy w Moskwie, naturalnie. I, proszę ciebie, ogromny artykuł triumfalny, że — chwała Bogu, hitlerowcy doszli do władzy. Teraz sytuacja jest jasna. Oczywiście, że to długo trwać nie może, ale oszustwo mas, bielmo z oczu mas, socjal-demokratyczne, zostało wreszcie usunięte. Bielmo z oczu mas spadło. Teraz już kolej na nas. Na dobrą sprawę, w końcu się tak stało. Zajęcie stu milionów wschodnich Europejczyków, w tym 18-tu milionów Niemców, odbyło się właśnie dzięki Hitlerowi. Na gruzach hitleryzmu. Więc koniec końców Stalin nie był taki głupi. Ale mam wrażenie, że tu było paraliżowanie Partii. Wiesz Wolff, autor *Cjankali*, którego poznałem w Berlinie...

M.: Ta sztuka była wystawiana, bez żadnych awantur, w Wilnie.

W.: W Warszawie były awantury. W 35-ym roku zdaje się, czy w 34-ym. On się dość długo ukrywał w Niemczech, a potem w 34-ym czy 35-ym uciekł do Moskwy, zatrzymał się w Warszawie jeden dzień i spotkaliśmy się u Schillera w Teatrze Polskim, potem poszliśmy do knajpy. I to było tragiczne opowiadanie. On był na czele jakiejś sekcji, komórki komunistycznej. I po spaleniu Reichstagu, kiedy się zaczęła ta historia, wszystko było przygotowane na rewoltę komunistyczną, na opór. Wiadomo było gdzie broń, w jakimś lesie podberlińskim, gdzie zakopana broń. Z niemiecką systematycznością każdy miał sobie wyznaczoną rolę. Sztab się zebrał i czekali tylko na gońca z hasłem, tak jak na pieczętkę, jak w powstaniu. Czekali na pieczętkę, na gońca z hasłem. I goniec nigdy nie przyszedł. I nie tylko w jego sekcji, ale w ogóle. Kapitulowali bez żadnego oporu. Tak, ale tego wszystkiego ja w 28-ym nie wiedziałem. Natomiast wiedziałem potęgę. Stalin świadomie sparaliżował. Mam takie swoje poglądy na Stalina. Uważam, że był genialny facet. Oczywiście dużo było przypadków, ale umiał przypadki obrócić na swoją stronę. Moim zdaniem, tak jak Stalin nie chciał w Chinach komunizmu, tak nie chciał w Niemczech komunizmu. Dla Stalina było, moim zdaniem, absolutnie rzeczą jawną, jasną, co nastąpi jeżeli wielki, potężny naród, z wielką przyszłością, zaprowadzi u siebie komunizm. I to się sprawdziło najpierw z Jugosławią, która nie była potężna, ale która była na peryferiach władzy. Stalin wiedział, że komunizm może się udać tylko w granicach NKWD i wojska. Przede wszystkim czekistów. Dalej nie może się udać. Jeżeli się uda dalej, nie w małych krajach jak Polska, ale w takich Niemczech — 80 milionów ludności, to oczywiście Moskwa spadnie natychmiast do roli drugorzędnej. Wyobrażasz sobie co by było w Berlinie komunistycznym. Połączyłoby się wszystkie *services* komunizmu z całą systematyką hitleryzmu. I wtedy Moskwa spadłaby natychmiast do roli drugorzędnej. To byłoby jak u Orwella zresztą. Stalin moim zdaniem nie chciał komunizmu. Wyraźne jest, że jemu od pewnego momentu w polityce zagranicznej, w polityce świata kapitalistycznego, marzyło się zupełnie co innego. Bezrobocia, klęski ekonomiczne, rozpady, rewolty i wzajemne pożeranie się. Moim zdaniem wojna hiszpańska wykazuje, że dzięki rozstrzelaniu tych inaczej myślących przez komunistów rosyjskich w Hiszpanii miało na celu co innego. Wplątanie Anglii i Francji w jakieś konflikty, a może i wojnę z Niemcami i Włochami.

M.: Ale na tym rachunku omal nie przegrał. Wyobrażał sobie, że będą się pożerać i niszczyć.

W.: On doprowadził. Bo w końcu, gdyby nie pakt Ribbentrop-Mołotow... Wiesz, gdybować nie można w historii. Ale wygląda na to, że Hitler może by jednak nie rozpoczął wojny. W końcu doprowadził do tego, że wzajemnie zaczęli się wykrwawiać. Tylko, że przegrał. On liczył na to, że w ostatniej chwili, za cenę ustępstw, tak jak Lenin w Brześciu, uniknie wojny. W najgorszym razie co przegra? Będzie musiał Hitlerowi oddać to i tamto. W najgorszym razie. Ale absolutnie liczył na to, że wojny uniknie. No, dobrze. Niedyskrecja Benesa, itd., jednego generała — no dobrze. Dwóch, trzech generałów — rozstrzelać. Już istniał pakt antykominternowski. No pięknie. Mania szpiegostwa — sam jej nie ulegał. Nie przesadzajmy. W każdym razie nie w takim stopniu. On robił manię. Człowiek, który na olbrzymią imperialną skalę — robi jakąś manię, sam nie jest maniakiem. To każdy rozsądny psychiatra ci powie. Człowiek, który umie rozpełnić w narodach manię — sam nie może być maniakiem. A jeżeli jest maniakiem, to jakoś wyjątkowo, to mu się na długo nie uda. No, Hitler. Oczywiście ten — maniak. Ale też krótkie były jego dzieje. Natomiast imperium — ja mówię o tworzeniu Imperium — twórca imperium, opartego na maniach, nie może być maniakiem. Więc rozstrzelałby jednego generała. Przecież on rozstrzelał śmietankę całą. Wtedy kiedy był ten pakt, oś i Tokio, kiedy Hitler coraz to groził wojną ZSSR, rozstrzelać absolutnie całą sztab swój! Wspaniałych generałów? Zostawić tylko najbardziej miernych? Potem dopiero wyrosły nowe kadry. Ale zostawił najbardziej miernych, z wojny cywilnej, z wojny domowej.

M.: Dlaczego? Bał się ich?

W.: A, oczywiście. Jedyna siła wtedy — w czasach jeżowszczyzny, która mogła się zrewoltować, która mogła doprowadzić do przewrotu, jedyna groźna siła i która — w końcu — logika mówiła, że chociaż była cała poprzetykana wtyczkami ale w końcu można było się spodziewać, że generalicja powie — nie! Należało się tego spodziewać. Logika, jakaś elementarna, tego wymagała. A to była jedyna siła. Więc oczywiście że chodziło o to. Ale jednak na horyzoncie była wojna. To znaczy, że on w wojnę nie wierzył. Mało tego. Moim zdaniem, to nawet mu służyło, bo on jednocześnie strzelał do wielu zajęcy. Służyło mu za sygnalizowanie Hitlerowi. Jeżeli się czego bał, to że Hitler może zrobić wojnę rewolucyjną. Że Hitler boi się komunizmu. I to był jak gdyby sygnał. Nie macie czego się bać. My wojny nie zrobimy.

Bo wystrzelaliśmy całą naszą sztab, wszystkich naszych wyższych oficerów. Jak będziemy wojować? Ja w szaleństwach Stalina widzę niesłychanie silną metodę, konsekwentną. Kiedyś pomówimy, bardzo prosta rzecz, można wykazać, w sposób bardzo prosty. No, ale wracamy do mnie, Aleksandra Wata, wałęsającego się po tym Berlinie, szukającego kontaktów z komunistycznymi czy prokomunistycznymi pisarzami i w Berlinie nagle widzącego, że jest ta wielka armia komunizmu, która stoi z bronią u nogi i czeka. A moment już w Berlinie widoczny, bo już mury pękają. Wszystkie mury: obyczajowe, ekonomiczne. Nawiązałem kontakty m.in. z Tucholskim, niewiele się potem przydały i z Mincem Bergerem i z Kurtem Kleberem, z Becherem, z całą masą ludzi. I jeżeli mówiłem, że w Niemczech inaczej, to tam właśnie widziałem. To nie byli dekadenci francuscy, surrealiści i nihiliści. To byli ludzie rzeczowi.

M.: Ale na tle tej jakiejś gangreny kulturalnej...

W.: Co innego był dwudziesty rok, dziewiętnasty rok — to był rozpaczliwy ekspresjonizm Keisera, to był komunizm Spartakusa, to było mnóstwo dekadentów w Monachium, przyłączających się do tego. To był Toller. Tu można symbolizować to historycznym Tollerem. Nie tyle Brecht. Brecht w gruncie rzeczy wtedy jeszcze nie odgrywał roli, nie był miarodajny. Nie był symboliczny. Nie był typowy. Ale Toller był typowy. Toller komunizował, czy był komunistą, zdaje się, że w Partii nie był, ale to był ten czerwony krzyk. Wersalski dyktat, rozpad kraju, inflacja. Jeszcze przed zbudowaniem, na samym początku Republiki Weimarskiej. Ale potem była Republika Weimarska, która wprowadziła nową rzeczowość. Właśnie konstruktywizm się zaczął. *Neue Sachlichkeit*, to poszło. Nowa rzeczowość z Niemiec. I to pokolenie o którym mówię, komunistów z którymi ja się wtedy spotykałem, w 28-ym roku, którzy się koncentrowali, szczególnie koło *Linskurve* ale również koło *Weltbühne*, to już nie byli eks-dekadenci. Oni się już raczej od tych eks-dekadentów bardzo wyraźnie odgradzali. Dużo było wśród nich samouków robotników, proletariackiego elementu. W 28-ym roku to już byli proletariacy pisarze, to był *Proletkult*, odpowiednik RAPP-u rosyjskiego. Oni odzegnawali się od LEF-u. To był RAPP, to była proletariacka sztuka, literatura proletariacka. I oni bardzo ostro się odzegnawali od całego dekadentyzmu. Recenzje tam były zawsze bardzo złe, zjeżdżające. Jak się np. odzegnawali od tego sympatyka, który zresztą potem trochę hitleryzował, od Ernsta Glaesera, autora *Rocznika 1902*. Ja znałem Glaesera, zresztą tłumaczyłem ten *Rocznik 1902* i poznałem go.

Oni nie rozmawiali z nim. Glaeser był w *Neuerbücherschau*, to była ta grupa progresistów, która utrzymywała bardzo ścisły kontakt z ambasadą sowiecką. Ambasada miała swoją grę. Ambasada nie tyle stawiała na tych proletariaczyków, ile właśnie na szanowanych i szanownych, dobrze wychowanych, profesorskich dekadentów.

VI

PARYŻ 1928. ŚRODOWISKO WARSZAWSKIE
SYMPATYKÓW KOMUNIZMU

Berlin na mnie zrobił wrażenie miasta Babilonu, a jednocześnie miasta Armageddonu rzeczywistego. To znaczy tam się rozegra, tam jest pole bitwy olbrzymich jakichś demonicznych sił historii, tam się rozegra jakiś bój ostatni, wszystko na to wskazywało. Moje wrażenie było silne, od razu sobie to uświadomiłem i pamiętam, że rozmawiałem właśnie o tym. Miałem bardzo różne odpowiedzi, zupełnie różne odpowiedzi. To był rok 28-my, w Prusach był rząd socjal-demokratyczny ale prezydentem państwa był Hindenburg. Jedyny człowiek, który o Hitlerze wspominał i który jakoś przewidywał siłę hitleryzmu — hitleryzm już był wtedy dużą partią — to był Tucholski, redaktor *Weltbühne*. Ja im mówiłem o tym, że ma się wrażenie, że to właśnie to, że lada dzień, że będzie starcie Goga z Magogiem. Że wreszcie ta poroniona rewolucja w Niemczech teraz dojdzie do skutku. Na ogół pisarze komunistyczni to potwierdzali, a i sami byli w takim oczekiwaniu, napięciu. Z Berlina pojechałem do Paryża gdzie już była Ola, bo ja w Berlinie się zatrzymałem, a Ola z Daszewskimi pojechała do Paryża. Przyjechałem skurat 14-go Lipca, żeby tańczyć. Mieszkałiśmy w takim hotelu tuż koło Café du Dôme, gdzie Kuna mieszkał.

M.: To były wtedy właśnie szczyty sukcesów Montparnassu.

W.: To były już nie szczyty, ale, ale... dwudziesty szósty, kiedy byłem pierwszy raz, to były szczyty. Ale jeszcze chcę powiedzieć, że jak przyjechałem, naraz znalazłem się w absolutnie innym świecie. Świat gdzie polityka w gruncie rzeczy nie odgrywa żadnej roli. Gdzie polityka jest lokalna. We Francji wtedy zdaje się był premierem jeszcze Poincaré, *Poincaré la gueule*, jak go nazywali. Kiedy opuszczałem Francję w 26-tym roku po kilku miesiącach, kiedy byłem tam z Jasińskim, to właśnie wtedy była ta straszna inflacja francuska. Poincaré został premierem

i ustabilizował franka. I rozumiesz, Paryż. Paryż jest poza czasem. Oczywiście są partie, są walki partyjne, ale to wszystko we Francji. Wiesz, tyle razy byłem we Francji, za każdym razem to wrażenie zostaje, że walki polityczne we Francji są w gruncie rzeczy między profesjonalistami. Wytworzyła się klasa profesjonalistów polityki i tam rozgrywają się najrozmaitsze kontredanse, według reguł gry ciągle zmienianych. Ale zasadniczo Francja jest stała, to jest stała chińska strona, chińszczyzna Francji, rytuał codzienny, godziny posiłków. Po każdym takim powrocie do Francji wydawało mi się, że dopiero co ją opuściłem, mimo że przecież zachodziły bardzo duże różnice. Może mówię o naskórkowych wrażeniach. Wyglądało to jak gdyby życie polityczne Francji zakończyło się w 1870 roku, a potem już były tylko gdzieś zawodowe koda, po prostu nastąpiła jakaś alienacja polityki od życia narodu. Teraz po wojnie jak pojechałem do Francji miałem jednak bardzo podobne wrażenie. Jakieś ustabilizowanie, prowincjonalność Francji w zestawieniu z Europą, ale prowincjonalność pewnej pełni kraju, który świetnie się umieścił w Europie, na doskonałym kawale Europy, na najlepszym, ogrywanym Golfstromem, z drugiej strony morze Śródziemne, i który w pełni swojej kultury, swoich sił twórczych, już się ustabilizował. Potem już są tylko jakieś oscylacje, ale siła tej stabilizacji jest tak duża, że moim zdaniem, właśnie dlatego Francja mogła sobie pozwolić przed de Gaullem, podczas III-ej Republiki i jeszcze wcześniej, na tak częste zmiany ministrów, bo właściwie to już wchodzi w zakres jakiejś gry.

M.: Wybacz, wtrąć tutaj i zapytam czy... To mówisz teraz, ale wtedy kiedy byłeś we Francji czy nie miałeś uczucia *do-gniwanja*?

W.: Nie, zupełnie nie. Mówię to teraz ale staram się swoimi obecnymi słowami określić moje wtedy odczucie. To był jakiś świat wyłączony. Gdzieś dzieje się wielka walka historyczna, potężna walka historyczna, a to taka enklawa, enklawa poza wszystkim, która ma swoje Montparnassy. Ja wtedy nie wychodziłem z Montparnassu, ale zaglądałem do innych dzielnic, owszem, okolice Bastylli czy Clichy, to wszystko lubiłem zwiedzać, ale to wszystko było jak gdyby od wieku wieków, coś niestychanie społecznie, kulturalnie, cywilizacyjnie stabilnego, tak że mnie to raczej odtrącało, ponieważ ja chciałem rewolucji i szukałem rewolucji. Francja zresztą bawiła mnie, no cóż, Montparnasse. Ale z drugiej strony była olbrzymim rozczarowaniem. Jak mówiłem, szukałem kontaktów, żeby mieć do przyszłego pisma. Nie powiem żebym zanadto szukał. Nie wiem czy ci wiadomo,

że Francuska Partia była bardzo nisko oceniana w Polsce. Po prostu śmiano się z jej marksistów, nie miała ideologów, tam był taki Politzer, błyszcząca gwiazda. Polscy marksiści kpili z marksizmu francuskiego, to był najniższy poziom myśli marksistowskiej. Przed I-szą wojną światową byli tam marksiści, był Jaurès, niemało ich było, ale w tym czasie komuniści francuscy jako ideologowie prawie nie istnieli. Liczyło się co? Niemiecka Partia miała doskonałych marksistów, wytrawnych. W Austrii raczej nie komunistyczna Partia, za to austriacki socjalizm, austriacki marksizm. Ale i Polska była oceniana bardzo wysoko.

Miałem też kontakt do Barbusse'a. Zresztą prawie nikogo już nie było, bo połowa lipca, wszyscy się rozjechali. Ja długo we Francji nie byłem, bośmy w jakiś obłąkany sposób wydawali pieniądze. Potem pojechaliśmy do Normandii i olbrzymia suma zarobiona na wystawie poznańskiej starczyła nam tylko na miesiąc pobytu we Francji. Niewiele więcej. Po czym Olę odprawiłem do brata do Brukseli, a sam pożyczylem u Kuny pieniądze na bilet do Warszawy. Więc nie doczekałem się powrotu ludzi z wakacji, ale zetknąłem się wtedy z Barbusse'm. Zapraszał mnie na śniadania parę razy, robił na mnie wrażenie, bo wtedy był redaktorem *Mondu, Le Monde* — był taki tygodnik, poznałem tam u niego ludzi, był taki jego sekretarz który potem ożenił się z córką włoskiego eks-premiera i pojechał z nią do Moskwy. I w Moskwie jeden z dziennikarzy *Prawdy* odbił mu żonę. Ona była bardzo komunistka, on tylko tak pół na pół. No i potem przez Warszawę wracał rozczarowany, wkrótce umarł. Barbusse, niesłychana dystynkcja, piękny profil, szczupły, wysoki. Głowa tak myśląca, że ciało się garbiło, bardzo piękny rysunek profilu i prześliczna, wyrafinowana francuzczyzna. Byłem szczeniakiem, on potem do mnie pisał: *Mon cher maître*, więc niby ta *politessa* francuska do maksimum. Więc jednym słowem taki bardzo dystygowany stary pan. Starszy — dla mnie był bardzo stary wtedy. Stary pan, którego pojęcia o komunizmie mnie, bardzo naiwnemu prokomuniście, wydawały się szczytem dziewiętnastego wieku, dziewiętnastowiecznych nieporozumień. W czym zresztą się nie myliłem. No, to była Francja.

ADAM KRZYŻANOWSKI

DZIEJE POLSKI

Tytuły Rozdziałów:

PRZEDMOWA I WSTĘP AUTORA. — POLSKA OD-
RODZONA POMNIKIEM REHABILITACJI NARODU.
— OREŻ POLSKI W SŁUŻBIE DOBREJ SPRAWY. —
TRAKTAT BRZESKI. — POKÓJ ZAPOMNIANY. —
KOMENDANT LEGIONÓW NACZELNIKIEM PAŃ-
STWA. — METODY I CELE POLITYKI ZAGRA-
NICZNEJ. — WOJNA Z ROSJĄ. — POKÓJ RYSKI.
— TRAKTAT PRZYJAŹNI ROSYJSKO-NIEMIECKI.
— KRES SEJMOWŁADZTWA. — BEZSKUTECZNE
USIŁOWANIA RZĄDU POLSKIEGO SKŁONIENIA
SPRZYMIERZONEJ FRANCJI DO WSPÓLNEGO
UPRZEDZENIA ATAKU NIEMIECKIEGO. — PORO-
NIONE ZAMYŚLY ZJEDNOCZENIA SIĘ PAŃSTW,
ZAGROŻONYCH ATAKIEM NIEMIECKO-ROSYJ-
SKIM. — TESTAMENT MARSZAŁKA. — SPADKO-
BIERCY. — ROSYJSKA OFERTA UCZESTNICZENIA
W ROZBIORZE POLSKI. — ROZBIÓR POLSKI OD-
RODZONEJ. — NIEMIECKIE ŻĄDANIE KAPITULA-
CJI BEZ WOJNY. — ANGIELSKA RĘKOJMIA PO-
MOCY. — ROSYJSKIE ROKOWANIA - JAWNE Z
ANGLIĄ I Z FRANCJĄ, TAJNE Z NIEMCAMI. —
DALSZE FAZY TARGÓW NIEMIECKO-ROSYJSKICH.
— TAJNY UKŁAD O ROZBIÓR POLSKI Z 23 SIERP-
NIA. — ODZEW ANGLII I POLSKI NA ROSYJSKO-
NIEMIECKĄ ZAJAWĘ. — HITLER TEGO DNIA
ODRACZA NAJAZD O SZEŚĆ DNI. — ZMOBILIZO-
WANE WOJSKA STAJĄ NA GRANICY. — WOJNA.
— JAWNA UMOWA ROZBIOROWA.

Książka objętości ok. 500 stron ukaze się jako kolejny tom „Biblioteki Kultury” w końcu stycznia - na początku lutego br.

Dziennik pisany nocą

Neapol, 20 października 1972

Z Amsterdamu: „Miał być długi list ideologiczny, ale za godzinę wracam do Warszawy. Tylko tę małą karteczkę mogę wydusić. Kiedy będziesz pił wino, pomyśl o mnie, zleć duchem”. Na oddzielnym arkusiku fragment wiersza:

*Strzeż się oschłości serca kochaj źródło zaranne
ptaka o nieznanym imieniu dąb zimowy
światło na murze splendor nieba
one nie potrzebują twego ciepłego oddechu
są po to aby mówić: nikt cię nie pocieszy*

*czuwał kiedy światło na górach daje znak wstań i idź
dopóki krew obraca w piersi twoją ciemną gwiazdę*

*powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy
bo tak zdobędziesz dobro którego nie zdobędziesz*

*powtarzaj wielkie słowa powtarzaj je z uporem
jak ci co szli przez pustynię i ginęli w piasku
a nagrodzą cię za to tym co mają pod ręką
chłostą śmiechu zabójstwem na śmietniku...*

Piłem cały wieczór wino, rzeczywiście „zleciał duchem”. Potem... W Monachium, w złym dla mnie czasie, zdarzało mi się często zasypiać w fotelu po pijanemu, była wtedy zima, piekące po przebudzeniu oczy przemywałem białą śniegu za oknem. Nie-

wiarygodne jak śnieg, który tutaj widuję jedynie z daleka i krótko na szczycie Wulkanu, napełnia spokojem, choćby to był spokój wygłodzonego bólu.

Jest już prawie świt, niebo sinieje w stronie morza, pinia po deszczu ocieka strużkami brudnej poświaty.

Doszliśmy istotnie do punktu, w którym nie poddawać się znaczy powtarzać z uporem wielkie słowa, stare zaklęcia ludzkości, bajki i legendy? Zdobędziemy tak dobro, którego nie zdobędziemy? Cokolwiek się odpowie, resztki prawdziwej poezji tłuką się dziś jak chore serce w ostatniej próbie powrotu do pierwszych źródeł.

25 października

Z okazji pięćdziesięciolecia marszu czarnych koszul na Rzym gazety aż się przelewają od artykułów, analiz historycznych, reminiscencji, obrachunków, ankiet, wywiadów. Kupiłem w kiosku nowe wydanie książeczki Emilio Lussu *Marcia su Roma e dintorni*.

Lussu napisał ją dla publiczności anglosaskiej i francuskiej po ucieczce z Włoch faszystowskich. W momencie marszu na Rzym (który, Bogiem a prawdą, należy raczej nazwać karnawałową bufonadą z dwoma pajacami w rolach głównych: Wikto-rem Emanuelem i Mussolinim) był posłem do parlamentu z Sardynii, radykałem ale nie socjalistą. Oblężony w domu w Cagliari przez „tłum” domagający się samosądu, zastrzelił w obronie własnej jednego z napastników. Raniono go dość ciężko i, pod naciskiem wrażliwej jeszcze opinii publicznej, zwolniono. Brał udział w „secesji awentyniańskiej” po zabójstwie Matteottiego, łabędzim śpiewie dotkniętej sklerozą demokracji włoskiej. Zesłany na Wyspy Liparyjskie, zbiegł stamtąd w roku 1929. Na emigracji we Francji i w Anglii doczekał się upadku faszyzmu. W powojennych Włoszech był kilkakrotnie ministrem i senatorem z listy socjalistycznej.

W jego zjadliwej książeczce najciekawsze są opisy cudownych i błyskawicznych nawróceń paladynów wolności na nowy faszystowski porządek: wczorajszych liberałów, klnących się na wszystkie świętości: „po moim trupie!”, spotykało się nazajutrz w świeżo odprasowanych czarnych koszulach. Cudowne i błyskawiczne nawrócenia cieszyły się szczególnym powodzeniem wśród „warstw oświeconych”, i to w sposób który nam coś żywo przypomina. Nawrócony towarzysz polityczny Lussu puszcza mimo uszu jego gorzkie wymówki i w milczeniu wyciąga z kieszeni egzemplarz szesnastowiecznej książki *Ultima professione di*

fede di Simon Sinai, da Lucca, prima cattolico-romano, poi calvinista, poi luterano, di nuovo cattolico, ma sempre ateo. Mieli więc także Włosi swój *Ketman*. Ale karuzela wyznawczych masek zmieniła twarze „utajonym zawsze ateuszom”: dla wielu, z wybiciem ostatniej godziny maskowania się pod rządami faszyzmu, „ateizm” stał się po prostu kolejną maską. I sami w końcu nie wiedzą w co wierzą albo i nie wierzą.

Naturalnie centralnym pytaniem rocznicowej powodzi w prasie jest: czy istnieje groźba recydywy? Zdawałoby się, że nie; tak przynajmniej sędzę, wbrew kassandrycznym tonom u licznych autorów. Trzeba jednak być ostrożnym w przewidywaniach. Przedwczoraj pokazano mi list Einsteina z roku 1952 do włoskiego przyjaciela: „Byliśmy świadkami ogromnych politycznych przewrotów i będziemy świadkami dalszych, jeśli się w porę nie opamiętamy. W zasadzie wciąż to samo: narody wpadają w potrzask, bo odruchy atawistyczne okazują się silniejsze od rozumu i nabytych przekonań. Stary Lichtenberg miał rację: doświadczenie nie czyni mądrzejszym, gdyż każde nowe szaleństwo ukazuje się w nowym świetle”. Jest przypuszczalnie dowodem mojego starzenia się, że słabiej niż za dawnych lat potrafiłbym się tym słowem sprzeciwić.

28 października

W dodatku do *Espresso* urywki przemyczonego z Rosji dziennika więziennego Edwarda Kuzniecowa. W roku 1970 jego i Dymszyca skazano na śmierć, jako organizatorów planowanego uprowadzenia samolotu z Leningradu do Szwecji. Wyrok zamieniono na piętnaście lat łagrów, było to wymuszone protestami sowieckie *noblesse oblige* wobec aktu łaski w równoczesnym procesie Basków w Burgos.

Na podstawie strzępów trudno cokolwiek o dzienniku powiedzieć, jeden tylko zapis ma dla mnie przejmującą wymowę: „Na tydzień przed zamianą wyroku śmierci przyprowadzono do mojej celi więźnia nazwiskiem Liapczenko, również skazanego na śmierć. Obok naszej znajdowała się cela 194, w której niegdyś siedział wódz rewolucji. Co rano, natychmiast po pobudce, i wieczorem gdy zapadało milczenie, Liapczenko stukał pięścią w ścianę mrużąc: „No jak tam, towarzyszu Lenin? *Zdrastuj*. Widzisz coś narobił, łysy oszuście?”. Bez cienia ironii czy drwiny, ze smutnym wyrzutem, i to skierowanym nawet nie do Lenina jako symbolu rzeczywistości sowieckiej, ale ot tak w ogóle do losu, który zasłużył sobie przecież na cichą połajankę”.

Do losu w ogóle... Przeczytałem w tych dniach dwie krótkie powieści sowieckie, jedną wydaną w Ameryce, drugą w Moskwie. *Zejsście pod wodę* Lidii Czukowskiej jest dziennikiem kobiety, której w 37 roku aresztowano męża; po dwunastu latach nic o nim nie wie, w codziennym obrzędku „schodzenia pod wodę” usiłuje przywołać żywego lub umarłego. Siedmioletni chłopiec z *Białego statku*, arcydziełka pisarza kirgiskiego Czingiza Ajmatowa, marzy o przedzierzgnięciu się w rybę i rzuca się do strumienia, przerażony okrucieństwem otaczającego go świata. Wiem że nic tych dwóch opowieści nie łączy, że skojarzenie jest całkowicie przypadkowe, lecz „los w ogóle” posiada w Rosji osobliwy język, dzięki któremu krzyżują się dziwnie rzeczy i zdarzenia najbardziej odległe. Nawiasem mówiąc, Ajmatow zrozumiałby doskonale poetę polskiego: „Powtarzaj stare zaklęcia ludzkości bajki i legendy...”

3 listopada

Kartka znaleziona w pudle korespondencji i innych szpargałów. U góry zdanie z *Carnets* Camusa, z okresu jego młodzieńczej umbryjsko-toskańskiej podróży: „Napisać historię człowieka współczesnego, uleczonego z rozdarć samą tylko długą kontemplacją pejzażu”. Niżej moja własna notatka podróżna. „Słodka Umbria! A jednak jej słodycz jest sucha, gdy ją zestawić z soczystą słodyczą Toskanii. Wzgórza, pokryte matową zielenią drzew, kwiatami i żółtymi smugami zbóż, łysieją często na styku z właściwym pasmem Apeninów, ginąc w łachach szarego kamienia i odsoniętej ziemi koloru wyblakłej cegły. Nie ciemnozielony tokański wodotrysk cyprysu, lecz przeredzona korona pinii jest kluczem muzycznym krajobrazu umbryjskiego. Także powietrze Umbrii różni się od powietrza Toskanii. Chociaż jej imię przywołuje na myśl cieniste słowo *ombra*, chociaż bogata jest w źródła, jeziora i rzeki, nie ma w umbryjskim powietrzu tego złudzenia ziemi przeglądającej się w czystej tafli wodnej, jakie nawiedza podróżnego na drogach między Luccą, Florencją i Sieną. Wszystko wydaje się tu lekko zamglone, widziane w marzeniu lub drzemce w upalne letnie popołudnie. Rano mgła wstaje wolno, majestatycznie, jak rulon rozwijany od dołu w chmurę. Doliny są wąskie, głębokie, o ścianach które gwałtowny bieg wód wyżłobił stromo, a niekiedy nawet prostopadle. Erozja obciosowała też krawędzie wielu wzgórz, tworząc płaskie dachy wsparte na urwistych zboczach. Na tych dachach powstały miasta Umbrii, jej zamki i wieże. Charakter pejzażu można odczytać najlepiej w dziełach mistrzów umbryjskich: przewija się w nich

zachwycająca nić żywej przypowieści, legendy, mniej wyraźna u malarzy innych szkół włoskich”.

Wierzę w egzystencję krajobrazów mitopłodnych. Mogę się po tylu latach łudzić, oszukiwany wspomnieniami dzieciństwa, ale przysięgłbym że w Polsce takim żywym rejonem są Góry Świętokrzyskie. Nie tam, polem obok drogi z Nowej Słupi, posuwa się na klęczkach Kamienny Pielgrzym? Melancholijna refleksja: będę go pamiętał dłużej, niż pejzaż z którym jest zrosnięty.

7 listopada

Pamiętka wyborcza, dwa slogany na murze w okolicach portu. „Lud nie głosuje, lud walczy!”. To ekstreмиści z lewa. „Głosuj na faszystów, walka trwa!”. To ekstreмиści z prawa. Po środku ktoś wyskrobał w tynku kulfonami: „Cudowna Panienko Pompejańska, zachowaj nas w swojej opiece!”.

12 listopada

Kilometry list Bakunina do Nieczajewa z czerwca 1870, odkryty przez profesora Confino, może być czytany dwójako: dla historyków materiał do ważnych poprawek i uściśleń; dla reszty świadectwo dramatu rewolucyjnego w zarodku.

W ultimatum przed definitywnym zerwaniem Bakunin żądał od Nieczajewa porzucenia tendencji „komunistyczno-etatystycznych” oraz „nieczajewszczyzny”, czyli „systemu policyjnego i jezuickiego” wobec wszystkich, a nie wyłącznie (co Bakunin dopuszczał) wobec wrogów rewolucji. Nieczajew głosił: nie ma moralności, każdy środek prowadzący do celu jest usprawiedliwiony i godziwy. Bakunin upierał się: moralność obowiązuje wśród nas rewolucjonistów, jeżeli ją zupełnie przekreślimy, świat nie będzie wart zbawienia. Było to więc pierwsze w dziejach ruchu rewolucyjnego zderzenie totalności z połowicznością, niczym nieograniczonej samowoli z cieniem praw. Nie znając jeszcze tego listu, Venturi trafnie wyczuł u Bakunina zgrozę na widok własnych idei popchniętych przez Nieczajewa do logicznej kropki. Echo zderzenia odezwało się w naszych czasach w osłupieniu komunistów, likwidowanych na rozkaz swoich towarzyszy partyjnych. Nie zdawali sobie sprawy, że to za grobem krzepki zwiastun jutra Nieczajew dorzynał dziewiętnastowiecznego, zramolałego Bakunina.

17 listopada

Podoba mi się bardzo komentarz (niepozabawiony chyba złośliwością) do wczorajszego, nieoczekiwanego przemówienia papieża: „Jak grom z jasnego nieba spadło na świat *renovatio diaboli* Pawła VI”. Tym jasnym niebem, podstępny dziełem Księcia Ciemności, była stopniowa „demityzacja” diabła przez teologów „postępowych”. Znikł z przepisów liturgicznych i formuły chrztu, ustępując miejsca ogólnikowemu pojęciu zła. Paweł VI, podobno nadzwyczaj podekscytowany, upomniał się o staroświeckiego diabła, którego na emeryturę lekkomyślnie posłały nowoczesne zabiegi demityzacyjne: „Istota żywa, zdeprawowany deprawator, straszliwie realny, tajemniczy i okropny, wróg numer jeden, dotykalny kusiciel, siewca błędów i nieszczęść, perfidny i chytry czarodziej”. Łatwo sobie wyobrazić szydery, diaboliczny uśmiech na ustach „postępowych” teologów.

Nie jest wykluczone, że papież zdecydował się na restaurację diabła w jego tradycyjnej postaci, śledząc z niepokojem rozkwit demonologii laickiej: diabeł wygnany z kościoła coraz częściej i powszechniej przechodzi pod batutę magów i egzorcystów bez wykształcenia teologicznego i święceń kapłańskich. Czym będą po jego eksmisji przybytki Boga? Kogo zwabia świątynie, w których nie masz przed nim ucieczki? Gdyby mój domysł był słuszny, nie pozostawałoby nic innego jak uznać, że Książę Ciemności zagrał zuchwale o wysoką stawkę.

Demonologia w XVI stuleciu oceniała Królestwo Arcydiabła na 6666 legionów, po 6666 diabłów w legionie. Sensowniej brzmiała hipoteza przeciwników wszelkich obliczeń, którzy twierdzili że diabłów jest tylu ilu ludzi, skoro nieodstępny kusiciel i deprawator uwija się koło każdego człowieka od kołyski do trumny. W nowszej epoce myśl tę wyraził, rzecz prosta z większą subtelnością, Iwan Karamazow w nocnej rozmowie z diabłem: „Czasem cię nie widzę, nawet nie słyszę twego głosu, ale zawsze rozumiem co pleciesz, ponieważ to ja, ja sam mówię, a nie ty... Tak, ty to ja, ja i nic więcej”. Ale z cyframi czy bez, podstawą demonologii chrześcijańskiej była wiara w Antychrysta, nadrzędnego uwodziciela i truciciela ludzkości, wodza naczelnego zastępów szatańskich. Diabeł dowcipnie przyciął Iwanowi Karamazowowi: „Gniewasz się na mnie za to, że nie nawiedziłem cię w czerwonej aureoli, grzmiąc i błyskając, z osmalonymi skrzydłami, że zjawiłem się u ciebie w tak skromnym wcieleniu. Jak do tak wielkiego człowieka mógł przyjść taki pospolity diabeł?”. Iwan Karamazow, czego nie wolno lekce-

ważyc, był człowiekiem o rozległych horyzontach i orlim spojrzaniu, autorem *Legandy o Wielkim Inkwizytorze*...

Otóż podejrzewam że Paweł VI, przywróciwszy wiernym obraz pospolitego biesa prywatnego, przyczyni się może do zapełnienia kościołów i opróżnienia poczekalni w przychodniach świeckiej demonologii, zarazem jednak (ma się rozumieć, bezwiednie) zasłoni plecami Arcydiabła uniwersalnego. Tu dostrzegam lwi pazur Księcia Ciemności w jego zuchwałym posunięciu.

19 listopada

Sacharow, Roy Miedwiedew i Rostropowicz wzywają w petycji rząd sowiecki do zniesienia kary śmierci. W państwach praworządnych, prócz argumentów moralnych które znamy z *Reflexions on Hanging* Koestlera i z *Réflexions sur la Guillotine* Camusa, atakuje się karę śmierci wywodem osiemnastowiecznego pisarza włoskiego Cesare Beccaria w trakcie *Dei delitti e delle pene*. Ostrzegął on że w miarę wzrostu okrucieństwa kar „umysły ludzkie twardnieją, przystosowując się jak płyny do poziomu otaczających je przedmiotów”. Gdyż strach rządzi się własnymi prawami: w stuleciach bezlitosnych kar ludzie nie wydają się bardziej przerażeni widokiem szubienic, niż w łagodniejszych ustrojach widokiem więzień, a „ten sam duch okrucieństwa który kieruje ręką prawodawcy, uzbraja rękę przestępcy”. Niewątpliwa mądrość włoskiego illuministy ma niewielkie zastosowanie w ustrojach o „praworządności” terrorystycznej z samej swojej istoty. Nie można zeskoczyć z osiodłanego tygrysa, strach i okrucieństwo splatają się nierozłącznie i u rządzących i u rządzonych. Kto pamięta z Amalrika wizję ZSSR w dniu ewentualnego kryzysu, nie uwierzy by w takim systemie zdecydowano się kiedykolwiek przenieść kata w stan spoczynku. Kara śmierci, choćby po nią rzadziej sięgano, jest kamieniem węgielnym filozofii, którą najlepiej sformułował apologeta kata Joseph de Maistre: bez niej „chaos wypiera zasady, wałęsa się trony i rozprzega się społeczeństwo”.

25 listopada

Ryszard Przybylski, tłumacz dziennika Anny Grigoriewny Dostojewskiej *Mój biedny Fiedia*, przesadza w przedmowie zalecając go jako „zachwycającą i urokliwą literaturę”; nie ma potrzeby stawiać Ani obok dwóch młodych i egzaltowanych „inte-

lektualistek” z popularnego zarciku, które licytują się w ochach i achach na temat „słodkiego” Dostojewskiego.

Ta dwudziestoletnia dziewczyna, po uszy zakochana w dwukrotnie od siebie starszym pisarzu, prosta i mimo swej roztropności prawie dziecinna, przeszła w kilka miesięcy po ślubie przez piekło. Zastawiwszy w Petersburgu jej meble z posagu, ruszają wiosną 1867 roku do Niemiec, Dostojewski nalega na dłuższy pobyt w Baden. Zaczyna się koszmarny kołowrót ruletkowo-epileptyczny. Z domu do kasyna gry, po przegranej (najczęściej) do domu po resztki pieniędzy, znowu do kasyna, gorączkowe szukanie pokątnych lombardów, w przerwach ataki padaczki. Ania wygrzebuje ze schowków guldeny, daje je bez szemrania, pociesza go, zapewnia że to nic takiego, pod jego nieobecność zapłakuje się lub udrczona włóczy się sama po mieście, gotowa wszystko znieść byle tylko nie utracić miłości „biednego kochanego Fiedia”. Nie jest tej miłości zanadto pewna, w duchu posuwa się nawet do przenikliwego bluźnierstwa: „Wydaje mi się, że Fiedia nigdy jeszcze nie kochał; że tylko mu się wydawało, iż kochał; że prawdziwej miłości nie zaznał. Dlatego też myślę, że nie jest zdolny do miłości. Myśli o czym innym i zbyt jest zajęty ideami, aby mocno przywiązać się do czegoś ziemskiego”. Dostojewski, nie licząc krótkich interludów czułości i samooskarżania się o niegodziwość czy wręcz podłość, szarpie się i pieni jak gdyby był w kleszczach ciągłej epilepsji duchowej. Przybyłski zbliża się do prawdy, kiedy świat utrwalony w zapiskach stenograficznych Ani nazywa mieszanką tragedii i farsy. Ba, nie brak w farsie elementów surrealistycznej groteski: „Fiedia wziął dziesięć złotych monet, poszedł i przegrał. Wrócił, wziął pięć złotych monet i przegrał. Przyszedł, wziął cztery złote monety i przegrał...”. Tragedią była ciąża Ani, która przebiegała na obłądnej i morderczej huśtawce. Wyjechali do Genewy niemal bez grosza przy duszy, tam urodziło się dziecko i natychmiast zmarło. Dostojewski nie mógł nie rozumieć, że ta śmierć była spóźnionym epilogiem jego opętania wirującą ruletką w Baden.

Słowo „opętanie” nie jest tu figurą retoryczną. Skrupulatna aż do znudzenia stenografistka przyłapała na gorącym uczynku diabła, co daje właśnie niezamierzony przez nią efekt pomieszania (albo raczej skotłowania) tragedii, farsy i groteski. Dostojewski znajduje się w jego władzy tak wyraźnie, z tak namacalną oczywistością, że podczas lektury dziennika Anny Grigoriewny bywają chwile oczekiwania na jakąś otwartą sataniczną kulminację. Mówi się o wyobraźni Dostojewskiego, niechętni dodają: chorobliwej. Był stałym mieszkańcem wąskiego pasa nadgranicznego, o niesamowitym darze opisu realistycznego. „Najgorsze, że mam podłą i zbyt namiętną naturę. Zawsze i we wszystkim

dochodzę do ostatecznej granicy, całe życie tę granicę przekraczałem”. Nikt przed nim i po nim nie był równie za-pan-brat z własnym biesem, dlatego nie znam pisarza który by z podobną konwulsyjnością widział jedyne ocalenie w Bogu.

27 listopada

Umarł Ennio Flaiano, pisarz ironiczny i smutny, scenarzysta Rosselliniego i Felliniego, niezrównany kronikarz Rzymu. Został po sobie mało, mierziło go drukowanie w byłym „imperium dziewięciu milionów bagnetów”, które stało się nagle „krajem dziewięciu milionów piór”. Gdy ukazała się po włosku moja *Wieża*, dostałem od niego miły list. Ale do spotkania nie doszło, muszę mieć o to pretensję do mojej ociężałości w nawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków z ludźmi.

Trzy tygodnie temu ogłosił swój ostatni drobiazg *La mia marcia*. Rekonstruował w nim, na fali cierpkich „obchodów” półwiecza, własny marsz na Rzym w wieku lat dwunastu, z rodzinnej Pescary do stołecznych szkół. Przyjechał pociągiem, zatłoczonym czarnymi koszulami z północy. Faszyści wysiedli rozspiewani w Tivoli, jakiś chłop w przedziale splunął pod ich adresem: „Maszerujcie, maszerujcie, w Rzymie znajdziecie żołnierzy”. Nie znaleźli, w każdym razie nie takich o jakich myślał chłop. Co utkwilo w pamięci dwunastoletniego chłopca? Miasto wydobyło się szybko z oszołomienia, powitało zdobywców odświeżoną twarzą. Nierzadko oklaskiwano w takt marszu oddziały „synów wilczy”. Rozpierali się po rzymskim triumfie w kawiarniach i knajpach, nie płacili rachunków, wypinali mężnie piersi. Na wystawach drogerii pojawiły się mydełka w kształcie popiersia Mussoliniego, przewiązane trójkolorowymi wstążeczkami; na wystawach aptek prezerwatywy marki *Fascio* i *Ardito*, również przewiązane patriotycznymi wstążeczkami. Rozmnożyły się burdele, furorę robiły pierwsze prostytutki w czarnych koszulach. Z rąk Posągu Sprawiedliwości w niszy *Palazzaccio* wypadła waga, zastąpiono ją szybko mieczem. Za znak ludowego oporu biernego mógł uchodzić świeży napis nad szynkiem w dzielnicy Verano: „tu płacze się najlepiej”; sąsiedztwo cmentarza jednak nadawało tej zachęcie dwuznaczną bezkarność. Burżuazja rzymska wyrażała swoją aprobatę dla nowego stanu rzeczy rewią patriotyczną *Mussolineide* w teatrze Costanzi, dzisiejszej Operze. Finał przy odsłoniętej kurtynie prezentował subretkę w kolorach narodowych Włoch, otoczoną tancerzami w czarnych koszulach; sala trzęsła się od braw, śpiewano chóralnie strofkę modnej piosenki: och abażur (barwy morza i nieba) och abażur (tajemnice magicz-

nego woalu. „Tytułem wyjaśnienia — przymruża oko Flaiano — należy dodać, że abażur był w owych czasach ostatnią zdobyczą erotyczną i technologiczną burżuazji”. Chciałoby się go uzupełnić: na zakręcie historii Europy włoscy czciciele porządku szli po rewii do domów spać, święcie przekonani że została nareszcie zbudowana solidna tama przeciw zalewowi bolszewizmu. Jerzy Stempowski, ze swoimi wspomnieniami z Niemiec u progu zwycięstwa Hitlera, potrafiłby ocenić wartość świetnej miniatury Flaiano.

1 grudnia

Ewenementem wydawniczym są tu od jakiegoś czasu *Listy do Felicji Bauer* Kafki, widzę że także w Polsce przygotowuje je do druku Irena Krońska. Nie wydaje mi się by w tym tomiku, historii daremnego narzeczeństwa, odstąpił się czytelnikom „Kafka nieznany”. Lektura jest monotonna i męcząca właśnie dlatego, że w epistolarnym rozwodnieniu i zamąceniu natykamy się wciąż na motywy kafkowskich powieści, opowiadań, dziennika. Autonomicznym dziełem miały się dopiero po latach okazać listy do Mileny Jasińskiej.

Pięcioletnia tortura narzeczeństwa z Felicją Bauer (zerwanego w pewnej chwili i później wznowionego) zdążyła już obrósnąć w kontrowersje interpretacyjne. Dla psychoanalityków podtekstem listów jest impotencja Kafki, ale topornością w odczytywaniu tekstów i podtekstów przewyższają psychoanalityków tylko sędziowie śledczy. Z przeciwnej strony słyszy się rozumniejszą uwagę, że Kafka był ofiarą i poetą podwójnej obsesji: tęsknoty do „normalnego” życia i lęku przed wszelkimi formami uzależnienia, władzy człowieka nad człowiekiem. W jednym z listów mówi o sobie jako o „mieszkańcu piwnicy”, Felicja na próżno usiłowała wywabić go z niej na światło dzienne. Na dobrą sprawę warto przedzierać się przez ten ogromny tom, skoro wszystko co przynosi zawarte jest w kilku liniijkach *Bajeczki* Kafki.

„Niestety — rzekła mysz, — świat kurczy się z dnia na dzień. Na początku był tak wielki że aż się bałam, pędziłam przed siebie bez przerwy, i ucieszyłam się gdy z lewej i z prawej zobaczyłam ściany, ale długie ściany zwężyły się tak nagle, że jestem już oto w ostatnim pokoju, gdzie w rogu stoi pułapka do której muszę teraz wbiec”. „Radzę ci zmienić kierunek biegu — po-wiedział do myszy kot i połknął ją”.

W samowiedzy Kafki było coś z geniuszu gnomicznego.

5 grudnia

W roku 1859 Herzen wydał w Londynie rozprawę Szczerbatowa *O zepsuciu obyczajów w Rosji* łącznie z książką Radiszczewa *Podróż z Petersburga do Moskwy*, aby pokazać krytykę samowładztwa z prawicy i z lewicy. „Książę Szczerbatow i Aleksander Radiszczew — pisał — reprezentują dwa skrajne poglądy na Rosję czasów Katarzyny. Ponurzy wartownicy u dwojga różnych wrót patrzają oni, niczym Janus, w dwie przeciwne strony”. Szczerbatow w przeszłość, Radiszczew w przyszłość. *Podróż z Petersburga do Moskwy* ukazała się w maju 1790 roku jako druk półprywatny w sześciuset egzemplarzach. Jednym z pierwszych czytelników była Katarzyna. Uznała książkę za „gorszą od rebelii Pugaczowa”. Autor został aresztowany w czerwcu. Skazano go na śmierć w lipcu, miał być w kajdanach zesłany do Nerczińska i tam poprowadzony na szafot. W ostatniej chwili Katarzyna złagodziła wyrok: dziesięć lat Syberii. Po jej śmierci Paweł I pozwolił Radiszczewowi wrócić w roku 1797 do Rosji europejskiej, z zakazem osiedlenia się w stolicy. Aleksander I anulował ten zakaz. We wrześniu 1802 roku Radiszczew odebrał sobie życie.

Przysłano mi dziś włoską edycję *Podróży*. W znakomitym szkicu wstępnym Venturi nazywa Radiszczewa „pierwszym inteligentem i rewolucjonistą rosyjskim”, a jego książkę „antenatem dziewiętnastowiecznego i współczesnego *samizdatu*”.

Radiszczew, któremu mistrzami byli Helvetius i Beccaria, opisał kraj bez praw. Z etapu na etap *Podróży* nabiera ostrości obraz despotyzmu: wszystko zależy od kaprysu, prawa są martwe, przemoc jest wszechwładna. Jeśli wolność nie dojrzeła w doskonaleniu i poszanowaniu praw, narody pod rządami despotów bądź dopominają się o nią w rewolcie, bądź zapominają o niej w rezygnacji. Zapominają naprawdę, czy tylko czekają milcząc? Na galerze panuje porządek, przykuci galernicy wiosłują spokojnie, lecz spróbujcie zajrzeć do ich serc!

Dwieście blisko lat, znamy już przyszłość w którą patrzył Radiszczew. Następcy Herzena mogliby wydać łącznie *Podróż z Petersburga do Moskwy* Radiszczewa i *Niezamierzoną podróż na Syberię* Amalrika. W świeżym numerze *Observer'a* pesymistyczny wywiad z Sacharowem i jego żoną. Warto więc walczyć, gdy dogorywa nadzieja? „Nasza walka jest moralna, a nie polityczna. Musimy być wierni sobie”. Od dwustu lat to także jest składnik „niezmiennej” Rosji.

9 grudnia

„Cokolwiek się o Neapolu mówi lub pisze, rzeczywistość jest wspanialsza. Jakie brzegi, jakie zalewy, zatoki, przedmieścia, zamki, miejsca zabaw! Przebaczyłem tym, którzy w Neapolu stracili głowę. Ja... ja milczę i tylko otwieram, szeroko otwieram oczy, kiedy coś wydaje mi się zbyt już niezwykle”. Ten wybuch podziwu przepisał z *Italienische Reise* Bielyj, przejazdem w Neapolu w roku 1910. Sam spojrzął na Neapol innym niż Goethe okiem. Uderzyła go „mętna jasność kolorów, jasność nie zdrowia lecz choroby, szkarłatna intensywność wypieków na białych policzkach”. Neapol „przeszył” jego duszę jak „cienki sztylet rzeźmieszka w łachmanach”. Notatkę w sztambuchu podróży kończyło jaskrawsze jeszcze porównanie: do „pajaca o zakrzywionym nosie, krwawiącego i tańczącego”.

Celność tej notatki, mimo jej ekspresjonistycznego manieryzmu, jest zaskakująca. Schodziłem dziś po obiedzie z Posillipo, cały czas miałem przed oczami miasto — tak cudowne i szlachetne na odległość, tak chore i wyniszczone z bliska — i myślałem o moich siedemnastu przeżytych w nim latach. Cudzoziemiec, jeśli tu długo mieszka, niech nie marzy nawet o zakorzenieniu. Niech lepiej wyprawia się często na Posillipo, skąd w słoneczne dni zobaczy „szkarłatną intensywność wypieków na białych policzkach”. Pogodzi go to z Neapolem smutnie pięknym w swej śmiertelnej chorobie.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w Republice Federalnej Niemiec
UKAZUJĄCE SIĘ DWA RAZY TYGODNIOWO
RAZ W MIESIĄCU DODATEK LITERACKI

Redakcja, administracja, drukarnia:
6800 Mannheim-Schoenau, Lilienthalstr. 309

Blokada *

Noc szybko zapadła, mrok gęstniał pod marcowym niebem pokrytym nieruchomymi chmurami. Niewiele mogłem w tej ćmie zobaczyć, ale zdawało mi się, że moja świta znikła. Mój przyjaciel Z. czekał na mnie na Sarbiewskiego z żoną. Była to kobieta dużej inteligencji i kryształowego charakteru, bojowniczką AK, wtedy już bardzo chora, po dwóch zawałach. Dni marcowe podkopały do reszty jej wątłe zdrowie, każdy z nich przynosił złe nowiny, każdy dzień był dla niej męczarnią. Trzeciego zawału nie wytrzymała, zmarła rok po moim wyjeździe z kraju. Do dzisiaj trudno mi uwierzyć i pogodzić się z myślą, że jej więcej nie zobaczę.

Rozważaliśmy wspólnie moją sytuację, zastanawialiśmy się nad celem i strategią blokady, staraliśmy się dociec logiką tego, co sprzeciwiało się wszelkiej logice. Jedno było pewne: represja była odpowiedzią na moje przemówienie w PEN-clubie. Przy okazji zapewne chciano mnie także postraszyć w związku ze sprawą Grzędzińskiego, Jasienicy i Kisielewskiego, która toczyła się w Sądzie Koleżeńskim przy Zarządzie Głównym Związku Literatów Polskich. Władze partyjne dokładały wszelkich starań, by doprowadzić do wyrzucenia ich ze Związku i bez przerwy wywierano różną presję na Sąd, którego członkiem byłem w owym czasie. Niedalekie od prawdy było wreszcie przypuszczenie, że bezpieka mściła się na mnie za udział mej córki w studenckiej akcji strajkowej. Czy i w jakiej mierze jedna z tych przyczyn czy wszystkie razem zaważyły na decyzji podjęcia blokady, nie potrafię powiedzieć dokładnie do dzisiaj.

Po powrocie do domu jeszcze raz zastanowiłem się nad moim położeniem. Domysł, że manewry tajniaków zmierzają do zaarasz-

* Fragment wspomnień z marca 1968.

towania mnie, nie sprawdzał się. Mieli ku temu kilka okazji i nie wykorzystali żadnej. Zresztą uwięzienie pisarza, członka Związku Literatów, PEN-clubu, i kilku zagranicznych zrzeszeń naukowych było nawet dla wszechwładnej bezpieki kłopotliwym przedsięwzięciem i władze musiały się liczyć z reakcją obcej prasy i Wolnej Europy. W dodatku areszt skomplikowałby sprawę trzech pisarzy w Sądzie Koleżeńskim, gdzie chciano załatwić ją raczej bez hałasu. Resort Moczara starał się wymusić decyzję usunięcia ich ze Związku bez rozgłosu i wiedział, że uwięzienie któregokolwiek z członków Sądu pogrzebie ten plan ostatecznie.

Rakowiecka nie miała także zamiaru poddać mnie policyjnej inwigilacji. Funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych przeprowadzali obserwacje dyskretnie i w miarę możliwości tak, żeby śledzony nie wiedział o tym. W moim zaś wypadku szpicle wyłazili wprost ze skóry, by dać mi znać o swojej obecności. Ich „opieka” była ostentacyjna, wszyscy trzej niejako popisywali się swoim istnieniem, poruszali się wśród trawników i na dziedzińcu jak aktorzy na scenie. Blokada była po prostu jednym z instrumentów „walki psychologicznej” MSW.

Metodę „walki psychologicznej” wprowadził na szeroką skalę ówczesny wiceminister Szlachcic, wtedy prawa ręka Moczara. Już samo połączenie słów „Szlachcic” i „psychologia” było groteskowym paradoksem. Trudno wyobrazić sobie większą różnicę od tej, która dzieliła przebiegłego ale nieokrzesanego gburę, od tego, co nazywamy psychologią. Ten Fouché dla ubogich i polityczny dorobkiewicz znał tylko wymowę brutalnej siły. „Psychologia” Szlachcica była właściwie odmianą fizycznej presji, zwykłym terrorem. Zresztą Szlachcic nie wymyślił prochu, lecz sięgnął po wzory znane od wieków, a w naszym stuleciu zmodernizowane przez wszystkie totalne systemy.

Owa walka psychologiczna miała uprzykrzyć życie opozycji, to jest wszelkiej maści liberałom, „poprawiaczom” socjalizmu, tak zwanym rewizjonistom, katolickim intelektualistom, a po marcu także „syjonistom”. Do ulubionych sposobów Szlachcicowej „walki” należały: zagadkowe telefony, które nękały ofiary szczególnie w nocy, anonimowe listy z pogroźkami i wyzwiskami, plotki i oszczerstwa (puszczone w ruch nawet przeciwko członkom Biura Politycznego), blokady, napady pałkarzy (ten środek „walki psychologicznej” zastosowano wobec Kisielewskiego, którego pobili opryszkowie Moczara, operacje żyletkarzy (ich ofiarą padł dziennikarz Grzegorz Jaszucki, który wychwalał reżym ale miał zbyt semicki nos), szykany w miejscu pracy itp.

Blokadę stosowano w marcu często, między innymi wobec Leszka Kołakowskiego, wobec pisarzy i publicystów (nie wymieniam ich nazwisk, gdyż są dotychczas w zasięgu władzy Szlach-

cica) oraz ludzi, którym z różnych względów natury politycznej chciano zatruć życie. Zadaniem blokady było „zgnojenie” przeciwnika, postrzępienie mu nerwów, odizolowanie od znajomych i przyjaciół, oddanie go na pastwę samotności i strachu. Liczono także na dodatkowy zysk: może ofiara załamie się nerwowo, powie coś nieopatrnie, za co będzie można jej „skwasić mordę”. Spodziewano się również sukursu choroby, może zawał serca wykończy szczonego jak pies nieszczęsnika lub co najmniej unieruchomi na dłuższy czas. Nierzadko stosowano równocześnie kilka sposobów „walki psychologicznej”, niestety niezawsze bezskutecznie. Znam wypadki obłędu i samobójstw. I tym razem nie wymieniam nazwisk, rodziny zamordowanych — bo trudno to inaczej nazwać niż morderstwem — żyją w kraju.

Blokada miała nie tylko wymowę „psychologiczną”, ale i ekonomiczną. W pierwszym dniu pilnowało mnie jedynie trzech agentów, ale potem było ich więcej. Co osiem godzin pałeczkę sztafety odbierała nowa trójka szpiclów, na dobę było ich dziewięciu, a z szoferami, którzy także pracowali na trzy zmiany, dwunastu. Zważywszy iż gáže pracowników bezpieki nie należały do najgorszych, można bez przesady powiedzieć, że moja blokada kosztowała Polskę Rzeczpospolitą Ludową około 50 tysięcy złotych. Półroczna blokada, którą osaczono Leszka Kołakowskiego, pochłonęła co najmniej pół miliona złotych. Stefana Staszewskiego miesiącami pilnowało stale ośmiu agentów: chodzili za nim do sklepów, do kina, do publicznych szaleatów, wałkonili się w bramie jego domu, na podwórzu, na ulicy — słowem państwo wypłaciło im ponad milion złotych. Na to szły pieniądze wyciśnięte z robotników, którzy latami kłęli na niskie zarobki, drożyznę, kolejki w sklepach, brak mięsa, wędlin, sznurowadeł.

Wśród tych rozważań mijały godziny. Byłem zmęczony do nieprzytomności, powieki ciążyły mi jak ołów. Wnet usnąłem jak zabity. Tak upłynął pierwszy dzień blokady.



Następnego dnia o ósmej rano obudziły mnie głosy dochodzące z klatki schodowej. Spojrzałem najpierw przez okno, na podwórzu i dokoła domu nie było nikogo. Agenci rozpoczęli swój pracowity dzień na schodach urozmaicając sobie czas konwersacją. Rozmawiali głośno, chrząkali i szurali butami, żeby mi dać znać o swej obecności. Stali na podeście półpietra, by mieć na oku drzwi wejściowe. Zaraz potem rozpoczęły się telefony.

W mgnieniu oka, pod wpływem nagłego impulsu, postanowiłem zmienić taktykę i ograniczyć do minimum możliwość kon-

troli. Zaczęłam od wyłączenia telefonu, co nie sprawiło kłopotu, gdyż miałem przenośny aparat z dwoma gniazdkami — jedno znajdowało się u mnie przy biurku, drugie w środkowym pokoju. Wystarczyło wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, by wyzwolić się od opieki szpicla, który dręczył mnie telefonami. Co prawda odseparowałem się w ten sposób również od znajomych i przyjaciół, ale trudno, za wszystko trzeba było płacić. Niewiele zresztą straciłem, w marcowych dniach nasze telefony umilkły, wiedzieliśmy, że wzmocniono nasłuch, poza tym często służyły za narzędzie prowokacji. Jacyś panowie o fikcyjnych nazwiskach prosili o adres Wolnej Europy, jakieś panienki dopytywały się o możliwość wysyłania korespondencji do zagranicznych gazet, inni znowu byli ciekawi, jak nawiązać kontakt z korespondentami zachodniej prasy. Słonimski, przypominam sobie, miał telefon od jakiegoś jegomościa, który przedstawił się jako „liberał” i poprosił o pomoc w przesłaniu artykułu do *Kultury*. „Nie ma nic prostszego. Proszę włożyć artykuł do koperty i zaadresować Wiejska 14”, poinformował Słonimski. „Ależ nie, ja chciałem napisać coś dla paryskiej *Kultury*, a nie dla warszawskiej”, skorygował liberał. Na to Słonimski: „Stanowczo odradzam, będą nieprzyjemności, chyba że dostanie pan zezwolenie od ministra Moczara. Najlepiej będzie, jeśli pan do niego zadzwoni”. Po tej rozmowie Słonimski miał spokój przez kilka dni.

Drugim środkiem obrony, jaki zastosowałem, było szczelne zasłonięcie okien. Mieszkałem, jak wspominałem, na pierwszym piętrze, dosyć niskim, tak że nawet z daleka widać było, co się dzieje w pokoju. Ciężkie i ciemne story ochroniły mnie całkowicie od ciekawych spojrzeń i odebrały szpiclom pewność siebie. Odtąd właściwie nigdy nie wiedzieli — dlaczego, wyjaśnię za chwilę — czy jestem w domu czy nie. Ten manewr wywołał wśród nich małą panikę i spowodował nawet krótką naradę wojenną. Sytuacja się odwróciła, ja widziałem ich przez szparę zasłony, oni stracili mnie z oczu.

Z nieoczekiwaną pomocą przyszli mi także mieszkańcy WSM-u, którzy nagle nabrali ochoty na spacer w pobliżu mojego domu. Wieść o „oblężeniu” rozeszła się lotem błyskawicy i ścieżki pod moimi oknami zaludniły się lokatorami osiedla. Agenci poczuli się trochę nieswojo w ogniu ironicznych spojrzeń i uśmieszków. Niecodzienna atrakcja wzbudziła ciekawość nie tylko starszych ale i dzieci. Przypominam sobie, jak w drugim dniu blokady ośmioletni synek sąsiadów z parteru wrzasnął do koleżki przez całe podwórze: „Marek, chodź tu, pokażę ci szpicla”.

Dzień minął spokojnie, dopiero następny przyniósł urozmaicenie. Rozpoczął się ponuro: deszcz, półmrok w pokoju, trzech

szpiclów pod oknami. Mój nastrój zmienił się dopiero o pierwszej, kiedy trójka Zielonego zakończyła swój dzień roboczy. Powstał przy tym mały rozgardiasz, który w przyszłości stałe wykonywałem. Poranna ekipa opuściła posterunek nie czekając na następną. Druga zmiana, licząc się prawdopodobnie z podobnym spóźnieniem trzeciej, zjawiła się na placu boju dopiero po dziesięciu minutach. Jakżeż błogosławiłem te usterki w mechanizmie resortu Moczara! Jakież ziarenko prawdy tkwiło jednak w powiedzeniu, że dopóki istnieją bałagan i kumoterstwo — tak nazywano kwitnący system protekcji i wzajemnych przysług — dopóty jeszcze nie wszystko stracone w Polsce Ludowej.

Kiedy spostrzegłem, że pod domem nie ma ani jednego agenta, zarzuciłem na siebie płaszcz, poprosiłem gosposię, żeby zapaliła wieczorem światło w moim pokoju i upewniwszy się raz jeszcze, że nie widać nieprzyjaciela na horyzoncie, wybiegłem jak oparzony. Nie poszedłem jak zwykle w stronę Placu Komuny do szesnastki, lecz krótszą drogą do przystanku tramwajowego na Słowackiego. Na moście Gdańskim przesiadłem się na autobus sprawdzając ostrożnie czy nie jestem śledzony.

Wysiadłem na Krakowskim Przedmieściu, skąd miałem kilka kroków do Związku Literatów. W kawiarni związkowej na parterze, gdzie zazwyczaj trudno się było przepchnąć o tej porze, było pusto, tylko dwóch nieznanym mi osobników, którzy wyglądali na szpiclów, siedziało przy środkowym stoliku. Większość pisarzy unikała teraz Związku, spotykano się tylko w zaufanym gronie, albowiem wszędzie roїło się od agentów bezpieki. Zjadłem w pośpiechu obiad i zaszedłem na drugie piętro, gdzie mieściły się biura Oddziału Warszawskiego, żeby odebrać legitymację, którą zostawiłem tam kilka dni temu dla sprolongowania jej ważności na rok 1968.

W pierwszym pokoju wpadłem na Wandę Żółkiewską, która przezydowała wtedy w zarządzie Oddziału Warszawskiego. Była niespokojna i kręciła się nerwowo między biurkami, jakby ją giez ukąsił. Przy dwóch aparatach telefonicznych dębało trzech młodych ludzi w kombinezonach. Żółkiewska natychmiast podeszła do mnie i nie pozwoliwszy mi otworzyć ust szepnęła: „Wydźmy na korytarz, tu za ciasno”. Na korytarzu zapytałem ją, co to wszystko ma znaczyć? „Jak tak dalej pójdzie”, odpowiedziała, „nie będzie można pisać słowa w tym domu. Dziś przysłali monterów i właśnie zmieniają wszystkie aparaty telefoniczne. Zarządzenie centrali, powiadają”. O tym, że telefony w gmachu Związku Literatów były na podsłuchu, wiedziało każde dziecko. Nie było także dla nikogo tajemnicą, że jedna z urzędniczek na drugim piętrze stałe informowała Rakowiecką o tym, co się działo w biurach Oddziału. O piętro niżej, w siedzibie

Zarządu Głównego, nie było lepiej, raczej gorzej. Wydział personalny prowadziła tam osoba „zaufana”, na usługach bezpieki był także Malinowski, stały sekretarz Komisji Zagranicznej, która była oczkiem w głowie Putramenta: raporty dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i, co gorsza, okropne wiersze pisał etatowy sekretarz Zarządu Głównego. Podejrzenia obciążały jeszcze kilka osób personelu. Ale to wszystko nie wystarczało, teraz wstawiano aparaty telefoniczne z mikrofonami — obręcz ścisłała się, coraz trudniej było złapać swobodny oddech. Na pożegnanie opowiedziałem Żółkiewskiej o mojej blokadzie. Wcale się nie zdziwiła, „to już czwarty”, mruknęła.

Na dole w kawiarni zobaczyłem już z daleka wysoką sylwetkę Kalety. Przywitałem się z nim i od razu podzieliłem wiadomością o telefonach. Kaleta, znany z kwiecistego języka, warknął: „Teraz już nie będzie można się wysrać, wstawiają mikrofony we wszystkich wychodkach, wprost pod dupę”.

Po wyjściu ze Związku skręciłem na Plac Zamkowy i tam z kolei spotkałem Rewskiego, młodego krytyka, który ostatnio zachodził do *Twórczości*. Rewski przedtem nigdy nie interesował się polityką, ale teraz, wstrząśnięty wydarzeniami ostatnich miesięcy, nie mógł o niczym innym myśleć i jakby opętany traumatyczną obsesją przeżywał głęboko koszmar marcowych dni. Cały dzień spędzał przeważnie w okolicy Uniwersytetu i Politechniki, krążył między Krakowskim Przedmieściem i Polną, niekiedy wpadał do Związku, do kawiarni „Czytelnika” lub „PIW-u”, gdzie wypytywał się o nowości i debatował żarliwie.

Był diabelnie zdolny, lekko postrzelony, z gruntu uczciwy i prostolinijny. Rok czy dwa słuchał moich wykładów na Uniwersytecie, potem straciłem go z oczu. Po kilku latach spotkałem go nieoczekiwanie w Bibliotece Uniwersyteckiej. Miał już wtedy w dorobku dwa szkice, które zapowiadały świetnego krytyka; dalsze jego prace potwierdziły w pełni tę nadzieję. Był dzieckiem powojennego czasu, jego sposób myślenia i poglądy ukształtowały się w Polsce Bieruta i Gomułki i nie przychodziło mu nawet na myśl, że może istnieć inne życie niż to, które go otaczało. Wprawdzie nie wstąpił do Związku Młodzieży Socjalistycznej, co go naraziło na niemałe kłopoty, ale ani przez chwilę nie kwestionował zasad ustroju, który go wychował, żywił do niego ślepe i naiwne zaufanie, choć niektóre jego praktyki piekielnie go denerwowały. To początek, mówił, wszystko się utrze, wyprostuje i wygładzi.

Nie utarło się i nie wygładziło. W marcu Rewski przeżył szok. Od początku przyłączył się bez wahania do studenckich protestów, sądząc w najlepszej wierze, że zakaz grania „Dziadów” wyległ się w głowie jakiegoś idiotycznego urzędnika i że

czas już najwyższy ograniczyć samowolę cenzury i partyjnej biurokracji. Chodził na studenckie wiece, słuchał, dyskutował, gorączkował się, przekonywał kolegów. Prowokacje bezpieki, daniejskie sceny na Krakowskim i Nowym Świecie, których był naocznym świadkiem i po trosze aktorem, wyprowadziły go z równowagi. Czuł się „opluty”, powtarzam to jego słowo, i oszukany. „Oni uznają tylko jedną drogę do socjalizmu, tę, która prowadzi przez Urząd Bezpieczeństwa”, powiedział w chwili ostatecznego rozczarowania.

Był tego dnia zmęczony, miał podkrążone oczy, myślałem, że spędził noc w areszcie — milicja zgarniała wtedy ludzi z ulicy nie wiadomo kiedy i za co. Przyznał się, że spał tylko cztery godziny i większość nocy spędził pod Politechniką, gdzie rozegrała się jedna z najważniejszych batalii marcowych. Strajk rozpoczęły 21-go po południu wygasł w nocy z 22-go na 23-go, mniej więcej o trzeciej nad ranem. W drugim dniu, powiedział, było jeszcze więcej robotników niż w pierwszym, przyszli z fabryk i przedmieści i głośno wyrażali solidarność ze strajkującymi. Mówił rozgorączkowany o tym, jak przerzucali przez mury i żelazne sztachety paczki z jedzeniem, chleb, wędliny, papierosy, koce, jak śpiewali i wiwatowali na zdrowie studentów. Oddziały milicji zgromadzone na Placu Jedności Robotniczej (któs dopisał na tabliczce: „ze studentami”, ale napis przeżył tylko pół dnia), Polnej i dziedzińcu uczelni, nie interweniowały, czały się tylko jak niema groźba. Od czasu do czasu rozlegały się przez tubę nawoływania do rozejścia się, na które jednak nikt nie zwracał uwagi. Milicja przystąpiła do akcji dopiero przed świtem, kiedy plac się wyludnił i znikli niewygodni świadkowie. Wtargnęła do Politechniki ławą wspomagana przez aktywistów ZMS-u i organizacji partyjnej. Tym razem nie doszło do masakry, strajkujący robili wszystko, by nie dopuścić do prowokacji, a władze państwowe nie przeciągały struny. Widać było, że Partia, której główny ośrodek dyspozycyjny znajdował się wtedy raczej na Rakowieckiej niż w Alejach Jerozolimskich, zmieniła metodę działania i przeszła od jawnego gwałtu do represji. Odtąd gumową pałkę zastąpiły mniej drastyczne ale skuteczniejsze środki. Wzrosła fala aresztowań i relegacji młodzieży z wyższych uczelni, rozpoczęły się likwidacje katedr uniwersyteckich i masowe rugi profesorów.

Po rozstaniu się z Rewskim zmarnowałem dwie godziny w kinie, gdyż na powrót do domu było jeszcze za wcześnie. Wolałem zaczekać aż się całkiem ściemni, żeby przekraść się niespostrzeżenie przez kordon szpiclów, co zresztą w nocy nie sprawiało zbyt wielkich trudności. Następnego, czwartego dnia blokady był niepodobny do poprzednich. Wróg zmienił taktykę oblężenia,

nie krążył pod murami fortecy, lecz wycofał się o kilkadziesiąt metrów do tyłu. Tajniacy przenieśli swoje punkty obserwacyjne pod Dom Kultury, z drugiej strony na Stołeczną, z trzeciej na Sarbiewskiego. Pozostałem dalej pod obstrzałem ich spojrzeń, ale znikli z podwórza i spod okien, słowem promień mojej wolności przedłużył się trochę. Nie wiem, co rozciągnęło pętlę, która się zacisnęła wokoło mnie, być może nie chciano robić zbyt wielkiego spektaklu, sprawą już i tak interesował się cały Żoliborz.

Roman KARST

“POLONIA”

KSIĘGARNIA POLSKA W CHICAGO
2921 Milwaukee Ave., CHICAGO, Ill. 60618.

Czynna codziennie od 10-ej do 6-ej pp.

Posiada na składzie: książki i czasopisma polskie, polskie karty okolicznościowe i Dział Antykwariatu; przyjmuje książki do sprzedaży komisowej.

Skład Główny na Chicago wydawnictw Instytutu Literackiego w Maisons-Laffitte (pod Paryżem), m.in. paryskiej **KULTURY** i **ZESZYTÓW HISTORYCZNYCH**.

Księgarnia przyjmuje prenumeraty na polskie czasopisma i wykonuje pocztowe zlecenia księgarskie.

Ptaki

ALBO

„ZANIM ZACZNĄ SCHODZIĆ SIĘ GOŚCIE
PRZETAŃCZMY JESZCZE RAZ MENUETA...”

W dniu 1 maja 1904 roku Hector Munro, reporter londyńskiego dziennika *The Morning Post*, pisujący z Bałkanów, Rumunii, Węgier, Rosji, w czasie pobytu w Warszawie udał się na spotkanie z Amerykaninem Mister Locke, w jednym z domów w Alejach Ujazdowskich. Z okien tego domu, pisał potem do swej gazety, miał owego ranka widok na Aleje Ujazdowskie i mrowiący się tam tłum ludzki. A złożyło się tak, że w dużym podwórzu domu mógł zobaczyć także stacjonowane tam pół sotni Orenburskich Kozaków, tudzież jakieś dwie dziesiątki żandar-mów. Sutereny domu były przygotowane na przyjęcie ewentualnych aresztowanych.

Właśnie dwaj żandarmi, jak o tym w sprawozdaniu, wlekli tam malutkiego, szarego warszawskiego ptaszka, gazeciarza, okładając go po drodze pochwami szaszek i waląc pięściami po zakrwawionym dzióbku i głowie, którą osłaniał sobie złamanym skrzydełkiem.

W dniu 15 sierpnia 1939 roku eskadra samolotów taktycznego bombardowania, JU 87 Geschwader, miała wykonać ćwiczebne bombardowanie z lotu nurkowego, bombami cementowymi, celów w lesie koło Kottbus. Komunikat meteo owego ranka zapowiadał wysoki pułap chmur i spodziewaną pod nimi bezpieczną tolerancję gruntu. Okazało się jednak że w międzyczasie pułap zeszedł w dół, o czym nie zaalarmuje wariująca przy nurkowaniu strzałka altymetru. „Achtung! Aus! Aus!” dowódcy Geschwader, który pierwszy po przejściu chmur ujrzał na mgnienie oka czuby drzew strzelających ku niemu, było spóźnione. On jeden ocalał, bo trafił akurat na przesiekę leśną

i mógł jeszcze wyciągnąć w górę z wysokości dwu metrów nad ziemią. Reszta, trzynaście JU 87, każdy z załogą pilota i strzelca, poszła „do lali”, mimo mającego oduroczyć: „Złam kark! *Hals und Beinbruch!*” jakim zęgnali ich koledzy przy starcie. Rezultat owego ćwiczenia pozostał skrytą tajemnicą Luftwaffe do czasów grubo po wojnie.

W cztery tygodnie później ta sama eskadra wykonywała tym razem „ostre” już bombardowanie „celów taktycznych” Warszawy. Pogoda tym razem dopisywała. Słabo odpornym na atak z powietrza nurkowcom Stuka nic już nie groziło. Uzupełnienie w maszyny i załogi, również wyszkolone na poligonie Hiszpanii, grało.

Czarne, garbate ptaki, z ich opływowymi szponami kół podwozia, „pikowały”, jak się to mówi, bezkarnie ku rudym dymom podnoszącym się z rozwalanego miasta.

To właśnie o tym mieście chciałem napisać, o jego ptakach. Ale że samo miasto mało znałem to robiłem poszukiwania, a także korespondowałem, i złożyło się tak że nawet jeden ze znalezionych adresów zaczepiał o ornitologię.

Wielmożny Pan

Aleksander Głowacki

ul. Krucza 25, albo ul. Żurawia 8 m. 6

Warszawa

Generał Gubernia Warszawska

Rosja

na stację Szczakowa-Granica

Wielce Szanowny Panie!

Proszę wybaczyć obcesowość listu od kogoś nieznanego, piszącego z innego kraju, z innego klimatu, w innej epoce. Niechaj jakimś usprawiedliwieniem będzie to że piszący rości sobie pretensje do bliskiego poznania Pana przez Pańskie utwory, że jest wielbicielem Pańskiego talentu pisarskiego. Liczę na Pańską pobłażliwość i wyrozumiałość a zwłaszcza dobroć, która tak przebija ze wszystkiego co dla nas Pan zostawił. Jest mi Pan tak dobrze znany, i z książek Pańskich i ze studiów i prac krytycznych o Panu, tak współczesnych Panu jak i późniejszych. A także liczę na znakomity zmysł humoru, którego szczególny dar tak przybliżył Pana czytelnikom, czego to skutki ponosi Pan w tym listownym dowodzie poufałości dalekiego admiratora.

Ale może myślę się w tym co mówię, że tak dobrze znam Pana. Bo tak samo na przykład mógłbym rościć sobie pretensje do tego że znam Pańską Warszawę. Nie tę Warszawę której

wyraźny obraz Pan nam zostawił, ale tę którą sam poznałem. Co prawda tylko z przelotnych wizyt, bo byłem prowincjuszem i zdarzało mi się odwiedzać stolicę rzadko i to zawsze tylko na parę dni. Była ona już wtedy inną od tej Pańskiej i jakże pewnie inna od dzisiejszej. Gdybym chciał ją opisać z zachowanych w pamięci fragmentów to ani Pan nie poznałby jej, ani jej dzisiejsi mieszkańcy by jej nie rozznali. Pozostanie Warszawą podpisanego.

Więc co nam zostało z tej Warszawy Pana? Nie jej obraz, czy opis jej przestrzeni. Nie, bo wiemy że tu zachodziła trudność ogromna i nieprzewycięzna. Biografowie nadmieniają w życiorysie Pana o bolesnej dolegliwości której los Panu nie oszczędził, o tym że cierpiał Pan na to co w psychopatologii nazywa się agorafobią, lękiem tej właśnie przestrzeni. Wyobrażam sobie jak trudno było Panu wstępować schodami redakcji, kiedy ręką macał Pan ścianę klatki schodowej, z zamkniętymi oczami, byle tylko jak najdalej od balustrady, jak odwracał Pan oczy od siennej smugi lasów na horyzoncie widzianych z okna mieszkania na piętrze, jak wahał się Pan przed przejściem z jednego chodnika Nowego Świata na drugi, odwracał Pan oczy od perspektywy Alej Jeruzolimskich i unikał tak zaludnionej, zadrzewionej pustki Ogrodu Saskiego.

I jaka szkoda. Bo gdyby nie ta przypadłość to moglibyśmy Pańską Warszawę oglądać do dzisiaj. Przecież wbrew zahamowaniom sylwetkę jej dalekich dachów ocalił nam Pan, jak Canaletto. Przypomnę jak to bohaterka pańskiej powieści w drodze pociągiem z powrotem do Warszawy imponuje swej towarzyszyce, pani naczelnikowej, znajomością miejskiego pejzażu: „O! wieża kościoła ewangelickiego... na lewo Święty Krzyż... na prawo kościół Panny Marii... Coraz wyraźniej!...” Tyle wszystkiego. Ale o ludziach, o stosunkach ludzkich to niezmiernie u Pana.

W swych powieściach, opowiadaniach, w swych Kronikach Tygodniowych w *Kurierze Warszawskim* i w artykułach w *Tygodniku Ilustrowanym* zajmował się Pan tym niestrudzenie. Troszczył się Pan i pisał o nędzy mieszkań stróżowskich, opisywał nam Pan jak wyglądały i szpitale warszawskie i warszawskie rajstzule, tak samo interesowały Pana mody damskie jak drożyna mięsa i pieczywa, zabawy w Ogrodzie Saskim i wycieczka Wisłą do Góry Kalwarii parowcem „Paryska Gondola”, kwesty wielkanocne, epidemia kankana, tak samo Polki wyjeżdżające na studia na uniwersytet petersburski jak tragedia ulicznicy „szupasem wydalonej” z miasta, tak samo bale w re-sursie obywatelskiej w mieście, jak sprawy serwitutów czy plagi stonki ziemniaczanej na wsi.

Nie ma już i tej Pańskiej Warszawy, ani tej jaką ja sam znałem przelotnie. Więc co z tamtego ocalało? Może Pan i z politowaniem i pobłażliwością przypomni mi że przecież, jak to tam było? „... płomień rozgryzie malowane dzieje... pieśń ujdzie cało...”, że niby słowo, mowa, tego nic nie wykruszy, to się ostanie, po tym się poznamy. To i prawda i nie. Co zostało, powiedzmy, z mowy którą rozśmieszają nas figury z Pańskich Kronik Tygodniowych? Kto dzisiaj zrozumie ich bohatera, eleganta jakby wyciętego z karykatury Kostrzewskiego, co to wybiera się na bal sylwestrowy „en frak, en biały krawat, en lapi-sowe rękawiczki...”. Ale nie tylko te pełne wówczas galicyzmów warszawizmy mieszczańsko-szlachecko-kupiecko-burżuazyjnej warstwy ale i język przekupniów, tragarzy, rzemieślników, kolejarzy, piaskarzy, badylarzy, przedmieścia, Targówka naszych czasów, ten już zupełnie się przeinaczył. Co prawda gwary czy dialekty czy żargon miejski, zawodowy, środowiskowy zmienia się z roku na rok, i choćby nie wiem jak trafny i dosadny słownik jego ulega zatraceniu. A z mową tak zwanego „towarzystwa”, profesorów, literatów, pięknoduchów czyż nie to samo? Nie byłem nawet pewien jak zacząć list do Pana dzisiaj, jak go zainwokować, bo przecież niedawno przed Panem ludzie tamtej emigracji pisywali przez „Czcigodny Ziomku”, co już Panu wydałoby się dziwnym i śmiesznym, któż tego nie wiedziałby lepiej niż Pan sam.

A słownik inwektyw! Kiedy autor niezapomnianego dziennika subiekta w Pańskiej powieści, po powrocie za młodu z wojny na Węgrzech dojechał z lubelszczyzny wynajętą furą żydowską do Warszawy, i gdy ten podróżny już w mieście płacąc za transport miał pretensje do woźnicy że to za drogo, że byli z nim także i inni, co na rogatce ulotnili się jak kamfora pasażerowie, furman żydowski zbył go: „Jacy pasażerowie? Te parchy?” Semantyka tej inwektywy nie przeszłaby dzisiaj, proszę Pana, a nie znaczy to, by zabrakło innych inwektyw pod adresem Żydów. Nawet gdy nie ma już, czy uwierzy Pan? nie ma już wiecy w Warszawie Żydów...

W powieściach i opowiadaniach Pańskich o Warszawie, które i słusznie pozwolą historykowi odtworzyć sobie klimat, świat, ludzi, stosunki tamtejsze z niesłychaną dokładnością, zadziwiająco ale i rozumiająco jest jedna omisja. Ten historyk i poszukiwacz za lat sto czy dwieście nadaremnie będzie rozglądał się w Pańskim dziele za tym co stanowi o politycznym ustroju kraju i miasta. Dowie się na przykład że poza pierwszymi liniami kolejowymi funkcjonowała jeszcze tu na przykład poczta, nie tylko fury żydowskie ale ekstra poczta wożąca „pasażerów”. Ale nie dowie się jaki był język urzędowy tej instytucji paszportowej która przykładała pieczęcie na dokumentach ludzi podróżujących.

O niektórych najważniejszych wydarzeniach czasów Pańskiej wczesnej młodości, w których brał Pan udział i które były szkieletem Pańskiego życia wspomina Pan zagadkowo że „warzyło się piwo które dzisiaj wszyscy pijemy”. O tym że Pan sam jako młodzieńki chłopaczek mieszał w tej kadzi, ani słowa.

Kiedy w studiach z literatury zaklasyfikowano Pana jako „pozytywistę” to pewnie rozczytywał się Pan w pozytywistach, szczególnie angielskich, jak Buckle, Darwin, Huxley. Czy przypomina Pan sobie jak Darwin w czasie swej słynnej podróży naokoło świata na statku H.M.S. Beagle wylądował z partią majtków i naturalistów na wybrzeżu nieznanej wówczas Australii. Napotkali oni tam wtedy parę tubylców, mężczyznę i kobietę, dwoje przedstawicieli dziwnej rasy, będącej na najniższym stopniu rozwoju gatunku ludzkiego. Byli dosłownie nędzy, żadnych ozdób nie nosili, nie mieli żadnych narzędzi czy broni. Byli czymś niższym niż koczowniczy pasterze czy łowcy, byli z kategorii podczłowieczej, którą uczeni antropologowie klasyfikują jako zbieraczy, włóczęgów, łazęgów, poszukiwaczy jaszczurek, glist, korzeni, pędów jadalnych którymi wzgardziły nawet zwierzęta. Tych dwoje schylonych i kucających nad swoją zbieraniną nagle znalazło się w obliczu ludzi z innego świata, zbrojnych, przyodzianych, porozumiewających się pomiędzy sobą jakąś inną, artykułowaną mową, groźnych i obcych, silnych i brutalnych. Przyniósł ich tu ogromny, przerażający, pływający obiekt, uskrzydłony w wydymane wiatrem błony. Wobec tak przemożnej, przerażającej, niepojętej i groźnej zjawy tych dwoje znalazło jedyną drogę ucieczki, ocalenia: zignorować ją. Darwin notuje że tych dwoje w dalszym ciągu błędzili po tym wybrzeżu pierwotnego kontynentu, pochylali się nad swoimi znaleziskami i nie obdarzali najeźdźców nawet spojrzeniem. Ci jakby dla tych dwojga nie istnieli. Czy dobrze Pana rozumiałem?

A nawet w ostatniej powieści Pańskiej, kiedy po 1905 roku zelało dla piszących, stare uwarunkowanie kazało Panu w dalszym ciągu nie widzieć intruzów, pisać tylko o swojszczyźnie, i tragicznie i z humorem, jak to u Pana (pisk dziewczęcia w tylnych rzędach zaciemnionej sali w czasie podziemnej prelekcji bojowców: „Proszę nie szczytnąć!”) i łomot po nocy w okna chałup ówczesnych, dobijających się tam „chłopców z lasa”.

Wpadł mi ostatnio w ręce jeden przewodnik, prawdziwe curiosum, co tylko wydany przedruk, facsimile angielskiej wersji przewodnika Baedekera po Rosji, tej jeszcze sprzed pierwszej wojny światowej. Jak wszystkie inne przewodniki, które zapoczątkował dr Karl Baedeker w Lipsku a syn jego dr Fritz Baedeker kontynuował, jest on bardzo akuratywny, rzeczowy, z prawdziwie niemiecką pedanterią i dokładnością dający opis miast i kra-

jów jakie wypadnie zwiedzić podróżującym, z najbardziej praktycznymi informacjami dotyczącymi się spraw paszportowych, opłat celnych, możliwości hotelowych, cen w restauracjach, łaźni, włącznie z cenami kursów dorozek jednokonnnych i dwukonnnych, na gumach i bez, z wyszczególnieniem wysokości napiwków, wstępu do galerii, biletów teatralnych.

Ten *itinéraire* po Rosji carów daje do wyboru kilka dróg wiodących do Petersburga, Moskwy, Kijowa, Odessy, praktyczne szczytowały dla tych co zechcieliby odwiedzić miasta krajów bałtyckich, Finlandię albo Kaukaz. Zadziwiające jest że na zakończenie jest tam zaproszenie do podróży koleją transsyberyjską, potem przez Mandżurię aż po Władywostok, odwiedzenia niedawnych pobojowisk Portu Artura, Mukdena, Liao-yanu, co precyzuje datę ostatnią wydania. Najbardziej zaskakuje w nim propozycja skromnego wypadu po drodze do Pekinu i oględzin przy tym Muru Chińskiego, *side-show* w tym gabinecie osobliwości. A więc od Warszawy po Pekin, kawał świata.

Bo oczywiście u samego wstępu *itinéraire* ten oprowadza nas po kraju przywiślańskim, z pierwszym wielkim miastem do zwiedzenia, Warszawą. A że całość jest naszpikowana informacjami nie tylko praktycznymi ale i historycznymi i pokrótka charakteryzacją wszystkich szczepów, narodowości imperium, ich języków, religii, sekt, wyznań, mówi o ich cechach antropo- i etnograficznych, napomina o sztuce takiej i owakiej, o zabytkach przeszłości i wytworach kultury folklorów, to znajdzie się tu i profil ludności kraju przywiślańskiego. I tu pedantyczny Niemcy są prawie że liryczni. Pełno tu superlatywów których poskąpili i Wielkorusom i Białorusom i Małorusom. O Tatarach, Tadžychach, Karabachach, Lezginach, Czerkiesach, Czeremisach, Turkomanach, Kirgizach, Jakutach, Samojedach, Kamczadałach tylko pobieżnie i rzeczowo. Ale o Polakach po prostu lirycznie, warto posłuchać, przepisać: „Polacy są wzrostu średniego, szczuplej ale muskularnej budowy, o włosach jasnych. Kontrast pomiędzy niższymi klasami i *noblesse* (czyżby dr Karl Baedeker czytywał Piekosińskiego i jego elukubracje o pochodzeniu szlachty polskiej od Normanów?) jest uderzający. Tych ostatnich, tak co do strony fizycznej jak i charakteru cechuje elegancja w najwyższym stopniu. A Polki to już słyną z wdzięku i urody...”

Warszawa wedle Baedekera jest całkowicie polska, pomimo dwujęzycznych nazw ulic i sztyldów sklepowych. O rosyjskości jej mówi tylko świadectwo Cytadeli, kopuły soboru pod wezwaniem Świętego Aleksandra Newskiego na Placu Saskim, Pomnik na pobojowisku Grochowa, który miał upamiętnić decydującą podobno szarżę kirasjerów rosyjskich pułku Księcia Albrechta Pruskiego, no i mundury, wojskowych, urzędników, studentów,

„stójkowych” na ulicach, sinych szyneli żandarmów, „fiołków”, na „wokszałach” kolei warszawsko-wiedeńskiej i warszawsko-terespolskiej. Przewodnik daje krótką (i akuratną) historię Polski przedrozbiorowej, a przy opisie kościołów, pałaców Brühla, Staszica, pałacu Kazanowskich, Zamku, Belwederu, Wilanowa nie mało informacji równie dokładnych z historii kultury miasta. Jest tam i o kościele farnym Świętego Jana i o Starym Mieście, o Dynasach i Królikarni, o warszawskim towarzystwie łyżwiarzy i cyklistów i o tym nawet, że Ogród Krasińskich frekwentowany jest wyłącznie przez mieszkańców żydowskich miasta...

Moje pretensje dotyczące się mej znikomej wiedzy o Warszawie, mam na myśli Warszawę mi współczesną albo Panu współczesną a nie historyczną, kieruję pod adresem beletrystów. Bo autorzy piszący o Warszawie brali za oczywistość to, że każdy tę Warszawę zna, że ma tę swoją własną o niej wiedzę. Tak samo i malarze, z wyjątkiem Gierymskiego może i Podkowińskiego, omiotali jej temat. I tak będzie zawsze. O Paryżu nie napisze paryżanin, o Nowym Jorku nowojorczyk, o Xanadu napisze ktoś nawet kto nigdy tam nie był. Pan sam, Panie Aleksandrze, napisał kiedyś ustęp w swej powieści o Paryżu, przedtem zanim zdarzyło się Panu go zobaczyć.

Kiedy już jednak wyczerpałem i stare reportaże dziennikarskie i niezapomniane Pańskie Kroniki i przewodnik Baedekera wypada dać i coś samemu.

Powiedziałem już że znałem Warszawę z paru przelotnych wizyt. Ale cóż to ja mogę o tym napisać? Dojeżdżało się do niej od nas pośpiesznym pociągiem, linią Lwów-Rawa Ruska-Piaski Lubelskie-Rejowiec... Gdzieś pod Otwockiem do przedziałów zapechanych śpiącymi podróżnymi wtłaczali się mieszkańcy podmiejskich osiedli dojeżdżający do pracy, urzędnicy, oficerowie do GISZU z teczkami, uczniacy. Za oknami pociągu był ten podmiejski krajobraz zabudowań, torów, fabryk, ruder Wawra, Grochowa, Pragi, will Saskiej Kępy. Potem most przez Wisłę i tunel i oto... Ale przed tym jeszcze, gdzieś na którejś stacji podmiejskiej wcisnęła się do wagonu para, starzec zgarbiony ale tęgiej postury i dziewczyna w szalu. I zatrzymując się u drzwi przedziałów dawali koncert. Stary pan miał przewieszoną przez szyję, wspartą na ciężkim brzuchu gitarę, której struny potraçał palcami akordów i on barytonem a dziewczyna cieniutkim głosem zaciągali słowa jakiejś sentymentalnej ballady, słowa których nie pamiętam. Ale pamiętam, aha, że ten pan miał piękne, pokrętne wąsy i chytrze przymrużone oko i wiedział jak podejść słuchaczy, stary cwaniak estradowy, dzisiaj grajek w podmiejskim pociągu, a dziewczyna była odpowiednio cienka i zabiedzona i wyciągała

do podróży z taczką z miedzakami. Taka para biednych, podmiejskich ptaków.

A w Warszawie już przed wieczorem, w przedwieczornym ruchu stałem u krawężnika Marszałkowskiej i właśnie Alej Jerozolimskich stałem i gapiałem się jak zaczarowany na małego, małego gazet pod pachą, wydawał resztę, dawał nura pomiędzy taksówki by wskoczyć w biegu do tramwaju i zaraz wyskoczyć, po przecięnięciu się wzdłuż wozu, wyskoczyć z tylnego pomostu i znowu nurkował wśród tłumu przechodniów, zalatany i uważny i miał nawet czas by rzucić mi w przelocie: „Co się tak na mnie wygłupia?”

Na tym samym ruchliwym skrzyżowaniu ulic, w tym przedwieczornym ruchu, na skraju chodnika stał niedużego wzrostu, prosty jak świeca, ściśnięty po wierzchu długiego kawaleryjskiego płaszczka pasem, w okrągłej, z jej amarantowym otokiem i okutym daszkiem czapce pierwszego pułku szwoleżerów, kapral, o surowej, twardej twarzy młodzieńczej, z wielką szablą, której garda sięgała mu pod pachę (*sabre de cavalerie modèle 1815*, jakie były na uzbrojeniu tego pułku), kapral który wybrał się na przepustkę do śródmieścia i stał tam na rogu, osobno od tłumu, „*Der traurige Bua*”, bezdomny żołnierz, tak znany z pocztówek, ilustracji i propagandowych plakatów, jeszcze jeden z ptaków tego wielkiego miasta.

A innego dnia znowu byłem w Parku Łazienkowskim, bo jakżeż to być w Warszawie i nie zajść do Łazienek Królewskich. To było w takie jesienne, słoneczne popołudnie, Pan wie, słońce przeciekające złoto przez czerwone i złote liście. Było niespodziewanie pusto tam i bezludnie i minąłem tylko siedzącą na ławce przy ścieżce parkowej jakąś pannę. Nie jakąś pannę ale najprawdziwszą, słynną, szykowną warszawiankę i do tego bardzo przystojną, piękną, tak sobie tam czujnie zadumaną, i miała oczy! jak Boga kocham, miała oczy lazurowe, niezwykająn lazurowością. Aż mnie to zżymnęło, żeby zwykła wycieczka do parku miejskiego miała mieć właśnie tyle uroku w tym zjawisku, tak oczywistego że aż banalnego, dziewczyna w parku, dziewczyna o nadzwyczajnie lazurowych oczach, banał, co tu ukrywać.

Ale że było to tyle lat temu, to nawet nie mogę opędzić się dzisiaj podejrzeniu, że to może ja sobie to jakoś sam dośpiewałem, może to nie była dziewczyna ale samotna stara kobieta o zażawionych oczach, może nie było słońca tylko nagie gałęzie drzew, mokre od wody deszczowej, a ja sobie to na odległość upiększam. Czy można sobie samemu ufać, Proszę Pana?

A może był to jeszcze jeden ptak tego miasta?

Mam za sobą jeszcze inny urywek warszawski i tu mi Pan

nie zarzuci, że wymyśliłem coś czy upiększyłem. Było to w zimie, także w czasie jednego z mych krótkich wypadów do Warszawy. Zima była ostra, z Wisłą skamieniałą pod lodem. Śnieg leżał wszędzie, jak to zawsze śnieg miejski brudny i poczerniały, z wyraźnymi w nim rysującymi się konturami dachów, bezlistnych drzew, czarnymi, ruchliwymi przecinkami ludzi, dymami ulatującymi z kominów miejskich i parą kłaczącą się w kłębach, parą oddechów ludzkich i końskich. Z wysokiego brzegu Powiśla Praga również wydawała się jak negatyw fotograficzny, biało, biało aż po horyzont. Mosty przeskakujące po przęsłach z jednego brzegu na drugi, kolejowe, drogowe, na nich sunące tramwaje i samochody, lory ciężarowe i wozy, dorożki, przechodnie. Wzdłuż Mostu Poniatowskiego, dołem, poprzez pokrytą warstwą śniegu lodową powłokę rzeki biegła wydeptana w śniegu krzywa ścieżka pieszych, co to z fantazji czy dla jakichś innych potrzeb i przyczyn wykorzystali zamarałą, nieruchomą solidność wód rzeki, by z Saskiej Kępy przejść do Śródmieścia. No to i ja, nowicjusz, przybysz, obcy, wybrałem się na praską stronę, pieszo, ścieżką po lodzie, by poczuć pod podeszwami butów solidność i nieruchomość żywiołu o innym czasie przegradzającego oba brzegi. Wybrałem się by podkreślić moją tutaj obcość, przyznać się do niej samemu, intruz w miejscu w którym wydawało mi się że za moją inność wszyscy wytykają mnie palcami. Dlatego ta wyprawa na Pragę po lodzie...

To wspomnienie warszawskiej zimy uprzytomniło mi że dysponuję jeszcze jednym źródłem nieocenionym znawstwa Warszawy. A tym była literatura dziecinnego pokoju. W tych opowiadaniach na użytek niedorośliwych było i swojsko i egzotycznie i niebywale. W jednym było swojsko o warszawskich Józkach, Jaśkach i Frankach i Joskach, Mośkach i Srulach tamtejszych ulic, w innym o niedorośliwych dzieciach-snobach, które wystrojone, chłopcy w sztywnych wykładanych krochmalonych kołnierzach a dziewczęta z kokardami na rozczesanych włosach zjeżdżają się na zamknięcie i popis co tylko ukończonego „kompletu” tańca. Wszystko tam pomieszane, taka gmatwanina i typów ludzkich i zwierząt i przede wszystkim ptaków, warszawskich ptaków, wróbli ulicznych, gili, szczygłów, tak kolorowych, bo to w zimie, żywych na tle zimowych gałęzi drzew Alej Jerozolimskich, a jakże, bardzo dziwnie brzmiące to dla uszu z dalekiej prowincji — Aleje Jerozolimskie! I „metr”, Pan Puchała, w jednej ręce skrzypce w drugiej smyczek, sam we fraku i z chustką batystową podłożoną pod brodę, proponuje: „Zanim zaczną schodzić się goście, przetańczmy jeszcze raz menueta...”

Ażeby już Pana całkiem zanudzić pozwolę sobie na jeszcze jedną relację z wydarzenia najzupełniej dzisiejszego, mam je co

tylko poza sobą. Ale i tak wydać się ono może zamglonym przypomnieniem albo i snem, chociaż to była zwykła jawa. Sny nas prześladowają, w nich to nawracają ku nam sprawy dawne, zapomniane, w nich odpokutowujemy za grzechy popełnione po trzęźwemu. Ale żeby pokutować na jawie? Sen to co innego, Pan sam zresztą ma za sobą jedno opowiadanie o tytule „Sen”, nieprawda?

Otóż jakiś czas temu wybrałem się w podróż nocą, samochodem, gdzie i po co to nieważne. Jechało się w grudniu, kiedy drzewa są takie inne, te liściaste o gołych i patykowatych gałęziach, a sosnina czerni się włochatymi od szpilek czubami. Po grudniowej nocy niewiele i tak zobaczy, tylko światła reflektorów samochodowych zamiatają po tych drzewach na krzywiznach drogi i pusto wszędzie, żadnego ruchu bo to noc i rzadkie osiedla uśpione i ciemne. Jechało się od nas na południowy wschód, naprzód szeroką, wielotorową arterią a potem z autostrady nr 95 skręcając w boczną drogę stanową nr 17, i jechało się po nocy, wśród lasów, historyczną krainą, bo Tidewater Wirginii to przecież najwcześniej zasiedlone wybrzeże Stanów. Już życie stąd dawno odeszło gdzie indziej i jest tu po nim tów, ufundowane przez jakieś towarzystwo historyczne, infortak pusto, tli się jeszcze powolutku w najstarszych osiedlach. O dawnym świadczą tylko liczne tablice przydrożne dla turystów, markujące zapadających w niebyt wydarzeniach w danym miejscu, markujące pobożowiska, miejsca urodzin słynnych ludzi i inne markantne sprawy, których na tym najstarszym wybrzeżu kontyentu bez liku.

Przed świtem zatrzymaliśmy się, a no w jakiejś budzie wpośród niewielkiego osiedla, do której przylegał zamknięty o tej wczesnej porze i sklepik z drobnicą i jakiś magazyn, ale najważniejsze było to, że był tam i kontuar i parę stołków i zaspany gospodarz tego lokalu mógł nam coś upitrasić na prędcę, jajecznicę i boczek, bo okazuje się że obsługiwał tam stale pracowników z nocnej szyciły tutejszych jakichś zakładów drzewnych i tartaków.

Bo naokoło lasy i lasy, a tu, po nocy, sterty, zwały pni, kłoców, desek i wszędzie te trociny i światła tartaków. Przy tym ich świetle, kiedy po śniadaniu wyszliśmy do samochodu, patrzę, na skrzyżowaniu dróg, w pobok jakiejś starej budowli o murach z poliszajonych cegieł jest na słupku tablica, a jakże, z informującym napisem:

WARSAW

When Richmond County was formed in

1692, this place became the County Seat and was known as Richmond Courthouse. The village was renamed Warsaw in 1848 in sympathy with the Polish struggle for liberty...

W Stanach jest kilka Warsaw, Warszaw większych i mniejszych, ta nie należy, jak widać nawet i po nocy do tych największych. Może jest tej wielkości co Warszawa książąt mazowieckich kiedyś w trzynastym czy czternastym wieku, pewnie ma jakieś niecałe tysiąc mieszkańców, gdy za czasów książąt co siedzieli po swych zamkach w Rawie, Ciechanowie, Czersku przyszła stolica była osadą drwali. Bo z etymologii wiadomo że nazwa prawobrzeżnej Pragi wywodzi się z przemysłu, „prażenia” drewna na węgiel, smołę, popiół, potaż, spławiane potem Wisłą. A naokoło były lasy i lasy, puszcze i bory i knieje, podrostry, poręby, zapusty, wywały, wiatrołomy, naloty dębów, jesionów, jaworów, klonów, wiązów, grabów, brzoź, jodeł, świerków i przede wszystkim sosny. I jakie sosny! Boże! Sięgające niebotycznych wysokości pnie ich borów, różowiące się w słońcu. I wpośród nich ptaki...

Bo sosna jest wszędzie. I w Luizjanie i w Patagonii, w Maine, na Bermudach i na Uralu. Ale nigdzie jej do naszej. Tutejszy najpowszechniejszy gatunek to *pitchpine*, niezły gatunek ale gdzieeee tam...

Ale do rzeczy, wróćmy do tej skromnej tablicy w dalekim Tidewater Wirginii. Dla nas obieżyświatów natknięcie się na jakiś rezonans polszczyzny wśród obcych to albo deprymująca niewiedza o niej u napotykanym obcych, albo gorsza jeszcze od tego zdawkowość i banał. A tu, ni stąd ni zowąd, w świecie dosłownie zabitym deskami, gdzieś daleko, za światami, kiedyś z górą sto lat temu taki wyraz porozumienia.

Pakujemy się do samochodu, jeszcze mile drogi i o twardym, stalowym świecie odślaniają się przed nami wody zatoki Chesapeake Bay, celu naszej podróży. Lasy zostały za nami, wierne nam tylko ptaki. Górą słyhać świst skrzydeł kaczek ciągnących o świecie na żerowiska, a na czarnym piasku płyczn po ustępującym odpływie zbierają się kuliki, derkacze, brodzce, szczudłaczce, bekasy, siewki, ostrygacze i przechadzają się i podrygują i kłaniają na sprężynowatych nogach, długodziobe i podkasałe, czekając na komendę dyrygenta przed porannym popisem:

„Zanim zaczną schodzić się goście, przetańczmy jeszcze raz menueta...”

Kiedy napomknąłem już poprzednio o tym że niebardzo wiem

jak za czasów Pana należało zapoczątkować list, tak samo nie bardzo jestem pewien jaką formę zastosować przy jego zamknięciu. Ale podpatrzyłem taką w opublikowanej korespondencji Pana, i chociaż teraz może brzmieć ona staromodnie i uroczyście, proszę mi pozwolić posłużyć się nią, bo użył jej Pan wtedy w liście o treści najbardziej Pana obchodzącej. Pozwólę sobie ją przepisać:

Zapewniam o najgłębszym szacunku i czci

Sługa

Zygmunt HAUPT

CONTRA

POLSKA KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA
BOOK STORE & PUBLISHING
630 MANTHATTAN AVENUE
BROOKLYN, N.Y. 11222

- Przedstawicielstwo: Instytutu Literackiego w Paryżu, Polskiej Fundacji Kulturalnej i Oficyny Malarzy i Poetów.
- Dostarcza drogą pocztową wszystkie książki wymienionych wydawnictw. — Przyjmuje wpłaty prenumerat na miesięcznik *Kultura*, tygodnik *Wiadomości* i *Tydzień Polski*.
- Wysyła odwrotną pocztą zamówione listownie książki.
- Katalogi wysyłane są bezpłatnie.

Strach

Wiesz jak wygląda strach? Nie, nie żartuję, prawdziwy strach, taki który można zobaczyć. Strach na ludzi.

Tak, istnieje, i to jeszcze jak; wiem, bo kiedyś sam widziałem. Skończyło się szczęśliwie, ale mogło być złe.

Na pozór nic wielkiego, zdziwisz się jak ci powiem: okrągła czarna plamka. Serio. Mała, jakieś osiem milimetrów średnicy.

Tak, to wszystko, przynajmniej prawie wszystko; reszta wtedy się nie liczy. Kiedy taką plamkę zobaczysz, robi ci się okropnie głupio, od razu kolana ci miękną i kark sztywnieje. Nie możesz od niej oczu oderwać, masz wzrok jak na sznurku — gdzie się ruszy tam patrzysz. Chciałbyś żeby się odwróciła i przestała gapić na ciebie, bo sam schować się nie możesz. Czujesz że robi ci się zimno, choćbyś miał na sobie gruby sweter i pocisz się jednocześnie, a serce ci łomocze jak oszalałe. Kiedy masz coś powiedzieć musisz najpierw przełknąć ślinę, potem mówisz tak jakbyś był w jednym pokoju, a twój głos w drugim.

Marzysz żeby cię tam nie było, albo żeby wszystko przekreśliło się jakoś i znikło. Potem, kiedy całą historię już masz za sobą, chciałbyś usiąść gdzieś w kącie najchętniej byś się rozpląkał.

Nie życzę ci żebyś tę czarną plamkę kiedy zobaczył człowieku.

Wiesz co to, prawda? Tak, to wylot lufy wymierzonej między twoje oczy.

Towarzysz broni

Ile razy zdarzy mi się gdzieś spotkać Niemca, w średnim wieku albo trochę starszego, zawsze mnie bierze ochota zapytać go —

coś ty dziadu robił w czasie wojny? Czy to nie akurat ten co w zasypianym śniegiem jarze patrzył jak rosyjscy jeńcy umierali od kul jego karabinu maszynowego, albo spacerował po getcie, i co mu się któryś Żyd nie spodobał — strzelał jak do kaczki. Kto może wiedzieć? Ci ludzie przecież gdzieś są, już zwolnieni albo wcale nie sądzeni, żyją, chodzą, śmieją się.

Czasem ktoś obcy na ulicy uśmiechnie się do mnie życzliwie, i raptem zagada po niemiecku; kiedy usłyszę ostre dźwięki podobne do tamtych wtydy — *los, rraus, verfluchte Schweine* — nie mogę powstrzymać gestu niechęci. Potem prędko odchodzę, zawstydzony że wzgardziłem ludzką serdecznością. I gdzie tu sens? Przecież inne narody używają tego samego języka; choćby Szwajcarzy.

Byłem kiedyś zimą w małej osadzie koło Chamonix, ot, parę domów, trzy hotele turystyczne — jeden drogi i dwa tańsze, wyciąg i kolejka linowa. Cały czas padało, widoczność beznaoczna, i jazda na nartach po głębokim śniegu była zupełnie do niczego. Mój urlop miał się ku końcowi kiedy się zrobiła pogoda. Trasy zjazdowe zaludniły się natychmiast, do wyciągu stanęły kolejki. Wyciąg długi, stromy, do liny miał przyłączone drewniane kotwice na dwóch narciarzy każda. Jechało się coraz to z nowym towarzyszem; po drodze wymienialiśmy parę słów, na szczycie rozjazd i koniec znajomości. I tak w koło. Za którymś razem stanął koło mnie szczupły, nie szczególnie młody narciarz; już wcześniej zwróciłem uwagę na jego styl jazdy i fachowy ekwipunek. Sam miałem sprowadzone z Polski zubki, niezłe w zasadzie narty — hikory na plastyku, ale nie tej klasy co jego metale. Próbowałem sobie przypomnieć ile to takie kosztują, kiedy mój towarzysz odezwał się po niemiecku:

— Czy pan jest Polakiem?

— Tak, powiedziałem.

— Poznałem po nartach z Zakopanego. Przyjechał pan teraz z Polski?

— Nie, mieszkam za granicą.

— Bo ja kiedyś byłem w Polsce. Ale tu jeszcze nie spotkałem Polaka.

— Ja też nie.

Spojrzał na mnie, i już więcej o nic nie pytał, tylko sam zaczął opowiadać o sąsiednich trasach narciarskich, które najwidoczniej znał doskonale. Mówił łagodnie, uśmiechał się do mnie jakby przeproszał za nieproszone gadulstwo, prędko przerywał, kiedy widział że chcę o coś zapytać. Całkiem otwarcie próbował mnie sobie zjednać. Nic człowieka tak nie ujmuje jak czyjaś nieoczekiwana i właściwie nie uzasadniona sympatia. Kiedy jeszcze powiedział, że mieszka w Zurychu i zaproponował żebym

go tam przy sposobności odwiedził, bo czuje słabość do Polaków — rozchmurzyłem się do reszty. Po prawdzie byłem wdzięczny że chciało mu się wysilić i przezwyciężyć moje opory, jak by nie było czasem potrzebuje się życzliwego słowa.

Ruszyliśmy razem w dół. Jeździł starą szkołą, z wychyleniem, ale cholernie pewnie i wąsko. Czekał na mnie pocziwie w trudniejszych partiach, w kolejce do wyciągu robił miejsce przed sobą. Jeździliśmy do zmroku bo śnieg był jak rzadko, w miarę ubity, po wierzchu gładki jak aksamit — a ja następnego dnia musiałem wracać do domu. Mój nowy przyjaciel towarzyszył mi z ochotą, w końcu zaproponował pożegnalny wieczór u siebie. Chętnie się zgodziłem ucieszony perspektywą obejrzenia eleganckiego hotelu.

Kiedy po kolacji przyszedłem — czekał w hallu i wyglądał taki uradowany, aż mi się głupio zrobiło że nie mogę zrewanżować się tym samym. Pokój miał piękny, ani słowa, widok na góry, łazienka. Usadził mnie w fotelu, wyjął koniak, zrobiło się przytulnie. Gadaliśmy o tym i owym, zapytał czy chcę jeszcze koniak, chciałem, przeszliśmy na ty, potem jeszcze jeden koniak. Czekałem co będzie dalej.

— Słuchaj, spytał się — ile ty masz lat?

Powiedziałem mu.

— A coś ty robił w czasie wojny?

— Ja wiem — robiłem co się dało, starałem się przeżyć, i tyle.

— Byłeś w waszym ruchu oporu?

— Trochę byłem, tak. A co?

— Niemców zabijałeś?

— Do tego jakoś nie doszło.

— To coście robili?

— Nic szczególnie bohaterkiego. Szkolenie wojskowe, ćwiczenia, a najwięcej, powiem ci — było gadania z kolegami.

— Nic niebezpiecznego? Nigdy?

— Chyba czasem się zdarzało. Rozlepianie ulotek, pisanie „Polska walczy” po ścianach kamienic, takie tam. Bardzo bezpieczne to nie było.

— Wystarczało żeby dostać kulę od Niemców, co?

— Nieraz wystarczało, na pewno.

— Wiem coś o tym.

Zdziwił mnie poważny ton głosu, zmiana wyrazu twarzy mojego towarzysza.

— Tak? Skąd wiesz?

— Skąd? Bo ja takich jak ty — ja właśnie takich jak ty — strzelałem.

— Strzelałeś? Jak? Nie rozumiem.

— Tak zwyczajnie: paf! — strzelałem. Zakładników i takich różnych. To było moje zajęcie u was w Polsce.

— Ty, Szwajcar? Nie zwracaj głowy.
 — Jestem Niemcem, mieszkam w Zurychu ale jestem Niemcem. Jakbyś wiedział to byś tu nie przyszedł, prawda?

— Jakbym co wiedział?

— To wszystko. Pewnie nie chciałbyś mnie znać, a przecież to było już tak dawno, co ja zrobię, tego nie da się odwołać. Nie jestem człowiekiem, mam zniknąć, popełnić samobójstwo, czy jak, powiedz sam... Ja swoje odcierpiałem, nie bój się, może to ciągle za mało, nie wiem...

Tak mówił, trochę chaotycznie. Nie ma co, zmroził mnie ten szczególnie biografi nowo poznanego towarzysza zjazdów. Jednocześnie było mi go żal; w końcu co można wiedzieć o człowieku.

— Nie chciałbyś ze mną gadać, powiedz? — nalegał.

— Może bym i nie chciał; ale kiedy cię już poznałem... Wydajesz mi się sympatyczny. Naprawdę. Może wobec tego tamto staje się trochę mniej ważne.

— Cieszę się że tak myślisz; masz rację: ja wtedy byłem kim innym, byłem młody, sam nie potrafiłem myśleć. Za to teraz po tylu latach umiem, wydaje mi się, ocenić tamte sprawy właściwie. Wówczas było inaczej.

— Dostałeś rozkaz i musiałeś słuchać, tak?

— Wiem co chcesz powiedzieć; ale ja nie mam zamiaru zwałać winy na kogo innego. Nie, nikt nie wydawał rozkazów wykonywania egzekucji, ani nie potrzeba było nikogo zmuszać do służby w obozach koncentracyjnych — było dosyć ochotników. Jeśli chodzi o mnie, to po prostu spotkałem kolegę z gimnazjum, który służył w oddziale specjalnym, wykonującym wyroki, znaczy się. Namawiał mnie: dodatkowe przydziały, szybszy awans, dużo wolnego czasu — słowem, dobre warunki. Poszedłem spróbować, i już zostałem.

— Musieliście tam zawsze pić wódkę?

— Żeby zagłuszyć wyrzuty sumienia, co? Nie, to naiwne. Robota stała się z czasem równie jednostajna jak każda inna. Człowiek odwalił swoje i szedł do domu. Do wszystkiego można się przyzwyczaić. Kiedyś jak byłem chłopcem i mojego starego nie było w domu, matka kazała mi zabić rybę, karpia, uważała że to męska sprawa. Pływał u nas w wannie dwa dni, polubiłem go. Karp ma okropnie twarde życie, rusza się jeszcze pokrajany; chorowałem potem. Ale tamto? Nic łatwiejszego niż zabić człowieka.

— Mówisz poważnie?

— Zupełnie. Wyobraź sobie że sam w jakichś okolicznościach, no, z głodu — musisz zarznąć na przykład barana. Ręczę ci że to ciężko przeżyjesz, bydlę ryczy, rzuca się, rzezi, krwawi; cała

tragedia. A dla rzeźnika bez problemów. Fachowiec. Kwestia wprawdy.

— I jak, strzelałeś z karabinu?

— Pewnie masz na myśli pluton egzekucyjny. Nie, te zabawy były dla swoich. W masowych rozwałkach też nie brałem udziału. Pojedynczo. Miałem parabellum ósemkę; doskonała broń, niezawodna, wyważona, bajecznie leży w ręce. Z początku mojej kariery zawiązywało się oczy, pod słupek, i dopiero trach. Potem nie było czasu, przeszliśmy na wydajniejszy sposób waszych słowiańskich braci: strzał w tył głowy, jedna kula per capita. Proste, skuteczne — człowiek nawet nie zakrzeczał. Dla skazanego też była korzyść, oszczędzało mu się przykrości zagładania do lufy. Mieliśmy nawet wykłady z wyświetlaniem zdjęć rentgenologicznych czaszek polskich oficerów z grobów katyńskich. Chodziło o pokazanie toru kuli przebijającej wrażliwe centra mózgowie i prawidłowe, w związku z tym, nachylenie lufy przy wystrzale. Tak, powiadam ci, to cała wiedza.

— Twoi skazańcy nigdy się nie bronili?

— Rzadko. Każdy był należycie unieszkodliwiony, żeby mu się odechciało figłów, a po drugie bali się nieprzytomnie, świadomości, że się ich prowadzi po to żeby zabić, paraliżowała wolę działania. To znane zjawisko. Chyba że któryś był stary wyjadacz, praktyk w spotkaniach ze śmiercią. Raz miałem takiego, udało mu się uciec z zawiązanymi rękami. Psy go potem dogoniły w lesie. Wyobraź sobie, już się dziad zdążył rozwiązać.

— A inni, mówili coś, prosili?

— O tak. Tylko mało który umiał po niemiecku, zresztą prerażenie nie sprzyja elokwencji. Zwykle powtarzali w kółko jedno słowo, na przykład — *bitte, bitte, bitte*, albo — *Herr, Herr, Herr*. Padali na ziemię, klękali, płakali, różnie. Robili w spodnie, okropne wrażenie; z tymi były kłopoty. Najbardziej lubiliśmy tych bohaterskich; bał się taki nie mniej od innych, ale chociaż szedł prosto, nie musiało się go ciągnąć ani popychać. Krzyknął jeszcze swoje hasło na koniec, wierzgnął nogami — i tyle go było.

— Wydaje się, że to zajęcie sprawiało ci przyjemność.

— Czy ja wiem? Muszę przyznać, że kiedy mi przyszło rozwalić zdrowego, pięknego faceta — czułem satysfakcję dobrze spełnionego obowiązku.

— Człowieku, to byli bezbronni, niewinni ludzie. Nie ruszyło cię sumienie?

— Niewinni? To zależy jak się na to patrzy. Dla nas byli winni, bo stali nam na drodze do wielkości. Wtedy wierzyłem że wielkość Niemiec polega na panowaniu nad światem, i ja mam obowiązek zrobić wszystko co może pomóc do wygrania wojny. Powiedziałem ci że teraz, po tylu latach, zmieniłem zdanie. Nie-

koniecznie. Ciągłe przychodzi mi do głowy że kto wie, może warto było walczyć o władzę naszego narodu nad światem? Pewnie, to w zasadzie klika rozpętała wojnę, ale oni by przeminęli i Niemcy zostałyby wielkie. Już tak nie dużo nam brakowało, a dzisiaj byłbym bohaterem. Chyba nigdy nie pozbędę się całkiem tych myśli, zostałem nimi nasycony, raz na zawsze. Powiem ci jak. Ty jesteś wierzący?

— Poniekąd. A co?

— A czy jak byłeś młody, wątpieś w doskonałość swojej wiary? Nie? Widocznie byłeś dobrym dzieckiem. Zostałeś katolikiem na tej samej zasadzie co ja hitlerowcem. Dziecko nie wierzy ani w Boga, ani w Hitlera, tylko w swojego ojca i w matkę. Jak widzisz po mnie, człowieka można namówić do każdej zbrodni, przekonać do każdego głupstwa, byle tylko zacząć dość wcześnie. Czy dobrą wolą rodziców można usprawiedliwić wykorzystanie formującej się duszy dla wpojenia ładunku nonsensów na całe życie? Trudno mi zresztą winić mojego starego za to, że był trzeźwo myślący. Lubił porządek jak prawdziwy Niemiec, a przyjscie do władzy Hitlera oznaczało przecież koniec bałaganu i stabilizację ekonomiczną. Czy można się dziwić że zaufał systemowi który gwarantował sprawne funkcjonowanie organizmu państwowego? Zwłaszcza że Hitler umiał zjednać sobie ogólną życzliwość zapewniając ludzi o tym, o czym każdy z nas w głębi duszy jest trochę przekonany, mianowicie że jesteśmy lepsi od innych. Mój stary cieszył się z likwidacji Żydów bo był zdania, że stanowią dla nas śmiertelne niebezpieczeństwo przez swoje zdolności dające im przewagę w każdej dziedzinie. Widział przyszłość w partii nazistowskiej. Byłem dobrym synem, wierzyłem we wszystko co powiedział. Partia przejęła mnie z jego rąk w odpowiednim czasie; w tym wieku, kiedy byłem gotów uwielbiać miotłę, byle byłaby ubrana w gwiazdki, krzyże, czy inne oznaki bohaterstwa. A przecież moim dowódcą był młody, silny, śmiały i pewny siebie Sturmführer; czy mogłem go nie słuchać kiedy zamiast dawnych zmyślonych Indian — gromiliśmy teraz prawdziwych Żydów? Potem przyszła wojna, a z nią szansa do zabawy w Pana Boga. Możesz mi wierzyć, że mało kogo było stać na to, żeby tej swojej szansy nie wykorzystać. Sam powiedz: nie przychodzi ci czasem ochota na jakieś drobne bezprawie — ot, wziąć błyszczące jabłko ze straganu; albo pogłaskać ładną obcą dziewczynę na ulicy, czy szturchnąć kogoś kto ci stoi na drodze? Wiem co myślisz, że chociaż ci przychodzi ochota nigdy tego nie robisz. Tak, oczywiście, nie robisz — bo ci nie wolno. Ale gdybyś mógł sobie bezkarnie pozwolić, ba, jeszcze by cię pochwalili — co wtedy? Nie dałbyś się skusić? Ja byłem w tej sytuacji; bezprawie było moim prawem, często obowiązkiem. Łatwo powiedzieć: myśl sam

za siebie, bo za siebie będziesz odpowiadał; nie takie to proste. Kto to potrafi, dzisiaj, kiedy posiadanie własnego zdania nie grozi śmiercią? A wówczas? Przenicowali nam sumienia i uwolnili od ludzkich kagańców żeby z nas zrobić maszyny do zabijania ludzi. Mój Boże... Chciałbym, żeby tych czasów nigdy nie było; twoi koledzy byliby żywi, a ja... Za to teraz uznaję swoją winę — i proszę cię o przebaczenie...

Niepewnie wyciągnął do mnie rękę, dodał — czy możesz? i zrobił błagalną minę, jakbym z nie wiadomo jakiego powodu właśnie ja miał go rozgrzeszyć z przeszłości. Zrobiło mi się szkoda człowieka — podałem mu rękę; nie do mnie należało go sądzić. Co mogłem mu teraz powiedzieć? Chciałem się do niego choć uśmiechnąć, ale jakoś mi nie wychodziło. Nagle w ciszy nocnej za oknem wrzasnął klakson samochodu i przeciął niezgrabną sytuację.

Zacząłem mówić o jutrzejszej pogodzie, o nartach. Odjeżdżałem następnego dnia wieczorem i miałem jeszcze tyle czasu, że pół dnia mogłem wykorzystać na ostatnie zjazdy. Mój towarzysz wróżył słoneczny dzień i obiecał czekać na mnie rano przy wyciągu.

W nocy spałem nie szczególnie. Wstałem dość późno, z szumem w głowie. Zszedłem na dół i wyjrzałem na świat. Rzeczywiście, dzień był piękny: spokojnie, niebo bez chmurki. Zjadłem śniadanie potem wróciłem do pokoju i zabrałem się do pakowania walizki.

A. LUBELSKI

Wychodzący od 1932 roku

ZWIĄZKOWIEC

1475 Queen St. West, — Toronto 3, Ontario, Canada

jest jedynym pismem Polonii ukazującym się dwa razy w tygodniu. Chcesz wiedzieć o Kanadzie, być dobrze poinformowanym o życiu Polonii, mieć bezstronne wiadomości i omówienia wydarzeń międzynarodowych, być w kontakcie z życiem Polaków na całym świecie i w dalekiej Ojczyźnie — czytaj i prenumeruj

PÓŁTYGODNIK „ZWIĄZKOWIEC”

W każdym numerze dwie powieści nowoczesnych pisarzy polskich, artykuły z dziedziny wiedzy, wiadomości, specjalnie redagowane działy: „SPORT” — „ZWIĄZKOWIEC DLA DZIECI” — „KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU”

Wielkie rozchełstanie *

Z okien drugiego piętra przy Marszałkowskiej słychać było przez trzy tygodnie Szopena. Dom był obdrapany od pocisków. Przed domem z prawej strony była barykada z łóżek żelaznych i muszli klozetowych. Do jednej z tych muszli wkładano codziennie świeże gałęzie kasztanów. Na lewo od domu ogromna jama odminy czy bomby. Nigdy do końca Powstania nie nauczyłam się rozpoznawać które jamy, dziury, leje... rozumiesz... od których były bomb, pocisków, szrapneli, min. A niekiedy rozpoznawali od razu. Nauczyli się tego alfabetu zniszczenia i czytali płonące miasto, podczas gdy ja umiałam tylko patrzeć i słuchać. Czasem zresztą zamykałam oczy, żeby nie widzieć zabitych, spalonych i rannych, którym i tak pomagały już inne, te które umiały i wołały pomagać niż biegać, podczas gdy ja... widzisz... kursowałam po Warszawie, biegałam z jednej dzielnicy do drugiej: ulicami, tunelami, przez rozwalone domy. A czasem, w wolnej chwili, wdrapywałam się jak najwyżej, żeby z wysoka zobaczyć palące się Miasto...

Był taki jeden dom na wpół zbombardowany i opuszczony, tuż obok barykady przy Marszałkowskiej i z piątego piętra tego domu słychać było doskonale tego kogoś kto grał na drugim piętrze sąsiedniej kamienicy. Najczęściej grał „Etiudę Rewolucyjną” i chyba był to mężczyzna, nie kobieta... tak, na pewno mężczyzna, jeszcze młody, najwyżej trzydziestopięcioletni. Wyobrażałam go sobie doskonale.

Pytasz się dlaczego nie walczył? Wiesz, że wówczas nie przyszło mi to w ogóle na myśl, chociaż przecież walczyliśmy wszyscy, nie tylko mężczyźni i nie tylko młodzi mężczyźni, ale

widzisz, walczyło się na różny sposób. Może on w ten sposób właśnie walczył?...

Czy cię to bardzo dziwi? Nie, ciebie nie powinno dziwić... Po trzech tygodniach zresztą muzyka ucichła. Jeszcze na kilka dni przed zbombardowaniem tego domu. A potem wkrótce runęły wszystkie domy naokoło i nie można już było nawet rozpoznać gdzie stał ten dom z muzyką, o tej muzyce się jednak mówiło do samego końca. Ciekawe czy on przeżył i czy się dowiedział?

Wolisz się dowiadywać bez zadawania pytań? To tak samo jak my, tak samo jak ja. W ten sposób zmuszasz mnie do zgadywania tego co dla ciebie niejasne. Myślę, że chciałbyś wiedzieć w jaki sposób on walczył skoro nie walczył z bronią w ręku... co ma muzyka wspólnego z walką, gdy giną ludzie i pali się miasto. O to chciałbyś się pewno zapytać?

Aby odpowiedzieć jednak na to pytanie trzeba by napisać tomy bo powstanie w połowie dwudziestego wieku jest zawsze sprawą bardzo skomplikowaną, pełną międzynarodowych zawiłości, strategicznych tajemnic, sprzecznych interesów, wieloznacznej propagandy. Odpowiem ci więc w sposób bardzo uproszczony...

Gdy Powstanie wybuchło jedni z nas — zapewne większość — wierzyli w militarne zwycięstwo, inni jedynie w moralne zwycięstwo. Z biegiem wypadków tych pierwszych było coraz mniej, tych drugich coraz więcej — bo ci wierzący w militarne zwycięstwo i natychmiastowe lub ewentualne wyzwolenie nawracali się stopniowo na koncepcję moralnego zwycięstwa. A ta koncepcja, oczywiście niesformułowana i zwykle półświadoma, polegała na tym aby do końca zachować nasz własny, warszawski styl.

Nazywasz to romantyzmem? Nie... nie protestuję, z tym tylko zastrzeżeniem że taki romantyzm jest czasem praktyczniejszy od wyrozumowanej strategii... Więc widzisz, ten od Szopena pomagał nam w zachowaniu stylu. On może, tak jak ja, od samego początku nie wierzył w militarne zwycięstwo, ale bardzo wierzył w zachowanie do końca tej właśnie postawy moralnej którą nazwałam stylem, więc walczył tak jak umiał najlepiej... grając Szopena... rozumiesz, prawda?

Miasto jest konkretniejsze niż naród. Warszawa była pełna niewarszawiaków którzy nawrócili się na warszawski styl. Łódź, Kraków, Lwów, każde z tych miast było inne.

Pierwszego dnia mieliśmy karego konia i dwa tanki. Dla konia zdobyliśmy siano, owies i siodło. Dla tanków też się nam udało zdobyć trochę benzyny, ale potem, już po kilku dniach trzeba było zbudować tyle barykad, że tanki nigdy nie

* Fragment z przygotowanej do druku powieści pt. „Karnawały”.

wyjechały z podwórza otoczonego z trzech stron słonecznikami. Nurt, bardzo ciemny wśród jaskrawych słoneczników, wydawał rozkazy chłopcom w białoczerwonych opaskach. Chłopcy, naturalnie, wierzyli w ten pierwszy rodzaj zwyczajstwa w który Nurt na pewno nie wierzył i wierzyli, że te dwa tanki na pewno w końcu wyjadą na ulice. Wierzyli że zdobędą więcej tanków i będą walczyć tymi tankami na ulicach bez barykad...

Obzałt się owsem i zarzał wspaniale nasz kary koń wśród słoneczników i od tego konia zaczęły się piosenki, pół-żołnierskie, pół-uliczne, piosenki skoczne i melancholijne ballady a potem dowcipy, które łączyły się z piosenkami i rozlażyły po całym mieście. I aż do końca Powstania wyskakiwał z nich ten koń kary czasem zmieniony na białego, czasem na kucyka, czasem na pegaza. W prasie powstańczej o nim pisano i śpiewano o nim na porankach literackich w Śródmieściu i na Czerniakowie. Improvizowano o nim wiersze bez rymów i z rymami, sonety i limeryki... A potem, po kilku tygodniach gdy zabijało się na mięso już nie tylko konie ale i psy, ten koń kary stawał nadal dęba, nadal rżał w wyśpiewanych, wyzartowanych befsztykach.

O tym, że zginęła nas prawie jedna czwarta, że walczyliśmy 64 dni i o tym jak się walczyło... o tym przecież chcesz, prawda? Dlatego ci o tym nie mówię. Jeśli chcesz pokażę ci statystyki opracowane przez Czerwony Krzyż, konia jednak nie znajdziesz w tych statystykach a jeśli nawet znajdziesz to pod postacią protein i kalorii *per capita!* Ale ty przecież chcesz wiedzieć to, czego ze statystyk nawet Brecht by nie wyczytał. O tym chcesz wiedzieć a może to raczej ja sama chcę, abyś o tym wiedział, niezależnie od tego czy ty sam chcesz czy nie chcesz?

Ani Weronika ani ja ani Nurt nie nałożyliśmy białoczerwonych opasek, na które było takie zapotrzebowanie. Te, które nam przydzielono, oddaliśmy innym. Nie włączyliśmy się tak naprawdę w to zaraźliwe, cudowne rozśpiewanie, rozgadanie, w ten wybuch, w to Wielkie Rozchełstanie. Przyzwyczajeni do myślenia długoterminowego, do działania w cieniu i do milczenia, widzieliśmy Powstanie nie jako wielką eksplozję lecz jako fragment jakiejś niezbyt jeszcze zdefiniowanej szerszej całości i nie wierzyliśmy, nie wierzyli w jakiegokolwiek szybkie wyzwolenie. Przyzwyczajeni do wielowartościowości, do międzynarodowych zawikłań i zagrożeń, patrzyliśmy na przyszłość bardziej jakoś analitycznie niż reszta. Nauczono nas czuwania i planowania bardzo ostrożnego a jednak... jednak... była w nas ta sama radość co w innych, milcząca ale niestłamszona milczeniem i podczas gdy Nurt „oczyszczał się” w ogniu, walcząc w pierwszych liniach kilku frontów, my dwie także szalałyśmy z radości bo jakże się nie cieszyć gdy za chwilę można zginąć?

Więc wachałyśmy kwiaty kasztanów, wsłuchiwały się w świst pocisków, przebiegałyśmy nocą puste ulice oświetlonego pożarami Miasta, śmiałyśmy się, słuchały, opowiadały, dzieliły się, całowały, oglądałyśmy w potrząskanych lustrach coraz to ładniejsze bo coraz większe, własne jeszcze patrzące oczy i od czasu do czasu jadłyśmy chleb, makaron a raz nawet Weronika dostała od chłopca z Czerniakowa całą cebulę i zjadła ją bez obierania. A ja dostałam ogromnego pomidora: był bardzo dojrzały i jeszcze ciepły od słońca... pachniał latem...

Alicja IWANŃKA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 219 — ANDRZEJ CHCIUK

WIZYTA W IZRAELU

Wrazenia z niedawnej podróży Autora, który poprzez Drohobycz swojego dzieciństwa odkrywa współczesny Izrael.

Str. 160.

Cena F. 17,50 (dol. 4,25; £.1.60)



TOM 220 — TOMASZ STALIŃSKI

ROMANS ZIMOWY

Trzecia powieść krajowego autora.

Str. 208.

Cena F. 24 (dol. 6,00; £.2.00)



TOM 221 — SERIA „DOKUMENTY”

(ZESZYT 39-ty)

SĄD ORZEKŁ...

Tom zawiera autentyczne dokumenty dotyczące najgłośniejszych procesów politycznych w PRL: PROCES HANNY REWSKIEJ; DRUGI PROCES K. MODZELEWSKIEGO i J. KURONIA; PROCES „TATERNIKÓW”; PROCES ORGANIZACJI „RUCH” Z 1971 R.; POSTĘPOWANIE REWIZYJNE W SPRAWIE J. KAPIŃSKIEGO i M. SZPAKOWSKIEJ; PROCES PISKI O TRAKTAT

RYSKI, jak również szereg opracowań i komentarzy.

Str. 320.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)

ZESZYTY HISTORYCZNE

KWARTALNIKIEM

Postanowiliśmy w bieżącym roku przekształcić *Zeszyty Historyczne* na kwartalnik. Co prawda dotychczasowa ilość prenumeratorów nie usprawiedliwia w pełni naszej decyzji, ale eksperyment ten wydaje nam się konieczny biorąc pod uwagę że:

— znajomość najnowszej historii Polski jest niepokojąco mała nie tylko wśród młodego ale średniego pokolenia, zarówno w kraju jak na emigracji;

— fałszowanie najnowszej historii w kraju nie tylko trwa nadal, ale się pogłębia;

— nieliczne pisma emigracyjne, poświęcone zagadnieniom historycznym, ukazują się coraz bardziej nieregularnie i coraz rzadziej;

— dokumenty na skutek braku zabezpieczenia giną, a świadkowie wydarzeń wymierają.

Zeszyty Historyczne będą w dalszym ciągu poświęcone zagadnieniom związanym z najnowszą historią Polski oraz — w miarę możliwości — historii krajów wschodnio-europejskich.

Liczymy na pomoc naszych Przyjaciół i Czytelników nie tylko w zdobywaniu nowych prenumeratorów, ale także w pracy redakcyjnej. Apelujemy przede wszystkim o nadsyłanie nam dokumentów, książek i ważniejszych wycinków dotyczących Polski i Europy Wschodniej. Pomoc naszych Czytelników krajowych może tu być najbardziej cenna.

Spodziewamy się również życzliwej pomocy i współpracy wszystkich historyków polskich i wschodnio-europejskich mieszkających stale lub przebywających przejściowo na Zachodzie.

Zeszyty będą się ukazywały 4 razy do roku w *dotychczasowej objętości, tj. 240 stron każdy*.

Prenumerata roczna będzie wynosiła: F. 80,00 (dol. 17,00; £.stg. 7.00).

Prenumerata ulgowa dla prenumeratorów KULTURY:
F. 70,00 (dol. 14,00; £.stg. 6.00).

Każdy kto zdobędzie nowego prenumeratora *Zeszytów* otrzyma bezpłatnie „Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego, które ukazały się w „Bibliotece Kultury” w końcu stycznia - na początku lutego br.

Archiwum polityczne

Kordian i cham

Jak każdego lata i w ubiegłym roku odwiedziła mnie garść młodych ludzi z Kraju. Utkwił mi w pamięci zwłaszcza jeden młody człowiek, który spędził u nas dwa popołudnia.

Powiedział mi, że jest zdumiony łatwością z jaką nawiązał ze mną kontakt. Mój krajowy gość jest urodzony w roku 1945 a ja w roku 1906. Wydawałoby się więc, że poza wspólnotą języka nic nas nie łączy a wszystko dzieli.

Później uświadomiłem sobie, że owa łatwość i bezpośredniość kontaktu polegała na tym, że ów młodzieniec stanowił niemal dokładną kopię moich uniwersyteckich kolegów z lat 1924-29. Patrzyłem na niego ze wzruszeniem, jak na moje własne ucieleśnione wspomnienie młodości. Dosłownie identyczni młodzi ludzie — może tylko z nieco krócej obciętej włosami — siedzieli niegdyś obok mnie na ławach uniwersyteckich.

Mój znajomy powiedział mi, że rozmawia ze mną tak jakby mnie znał całe życie. Odpowiedziałem, że w pewnym sensie znaleźliśmy się całe życie, ponieważ mimo różnicy pokolenia oraz faktu, że 33 lat przebywam poza Krajem — tak on jak i ja należymy do tej samej formacji polskiej inteligencji. Dlatego — jak sam przyznał — łatwiej znajduje wspólny język ze mną niż z pewnymi swoimi rówieśnikami w Kraju, którzy należą do innej formacji inteligencji polskiej.

Mojego stryja Leonarda Mieroszewskiego, który jedyny z mojej rodziny utrzymał się do końca przy rodowym majątku — odwiedzałem często, ponieważ miałem mu wiele do zawdzięczenia. Podczas jednej z takich dłuższych wizyt, w słotne i osowiałe popołudnie, zabrałem się z nudów do studiowania wielotomowego herbarza Niesieckiego. Wertowałem grube tomiska jak książki telefoniczne. Najpierw szukałem nazwisk moich kolegów, potem znajomych i wreszcie sprawdziłem szlacheckość moich

Artykuł ten Redakcja traktuje jako dyskusyjny.

profesorów. Zauważyłem, że o ile nazwiska wielu moich kolegów nie figurują w Niesieckim, o tyle niemal wszyscy profesorowie uniwersytetu wywodzą się ze stanu szlacheckiego. Oczywiście były wyjątki. Znakomity historyk prawa rzymskiego prof. Taubenschlag, Pigoń czy (ówcześnie) docent Bulas — nie pochodzili ze szlachty. Lecz grupa nie-szlachecka stanowiła zdecydowaną mniejszość.

Kilka lat później przeprowadziłem analogiczne badania w stosunku do kilku innych polskich uniwersytetów. Na podstawie tych danych ogłosiłem w *Kuryerze Literacko-Naukowym* (niezależny dodatek do IKC'a) dłuższy artykuł, który jak większość moich artykułów wywołał liczne kontrowersje.

Główne tezy mojego ówczesnego artykułu można by streścić następująco.

Powstania w głównej mierze były dziełem szlachty. Po upadku powstań wyrazicielem szlacheckiej idei niepodległościowej była literatura. Ponieważ inteligencja składała się głównie z ludzi szlacheckiego pochodzenia — wszystkie nurty politycznej, społecznej, naukowej — były *de facto* przedłużeniem kultury szlacheckiej. Piłsudski był szlachcicem i Daszyński był szlachcicem. Szlachcicami byli Sienkiewicz, Prus, Żeromski i dziesiątki innych. Niektórzy historycy literatury podawali w wątpliwość szlachectwo Mickiewicza. Zagłuszono jednak szybko niewczesnych śmiałków, bo nasz główny wieszcz narodowy musiał być szlachcicem.

Przymusowa lektura „Pana Tadeusza” i analiza epopei pod czujnym okiem pedagogów stanowiła wstęp do długiego procesu indoktrynacji kulturą szlachecką. Syn chłopca czy robotnika musiał na równi z synami szlacheckimi uczyć się na pamięć długich fragmentów eposu stanowiącego gloryfikację Polski szlacheckiej.

Niektórzy z moich kolegów chłopskiego pochodzenia — mając lat 14 („Pana Tadeusza” czytało się w 4 klasie gimnazjalnej) — często nie wiedzieli co to jest „klejnot”, „ryngraf”, „wyloty kontusza” — i my, szlacheckie pacholeta, którzy znaleźmy realia szlacheckiej kultury od najwcześniejszego dzieciństwa, musieliśmy objaśniać naszymi mniej uprzywilejowanym kolegom co owe dziwne słowa oznaczają. Lecz przyznać się w klasie przed profesorem do braku znajomości tych spraw — było równoznaczne z podkreśleniem swego nie-inteligenckiego pochodzenia.

Dziecko naśladowuje swoich rodziców — chłopiec w szkole naśladowuje swoich nauczycieli. Uczymy się poprzez naśladowanie.

W okresie mojej wczesnej młodości można było naśladować, tzn. poznawać i przyswajać sobie, kulturę szlachecką ponieważ inna kultura nie istniała.

Studia uniwersyteckie dawały nie tylko stopień czy dyplom naukowy lecz stanowiły również nową formę nobilitacji. Po ukończeniu uniwersytetu syn chłopca czy robotnika stawał się pełnoprawnym członkiem inteligencji. Absorbował kulturę szlachecką i uważał ją za swoją. Młody góral z dyplomem uniwer-

syteckim wierzył niezachwianie, że „Pan Tadeusz” czy „Trylogia” są w równej mierze jego eposami jak i jego kolegów pochodzących z rodów szlacheckich. Stając się inteligentem przejmował na swe barki całą tradycję i patriotyczno-kulturalny „ethos” szlacheckiej kultury.

Gdy po ukończeniu studiów spotykałem czasem moich góralskich kolegów z gimnazjum w Nowym Sączu — bywałem zdumiony ich metamorfozą. Z nieokrzęsanych wyrostków przemieniali się w dobrze ubranych panów „z towarzystwa” i ich mowa, sposób bycia i zachowania — w niczym nie zdradzały ich góralskiego pochodzenia. Ci młodzi panowie nie byli już góralami tylko stuprocentowymi inteligentami czy nobilitowanymi „neoszlachciami”.

Góral, doktor filozofii w portkach z parzenicami i w narzucionej na ramiona guni — byłby pośmiewiskiem zarówno wśród górali jak i wśród inteligentów. W owych czasach inteligenci w cwikerze i w chłopskiej sukmanie trafiali się tylko w teatrze rzadko w życiu.

„Wyjść na człowieka” jak się w owych czasach mawiało dla synów chłopskich i robotniczych oznaczało wyjście i opuszczenie raz na zawsze macierzystej warstwy społecznej. Nie było bowiem w szerszej skali inteligencji chłopskiej czy robotniczej. Witos — brakiem krawatki — brawurowo podkreślał fakt, że jego status stanowi wyjątek a nie regułę.

Inteligenci pochodzenia inteligenckiego stanowili większość i tym samym wzorzec szlacheckiej kultury przekazywany był z pokolenia na pokolenie.

W okresie mojej wczesnej młodości znałem wielu moich rówieśników o skrajnie lewicowych przekonaniach. Ci z nich, którzy związani byli z komunizmem i przeżyli — wystąpili z partii w Polsce Ludowej. Natomiast kilku moich kolegów, którzy w Polsce dwudziestolecia byli poprawnie prawicowi i wykpiwali moje socjalistyczne sympatie przetrwali Bieruta i Gomułkę i do dziś są podporami partii. Jeden z nich zajmuje wybitne stanowisko w aparacie partyjno-rządowym. Lecz ci panowie, w zgodzie z tradycją polskiej inteligencji — należeliby do każdej partii sprawującej władzę. Gdyby żyli w okresie zaboru austriackiego byłiby lojalnymi urzędnikami CK starostwa, czy CK namiestnictwa. Ponieważ żyją w okresie zaboru sowieckiego przenieśli się szybko z BBWR do PZPR. Biurokracja musi istnieć a inteligencja jest i zawsze była dostarczycielką urzędników.

W „Panu Tadeuszu” czytamy, że szlachcic bez urzędu jest jak chart bez ogona. Na emigracji stworzyliśmy nieprzebrane zastępy prezesów, wiceprezesów, sekretarzy, przewodniczących — nie mówiąc o ministrach, generałach i pułkownikach (czasu „wojny”) — ponieważ inteligencja polska nawet na obczyźnie musi urzędować. Być kimś, oznaczało zawsze mieć urząd. Stąd niechęć inteligentów do tak zwanych wolnych zawodów jak przemysł czy handel.

Inteligencja, podobnie jak niegdyś szlachta, nie jest klasą społeczną tylko stanem. Traktowanie inteligencji jako klasy społecznej w analogii do klasy robotniczej czy włościańskiej prowadzi do zasadniczych nieporozumień.

W niniejszym artykule nie interesuje nas jednak socjologiczna analiza inteligencji. Chciałem tylko podkreślić janusowe oblicze tej warstwy, która dostarczała zarówno lojalistów jak i bojowników niepodległościowych. Uformowały nas w ten sposób dwa stulecia niewoli.

Pan Wołodyjowski czy Kmicic mówili często o Ojczyźnie, lecz nie mówili nigdy o niepodległości. Nawet w okresie potopu szwedzkiego niepodległość nie stanowiła zagadnienia. Polacy nigdy nie bali się Szwedów. W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej jedynym narodem, którego Polacy naprawdę się bali — byli Turcy. Swoistą ironią — w którą dzieje ludzkie obfitują — jest fakt, że potęga otomańska, której baliśmy się nadmiernie i w rezultacie popełniliśmy poważne błędy, była jedynym mocarstwem, które nie uznało rozbiórów Polski.

W czasach Pierwszej Rzeczypospolitej niepodległość uważano za oczywistość a o rzeczach z natury swej oczywistych nie ma potrzeby dyskutować. Idea niepodległościowa zrodziła się po rozbiorach. Reprezentowała ową ideę szlachta i jej spadkobiercy — polska inteligencja. Stalin — zgodnie z tradycją carską — odmową pomocy zdławił Powstanie Warszawskie, które było ostatnim zbrojnym zrywem inteligencji polskiej.

Jeżeli za 100 lat od dziś Polska będzie państwem niepodległym — nasi historycy będą pisali, że naród polski przetrwał dziesiątki lat totalistycznej sowieckiej niewoli.

Lecz co to znaczy, że naród przetrwał?

W przeszłości przetrwanie gwarantowały dwa elementy. Część inteligencji z postulatu niepodległości wypracowała ogólnonarodową ideologię. W rzeczywistości była to ideologia stanu szlachecko-inteligenckiego. Lecz wówczas nikt nie kwestionował faktu, że w imieniu narodu mówi i działa inteligencja.

Bardzo znaczny procent inteligencji kolaborował z zaborcami. Wprawdzie starosta lwowski po pierwszym rozbiore odmówił przysięgi na wierność Marii Teresie — niemniej w storkiladzieści lat później Polacy bywali premierami, ministrami, generałami, ambasadorami, namiestnikami — monarchii austriacko-węgierskiej.

Kolaboracja w zaborze rosyjskim i pruskim wyglądała mniej efektownie lecz była również zjawiskiem powszechnym. Generał Anders — pod którym miałem zaszczyt służyć wiele lat — był nie tylko zawodowym oficerem armii rosyjskiej lecz zajmował wysokie stanowisko szefa sztabu dywizji.

Pomiędzy Pierwszą Rzeczypospolitą a potęgami zaborczymi — choć istniały różnice ustrojowe i polityczne nie istniały różnice ideologiczne. Rosja, Austria, Prusy podobnie jak Pierwsza Rzeczypospolita były chrześcijańskimi monarchiami europejskimi. Rosjanie, Austriacy, Niemcy — to nie byli XVI-to - XVII-towieczni

Turcy z ich mahometańskim bezwzględny uniwersalizmem, który dzielił świat ideologiczną zaporą na wiernych i niewiernych.

Dzisiaj sytuacja wygląda inaczej. Pomiędzy republikańską Francją a monarchiczną Anglią istnieją różnice ustrojowe, lecz nie istnieją różnice cywilizacyjne. Natomiast komunizm to jest nie tylko inny ustrój lecz i inna cywilizacja. Jak wiemy, cywilizacja opiera się na pewnych skalach wartości — jak wolność słowa, nienaruszalność praw obywatelskich, swoboda twórczości artystycznej itd. Cywilizacja zachodnia i jej jedyne na świecie osiągnięcia naukowe i twórcze — okazały się możliwe dzięki temu, że po długim okresie zmagania zdołaliśmy oddzielić metafizykę od fizyki. Doszliśmy do wniosku, że nauka ani nie zaprzecza ani nie potwierdza tez metafizyki, ponieważ metafizyka z religią na czele dotyczy wglądu na innym szczeblu poznania.

W świecie komunistycznym obserwujemy odwrót od tak pojmowanej cywilizacji zachodniej. W średniowieczu teologia była królową nauk i domagała się całkowitej zgodności fizyki z metafizyką. Podobne średniowieczne warunki panują dziś w państwach komunistycznych, gdzie ideologia usurpuje status królowej nauk i domaga się absolutnej zgodności nauki i literatury z jej metafizycznymi tezami. Na Zachodzie istnieje jasno zarysowany podział na rzeczy sakralne i świeckie. Natomiast na Wschodzie wszystko musi być „sakralne”, w przeciwnym bowiem wypadku staje się heretyckie i rewizjonistyczne.

Polska współczesna znajduje się nie tylko pod supremacją obcego mocarstwa lecz również w orbicie antyzachodniej cywilizacji. Zabór oznacza dziś zupełnie coś innego niż dawniej. Polacy rządzą w Warszawie — czego nie było za czasów carskich lecz równocześnie w całej Polsce obowiązuje antyzachodnia totalna ideologia.

Lecz trzeba przetrwać i Polacy na pewno przetrwają. Inteligencja jednak — na skutek całkowicie odmiennej sytuacji — proces przetrwania pojmuje inaczej niż dawniej.

Wspomniałem na wstępie młodego człowieka z Kraju, który wprowadził mnie w zdumienie. Ofiarował mi miniaturowego orzełka na szpilce. Orzełka z koroną. Nie przywiązywałem nigdy żadnej wagi do korony na głowie polskiego orła, lecz dziś w oczach pewnej grupy młodzieży inteligenckiej w Kraju korona urosła do symbolu niepodległości. Mój młody znajomy mówił mi również, że w kole jego bliskich kolegów panuje ogromne zainteresowanie Polską niepodległą dwudziestolecia. Młodzi ludzie o których mówimy doszli do wniosku, że zostali w tej sprawie okłamani. Uważają, że władze PRL celowo oczerniają Polskę dwudziestolecia ponieważ porównanie prawdziwego obrazu Polski sprzed roku 1939 z Polską Ludową — wypadłoby na niekorzyść PRL.

Mój znajomy i jego koledzy przeczytali z uwagą pisma Marszałka Piłsudskiego i gorliwie zbierają książki wydane w okresie dwudziestolecia.

Zapytany co sądzi o rządzie polskim na emigracji młodzieniec odpowiedział, że jest to konsekwentna postawa i zgodna z tradycją rządu narodowego. Z chłopięcym zachwytem opowiadał, że widział na tabliczce Instytutu Im. Gen. Sikorskiego orła w koronie. W Polsce Ludowej jak długa i szeroka nie ma ani jednej takiej tabliczki. Mało tego, mój młody przyjaciel oświadczył, że rząd polski w pierwszym dniu niepodległości winien przywrócić wojsku rogatywki.

Jego ojca zabili Rosjanie a on sam jest inteligentem z dziada pradziada. To tłumaczy wiele — choć nie tłumaczy wszystkiego.

Renesans zainteresowań Drugą Rzeczpospolitą obejmuje szerszy krąg społeczny niż grupa kolegów mojego młodego znajomego. Młode pokolenie nie wierzy oszczerczej propagandzie, która *nota-bene* była dziełem ludzi starszego pokolenia, które pamięta czasy przedwojenne.

Jak wszystko na świecie Druga Rzeczpospolita miała swoje blaski i cienie. Gdyby zezwolono na krytyczną obiektywną analizę okresu międzywojennego — nie byłoby dziś wśród młodych pewnej kategorii — tendencji odrzucania wszelkiego krytycyzmu jako czarnej propagandy.

Jak wiemy, w epoce porozbiorowej analizowano, krytykowano i dyskutowano dzieje pierwszej Rzeczpospolitej szukając uporczywie przyczyn jej upadku.

Od roku 1956 odwiedziło mnie jeżeli nie setki to wiele dziesiątków ludzi z Kraju. Choć w PRL nigdy nie byłem przedyskutowałem setki godzin z inteligentami z Polski najrozmaitszych przekonań i z różnych środowisk. W oparciu o moje prywatne biuro badań opinii inteligencji polskiej — doszedłem do pewnych wniosków, które chciałem przedstawić Czytelnikom. Fakt, że od 25 lat przebywam w Anglii umożliwia mi spojrzeć z zewnątrz na omawiany problem mimo, że jako inteligent stanowię częstą składową zagadnienia.

Inteligencja „szlachecka” — jeszcze raz podkreślam, że mianem tym obejmuję inteligentów, którzy bez względu na pochodzenie przyswoili sobie kulturę po-szlachecką — należy do przeszłości. Renesans modelu tej kultury wśród nielicznych grup inteligentów w Polsce spowodowany jest — zwłaszcza wśród młodych — głodem identyfikacji. Legitymacja partyjna czy członkostwo takiej czy innej organizacji nie daje odpowiedzi na klasyczne już dziś pytanie: „Polaku kim jesteś”? Na to pytanie daje tylko odpowiedź przynależność do określonego modelu kultury.

Należy jeszcze podkreślić sprawę o istotnym znaczeniu. Inteligencja po-szlachecka była chorąży, bojownikiem i organizatorem idei niepodległościowej. W Polsce Ludowej nie ma elit inteligentkich, które przyznawałyby się do idei niepodległości. W okresie „Wiosny Praskiej” można było być czechosłowackim komunistą i niepodległościowcem. Komunizm Dubczeka oznaczał demokrację na wewnątrz i maksimum osiągalnych w danym układzie niezależności na zewnątrz.

W Polsce Ludowej wstępując do partii rezygnuje się tym samym z jakiegokolwiek suwerenności, choćby nawet bardzo ograniczonej. Nie wszystkich to martwi. Przed wielu laty rozmawiałem z młodym inteligentem, synem chłopca, który pierwszy ze swej rodziny zdobywał uniwersyteckie wykształcenie. Ow student powiedział mi bez wahania, że jeżeli niepodległość miałyby oznaczać powrót do gospodarki folwarcznej sprzed roku 1939 to chłopci — inteligenci czy nie inteligenci — wolą Polskę Ludową z jej ułomną niepodległością.

To samo dotyczy robotników. Ileż razy słyszałem z ust krajowców opinię, że na emigracji przez niepodległość rozumiemy Polskę kapitalistyczną wraz z jej przedwojenną konstytucją. Szumne deklaracje, że po odzyskaniu niepodległości „naród przez demokratycznie wybrany parlament wypowie się w tych sprawach” — są zasłoną dymną, która umożliwia emigrantom nie akceptowanie zmian społeczno-gospodarczych jakie zaszyły w Kraju. Polska klasa robotnicza nie poprze idei niepodległości — jeżeli niepodległość miałyby oznaczać przywrócenie kapitalizmu opartego o konstytucję przedwrześniową i ustrój z nią związany.

Wszystko to już było dawno, dawno temu. Chłopi polscy w Galicji uważali cesarza Franciszka Józefa za gwaranta ich wolności obawiając się, że niepodległość Polski wyrazi się w stosunku do nich przywróceniem pańszczyzny.

Na emigracji jedyna *Kultura* zajęła w tych sprawach jasne stanowisko. Od samego początku reprezentowaliśmy pogląd, że konstytucja przed-wrześniowa nie może być nawet symbolicznym „herbem” idei niepodległościowej. Rozumieliśmy bowiem, że Trzecia Rzeczpospolita, która będzie sukcesorką Polski Ludowej — odrzucając komunizm — zatrzyma zdobycze socjalizmu. Tak jak w polskich warunkach nie może być powrotu do wielkoobszarniczej prywatnej gospodarki rolnej — tak nie może być również kapitalistycznej re-prywatyzacji wielkich zakładów przemysłowych.

Fakt, że bardzo wielu Polaków w Kraju — nawet tych, którzy z nami się nie zgadzają — uważa od 25 lat *Kulturę* za jedyne „światelko w tunelu” tu bierze swe źródło.

Inteligencja po-szlachecka — do której należy autor niniejszych rozważań — jest na wymarciu. Pogrobowcem można być równie dobrze mając 66 jak i 22. Młody człowiek z Kraju o którym wspominałem na wstępie — nawiązał ze mną natychmiastowy kontakt, ponieważ obaj jesteśmy pogrobowcami.

Skąd biorą się w Polsce Ludowej młodzi pogrobowcy? Są nieliczni i rodzi ich komunistyczna „pustynia elit”. W porównaniu z Bierutem, Gomułą, Gierkiem — Piłsudski, Dmowski, Witos to byli giganci. Polska przedwrześniowa była w porównaniu z PRL wielką wybitnymi ludźmi, obfitowała w elity twórcze, błyszczała świetnymi nazwiskami w literaturze, w teatrze i w malarstwie. Jej jedyną wadą był fakt, że żyła tylko 20 lat i nie miała szansy naprawienia błędów młodości.

Dla nielicznej grupy młodych ludzi w Kraju Polska dwudziestolecia — szkalowana i obrzucana błotem przez reżym komunistyczny — stała się wizją innej Polski niepodległej i demokratycznej.

Lecz grupy owych neo-po-szlacheckich młodych inteligentów nie mają przed sobą żadnych perspektyw, ponieważ proces produkcji inteligencji uległ zasadniczej przemianie.

W Polsce przedwrześniowej profesorowie i młodzież akademicka w większości składali się z inteligentów inteligenckiego pochodzenia. Synowie chłopów i robotników stanowili mniejszość. Młodych chłopów i robotników, którzy dobrnęli do uniwersytetów wchłaniała kultura, która choć socjologicznie wywodziła się z jednej warstwy — była kulturą panującą.

Dziś w PRL sytuacja wygląda zgoła inaczej. Przede wszystkim należy podkreślić, że inteligencja po-szlachecka poniosła olbrzymie straty biologiczne. Wrzesień, okupacja, obozy koncentracyjne, masowe zsyłki w głąb Sowieców, Armia Krajowa, Powstanie Warszawskie, emigracja do wojska polskiego na Zachodzie — wszystko to ogołociło Kraj z inteligencji po-szlacheckiej.

Bezpośrednio po wojnie zastosowano podwójną gilotynę — która miała na celu odciąć Polskę raz i na zawsze od wzorców jej dotychczasowej kultury.

Lecz wpieryw krótkie wyjaśnienie. Socjalizm humanistyczny i tolerancyjny byłby do pogodzenia z tradycyjną polską kulturą. Sowietyzm jest nie do pogodzenia z żadną kulturą — ani z tą, którą reprezentował Żeromski, ani z tą którą reprezentuje Sołżenicyn.

W Polsce Ludowej wszystko jest polskie z wyjątkiem nielicznej klasy rządzącej. Ci ludzie, choć są etnicznymi Polakami, ponieważ w całości zależą od Moskwy — stosują w polityce, gospodarce i kulturze — sowietyzm.

Nawet totalne państwo nie jest nigdy idealnie totalne — dzięki czemu w Polsce od czasu do czasu pojawiają się książki wartościowe. Lecz te rodzynki w cieście podkreślają tylko fakt, że ciasto jest bezpostaciową miazgą.

W Polsce Ludowej jest znacznie więcej uniwersytetów i szkół akademickich niż w Polsce przedwrześniowej. Większość studentów stanowią synowie chłopów i robotników. Młody inteligent zdobywa wykształcenie i ogląda się za kulturą, której po prostu nie ma. Kultura po-szlachecka upadła i powstała próżnia. Tak zwana „kultura socjalistyczna” nie jest ani socjalizmem ani kulturą. Podobnie „socjalistyczny realizm” nie był i nie jest ani socjalizmem ani realizmem.

Jak zaznaczyłem powyżej kultura po-szlachecka w wielu dziedzinach była anachronizmem — niemniej przez 200 lat reprezentowała aktywnie ideę niepodległościową. Ponieważ kultura po-szlachecka upadła idea niepodległościowa nie ma w Kraju żadnego intelektualnego zaplecza.

Synowie chłopów i robotników, którzy kończą studia uniwersyteckie w Polsce Ludowej — spotykają czasem pogrob-

ców kultury po-szlacheckiej, którzy wegetują w plebejskiej, powszechnej sub-kulturze. Polska nigdy nie była tak mało mieszczańska jak obecnie. Trudno się temu dziwić, ponieważ klasa „właścicieli Polski Ludowej” — w poziomie i smaku kulturalnym, w obyczajach i w chciwym materializmie wykazuje wszystkie cechy dorobkiewiczowskiego małomieszczactwa.

Oczywiście w tym mroku palą się światełka i nie brak pięknych wyjątków. Spójrzmy na *Więź* lub spójrzmy na ostatnią stronę *Tygodnika Powszechnego* z Kisielewskim, Kijowskim, Woroszyłskim, Spodkiem. Lecz fakt, że w całej prasie 33 milionowego narodu jest tylko jedna taka strona świadczy, że owa świetna kolumna reprezentuje *de facto* kulturę pogrobowców.

Andrzej Kijowski ma niewątpliwie rację wywodząc naszą ideę niepodległościową z romantyzmu. Romantykiem był Piłsudski, o czym może najlepiej świadczy motto „wybrane dla życia” z wiersza Słowackiego.

Polska dwudziestolecia była realizacją marzeń romantyków a 14-ty punkt Wilsona mógłby stanowić fragment Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa.

Lecz jest już czas podsumować nasze rozważania i wysnuć pewne wnioski.

Gdyby nie było drugiej wojny światowej i komunistycznych rządów w Polsce — nawet i wówczas inteligencja po-szlachecka nie zdołałaby na dłuższą metę utrzymać swej elitarniej pozycji. Proces „nobilizowania” synów chłopskich i robotniczych poprzez patent uniwersytecki dobiegłby kresu.

Komunizm wypaczył i opóźnił naturalną ewolucję. W demokratycznej Polsce młodzież chłopska i robotnicza stanowiłaby nie tylko większość na uniwersytetach lecz stanowiłaby również, w wieku dojrzałym, większość tych, którzy tworzą narodową kulturę. W warunkach swobodnego rozwoju powstałaby nowa inteligencja, która nie szukałaby „nobilizacji” — ponieważ byłaby świadoma swojego własnego, oryginalnego dorobku kulturalnego. Nie ulega wątpliwości, że owa nowa inteligencja formułowałaby odmienną ideę państwowej niepodległości niż formułowała ją inteligencja wywodząca się w prostej linii z romantyzmu i z wielkiej emigracji.

Inaczej mówiąc, gdyby Polska niepodległa żyła i trwała nieprzerwanie od 1918 roku proces „mutacji elit” odbywałby się u nas stopniowo i ewolucyjnie — podobnie jak w państwach zachodnio-europejskich. Prawdopodobnie w roku 1973 nikt by już w Polsce nie mówił o inteligencji tylko o ludziach pracy. Termin „inteligencja” jako określenie warstwy społecznej wyszedłby z użycia. Kordian istnieje tylko w konfrontacji z Chamem. Z chwilą gdy nie byłoby chamów — nie byłoby i Kordianów.

Komunizm zatrzymał normalną ewolucję społeczną. W rezultacie stale rosnące kadry inteligencji chłopskiej i robotniczego pochodzenia nie mają możliwości wypracowania własnego profilu kulturalnego.

Gdyby uznać moje kontakty i rozmowy za „badania opinii młodej inteligencji” — to należałoby stwierdzić, że najlicniejszą grupę stanowią młodzi ludzie na rozdrożu. Romantyczny program niepodległościowy (w najszerszym tego słowa znaczeniu) młodzi tej grupy uważają za „naftalinę”. Komunizmu nienawidzą i gardzą nim. Pragną się dorobić i przetrwać w możliwie komfortowych warunkach. Słowu „przetrwać” nadają zupełnie inny sens niż my. Dla nas „przetrwanie” implikuje oczekiwanie. Młodzi tej grupy niczego nie oczekują, ponieważ uważają, że niepodległość i demokracja „nie figurują w tabeli osiągnięć dwudziestego wieku”. W rozmowach podkreślali, że nie są „zawodowymi Polakami” jak my w *Kulturze* i skutek tego sprawy bytowej interesują ich znacznie więcej niż polityka. To są często kulturalni, wykształceni ludzie, których interesuje Gombrowicz, Staliński, Kołakowski, Miłosz — lecz nie problematyka polityczna. Ich „credo” można streścić następująco. W sprawach ustroju i niepodległości nie może nic zrobić. Narażać się czy „wychylać” nie ma sensu. W istniejących warunkach w Kraju trzeba stworzyć sobie najpełniejsze życie w sensie materialnym i kulturalnym.

Socjologiczną cechą charakterystyczną dla tej grupy młodych jest brak poczucia lojalności wyższego szczebla. Odnoszą się z nieufnością zarówno do władz PRL jak i do instytucji emigracyjnych. Ideologię PRL uważają za propagandową blagę a ideologię emigracyjną za anachronizm.

Ci młodzi, choć sobie tego jasno nie uświadamiają, czekali zapewne na „autobus” normalnego społecznego rozwoju ich pokolenia. Lecz do przystanku gdzie startowali swoje życie ów „autobus” nigdy nie dotarł.

Powtarzam jeszcze raz. Normalny rozwój powinien był się wyrazić zmajoryzowaniem i wchłonięciem inteligencji starego typu przez inteligencję pochodzenia chłopsko-robotniczego. W prawidłowych warunkach proces ów nie oznaczałby konfrontacji tylko asymilację mniejszości przez większość. Pewne wartości wypracowane przez pokolenia inteligencji po-szlacheckiej stałyby się własnością całego narodu — choć inteligencja pojęta jako całość — miałaby charakter chłopsko-robotniczy. To byłaby prawdziwa Polska Ludowa.

Stało się inaczej ponieważ utrata niepodległości przedłużyła historyczną licencję inteligencji po-szlacheckiej z całym jej romantycznym bagażem.

Wszystko zależy od definicji. Jeżeli ktoś głosi tezę, że przywrócenie Polsce choćby najskromniej zdefiniowanej niepodległości jest romantyzmem — to piszący te słowa jest zdeklarowanym romantykiem.

Powiedzenie Clausewitza, że polityka jest grą rzeczy możliwych, dotyczy metod i taktyki a nie celów. Był czas, że Niemcy składały się z 38 księstw i księstewek i zjednoczenie było nie tylko mrzonką lecz absurdem. A jednak Bismarck dokonał cudu zjednoczenia Niemiec.

Niepodległość Polski — skromnie lecz istotnie pojęta — nie jest mrzonką ponieważ jest koniecznością. To co jest niezbędnie konieczne wcześniej lub później staje się możliwe. Tylko wówczas gdyby większość narodu polskiego przestała odczuwać ów postulat za konieczny i niezbędny — niepodległość Polski stałaby się mrzonką pozbawioną wszelkiego realizmu.

Istotę współczesnego kryzysu inteligencji polskiej stanowi fakt, że chłopsko-robotnicza jej część wychowuje się i formuje na ideowej pustyni. Z drugiej strony pogrobowcy starszego i średniego pokolenia tak w Kraju jak i za granicą — mają mały związek z współczesnością, na którą patrzą z perspektywy wspomnień.

Nie pomniejszając wielkiego historycznego wkładu inteligencji pierwszej i drugiej emigracji oraz naszych licznych przyjaciół w Kraju — wydaje mi się oczywiste, że niepodległość i ustrój Polski, której nie doczekamy — będzie dziełem nowej inteligencji w przytaczającym procencie pochodzenia chłopsko-robotniczego.

Lubię czasem przeglądać historię pierwszej wojny światowej A. J. P. Taylora. Patrząc na fotografię żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą — nie mogę oprzeć się wrażeniu, że oglądam album „familijnych fotografii”. Wszystko niemal identyczne — te same hełmy, te same twarze, ta sama pozorna niedbałość i nonszalancja w geście i te same krzepkie ręce dzierzące karabin z tym samym beznadziejnie długim bagnetem, który w Sidi Bishr nazywaliśmy „śledziem”. Dosłownie tak samo wyglądali dwadzieścia kilka lat po walkach nad Sommą moi brytyjscy towarzysze broni w Palestynie, w Iraku, w Afryce. Jakby z martwych powstałi ze swych dalekich francuskich grobów by podjąc nową rozprawę z Niemcami.

Dwie końcowe refleksje. Pokolenia wymierają lecz narody trwają. Genetyczno-psychiczna konstytucja dziedziczona jest z pokolenia na pokolenie — dzięki czemu, mimo wszystkich przemian, Anglicy pozostają zawsze Anglikami a Polacy Polakami. Na szczęście czy na nieszczęście.

Młoda polska inteligencja chłopsko-robotnicza — choć dziś do nas starych „kordianowskich” inteligentów mało podobna — za dwadzieścia kilka lat — choć my tego oglądać nie będziemy — znacznie się do nas upodobni. Aczkolwiek historia nie wyrównuje, to przecież niezmiernie łagodzi tzw. przepaść pokoleniową.

I refleksja druga. Patrząc na fotografię młodych żołnierzy brytyjskich w rowach strzeleckich nad Sommą myślę, że ci synowie robotników i sklepikarzy — ci urodzeni praktycy — nie zdając sobie z tego sprawy walczyli i umierali na to, by punkty Wilsona — które według słów Kijowskiego realizowały sny romantyków — mogły stać się rzeczywistością.

Przewertujcie historię! Zawsze tak było. Sny romantyków urzeczywistniali realiści. Gdyby nie było romantyków — realiści nie mieliby czego urzeczywistniać.

Juliusz MIEROSZEWSKI

7-my Bundestag w Bonn

Wynik listopadowych wyborów do siódmego powojennego parlamentu w Niemczech Zachodnich okazał się dla socjalistów i liberałów, plebiscytem bardzo korzystnym, zatwierdzającym ich dotychczasową koalicję i kierunek polityczny na najbliższe czterolecie.

Socjaliści wyszli z wyborów jako najliczniejsza frakcja w parlamencie — liberałowie, zdobywszy 8,4% wyborców, uzyskali 41 mandatów i wybrnęli z wewnętrznego kryzysu, grożącego im zniknięciem z areny politycznej w wypadku nie otrzymania konstytucyjnego minimum 5% ogólnej ilości głosów.

Obecnie socjaliści (SPD) posiadają 230 mandatów, liberałowie (FDP) 41, chadecy ogólnoniemieccy (CDU) 177, chadecy bawarscy (CSU) 48. Poza powyższymi w Bundestagu zasiądzie 22 posłów Zachodniego Berlina, z których 12 reprezentuje berlińskie SPD, 9 CDU i 1 FDP.

Berlińscy posłowie nie biorą udziału w głosowaniach Bundestagu, zasiadają jednak w komisjach, biorą udział w obradach, a każdy rząd musi się liczyć z opinią berlińczyków.

W sumie — dotychczasowa koalicja rządząca SPD & FDP posiada 271 mandatów, a unia opozycyjna CDU & CSU 225. Przewagę rządową stanowi 46 posłów, a w delegacji berlińskiej trzynastu posłom prorządowym przeciwstawić się może 9 posłów CDU.

W porównaniu z poprzednim Bundestagiem, rządząca od trzech lat koalicja osiągnęła nadspodziewany sukces. Przed trzema laty początkowa przewaga koalicji wynosiła zaledwie 12 głosów. Gdy z biegiem czasu siedmiu posłów (4 liberałów i 3 socjalistów) opuściło szeregi koalicji, a sześciu z nich przerzuciło się do opozycji, nastąpił parlamentarny bezwład 248 contra 248 głosów. Bundestag rozwiązano na rok przed upływem kadencji, zarządono nowe wybory, których wynik spowoduje liczne i dużej wagi skutki polityczne nie tylko w samych Niemczech, ale i na międzynarodowym terenie.

Do głosowania upoważnionych było ponad 41 milionów obywateli, w czym przeszło 21 mln kobiet i przeszło 19 mln mężczyzn. Wobec obniżonego do 18 lat wieku upoważniającego do głosowania, stawało po raz pierwszy przed urną 4,8 mln młodszych z mniej więcej wyrównanym żeńskim i męskim udziałem. Oddano rekordową ilość 37,7 mln ważnych kartek wyborczych, czyli 91,2% uprawnionych.

Rezultat wyborów przede wszystkim przesądził — na dłuższy niż jedna kadencja okres — żywotność trójpartyjnego systemu; zatwierdził Willi Brandta na urządzie kanclerskim i akceptował

jego tak bardzo różnorodnie interpretowaną *Ostpolitik*; zdecydował dalsze trwanie koalicji SPD & FDP; pozbawił ostatecznie politycznego znaczenia skrajnych nacjonalistów i komunistów, choć nie zlikwidował ani jednych, ani drugich; wreszcie — dobitnie wykazał jak dla trwałości rządów korzystną jest klauzula ustalająca pięcioprocentowe minimum głosów dla wejścia partii do Bundestagu.

Dziś, w siedemnastym dniu po ujawnieniu wyników głosowania, wprawdzie skład i struktura nowego rządu nie są jeszcze ustalone, ale zamierzony jego kierunek nie kryje niespodzianek. Dla liberałów stało się jasne, że jeśli chcą utrzymać trójpartyjny system w Republice Związkowej to jeszcze przez dłuższy czas muszą współdziałać z socjalistami. Socjaliści zaś — nie oddając się marzeniom osiągnięcia w 1976 roku absolutnej większości i nie przewidując możliwości wznowienia „Wielkiej Koalicji” z chadecją — rozumieją konieczność długoterminowej współpracy z liberałami.

Wydaje się po wyborach, że unia opozycyjna dochodzi z trzechletnim opóźnieniem do przekonania, że zaciekle stosowana taktyka generalnej dyskryminacji rządu SPD & FDP i łuskania parlamentarzystów z koalicji rządzącej na swoje podwórko — była raczej błędem politycznym, który w dużej mierze przyczynił się do nadspodziewanie negatywnego dla chadecji wyniku.

Powyższa taktyka chadecji niewątpliwie spowodowała wcale nie zamierzany skutek: skonsolidowała partię liberalną i przywróciła jej dawne oblicze o bezsprzecznie dobrej starej tradycji kilku pokoleń i wielu historycznych już osobistości. Wymieńmy tu choćby z najnowszej historii nazwisko profesora Theodora Heussa, pierwszego Prezydenta Republiki Federalnej. Także niezamierzonym skutkiem jest zmiana nastrojów w szeregach partyjnych: w 1966 roku próbna ankieta wskazywała że 75% wyborców życzy sobie współpracy z chadecją. Obecnie podobna ankieta stwierdza że 80% żąda kontynuowania koalicji z SPD.

Listopadowe wybory zamknęły ostatecznie i przesunęły do archiwum tzw. erę Adenauera, w której niepoślednim czynnikiem politycznym było hasło bezwzględnej walki z socjalistami. Śladów tego hasła bez trudu można było doszukać się w niezwykle napastliwie prowadzonej propagandzie przedwyborczej chadeków.

Adenauerowską erę cechował także prymat osób przed programami. Być może w pierwszym powojennym okresie taktyka personalna była skuteczniejsza od programowej, ale w 1969 roku chadecja potknęła się propagując ponad wszystko osobę kanclerza K. G. Kiesingera. W ostatnich wyborach, stosując nadal propagandę personalną, gloryfikując własną ekipę, a dyskredytując przeciwników politycznych, chadecja nie doceniła bardzo już dziś wysokiego upolitycznienia własnego społeczeństwa, zwłaszcza młodszej jego części.

Czynnik uroku osobistego kandydatów niewątpliwie będzie zawsze odgrywał dużą rolę w wyborach, ale niezawsze decydu-

jąca. Niewątpliwie, kanclerz Brandt osobistym urokiem w publicznych wystąpieniach zdobył sporo głosów dla swej partii. Niewątpliwie, kilku czołowych chadeczków talentem wzbudzania antypatii odrzuczyli jakąś ilość wyborców. Ale niewątpliwie także się wydaje, że sukces socjalistów jest przede wszystkim wynikiem wyraźnego programu politycznego, a powodzenie liberałów jest wynikiem renesansu partyjnego, zapoczątkowanego odejściem elementu nie mieszczącego się w tej partii.

Podczas ery Adenauera żeńskie głosy stanowiły podstawę sukcesów wyborczych chadecji. Ostatnio w obu częściach unii opozycyjnej przymiotnik „chrześcijański” wyraźnie traci swą dawną siłę magnetyczną. W Kolonii w listopadowych wyborach 53,5 % kobiet głosowało na SPD, gdy przed kilku laty odpowiedni odsetek nie sięgał czterdziestki. Może mniej jaskrawo, ale podobnie, padły żeńskie głosy i w innych miastach niemieckich. Mało przemawia za tym, by to zjawisko uznać za skutek szerzącej się obojętności religijnej.

Wielu komentatorów przypisuje triumf wyborczy koalicji Brandt & Scheel ich *Ostpolitik*. Wokół tej „polityki wschodniej” powstała tak wielka ilość biegunowo rozbieżnych interpretacji, nie tylko w Niemczech, ale i na Zachodzie, że używając tego zwrotu należy możliwie jasno określić o czym się mówi.

Wygląda, że pod jednym względem wszyscy intepretatorzy są zgodni: w określeniu kierunkowym wschodu wszyscy mają na myśli wyłącznie Kreml, a nie Pekin, Tokio, czy Bliski Wschód. Punktem wyjściowym, skoro używamy niemieckiego słowa *Ostpolitik* winno być Bonn. Jednak Bonn to także część NATO i potężny człon Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Ale Bonn, NATO i EWG nie są tak matematycznie jednoznaczными punktami jakim jest komunistyczny Kreml. Stąd punkt wyjściowy *Ostpolitik* to plama rozmazana między Waszyngtonem, Brukselą i Bonn. Stąd pierwsza trudność definicji *Ostpolitik*.

Druga trudność: Między Bonn i Kremlem istnieją „satelici” Kremla, stwarzające zagadnienia pierwszorzędnej wagi dla Bonn, drugorzędnej dla Brukseli i piąto- albo i dziesiątorzędnej znaczenia dla Waszyngtonu.

W Republice Federalnej *Ostpolitik* Brandta i Scheela dla skrajnego nacjonalisty — to zdrada narodowa, dla skrajnego pesymisty — to kapitulacja i włączenie Niemiec Zachodnich w orbitę satelitów Kremla, dla skrajnego optymisty — to początek zjednoczenia Niemiec i ułożenia przyjazno-sąsiedzkich stosunków nie tylko na zachodniej granicy.

Poza znikomą ilością „optymistów” do żadnego z powyższych typów nie można zaliczać wyborców, którzy w listopadzie poparli rządową *Ostpolitik*. Najprawdopodobniej są to ludzie dalecy od pomysłów jakiegokolwiek krucjaty antysowieckiej, nie marzący o granicy z 1937 roku. Po doświadczeniach berlińskich w 1953 roku, w Polsce i zwłaszcza na Węgrzech w 1956, po zbudowaniu „Murów Berlińskiego” i ostatnio po zgnębieniu Czechosłowacji — ludzie ci nie wierzą w możliwość interwencji Zachodu,

chęcią utrzymać to co mają i szukają znośnego *modus vivendi* ze Wschodem.

Trwałość rządu wyłonionego przez siódmy Bundestag wydaje się zapewniona do następnych wyborów w 1976 roku, z dużym prawdopodobieństwem sukcesu wyborczego i do ósmej kadencji. Trwałość tę mogłaby wywrócić tylko jakaś bardzo poważna ultralewicowa awantura wewnętrzna wśród socjalistów, na co się nie zanoszi, ale wykluczać takiej możliwości nie należy.

Wobec zapewnionej trwałości tworzącego się rządu, układ Bonn-Warszawa, ratyfikowany wiosną rb. wśród niepowszednych rozgrywek partyjnych rozwiązanego Bundestagu, dozna zapewne ożywienia i rozbudzi cały szereg drzemiących dotychczas starych problemów, jak na przykład organizacje Polaków w Niemczech Zachodnich, jak beznadziejnie ślamazarnie wałkowane zagadnienie polskiego tutaj szkolnictwa, i innych. Między tymi innymi mam także na myśli sprawy Niemców, którzy w Republice Związkowej „czują się Polakami”.

Ale to wykracza poza temat siódmego Bundestagu.

S. W. KOZŁOWSKI

Monachium, 6 grudnia 1972 r.

Widziane z Brukseli

Człowiek to brzmi dumnie...

„...I przywieźcie mi dwa włosy z brody Fidela...”. Takie życzenie wyraził 14 kwietnia 1961 roku p. Louis Somoza, właściciel Nicaragui, na zakończenie mowy pożegnalnej (a dla wielu i po-grzebowej), skierowanej do pasażerów siedmiu małych stateczków, opuszczających właśnie Puerto Cabezas aby zbrojnym natarciem odebrać Fidelowi Kubę i wyrwać mu dwa włosy. Wyprawa się nie udała. Wojna trwała tylko 62 godziny i zakończyła się dramatem 1.500 Kubańczyków, historyczną kompromitacją CIA i ostrą lekcją dla młodego prezydenta nazwiskiem John Kennedy.

Zatoka Świń przeszła do historii. Rozpoczęła się zimna wojna w Karaibach, która osiągnęła prawie gorący szczyt w raketowym kryzysie październikowym 1962. Równocześnie rozpoczęła się epoka międzynarodowego handlu żywym towarem, który nie osiągnął jeszcze szczytu i nie wiadomo nawet do czego może jeszcze w tej dziedzinie dojść.

Fidel Castro to człowiek uczciwy i otwarty. Nie owijał więc swych intencji w żadne dyplomatyczne hipokryzje. Powiedział prosto: „Mam do sprzedania 1.214 napastników z Zatoki Świń.

Nie mam co z nimi robić, a muszę ich żywić. Potrzebuję natomiast 500 traktorów. Proponuję wymianę. Człowiek to brzmi dumnie, jeden traktor za dwóch ludzi to nie drogo..."

W USA natychmiast obudziły się sumienia. Waszyngton przecież wiedział, że pudło z Zatoki Świń to skutki głupoty i ślepoty dyplomatycznej i szpiegowskiej, a Kennedy chciał jakoś zatrzeć ślady katastrofalnego spadku po Eisenhowerze. Choć więc rząd amerykański musiał, i to ze wstrętem, odrzucić próby szantażu i handlu ludźmi, to natychmiast powstał komitet obywatelski, najzupełniej prywatny — „Traktory za wolność” — aby zebrać fundusze i jeńców wykupić. Znalazła się w nim pani Roosevelt, brat Eisenhowera i inni, znalazły się też pieniądze. W imię — jak powiedział Biały Dom — „ułatwienia doli bratniego narodu kubańskiego zagrożonego głodem i bolszewizmem”, czterech specjalistów rolnych wyjechało do Hawany, aby zobaczyć o jakie traktory chodzi.

I tu zaczęły się trudności. Jeńców było już tylko 1.173, bo reszta, jak twierdził Fidel, to byli chłopci przez pomyłkę wzięci do niewoli, ale najważniejsze, że traktory okazały się być ogromnymi buldożerami, używanymi głównie do najcięższych robót drogowych i fortyfikacyjnych. I choć miały kosztować nie tak drogo, bo tylko 28 milionów dolarów, to Waszyngton krzyknął: „500 traktorów, prawdziwych, rolnych, możemy dać, ale 500 maszyn wojennych, nie damy”.

Nie to nie, powiedział Fidel i zaczął działać przez perswazję. Najpierw wysłał 10-osobową delegację jeńców do USA na słowo honoru w celu *public relations*. A następnie zaczął wymierzać sprawiedliwość. W pierwszym procesie 15 komandosów zostało skazanych za „zbrodnie sprzed rewolucji”, pięciu rozstrzelano natychmiast. W drugim procesie załatwiono resztę. 7 kwietnia 1962 zapadł wyrok, na mocy którego uczestnicy inwazji zostali skazani na 30 lat więzienia (na wyspie Dos Pinos, znam, widziałem, to nie jest sanatorium), albo wykup w łącznej wysokości 62 milionów dolarów. Fidel podniósł więc cenę, a że sam prawnik to wszystko kłapowało naukowo, każdemu według zasług: trzech ważnych skazanych wycenił po 500.000 dolarów od sztuki, 222 — po 100.000 dolarów, reszta, 995 jeńców, od 25.000 do 50.000 od łebka.

Rodziny gratis...

I tak zaczęły się targi. Rewolucja socjalistyczna jest humanitarna, więc Fidel przyjął delegację rodzin, złożoną z trzech ojców i jednej żony i wypuścił od razu 60 chorych za 2,5 miliona dolarów wpłaconych do Royal Bank of Canada. W USA, choć rząd ciągle krzyczał, że to haniebnny proceder, powstał nowy komitet obywatelski z udziałem tym razem pani Lee Radziwiłł (za waszą wolność...), prezesa Coca-Coli oraz kard. Cushinga. Prowadzenie przetargów odebrano filantropijnym amatorom i powie-

rzo prawdziwemu fachowcowi. W lecie 1962 roku jadłem nawet tzw. śniadanie z panem mecenasem Jamesem Donovanem, człowiekiem oblatanym w tej kwestii, bo miał już za sobą wymianę niejakiego Powersa — tego z U-2 — za niejakiego Abela, szefa sowieckiego wywiadu na USA.

Rokowania nie były łatwe, Donovan kilka razy obracał, ale 23 grudnia, na samo Boże Narodzenie, podpisał umowę o zakupie ok. 1.200 jeńców kubańskich za 53 miliony dolarów, loco Kuba w postaci lekarstw i żywności, w tym sporo mleka w proszku, bo rewolucja nie tylko zabijała ale i dbała o swoje dzieci. Wysłka żywego towaru miała nastąpić po otrzymaniu 20-procentowej zaliczki. W USA naturalnie wszystko już było gotowe, więc pierwszy samolot z lekarstwami wylądował na kubańskim lotnisku Opa-Locka w kilka godzin po podpisaniu umowy.

I wtedy ruszył most powietrzny, dzięki któremu wszyscy jeńcy, ubrani w żółte koszule hańby, wylądowali na Florydzie akurat w wilię Bożego Narodzenia. Wzruszony Fidel dorzucił jeszcze prezent świąteczny. Do tysiąca jeńców dostał około tysiąca członków ich rodzin. Zupełnie gratis, z tym, że — nie trzeba wszak dodawać — przed wyjazdem ogołocił ich ze wszystkiego, poza życiem na szczęście.

Kiedy więc nieco później do portu w Hawanie wpłynął frachtowiec „African Pilot” z transportem leków i żywności wpłaconych za jeńców, Fidel osobiście udał się na pokład, gorąco powitał amerykańską załogę a potem podejmował ich na lądzie. *Cuba libre* płynęła strumieniami, okrzykiem *Patria o muerte, venceremos* nie było końca, a całość zakończyła się wesołą „cza, cza, cza”.

Fidel tak zasmakował w handlowaniu ludźmi, że niedługo potem zgodził się na nowy most powietrzny z Florydą. Dwa razy dziennie przez pięć dni w tygodniu samoloty Pan American wwoziły z Varadero, jednej z najpiękniejszych plaż na świecie, do Miami, też nie najbrzydszej miejscowości, tzw. *gusanos* czyli robaki, jak swych emigrantów nazwał pieszczotliwie Fidel. Obrabowanych na perłowo *gusanos* było w pierwszej turze aż 250.000 a czysty zarobek rewolucji z konfiskaty mienia oraz opłat wyjazdowych obliczany jest na ok. 600 milionów dolarów. Ostatnio, po kilkuletniej przerwie, Fidel podjął znowu ten interes, dochodowy i spokojny, bo niezależny od wahań na światowym rynku cukrowym.

Choć tu i ówdzie odezwały się głosy krytykujące ten proceder z przestarzałych pozycji moralnych, nie można odmówić Fidelowi uczciwości w stawianiu sprawy. „Kilo człowieka jest dziś po tyle i tyle. Bierzcie, bo jutro może być drożej”. I szczerze mówiąc, wszyscy byli zadowoleni. „Robaki” choć nago, wiały na potęgę, USA zmywały złotem czarne plamy po inwazji, Fidel inkasował dewizy, a bratnie kraje socjalistyczne też się uśmiechały, bo wpływy dolarowe od imperialistów zmniejszały nieco ich wydatki na utrzymanie „wyspy jak wulkan gorącej”.

Nic więc dziwnego, że ten praktyczny i teoretyczny wkład

Kuby w dzieło rewolucji światowej został przejęty, zastosowany i udoskonalony przez inne kraje, gdzie „człowiek to brzmi dumnie” i gdzie cały wysiłek państwa zmierza wyłącznie do zapewnienia obywatelowi pełnego szczęścia.

Szpiedzy na wagę

W pewną ciemną noc wrześniową roku 1972 w miejscowości Herlesshausen, na punkcie granicznym między jednym państwem niemieckim, zwanym demokratycznym, a drugim — zwanym federalnym — spotkali się „demokratyczny” autobus i federalny „mercedes”. Autobus przywiózł transport ok. 100 szpiegów i dywersantów aresztowanych w NRD; z „mercedesa” wysiadły tylko dwie panie. Dokonano wymiany, panie przeszły do demokratycznego autobusu, a 100 szpiegów do mercedesów. W ten sposób odzyskały wolność panie Ingeborg Weber, szefowa jednej z siatek szpiegowskich NRD w NRF oraz pani Irena Schultz, sekretarka federalnego ministra badań naukowych, która dostarczała pani Weber sprawozdań z posiedzeń rządu federalnego. Równocześnie odzyskało wolność 100 osób, które w większości nic ze szpiegostwem wspólnego nie miały, a zostały zatrzymane przez władze demokratycznych Niemiec i skazane na więzienie do 15 lat a nawet dożywocie, niejako na skład, w celu przekształcenia ich w odpowiedniej chwili na towar czy dewizy. Niech nikogo nie dziwi nierówny charakter transakcji dokonanej w ciemną noc wrześniową. To pozory tylko. W istocie nocne *rendez-vous* stanowiło po prostu remanent.

Jak się bowiem okazuje, Niemiecka Republika Federalna już od 10 lat wykupuje swych obywateli, których władze NRD specjalnie w tym celu zamykały. Choć ten handel żywym towarem nie figuruje w żadnych statystykach międzyniemieckiej wymiany, NRD zainkasowała z tego tytułu w latach 1963-1972 ok. 200 milionów marek, tych twardych, zachodnich. Wykup przyjmowany był w gotówce lub towarach, bez żadnej preferencji, głównie jednak w cytrusach, kakao, cukrze, maśle oraz lekarstwach. Interes szedł gładko przez 9 lat, przybierając nieraz wręcz masowe formy. Jedna z partii żywego towaru składała się aż z 800 pozycji. W ciągu tych 9 lat NRF wykupiła w podobny sposób ok. 5.000 „szpiego-dywersantów”, łatwo więc obliczyć, że cena za przeciętną głowę sabotażysty i rewanzysty wynosiła ok. 40.000 marek. Wynika z tego, że cena za jednego zachodniego Niemca była jednak przeciętnie niższa niż za jednego Kubańczyka, może dlatego, że w Niemczech nie było inwazji i obeszło się bez Zatoki Świń.

Ale Niemcy, naród zdolny, a w NRD jeszcze na dodatek demokratyczny, więc poważnie udoskonalili system Fidela. Człowieka, owszem, można sprzedawać, a nawet specjalnie składować, ale nie tylko o pieniądze w życiu przecież chodzi. Człowiek, jak uczy socjalizm, powołany jest do wyższych celów. Użyjemy go do polityki.

Człowiek w urnie wyborczej

No i użyli. NRD nie jest, niestety, specjalnie popularna na świecie, a mur berliński z trudem tylko uchodzi za symbol wolności. Ale że w Europie miało nastąpić odprężenie, a ono bez Niemców nieważne, więc Moskwa postanowiła pannę młodą, tzn. pana Honneckera, ładnie umalować, przysposobić do orgietki z wolnym światem, a przede wszystkim z Brandtem, nadać murowi jak najmniej nieludzkie oblicze.

I oto w kilka dni po zlikwidowaniu ludzkich remanentów handlowych z NRF, p. Honnecker ogłosił amnestię. 30.000 więźniów politycznych, których istnieniu NRD jeszcze niedawno kategorycznie zaprzeczała, znajdzie się do 30 stycznia 1973 w NRF, aby resztę kary już do końca życia odcierpieć w ustroju kapitalistycznym. Ale to nie koniec. Aby udowodnić wyborcom w NRF, że *tylko* polityka p. Brandta potrafi tak uczłowieczyć ustrój p. Honneckera, ten ostatni wypuścił miłosiernie kilkaset dzieci oderwanych od rodziców w wyniku zręcznego wzniesienia muru w sierpniu 1961, zwolnił sporą grupę rozdzielonych małżonków i umorzył dochodzenia wobec 2 milionów Niemców, którzy wybrali Zachód, chociaż w chwili zapanowania socjalizmu mieszkali na Wschodzie. I co najważniejsze p. Honnecker znacznie rozszerzył szczeliny w murze i zaczął masowo wpuszczać zachodnich Berlińczyków i Niemców do ich rodzin w NRD. Choć system ten funkcjonuje naturalnie tylko jednokierunkowo, to na razie ustały aresztowania „na skład i na handel” i nie słychać także strzałów na murze. Jest ogromnym osiągnięciem NRD, że ostatnie niemieckie ofiary muru padły nie od strzałów Vopo, a od kul... bułgarskich strażników na granicy z Jugosławią.

W ten sposób p. Honnecker, uruchamiając ludzki towar, od dał swój głos na p. Brandta. Oczywiście polityka to nie żarty, nikogo nie zdziwił więc fakt, iż p. Honnecker nie wpuścił p. Brandta za mur berliński, kiedy kanclerz chciał osobiście podpisać traktat ogólnoniemiecki, to znaczy powtórzyć to co mu się udało w Moskwie i w Warszawie. P. Brandt oglądał więc wszystko w telewizji. Albowiem, mimo makijażu, p. Honnecker nie jest aż tak ludzki aby p. Brandta u siebie pokazywać. Pamiętamy przecież, że dwa lata temu, w Erfurcie, kiedy po raz pierwszy zachodnio-niemiecki kanclerz zawitał do NRD, ludność przerwała kordony i wołała „Willy, Willy”, przy czym, według naszych informacji, nie miała na myśli Willy Stophy, też niemieckiego premiera, ale z NRD.

Cud w Kazachstanie

Przy pomocy niemieckiego żywego towaru na Brandta głosowała nie tylko NRD. Także PRL i Rumunia wrzuciły do urny

po kilka tysięcy Niemców, ale najbardziej — nic w tym dziwnego — spektakularnie zadziałał Związek Socjalistycznych Republik Rad.

Tu znowu trzeba nam sięgnąć do historii. W pewną noc, ale sierpniową i to w roku 1941, w dwa miesiące po zdradzieckiej agresji sojuszniczego Hitlera, desant Wehrmachtu zrzucony został na Republikę nadwożańskich Niemców. Osiedli w tych rejonach od czasów Katarzyny Wielkiej, Niemcy nie zdążyli jednak wyrobić w sobie sowieckiego patriotyzmu i część z nich serdecznie powitała spadających z nieba braci. Przebudzenie było straszne. Rano okazało się bowiem, że to nie żaden Wehrmacht a po prostu przebrane NKWD. Reszta jest znana. Pewną część zdrajców załatwiono na miejscu, ok. 600.000 nadwożańskich Niemców wysiedlono do Kazachstanu. I ślad po nich zaginął.

Odnaleźli się tylko na chwilę, po śmierci Stalina. W Azji naturalnie, bo o powrocie nad Wołgę nawet mowy nie było. Wspomnieli o nich Adenauer, kiedy pojechał do Moskwy w 1955 roku nawiązywać stosunki z Chruszczowem, ale udało mu się wywieźć jedynie jeńców Wehrmachtu, co przeżyli Syberię. O Niemcach znad Wołgi świat zapomniał. Dopiero w 1964 roku, Chruszczow, kiedy umizgiwał się do NRF, rehabilitował resztki nadwożańskiej kolonii, ale nie zdążył już dekretu opublikować, ani tym bardziej zesłańców z Kazachstanu wyprowadzić.

Ale, od czegoż polityka? Na cholere nam Niemcy w Kazachstanie, powiedziano w Moskwie, nam potrzebny jest Brandt w Bonn. Kiedy więc traktat niemiecko-sowiecki miał być ratyfikowany w Bundestagu, gdzie p. Brandt miał już tylko jeden głos większości, wtedy okazało się, że SPD w Bonn wskrzesiła Niemców w Kazachstanie. Humanitarny ZSSR wysłał od razu pierwszy transport kilkuset dusz, zgodnie naturalnie z listą przedstawioną, jakże inaczej, przez Auswaertigesamt w Bonn. Po ratyfikowaniu nastąpiła krótka cisza, aż nadeszły nagłe wybory w NRF. Nikt nie był pewien wyniku, a najmniej Kreml. Ale od czegoż towar ludzki?!

Zaszumiło nagle w syberyjskiej tajdze, poszły wici po kazachstańskim stepie: „Dawajcie Niemców!”. Zapełniła się ambasada NRF w Moskwie, nawet salę kinową trzeba było zamienić na poczekalnię i sypialnię. Władze moskiewskie tak się przejęły losem biednych Niemców, czasowo zamieszkałych w Azji, że oddały im do dyspozycji cały hotel w stolicy, choć jak wiadomo, tam się nie przelewa.

O wyborach w NRF nikt nie wspominał, ale to wtedy właśnie okazało się, że boński Czerwony Krzyż dysponuje listą zawierającą ok. 45.000 nazwisk Niemców znad Wołgi, mających, ciągle jeszcze!, rodzinę w NRF i pragnących się z nią połączyć w NRF, a nie w Kazachstanie. Odnaleźli się nawet jeszcze jacyś jeńcy z wojny, a nawet Niemcy z Prus wschodnich, chociaż ZSSR już dawno zakomunikował, że problem ten jest, hm, wyczerpany.

Przybysze z tobołkami, mówiący jakimś skomplikowanym narzeczem, ubrani w przedziwne stroje wysypywali się w okresie przedwyborczym z expressu Komi-Moskwa-Berlin. Nie wiadomo czy zdążyli głosować do Bundestagu, ale na pewno nie chcieli zmiany kanclerza.

Z doświadczenia niemieckiego wysnuć można dwa wnioski praktyczne. Po pierwsze, że towar ludzki należy przechowywać umiejętnie, na świeżo, a przede wszystkim na żywo. Repatriowanie nieboszczyków odgrywa w polityce niewielką rolę. I po drugie — że należy tym towarem posługiwać się umiejętnie, tylko w ważnych sprawach i w odpowiednim momencie. ZSSR znajduje się właśnie w trakcie udoskonalania systemu, o czym świadczy nader pouczający eksperyment żydowski.

„Małe pogromy w partii”

Na V zjeździe partii w 1907 roku okazało się — nie było w tym zresztą zaskoczenia, że — po pierwsze, wśród rosyjskich rewolucjonistów jest wielu Żydów, i że — po drugie — jest ich więcej wśród mienszewików niż wśród bolszewików. Jeden z delegatów, wtedy jeszcze bez prawa głosu, ogłosił sprawozdanie ze zjazdu w redagowanym przez siebie nielegalnym piśmie w Baku. Napisał on tam m.in.: „Pewien towarzysz zauważył żartobliwie, że ponieważ mienszewicy to frakcja Żydów, a bolszewicy to frakcja czystych Rosjan, byłoby dobrze urządzić mały pogrom w partii”. Delegat bez prawa głosu nazywał się Dżugaszwili i kiedy owe żartobliwe sformułowanie ogłosił w pismach zebranych 40 lat później, a miał już wtedy prawo głosu i nazywał się Stalin, nikomu nie chciało się śmiać, choć dowcip był przewyborny. I słusznie, albowiem Soso-żartowniś przystąpił ostro do realizacji żartu. Nie tu miejsce na analizę nieodwzajemnionej miłości Żydów do rewolucji komunistycznej. Dziś ograniczmy się do stwierdzenia, że mimo najlepszych chęci, ten mariaż się nie udał. W 55 lat po rewolucji ani partia nie potrafiła rozwiązać kwestii żydowskiej (innych zresztą także nie), ani Żydzi nie potrafili rozwiązać rewolucji. Wprost przeciwnie, oba te problemy wchodzą w fazę dramatu.

Powiedzmy w ogromnym skrócie, że władza rewolucyjna miała do dyspozycji trzy sposoby załatwienia kwestii żydowskiej. Asymilacja, czyli stopienie się z otoczeniem rosyjskim, ukraińskim itd.; autonomia etniczna, a nawet religijna i wreszcie swobodna emigracja, tych co nie chcą rozkwitać w ciepłe rewolucyjnego słońca. Od początku było jasne, że tylko łączne stosowanie wszystkich trzech czynników, może przynieść wyniki. Tymczasem poważnie mówiąc ani jeden nie został naprawdę zastosowany.

Dlaczego tak się stało, to inny temat, nas dziś interesuje tylko punkt trzeci, to znaczy specyficzny wkład ZSSR do skarb-

nicy doświadczeń światowego ruchu rewolucyjnego w kwestii obracania żywym towarem.

Stalin, jak wiemy, Żydów nie uwielbiał. Zdenerwował się bardzo, kiedy państwo Izrael osobiście go zawiodło i nie przekształciło się w bliskowschodni przyczółek rewolucji. Bardzo się też gniewał, kiedy pani Golda Meir, pierwszy ambasador Izraela w ZSSR została powitana w synagodze moskiewskiej przez 3.000 Żydów (i 30.000 na zewnątrz) i kiedy cały ten orszak, po nabożeństwie, towarzyszył pani Meir, na piechotę bo sobota, przez śródmieście, aż do ambasady. Dalszy przebieg walki ze światowym syjonizmem już znamy. Pamiętamy artykuł Erenburga z września 1948, wymordowanie całej prawie żydowskiej elity intelektualnej i spisek lekarzy, zdemaskowany przez czujną dr Timaszuk. Proces „szpionów w białych kitlach” zapowiedziany był na marzec 1953 i miał dać sygnał masowej deportacji Żydów do Azji. No, ale niezbadane są wyroki opatrności, i Stalin, późno, ale, na szczęście nie za późno, przeszedł do historii i zamieszkał najpierw w mauzoleum, a potem w małej niszy kremlofskiego muru.

Choć w sentymentalnym ustosunkowaniu się władzy sowieckiej do Żydów nie nastąpiły większe zmiany (Chruszczow pytał się w Warszawie o Rabinowiczów, a Kosygin w Czechosłowacji o parchów w rodzaju Krieglala), to w stosunku Żydów do władzy sowieckiej zmiany niewątpliwie zaszły. Żydzi mianowicie przestali się bać. To nowe zjawisko spowodowało, zwłaszcza po kompromitacji sowieckiej w wojnie sześciodniowej, swoisty renesans judaizmu w ZSSR i falę emigracyjnych podań.

Coś trzeba było z tą falą zrobić. Ponieważ nie można już było Żydów rozstrzeliwać czy choćby masowo deportować, postanowiono jewrejami pohandlować i popolitykować. To drugie było proste. Odkręcano lub przykręcano kurek emigracyjny w zależności od zachowania się arabskich towarzyszy. Kiedy np. Sadat zlikwidował spisek pro-sowiecki, kiedy dojrzał protest przeciw kontroli „doradców” w Egipcie, kiedy Libia wykłinała bezbożników z Kremla, a Sudan wieszał komunistów, coraz więcej Żydów rosyjskich wysiadało w Wiedniu i Tel-Awivie. Kiedy trzeba było ustąpić w czymś Arabom, a szkoda było np. wystać broń w niepewne ręce, wtedy strumień żydowski wysychał.

Żydzi na wagę

Ale prawdziwe mistrzostwo Rosjanie wykazali kiedy postanowili na Żydach zarobić. I tak powstała zupełnie zadziwiająca formuła nowego prawa socjalistycznej ekonomii: „Od każdego Żyda według jego wykształcenia, od wszystkich Żydów według potrzeb ZSSR”. To już nie bezkształtna masa Niemców, tu ludzie sprzedawani byli na wagę, każdy szacowany był oddzielnie, szare komórki rosły w cenę. Na eksport.

Kiedyś w krajach muzułmańskich haracz pobierany był od niewiernych w pieniądzech lub w naturze. Zwyczaj ten przejęty przez Arabów z Bizancjum teraz powrócił do źródła. Haracz jest proporcjonalny do poziomu wykształcenia i waha się od 5.000 dolarów za głupie magisterium z marksizmu-leninizmu aż po 25.000 dolarów za dyplom doktora nauk ścisłych. Najdrożsi jak dotąd Żydzi to profesor Lewicz i prof. Lerner. Każdy z nich jest wart 50.000 dolarów, a Lewicz z rodziną dochodzi do 100.000. Lista stawek zawiera 13 pozycji, a wysokość wykupu równa się przeciętnym zarobkom pracownika naukowego za ok. 10 lat pracy, lub też jego oszczędnościom za lat... 200...

Takie podejście władz ZSSR do obrotu ludzkim mieniem żydowskim zasługuje na uwagę. W odróżnieniu mianowicie od Fidela Castro, który handlował uczciwie i otwarcie, Breżniew odżegnuje się kategorycznie od posądzenia o powrót do niewolnictwa, powołując się na wysoki koszt studiów w ZSSR i na uchwałę UNESCO o przeciwdziałaniu „ucieczce mózgów”. Okazuje się jednak, że po pierwsze, według obliczeń demografów sowieckich, koszt studiów wyższych wynosi przeciętnie ok. 3.000 rubli i zwraca się po 5 latach pracy dyplomanta, że po drugie — koszta studiów zawarte są w śmiesznie niskiej płacy, obliczanej tak właśnie z uwagi na taniość „spożycia kolektywnego”, a więc i szkolnictwa, po trzecie — uchwała UNESCO dotyczyła wyłącznie krajów zacofanych, albowiem śmieszne wprost byłoby jakiegokolwiek ograniczanie światowego ruchu mózgów, który jest przecież jednym z elementów ogromnego postępu nauki.

Ale, jak zwykle, najskuteczniej ośmieszyli swoje święte zasady sami Rosjanie i to wtedy właśnie kiedy zaczęli już zupełnie przyzwoić na Żydach zarabiać. Obliczono np. że czysty dochód z haraczu od aktualnie zgłoszonych kandydatów na wyjazd sięga ok. 75 milionów dolarów, sumy równej mniej więcej wpływom ze światowej aukcji futer w Leningradzie. Buchalterzy żywego towaru obliczyli również, że gdyby polityka wypuszczenia została nieco zliberalizowana to wpływy mogłyby sięgać 500 milionów dolarów, sumy równej kredytem jakie ZSSR uzyskała w USA na zakup zboża w ciągu trzech lat.

Bomba wybuchła właśnie w chwili gdy rysowała się już taka olśniewająca perspektywa. Kreml mianowicie raz jeszcze postanowił podporządkować ekonomię polityce i cofnął się, kiedy okazało się, że operacja „haracz” została zbyt cynicznie pomyślana i tak po chamsku przeprowadzona, że w kluczowym momencie stosunków amerykańsko-sowieckich, wywołała łańcuchową reakcję w USA. To co w mało zazwyczaj wrażliwych Stanach Zjednoczonych normalnie należy do sfery *bussines'u*, przybrało wymiary problemu moralnego. Senator Jackson zebrał 76 podpisów swych kolegów pod rezolucją uzależniającą ratyfikowanie umowy gospodarczej z ZSSR od zaprzestania przez Kreml wymuszania haraczu. Sen. Javits powiedział: „Gdybym był *bussinesman'em*, to nie podpisałbym kontraktu, aż nie ustanie haracz.

Nawet w handlu trzeba czasem stosować kryteria moralne". A sen. Ribicoff, postać znana i wpływowa, twardo oświadczył: „Stosowanie haraczu przypomina epokę Hitlera. Milczenie świata umożliwiło likwidację milionów Żydów. Tu mamy do czynienia z niewolnictwem, a to przekracza ramy normalnych interesów”.

Bardziej dyskretnie, ale stanowczo działał sam Nixon. „Drogi przyjacielu — pisał Nixon do Breżniewa — opamiętaj się. Jest w USA 6 milionów Żydów. Tu nie ZSSR, my gnijemy w demokracji i obliczamy głosy jak należy. Tu się wybiera i żydowskie głosy są mi potrzebne. Praszczaj”.

Zdziwił się zapewne Breżniew, że w tak prostej sprawie jak wybory panują jeszcze w USA przesady, ale się zgodził. Przede wszystkim *Prawda* ostro zaatakowała... Mac Governę, aby pokazać po czyjej stronie są sympatie ludzi sowieckich, a po drugie — KGB wypuściło ostry strumień Żydów, i to za darmo, znaczy się bez taksy, za wpłaceniem jedynie 500 rubli za pozbycie się obywatelstwa sowieckiego, a to wszakże nie drogo.

W kilka dni po wrzuceniu ostatniego bezharaczowego Żyda do amerykańskiej urny wyborczej, Nixon został prezydentem USA, a taksa w ZSSR z powrotem zaczęła obowiązywać. Ale wyłom nastąpił. Teraz przynajmniej wiadomo, że z następną akcją przejściowego ucłowieczenia ustroju socjalistycznego trzeba poczekać do następnych wyborów w USA lub NRF. Cztery lata.

Kto kupi Czechosłowację?

Za każdym nawrotem zjawiska międzynarodowego handlu żywym towarem odzywały się w świecie głosy oburzenia i niesmaku. Najpoważniejsze gazety rozrywały szaty, przestrzegając, że w „oparciu o tak odrażające zasady, stanowiące szantaż i nie-ludzki gwałt na moralności” nie można budować pokoju na świecie. Inne poważne gazety wykazywały, że handlowanie ludźmi to najzwyczajniejszy kapitalistyczny wyzysk, wprost nie na miejscu w państwie socjalistycznym, a jedna z najpoważniejszych gazet na Zachodzie wyraziła nawet nadzieję, że suwerenny parlament w Moskwie — znaczy się Sowiet — odmówi zatwierdzenia dekretu o haraczu. Sen. Humphrey, były wiceprezydent USA, po wizycie na Kremlu wyraził obawę „czy też aby na pewno przywódcy ZSSR rozumieją sens i siłę ustroju parlamentarnego”.

Po prostu śmieszne. Nie rozumiem tych zastrzeżeń ani tego oburzenia. Po zagrabieniu i pogrzebaniu Czechosłowacji 34 państwa spotkały się w Helsinkach, aby pogawrycz sobie o interesach i wszystko jest w porządku. No i gdzie tu logika. Gdybym ja był u władzy na Zachodzie, to bym praktykę wykupu ludzi jak najbardziej upowszechnił. Zachód jest bogaty i postanowił przeznaczyć spore sumy np. na walkę z hałasem i ze spaliniami; 1% swego dochodu narodowego kieruje na pomoc

dla trzeciego świata. Niech jeszcze uchwali jeden promil choćby na wykup ludzi z czwartego świata współczesnych niewolników. To czysty interes, i wszyscy będą szczęśliwi.

Niejaki Pachman, międzynarodowy mistrz szachowy, współautor manifestu „2.000 słów” i sygnatariusz protestu przeciw inwazji swego kraju, spędził kilkanaście miesięcy w więzieniu, skąd wyszedł ledwie żywy. Za cenę 28.000 koron w gotówce, oraz domu i wszelkich ruchomości wyjechał, wraz z żoną i teściową, za granicę. Jest obecnie w NRF, gdzie nic nie podpisuje, gra w szachy i leczy rozbitych kręgosłup. Nie wiem jaka jest siatka opłat w Pradze, ile tam kosztuje wolność i trudno mi powiedzieć jakie są szanse oficjalnego upowszechnienia zjawiska wykupu niewolników w państwie p. Husaka.

Ale warto spróbować. Wydaje mi się więc, że np. Kanada, kraj ogromnych przestrzeni i ogromnych potrzeb demograficznych, mogłaby Husakowi zaproponować kupienie całej Czechosłowacji, z wyjątkiem naturalnie KC partii i komisji kontroli partyjnej oraz UB. W ten sposób Kanada załatwiłaby od ręki swój plan emigracyjny na 100 lat, zyskałaby masę wykwalifikowanych pracowników, starą kulturę, dobre uniwersytety oraz Szwejkę i Kafkę, Husak pozbyłby się na zawsze opozycji, a ZSSR kłopotów i problemów związanych z czasowym stacjonowaniem wojsk. A wszystko za garść dolarów, z którymi Kanada nie wie co robić.

Dosiego roku!

BRUKSELCZYK

Pisane 9 grudnia 1972

Metternich w Białym Domu

Sytuacja w której ktoś głęboko i szczerze nie lubiany daje sobie radę ze skomplikowanym zadaniem dużo lepiej niż zrobiłbyśmy to my lub ktoś znacznie sympatyczniejszy, przez nas desygnowany do tej funkcji, jest z punktu widzenia psychologii autentycznie *frustrating*. Kiedy zdarza się to w życiu prywatnym implikacje mogą być niemiłe ale nie są groźne. Ktoś w jakimś punkcie wybucha i atmosfera się oczyszcza. Kiedy jednak podobna sytuacja dotyczy życia publicznego, recepty psychologiczne z natury rzeczy nie mogą być proste i nie mogą załatwić wszystkiego. W grę wchodzi inne, bardziej złożone czynniki, jak chociażby poczucie zagrożenia, lojalność wobec kraju, czyste wyrachowanie ekonomiczne oraz świadomość, że spolaryzowanie alternatyw kolosalnie zwięża wybór. Żywiłowa reakcja na bodziec typu: lubię — nie lubię, staje się po prostu niemoż-

liwa. Byłoby to uproszczenie, z którego sobie zdaje sprawę najbardziej nawet prymitywny respondent. Otrzymujemy więc odpowiedź racjonalną, zbudowaną paradoksalnie na głębokich podkładach niechęci. Psychologicznie jest to układ, który nie rokuje dobrze pod względem trwałości. Politycznie jest to układ który oscyluje między zrezygnowaną apatią a kontrolowaną wrogością. Szanse stabilizacji takiego układu są wprost proporcjonalne do jego względnej kruchości. Bardzo łatwo jest kontrolować apatię, ale bardzo trudno jest wyrwać z tłumu, z podłoża, z samego nurtu, pragnienie zmiany. Manipulowanie emocjami — to wielka sztuka. Manipulowanie emocjami politycznymi — to wielkie ryzyko. W najbardziej zabezpieczonym cyrku są gdzieś wysoko pod samym dachem siatki które się rwą; w najdokładniej wykalkulowanej grze politycznej są szczeble, z których się błyskawicznie spada. I zawsze na dole, skupiony, zwarty będzie tłum, który może być groźny, obojętny albo entuzjastycznie przychylny.

Wyniki wyborów w Ameryce są już powszechnie znane, nie wydaje się żeby miało jakikolwiek sens analizować je od nowa. Tylko Massachusetts i D.C. Washington głosowało przeciwko Nixonowi. Ten masowy werdykt i ten nieoczekiwany — w takich proporcjach przynajmniej — *consensus* jest jednak bardziej potępieniem McGoverna niż admiracją Nixona. Sympatia nie wchodzi tu już w rachubę zupełnie. Można mówić o uznaniu dla kompetencji, głównie w dziedzinie polityki zagranicznej, i można mówić o lęku przed radykalizmem który byłby ewentualnie usankcjonowany przez obecność McGoverna w Białym Domu. Można raz jeszcze wspomnieć o wyborze, który był właściwie brakiem wyboru. Można współczuć Partii Demokratycznej, której do plagi braku funduszy doszła plaga a raczej widmo rozłamu.

Mnie osobiście interesuje jednak Henry Kissinger, niewątpliwym współautor Nixonowskiego sukcesu. Zarzuty i pretensje pod adresem Nixona są tak spopularyzowane, że nie ma sensu do nich wracać. Jeśli ktokolwiek miałby ochotę zapoznania się z nimi w chronologicznym porządku, polecam mu znakomitą serię felietonów Buchwalda, ze szczególnym naciskiem na doskonałe potraktowanie kompromitującej afery w Watergate. Nikt jednak nie krytykuje Nixona za jego ostatnie posunięcia w dziedzinie polityki zagranicznej. Można by równie dobrze powiedzieć że nikt nie krytykuje Kissingera za amerykańską politykę zagraniczną, jako że jego autorstwo w tym rejonie polityki nie budzi najmniejszych wątpliwości. Warto więc przyjrzeć się bliżej temu człowiekowi i jego politycznym receptom. Kiedy pominię się tę rodmuchiwaną, zanadto rodmuchiwaną, osobistą stronę jego życia — aktorki, koktaile i szybkie fascynacje bez znaczenia — zostaje to co jest naprawdę ciekawe, a mianowicie w jaki sposób doszedł on do bardzo swoistego, bardzo nieamerykańskiego konceptu dyplomacji. Trzeba sięgnąć wstecz, do lat jego profesury na Harvardzie, do jego książek, do tego co fascynowało go w polityce wówczas kiedy jej jeszcze nie kształtował, kiedy jeszcze nie miał na nią wpływu. Jego teza doktorska na

Harvardzie poświęcona była Metternichowi i systemowi równowagi w XIX-wiecznej Europie. Rozbudował to później w książce zatytułowanej *A World Restored, the Politics of Conservatism in a Revolutionary Age*. Metternich fascynował Kissingera jako ktoś, kto umiał wprowadzić element równowagi do systemu politycznego, w którym interesy partnerów były bardzo niejednorodne i trudne do pogodzenia. Metternichowskie metody stabilizacji poprzez stosowanie zasady legitymizacji, jego nacisk na wyciszanie rewolucji poprzez odsunięcie, oddzielenie ideologii — w tym wypadku była to ideologia nacjonalizmu — od aktualnego formułowania nowych układów politycznych, wydawały się Kissingerowi warte głębszej analizy i zastanowienia.

Pisze Kissinger w swojej książce: „... Jedność Europy stała się faktem dzięki cynicznemu użyciu maszyny konferencji, po to, by określić sankcjonującą wszystko zasadę społecznego ucisku. Stało się to nie dzięki dobrej wierze Castelreagh'a, ale dzięki manipulacjom Metternicha*”.

Metternich nie był lubiany przez swoich współczesnych, podobnie jest z Kissingerem. Znany profesor prawa międzynarodowego mówi o nim w prywatnej rozmowie: ... teraz, kiedy mamy Metternicha w Białym Domu możemy się spodziewać wszystkiego, i nie traktuje tego jako komplement, wręcz przeciwnie. Prawnicy mają mu za złe, że traktuje prawo jako narzędzie polityki, a nie jako szansę do usystematyzowania i znormalizowania antagonistycznych stosunków między państwami. Może nigdy specjaliści od prawa międzynarodowego nie byli tak wyczuleni na manipulatorów jak teraz. Stary, nierozwiązalny konflikt między nadzieją a poczuciem bezradności. Wątpliwe, czy go kto kiedykolwiek rozsupła.

Kissingera nie lubią jednak także specjaliści od amerykańskiej polityki zagranicznej. Ich niechęć jest bardziej wyciszona i bardziej subtelna. Najbardziej charakterystyczne jest to, że nie traktują go jako Amerykanina, myślą o nim jako o niemieckim Żydzie, który stara się europejskie koncepty polityczne przenieść do współczesnej polityki Stanów Zjednoczonych. Przyznają mu, że jest konsekwentny, że jest pomysłowy, że jest doskonałym graczem, zdolnym do szybkiej reakcji w obliczu najbardziej nieprzewidzianym układów. Ale słowo manipulator ma w języku angielskim wydźwięk wybitnie pejoratywny, bardzo mało jest tam zamierzonych pochwał. Można łatwo powiedzieć, że są zawistni, Kissinger ma w tej chwili władzę, jakiej nie mają oni, pragnienie władzy dzieli ludzi bardziej niż jakiegokolwiek inne uczucie na ziemi. Ale to byłoby za proste, za naiwne. Słowa nagany i krytyki pochodzą od ludzi, którzy w większości wypadków byli jego kolegami na Harvardzie, którzy piastowali różne pozycje rządowe, którym nie brakuje na autorytecie zawodowym.

Źródła tej niechęci tkwią głębiej, są bardziej skomplikowane, jej istotą jest podejście do amerykańskiej demokracji, kon-

* *A World Restored*, H. Kissinger, Universal Library, 1964, str. 318.

cepcja amerykańskich ideałów. Polityka w swej całej zawiłości ma czemuś służyć, ma coś wyrażać, nie może być tylko grą, chociażby najdoskonalszą grą, ma być wstępem do spełnienia, a spełnieniem jest świat wolny od nacisku i przymusu. Jest to bardzo stary konflikt, wyrażony już przez de Tocqueville'a w jego znanej definicji demokracji, konflikt który we współczesnym świecie nabrał tylko na ostrości, pogłębił się. Można by go streścić jako konflikt między naturalną potrzebą ekspansji silnego państwa — ekonomia, czynniki geopolityczne — a zasadami demokracji.

To co sprzedaje się, z konieczności czy z przekonania, nie wnikajmy w to na razie, na rynku domowym, nie chwytą a nawet może stać się źródłem kłeski na rynku zagranicznym. Inne są tu prawa popytu i podaży, inne są bodźce i reakcje. Ta zasadnicza inność, ta kompletna i całkowita odrębność między prawidłami, które kierują polityką domową a polityką zagraniczną, była zawsze źródłem kompleksów a w najlepszym wypadku zgagi politycznej u Amerykanów. W samo serce tego konfliktu dostał się teraz Kissinger. Jest on w wystarczającym stopniu Europejczykiem, żeby nie mieć amerykańskich zahamowań, i w wystarczającym stopniu Amerykaninem, żeby bronić amerykańskich interesów w polityce zagranicznej.

Sukcesy dyplomatyczne Kissingera irytują fachowców od *foreign affairs* nie tylko dlatego, że jest to podświadomie odbierane jako: on się nie powinien do tego wtrącać, to są nasze sprawy, ale przede wszystkim dlatego, że Kissinger nie ukrywa źródła swoich pomysłów, a tym źródłem są tradycje europejskiej dyplomacji, obce i nie lubiane przez Amerykanów.

Amerykańska ekspansja ekonomiczna szła zawsze w parze z mniem lub więcej udaną ekspansją ideologiczną. Bardzo modne jest w kołach socjologicznych historyków przeciwstawiać Wilsona Leninowi, a w innym aspekcie zagadnienia kontrastować stare, nieetyczne tradycje europejskiej dyplomacji z otwartością i rzekomy brakiem wyrachowania ze strony amerykańskich dyplomatów. Nie wdając się w szczegółową analizę zagadnienia — bo aspektowi pikantnego kontrastu: Lenin-Wilson poświęcono cały szereg prac naukowych — można powiedzieć, że istniała i istnieje generalna tendencja do traktowania europejskich tradycji politycznych jako sprzecznych samo przez się z tym co stworzyło i co tworzy ducha Ameryki, tak jak go sobie wykoncyrowali *Founding Fathers*. *Founding Fathers* są ostatnio szalenie modni, głównie za sprawą konfrontacji Nixon-McGovern. To podwójne wzmocnienie, zasilone jeszcze przez intensywną niechęć młodego pokolenia do tzw. *power politics*, stwarza tło, na którym Kissinger nabiera proporcji niemal machiavelicznych.

To co jest jednak naprawdę fascynujące w metodach Kissingera, to konsekwencja jego linii politycznej w połączeniu z brakiem lęku czy obojętnością na głosy potępienia. Urzeczony grą, nie dba przesadnie o tych którzy krzyczą na galerii. Znamienny może być tutaj cytat z jego książki: „...Mężowie stanu często

dziela los proroków. Są bez honoru w ich własnym kraju i jest im zawsze bardzo ciężko usprawiedliwić własny program w oczach publiczności. Ich wielkość staje się zazwyczaj oczywista dopiero wówczas kiedy intuicja zamienia się w doświadczenie**.

Jest to wyznanie człowieka, który prawdziwych pochwał oczekuje dopiero od historyków. Jest to wyznanie męża stanu, który nie poddając się naciskowi amerykańskich tradycji politycznych, stara się przenieść zmodernizowany koncept *balance of power* w trudny, heterogeniczny i nuklearny świat polityki współczesnej. Kissingera pociąga w Metternichowskiej recepcji zasada równowagi, umiarkowania, i zasada legitymizacji. Koncept równowagi jako szansa uspokojenia sił rewolucyjnych przez odwołanie się do wspólnych interesów państw, które w innej sytuacji mogłyby być rywalami (rewolucjonistą w układzie Metternicha był oczywiście Napoleon, który stosował siłę bez umiaru), i drugi, bardzo ważny, koncept legitymizacji, czyli próba nadania piętna prawa nagiej, brutalnej, agresywnej sile politycznej.

Sednem polityki Metternicha było szukanie równowagi, szukanie swoistego *modus vivendi*. Nic innego nie robi teraz Kissinger, który jest mistrzem kompromisu. Warto by zauważyć w tym miejscu, że z punktu widzenia psychologii *team Nixon-Kissinger* dobrany jest wspaniale. Kissinger jest nieco bardziej żywiołowy, ale *flexibility* obu jest nieznaczna, nie ma żadnych problemów z odrzuceniem starych metod politycznych, albo starych deklaracji wierności na rzecz takiego czy innego sojusznika. Wystarczy przerzucić pobieżnie nie tak znowu bardzo odległe w czasie roczniki *State Department Bulletin* z wypowiedziami Nixona, żeby uświadomić sobie drogę, a raczej zmianę drogi, w amerykańskiej polityce zagranicznej.

A jednak obydwoj, Nixon i Kissinger, akceptowani są na zasadzie na jakiej akceptuje się fachowca, specjalistę w dziedzinie, a nie kogoś kto przedstawia autentyczny program. Czemu to przypisać? I o czym to świadczy? Bo nie ulega wątpliwości, że jest to znamienne, symptomatyczne i sięga znacznie głębiej niż fakt, że Nixon ma tzw. *unlovable personality*. Sednem sprawy wydaje się stwierdzenie, że są programy polityczne na krótką metę i na długie lata, że są zagadnienia, które nie mieszczą się w najbardziej wyrafinowanych metternichowskich układach nawet z poprawką na współczesność, i że są siły społeczne, które nie dają się całkowicie otamować metodami błyskotliwej dyplomacji. Czyżby znaczyło to, że obydwoj mężowie stanu, Nixon i Kissinger, wytrawny polityk z długą listą kłesek i sukcesów na przemian i intelektualista z Harvardu, nie zdają sobie z tego sprawy? Na pewno tak nie jest. Przeciwnie obu pracuje wolno, drążąc grunt, amerykańska tradycja polityczna, coś co nazywam po cichu duchem Wilsona, niezniszczalna piękna utopia, że wystarczy przenieść ideały amerykańskiej demokracji na forum polityki zagranicznej a wszystko co kontrowersyjne znik-

* *A World Restored*, str. 329.

nie z agendy dyplomatów, że wystarczy dać narodom szansę, a już dalej one sobie poradzą, byle tylko odsunąć zawodowych polityków i ich skomplikowane gry, byle przywrócić naturalną równowagę i harmonię. Można by także powiedzieć, że jest to duch Lockeanizmu, a my w Europie — zapewne na skutek różnych niemitych doświadczeń — bardziej wierzymy w Hobbes'a. Hobbes nigdy nie był modny w Ameryce, jest dla nich odrażający, jeśli nawet małą cząstkę jego rad trzeba gdzieś zastosować, amerykański sens demokracji dostaje drgawek. I dlatego właśnie, kłeska koncepcji Nixon-Kissinger jest więcej niż pewna. Zaprowadzą porządek, ustabilizują system i we względnie krótkim czasie powszechna namiętna wiara w ideały Lockeanizmu przeciwstawi im kogoś takiego jak chociażby Ted Kennedy. Używam tego nazwiska wyłącznie jako symbolu, po to żeby zaakcentować kontrast. To nieważne kto ich pokona, bo naprawdę pokona ich ta nierozwiązalna, pogłębiająca się, fundamentalna dychotomia, między amerykańską polityką domową a zagraniczną, żądanie żeby standarty domowe, standarty demokracji i egalitaryzmu przykładać do zagadnień międzynarodowych. Ponieważ na amerykańskie szczęście czy nieszczęście USA jest potęgą polityczną, jest to zadanie niewykonalne, abstrakcyjne, zadanie któremu nikt nie podołał i nikt nie podoła, ale które uporczywie wysuwane, co jakiś czas podcina nogi nawet najbardziej wytrwałym i znanym politykom.

To na skutek tej dychotomii Ameryka przechodzi w swej historii przez naprzemienne okresy izolacji lub masowego zaangażowania w sprawy międzynarodowe. Warto zwrócić uwagę na fakt, jak silnie zaakcentowane w programie McGoverna było to żądanie odrzucenia wszelkich *commitments*. Jego program polityki zagranicznej był nie do przyjęcia nie dlatego że był zły, ale dlatego że w ogóle nie istniał. Była to po prostu idealistycznie sformułowana negacja.

Zwyciężyli ci, którzy reprezentują metternichowski koncept stabilizacji równowagi i umiaru, ale także metternichowską pasję gry i zaangażowania.

Pytanie: na jak długo?

Jolanta DWORZECKA

Sąsiedzi

W sowieckiej prasie

Cele w więzieniach sowieckich, w których siedzą kryminaliści, nazywa się „Indie”. A to dlatego że — jak zapewniają mieszkańcy tych cel — „wiecznie tam tańczą i śpiewają”. Kryminaliści są przekonani, że w ciepłych Indiach wiecznie się tańczy i śpiewa. Co do Indii, to nie jestem tego tak bardzo pewien. Ale jeśli któryś z przyszłych historyków weźmie roczniki sowieckich gazet z ostatnich lat, to odkryje, że w latach 60-tych cały Związek Sowiecki nie przestawał „tańczyć i śpiewać”. Nie przegrzmiało jeszcze święto 50-lecia dojścia do władzy, jak zaczęły się pieśni i tańce z okazji stulecia Lenina, obywatele nie zdążyli jeszcze odetchnąć — jak przyszła nowa uroczystość — 50-lecie ZSSR.

Łatwo jednak przekonać się, że tym razem „pieśni i tańce” na stronach sowieckich pism i gazet brzmią o wiele smutniej niż przedtem. Rocznice rewolucji obchodzi się co roku i to że była już 50-tą, a obecnie jest 55-ta nikogo nie może specjalnie zadziwić, zaś męczący jubileusz Lenina stał się okazją do powstania setek wesołych anegdot. Przeżyto jednak i Lenina.

„Pieśni” i „tańce” z okazji „wieczystej przyjaźni narodów” o wiele trudniej jest przeżyć obywatelom ostatniego (jeśli nie liczyć Portugalii) kolonialnego imperium. Mało jest zadowolonych z „nienaruszalnego związku wolnych republik”: ani Rosja — „pierwsza wśród równych”, ani „wolne republiki” — mniej równe niż Rosja.

15. XI. 1972 *Litieraturnaja Gazieta* zamieściła ogromny — na 16 szpalt, dwie pełne strony — artykuł doktora nauk historycznych A. Jakowlewa pod mętym tytułem „Przeciw antyhistoryzmowi”. A. Jakowlew występuje w nim przeciwko nacjonalizmowi, przeciwko szowinizmowi, przeciwko modernizmowi, przeciwko dogmatyzmowi — a także — co się samo przez się rozumie — przeciwko syjonizmowi i Sołżenicynowi.

Artykuł Jakowlewa — jak zwykle w takich wypadkach — jest niewątpliwie pracą kolektywną, ostatnią dyrektywą partyjną w

sprawach narodowościowych, rejestrem licznych błędów, braków, odczyteń, wypaczeń i wskazówkami jak z tym należy walczyć.

Już wielokrotnie odnotowywałem przejawy rosyjskiego nacjonalizmu we współczesnej literaturze sowieckiej, często musiałem pisać o „neosłowianofilach” i „poczwiennikach”. Artykuł Jakowlewa daje najbardziej pełny wykaz poglądów rosyjskich nacjonalistów, ilustrując go dużą ilością cytat. Mamy tu prawdziwą antologię „neosłowianofilskiej” literatury wraz ze szczegółową bibliografią. Ta część artykułu niewątpliwie zasługuje na specjalną uwagę.

A. Jakowlew polemizuje z całkowicie już sformowaną ideologią, która odrzuca nie tylko marksizm, ale i leninizm, odrzuca tradycję „zapadników”, nawiązującą do źródeł rosyjskiego nacjonalizmu.

Dowiadujemy się np., że jeden z ideologów „neosłowianofilstwa”, M. Łobanow, odrzuca „ideały wielkiej francuskiej burżuazyjnej rewolucji” twierdząc, że „uwolnienie się od nich jak od namotu, sztucznego, przymusowego przeszczepu” i nawrót do „niepodzielnego życia rosyjskiego” zapewniły „moralną nie-spożytość rosyjskich wojsk pod Borodino”. Dowiadujemy się także, że bohater powieści M. Koczyna „Jelenie stawy” rzekomo polemizuje z Czernyszewskim, który tak się wyraził o narodzie rosyjskim: „Wszyscy są satrapami, wszyscy są sługusami, wszyscy jawnymi lub ukrytymi niewolnikami... Naród rabów”. Przy uważnym przeczytaniu okazuje się, że cytata przypisana Czernyszewskiemu jest wzięta z artykułu Lenina i że polemika jest prowadzona z Władimirem Iljiczem. Autorzy cytowanej przez Jakowlewa broszury „Liście i korzenie” — L. Jersow i A. Chwadow — zwalczają Lenina w kwestii jeszcze bardziej istotnej. Twierdzą mianowicie, że rewolucja październikowa nie była jakimś tam początkiem rewolucji światowej, a jedynie „wielką rosyjską, narodową rewolucją”. Gdy brak współczesnych pisarzy, „neosłowianofile” zwracają się do przodków. A. Jakowlew pisze dalej, że w książce dla młodzieży — w zbiorze „O ziemi rosyjskiej” — zamieszczono wiersz wybitnego poety rosyjskiego XIX wieku, Mikołaja Jazykowa, w którym jest taka strofka: „Wy ludzie zarozumiali i bezczelni, wy niebaczne przedmurze nauki wstrętnej Bogu, wy wszyscy nie jesteście rosyjskim narodem”.

Taką cytata podaje Jakowlew, chociaż utwór rozpoczyna się jeszcze bardziej wyraźnie: „O! Wy, którzy chcecie przekształcić nas, zdeprawować i zniemczyć Ruś...”.

Jazykow pisząc: „nie jesteście narodem rosyjskim”... — gdyż chcecie „nas zniemczyć” — miał na myśli Herzena i innych „zapadników”. Kogo miał na myśli autor zbioru, wydanego już w naszych czasach — łatwo się domyślić.

Odrzucenie zachodnich tradycji rewolucyjnych, odrzucenie

1. „Poczwiennik”, „poczwiennicestwo” — neologizm od słowa „poczwą” — głęba.

„niemieckiego” marksizmu, apologia rosyjskiej samodzielnej myśli, to tylko część ideologii „neosłowianofilów”. Inną ważną częścią jest poszukiwanie wiecznej moralności, poszukiwanie „wiar” w te wewnętrzne duchowe wartości wiecznie odnawiające człowieka, które w rosyjskiej kulturowej tradycji zawsze nazywano sumieniem”.

Zacytowawszy to wezwanie do poszukiwania sumienia Jakowlew stwierdza, że jest to jeszcze jeden wypadek przeciwko Leninowi, który „jak wiadomo mówił: my nie wierzymy w odwieczną moralność, nie wierzymy i demaskujemy oszustwo wszystkich bajek o moralności”.

„Neosłowianofile” wierzą w moralność i szukają jej w moralności religijnej. „W wielu wierszach — stwierdza Jakowlew — spotykamy się z apoteozą cerkwi i ikon”. I dodaje groźnym tonem: „A to już zagadnienie bynajmniej nie poetyckie”.

Lektura artykułu A. Jakowlewa pozwala w pierwszym rzędzie na dwie obserwacje. Przede wszystkim zwraca uwagę siła i wpływ „neosłowianofilów”, które pozwalają im na publikację książek, wierszy i artykułów o charakterze jawnie nieortodoksyjnym. Autor artykułu uważał za konieczne poświęcenie jednego ustępu „zdemaskowaniu” Sołżenicyna, a „specjalnie jego ostatniej powieści ‘Sierpień 1914’”. Nazywając powieść Sołżenicyna „wiechowską² z pozycji filozoficznych, a kadecką³ z pozycji politycznych”, Jakowlew stwierdza, że „Sierpień 1914” narzuca „czytelnikowi negatywny stosunek do samej idei rewolucji i socjalizmu, znieśławia rosyjski ruch wyzwoleniczy i jego ideowo-moralne wartości, idealizuje życie, byt i obyczaje samodzielnego Rosji”. Ale przecież w całym swym ogromnym artykule tenże Jakowlew cytuje dużą ilość podobnych poglądów ideologów „neosłowianofilów”, które tak potępia u Sołżenicyna. Ale do tamtych odnosi się pobłażliwie.

Pobłażliwość, a może nawet i ukryta życzliwość dla przedstawicieli ideologii „neosłowianofilskiej”, to druga obserwacja. „Powieść Sołżenicyna — pisze Jakowlew — to przejaw otwartej wrogości do ideałów rewolucji i socjalizmu. Nie można jej jednak porównywać z innymi utworami. Pisarstwo sowieckim — a w ich liczbie i tym, których fałszywe poglądy krytykuje się w tym artykule — obce jest i wstrętne — kłania się Jakowlew — obcym jest zachowanie się nowego ‘wiechowca’”.

Jak dobrze musi znać Jakowlew myśli i uczucia „sowieckich pisarzy”, których po ojcowsku karci! Ale skąd wie, że „sowieckim pisarzem” — Sołżenicyn „ma się rozumieć” jest obcy i wstrętny?

Można przypuszczać, że dobrze znając autentyczne myśli i uczucia Sołżenicyna i dobrze wiedząc, że Sołżenicyna nie uda

2. Wiechowski kierunek filozoficzny powstał od tytułu zbioru „Wiechy”, który ukazał się w 1909 roku. Czołowi autorzy: Bierdiajew, S. Bułgakow, Frank.

3. Kadeci — konstytucyjni demokraci. Rosyjskie stronnictwo polityczne sprzed pierwszej wojny światowej.

się przekonać, A. Jakowlew, reprezentujący partię, nie zostawia nadziei na wykorzystanie „sowieckich pisarzy”, wyznających „neostłowianofilstwo”, nie zostawia nadziei, by ich ideologię — nawet po pewnej obróbce — można było włączyć do wszechobjęmu leninizmu. Rachuby Jakowlewa — i partii — są oparte — widać to wyraźnie w artykule — na nacjonalizmie „neostłowianofilów”. Ich jaskrawy rosyjski nacjonalizm, często przechodzący w szowinizm, wydaje się Jakowlewowi gwarancją możliwości wykorzystania ich dla celów partii.

Wyłożywszy szczegółowo ideologię „neostłowianofilów” Jakowlew zwraca się do nich o pomoc. Co prawda nie pomija okazji by w sposób zawołany pogrozić: „Motywy neopoczwiczniczestwa” nie są tak bardzo niewinne. Ale nie to jest ważne. Ważne jest niebezpieczeństwo grożące ZSSR: — wrogowie twierdzą, że ZSSR „to związek czysto mechaniczny, a nie organiczny”. Jakowlew straszy: „Zagadnienie stosunków narodowościowych... w tak wielonarodowym kraju jak nasz, jest jednym z najbardziej skomplikowanych zagadnień w życiu społecznym”. Jakowlew przypomina, że rosyjski monopol może się skończyć, gdyż narasta lokalny nacjonalizm. Przytacza przykłady: Gruzini wychwalają swoją cesarżową Tamarę; ukraiński pisarz Iwan Biłyk „w dążeniu, by jak najbardziej rozstawić mitycznego księcia kijowskiego Bohdana Gatiło doszedł do tego, że ogłosił iż podobno pod tym imieniem występował wódz Hunów, Atylla”; Kazachowie idealizują Kenesary Kasymowa. Tę listę można rozszerzać i rozszerzać.

Wniosek, do jakiego dochodzi Jakowlew jest nieskomplikowany. Wszyscy Rosjanie powinni skupić się wokół partii, poświęcić drugorzędne elementy „neostłowianofilstwa” jak religia czy sumienie, dla uratowania rzeczy najważniejszej — narodowego pierwszeństwa.



11 listopada 1972 roku w szpitalu obozu nr 3 w Mordowii zmarł Jurij Gałanskow — człowiek najczystszej serca i nieustraszonej odwagi. Na kilka miesięcy przed śmiercią udało mu się przesłać list do przyjaciół, w którym pisze: „Umieram. Oni robią wszystko co możliwe, aby przyspieszyć moją śmierć”. Bardziej skuteczne było poddanie Gałanskowa, cierpiącego na owrzodzenie żołądka, operacji w szpitalu więziennym — operacja zakończyła się śmiercią opornego aresztanta.

Śmierć Gałanskowa to tragiczny symbol zakończenia pierwszego okresu ruchu wolnościowego w postalinowskiej Rosji. Rękopiśmienny *Feniks*, opracowywany przez Gałanskowa w 1961 r., był pierwszą jaskółką literatury „samizdatowskiej”, która później tak się rozrosła. W tym czasie Gałanskow, syn robotnika, student wydziału historii uniwersytetu moskiewskiego, początkujący poeta, miał lat 22. Był jednym z inicjatorów zebrań młodzieży moskiewskiej przed pomnikiem Majakowskiego. Kipiał

energią i był pełen wiary w możliwość poprawienia „błędów” Stalina — rozpoczęcia wszystkiego na nowo.

W 1966 roku Jurij Gałanskow wydając drugi zbiór pod tym samym tytułem *Feniks*, nie ma już żadnych złudzeń. Zbiór wychodzi po procesie Siniawskiego i Daniela. Proces ten przekonał Gałanskowa o konieczności jasnego i wyraźnego sprecyzowania stosunku do władzy sowieckiej, do sowieckiego państwa, do sowieckiej literatury. W liście do Szołochowa, który na XXIII zjeździe partii domagał się rozstrzelania Siniawskiego i Daniela, pisze m.in.: „We współczesnej Rosji nie ma ani wolności prasy, ani swobody zrzeszania się, ani niezawisłego sądu — we współczesnej Rosji wszystko jest podporządkowane samowoli władzy”. Gałanskow nazywa Szołochowa agentem tej władzy, hańbą rosyjskiej literatury. W styczniu 1967 roku Jurij Gałanskow został aresztowany i skazany na 7 lat obozu o zaostrzonym reżymie. Chory, wziął udział w ogłoszonej przez swego przyjaciela, Aleksandra Ginzburga głódówce, która trwała 21 dni. Nie długo przed śmiercią napisał list do przyjaciół, w którym przebaczał Aleksiejowi Dobrowolskiemu (jego zeznania umożliwiły skazanie Gałanskowa) i prosił aby zapomniano o jego zdradzie.

Już ponad 10 lat minęło od wydania pierwszego *Feniksa*. Ruch, którego jednym z inicjatorów był Jurij Gałanskow, miał okresy rozkwitu, liczył tysiące zwolenników. „W obozie zwolennikami wolności twórczej okazała się absolutna większość inteligencji” — pisze Gałanskow do Szołochowa. Ale od 1968 roku ruch zaczyna upadać. Represje policyjne a jednocześnie polityka „cukierka” dają rezultaty. Walery Czalidze⁴ — jeden z członków Komitetu Obrony Praw Człowieka — uzyskał pozwolenie na trzymiesięczny pobyt w USA, w celu wygłoszenia szeregu odczytów o Prawach Człowieka w ZSSR. Jaurès Miedwiediew — jeden z najbardziej aktywnych obrońców swobody w twórczości naukowej, autor szeregu niezmiernie interesujących prac rozpowszechnianych przez „Samizdat” i opublikowanych w wielu językach na Zachodzie — otrzymał pozwolenie na roczny pobyt w Anglii celem prowadzenia prac naukowych. Został aresztowany jeden z liderów ruchu demokratycznego Piotr Jakir, który — według słuchów docierających z więzienia — wyraził zgodę na przeprowadzenie przed sądem samokrytyki i zrzeczenie się działalności politycznej.

Londyński *Observer* opublikował wywiad z Andrejem Sacharowem, pierwszy udzielony dziennikarzowi zagranicznemu.

Twórca sowieckiego Komitetu Praw Człowieka oświadczył: „Nie uważam się już za socjalistę. Nie jestem marksistą-leninistą i nie jestem komunistą. Określiłbym siebie jako liberała”. Oceniając obecną sytuację w Związku Sowieckim, Andrej Sacharow konstatuje, że ruch demokratyczny „nigdy nie znajdował się w stanie takiego upadku”. „Po wizycie prezydenta Nixona — stwier-

4. Waleremu Czalidze — w czasie jego pobytu w St. Zjedn. — władze sowieckie odebrały paszport zawiadamiając go o pozbawieniu go obywatelstwa sowieckiego.

dził — położenie to pogorszyło się. Władze stały się jeszcze bardziej bezwzględne, wiedząc że odprężenie pozwala im na ignorowanie opinii społecznej Zachodu, która przestanie interesować się problemem wewnętrznej wolności w Rosji”.

Z rzetelnością naukowca Sacharow przyznaje: „Przez dziesięć lat w kraju nic się nie zmienia. Kraj może zginąć, ale zmiany nie nastąpią. Wiemy, że nic nie możemy zmienić... Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby władza przestrzegała przepisów prawnych, np. dotyczących wolności słowa, jawności rozpraw sądowych, które rzekomo gwarantuje nam konstytucja...”.

Angielski dziennikarz Akselbank zadał Sacharowowi pytanie: „Więc dlaczego walczyć, jeśli myślicie, że to jest bezcelowe?”

„Dlatego — odpowiedział Andrej Sacharow — że dla nas to nie jest walka polityczna... Dla nas wszystkich jest to walka moralna. Walczymy, aby pozostać wiernymi samym sobie”.

Jasne, że w prasie sowieckiej nie ma słowa ani o śmierci Jurija Gałanskowa, ani o wywiadzie udzielonym przez Andreja Sacharowa. Natomiast w *Literaturnoj Gazecie* (29. 11. 72) zamieszczono listy dwóch sowieckich pisarzy — Anatola Gładilina i Bułata Okudźawy.

W swoim czasie Aleksander Galicz napisał melancholijny wiersz pt. „Odchodzą przyjaciele”, który zaczynał się od słów: „Odchodzą, odchodzą, odchodzą przyjaciele — jedni do nikąd, drudzy w księżęta...”.

Gałanskow odszedł do nikąd. Nie wiem, czy Okudźawa został księciem, niewątpliwie jednak jego list przynębił licznych zwolenników jego poezji.

Wiem dobrze czym jest ciężar sowieckiej presji dławiącej człowieka, wiem jak łatwo oskarżać kogoś o słabość, nie przeżywając tego co on przeżywa. A ponadto należy podkreślić, że list Bułata Okudźawy jest szczytem dyplomatycznej zręczności i subtelności. Redakcja pisma specjalnie zamieściła na początku list Gładilina, który wyraźnie, bez wykrętów, oświadczył, że wydanie jego książki w NRF w języku rosyjskim to „prowokacja białoemigracyjnej prasy” itp. Okudźawa natomiast pisze o „niektórych zagranicznych organach prasowych”, pisze ostrożnie i kulturalnie. Ale wykręcić się trudno. Dwa króciutkie listy redakcja poprzedziła ogromną przedmową: „Falsyfikatory w roli dobroczyńców”. W tej przedmowie jest to wszystko, co było tak trudne, a być może niemożliwe do napisania dla Okudźawy.

Nie ulega wątpliwości, że osłabienie ruchu demokratycznego i zmiana atmosfery w Moskwie tłumaczą list Okudźawy w tym samym stopniu, jak nacisk władz.

nie ukazał się komunikat o zmianach na wysokich stanowiskach w hierarchii partyjnej czy rządowej. Zmieniają się kierownicy partii w Azerbejdżanie, na Ukrainie — gdzie usunięto pierwszego sekretarza Szelesta, w Gruzji — gdzie też usunięto pierwszego sekretarza Mżawanadze, w Armenii — gdzie dysmisjonowano przewodniczącego Rady Ministrów itd., itd.

Przesunięcia mają miejsce również i na średnim szczeblu hierarchii partyjnej. Breżniew łączy przyjemne z pożytecznym: mianuje na odpowiedzialne stanowiska w republikach swoich ludzi, a usuwa tych, którzy wykazywali „nacjonalistyczne” tendencje. Usunięcie pierwszego sekretarza KC gruzińskiej kompartii, Wasilja Mżawanadze, z-cy członka politbiura KC KPSS, dodatkowo związane jest z jednym z najbardziej sensacyjnych skandali ostatnich lat.

Uważni czytelnicy stenogramów zjazdów partii pamiętają, że Mżawanadze był bodajże jedynym mówcą na XXIII zjeździe partii w 1966 roku, który nie podtrzymał wniosku o mianowanie I sekretarza Breżniewa sekretarzem generalnym. Leonid Iljicz czekał 6 lat. I doczekał się zdarzenia jak najbardziej wygodnego. 27 listopada 1972 *Prawda* zamieściła notatkę o skandalu w Gruzji. W rzeczywistości rozmiary skandalu związanego z łapownictwem i korupcją osiągnęły nieprawdopodobne rozmiary.

Ta historia mogłaby być materiałem do pasjonującej powieści kryminalnej. Niejaki Laziszwili rozpoczął swoją działalność od rozwożenia „lewego” towaru i bardzo szybko, dzięki niewątpliwym zdolnościom handlowym, zręczności i hojności stał się jednym z najbogatszych ludzi Gruzji, kierującym całą siecią podziemnych przedsiębiorstw. Laziszwili z towarzyszami nie tylko sam żył jak były gruziński książę, ale i dawał żyć innym: na jego hojnie opłacanych usługach byli sekretarze rejonów, obwodów i — jak twierdzą — sekretarze KC, nie mówiąc już o innych urzędnikach. No, ale jak zwykle, ktoś z kimś się nie dogadał, ktoś komuś nie dopłacił i rozpoczęło się śledztwo, które wziął w swoje ręce zastępca ministra Spraw Wewnętrznych Gruzji, Edward Szewardnadze. Z wielkim wysiłkiem, używając podstępów, a gdzie one nie pomagały to i kulaków, Szewardnadze uzyskał dowody przeciwko Laziszwili, który został aresztowany i skazany.

Upadek Laziszwili spowodował również upadek Mżawanadze. A pierwszym sekretarzem KC Gruzji został — jak łatwo odgadnąć — wybitny sowiecki czekista, Szewardnadze.

Jeszcze nie obeszły podpisy pod wyrokiem, a już literatura sowiecka zareagowała na skandal w Gruzji. Nieoceniony miesięcznik *Oktiabr*, który uraczył czytelników poprzednich dwóch numerów powieścią antysemicką, zamieścił obecnie — w numerze 11-tym — powieść antygruzińską. Łatwo zrozumieć naczelnego redaktora Koczetowa: to przecież święto przyjaźni narodów.

W ostatnich czasach nie ma tygodnia, by w prasie sowieckiej

Tym razem w charakterze autora wystąpił oficjalny bard „sowieckich organów”, Julian Siemienow. Trzeba mu oddać sprawiedliwość — wszystkie swoje książki tytułuje zawsze nazwiskiem klienta. Jedna z jego książek nazywa się „Pietrowka 38” — tam mieści się dyrekcja moskiewskiej milicji. Druga książka w podtytuł ma adres „Łubianka 2”. Nowy opus nazywa się — „Ogariewa 6”. Nawet czytelnicy spoza Moskwy wiedzą, że pod tym adresem znajduje się ministerstwo Spraw Wewnętrznych (najczęściej nie trzeba go szukać, ono samo was znajdzie).

„Ogariewa 6” to historia kryminalna. Głównym bohaterem jest pułkownik MWD poszukujący podłego mordercy. Stosunkowo szybko go znajduje. Morderca — jak należało oczekiwać — jest odpychającym Gruzinem, jego pomocnik to niemniej obrzydliwy Ormianin. Jest tam co prawda i rosyjski łobuz, ale widocznie zdemoralizował się pod zgubnym wpływem Azjatów — Kaukazyjczyków.

Adam KRUCZEK

Krajowe ukrainica

*Prometeizm w polityce II-ej Rzeczypospolitej**

Autor omawianej książki stwierdza, że „pragnienie napisania rozprawy o prometeizmie wynikało z ogólnego dziś wśród historyków dążenia do coraz pełniejszego i głębszego zrozumienia dziejów ojczyźnych” (str. 286). Co prawda w ostatnich latach pojawiło się w Polsce trochę literatury traktującej o XX-wiecznych polskich koncepcjach politycznych i terminy takie, jak „federalizm”, „inkorporacjonizm”, „międzymorze”, „prometeizm” weszły już na ogół do obrotu naukowego, ale istniejącego stanu badań niesposób uznać za zadawalający, zwłaszcza, że szereg prac zdążyło się już dość mocno zestarzeć, nawet jeśli w momencie ich pojawienia się spełniły pożyteczną rolę. Dowodem tego m.in. moja praca magisterska, traktująca właśnie o prometeizmie¹, napisana przed 15 laty. Przynam się, że już od lat cytaty z tej pracy i powoływanie się na nią sprawiają mi nieco kłopotu — nauka idzie naprzód, a to co było rewizją stereotypów okresu

* Sergiusz Mikulicz: *Prometeizm w polityce II Rzeczypospolitej*. Warszawa, 1971, str. 316.

1. J. Lewandowski: *Prometeizm...* Biuletyn Naukowy WAP, seria historyczna Nr 2/12, 1958, Nr 1/14, 1959.

staliniowskiego i otwarciem pewnego zawarowanego pola badawczego, samo już od lat wymaga rewizji. Jak dotąd, jest jednak mój „Prometeizm” cytowany dość często i gęsto...

Lat piętnaście temu zdawało mi się, że piszę rozprawkę czysto historyczną, traktującą wyłącznie o przeszłości. Rozwój wydarzeń zwłaszcza w ostatnich latach przekonał mnie, że terażniejszość nie zaczyna się na pustym miejscu, że jest ona zawsze w jakimś stopniu nawiązaniem do myśli wcześniejszych pokoleń, nawet jeśli między obecnym pokoleniem a wcześniejszym po drodze znajdowała się niewypełniona pustka. Dlatego też badania nad prometeizmem zawsze zawierają w sobie jakąś dozę aktualności politycznej i są szczególnie ważne.

Publikacja Sergiusza Mikulicza jest wynikiem wieloletniej pracy, obfitej literatury i autentycznej pasji. Autor ma za sobą już określony dorobek, gdyż przed kilku laty opublikował monografię „Od Genui do Rapallo”², będącą rozprawą doktorską napisaną pod kierownictwem prof. H. Batowskiego.

Pracę Mikulicza o „prometeizmie” czytałem w maszynopisie przed czterema laty, gdy wydawnictwo zwróciło się do mnie o zrecenzowanie jej. Muszę stwierdzić, że w obecnej postaci praca prezentuje się o wiele lepiej: autor usunął szereg błędów faktograficznych, wzbogacił bazę źródłową, a szereg własnych konkluzji — dyskusyjnych dla mnie wówczas i obecnie — przedstawił w postaci głębszej i bardziej przemyślanej. Nie znaczy to jednak, bym był przez autora przekonany. Spróbuję krótko sformułować swe zastrzeżenia. W dużej mierze moje uwagi krytyczne są powtórzeniem stanowiska zajętego przeze mnie w „Federalizmie”, napisanym i opublikowanym w 1962 roku.

1. Mikulicz potraktował jako część *prometeizmu* zarówno *federalizm* tj. koncepcję prawnopolityczną okresu odbudowy i kształtowania się państwa polskiego w latach 1917-1920, jak i *koncepcje polskiego ruchu niepodległościowego* z początków XX wieku.

To ujęcie nie jest czymś odosobnionym, przeciwnie, jest ono przejęte od autorów traktujących koncepcje piśsudczyków w sposób apologetyczny, by wymienić chociażby Władysława Pobóg-Malinowskiego i M. K. Dziewanowskiego. Czy jest to jednak stanowisko słuszne? Niewątpliwie prometeizm nawiązywał do wcześniejszych koncepcji obozu — zarówno z okresu niewoli jak i do federalizmu — ale włączanie całej myśli politycznej w nurt prometeizmu jest niesłuszne. Szczególnie między federalizmem a prometeizmem istniały poważne rozbieżności.

Chodzi mianowicie o to, że federalizm był przede wszystkim próbą rozwiązania problemów narodowościowych na terenie bardzo skomplikowanym, gdzie nie istniała możliwość wytyczenia granic etnograficznych, gdzie stosunki narodowościowe były na domiar powikłane specyficznym układem czynników ekonomicznych, kulturalnych, religijnych i historycznych.

2. Warszawa 1966.

Federalizm ukształtował się po upadku caratu w Rosji a przed rewolucją październikową. Elementem stosunków polsko-sowieckich stał się on dopiero po rewolucji październikowej, gdy ujawniły się sowieckie aspiracje na „kresy”, tj. tereny, na których Polacy stanowili mniejszość, ale na których Rosjanie nie stanowili nawet mniejszości.

Mikulicz nie lubi „federalizmu”. Krytyka „federalizmu” może być podejmowana z rozmaitych punktów widzenia. Osobiście przyłączałem się do tych, którzy krytykowali ówczesne społeczeństwo polskie, za to że nie dorosło do idei zgodnego współżycia narodów i które w swej większości opowiedziało się za inkorporacjonizmem. Mikulicz natomiast krytykuje federalizm jako godzący w interesy Związku Sowieckiego i wszelkiej Rosji. Mało tego, w jego ujęciu federalizm jest zagadnieniem stosunków polsko-rosyjskich. Prawa i pragnienia, nadzieje i rozczarowania Ukraińców, Litwinów, Białorusinów nie liczą się, nawet nie istnieją na kartach omawianej książki (por. str. 19). Autor nie dostrzega również tak ważnego czynnika jak ludność polska na tzw. kresach i w Galicji Wschodniej. Ale o tym szerzej w następnym punkcie:

2. Rosyjskie urzędowe przedrewolucyjne statystyki ze zrozumiałych względów pomniejszyły ilość Polaków na terenie tzw. ziem zabranych. Były to jednak czasy w których technika dezinformacji nie osiągnęła perfekcji. Dlatego też, o ile statystyka narodowościowa na terenie trzech prawobrzeżnych guberni ukraińskich ujawniała tylko 3 % Polaków, to ta sama statystyka w rubryce wyznaczonej stwierdzała w tychże guberniach 7 % katolików obrządku rzymskiego, czyli tych samych Polaków.

Według obiektywnych, bardzo ostrożnych obliczeń, na terenie 5 guberni litewsko-białoruskich Polacy stanowili co najmniej 17 % ludności. Wydawałoby się, że po obiektywnych, niepodważalnych badaniach E. Maliszewskiego, L. Wasilewskiego Weryhy-Darowskiego, po publikacjach moich i K. Dunina-Wąsowicza nikt nie będzie powtarzał bzdur — przynajmniej w Polsce. Nie wiem ile w tym luk w odczytaniu, ale Mikulicz powtarza (str. 67) fałszywe rosyjskiej statystyki, pozostające m.in. w sprzeczności z sowieckimi pracami demograficznymi z pierwszych lat porewolucyjnych, by wymienić tu choćby Stefana Heltmana i Dąbala.

4. Dużo zastrzeżeń budzi i metoda historyczna. Zarówno szkoła z której wyszedł jak i praca Dziewanowskiego na której Mikulicz wzoruje się jeśli idzie o metodę, wywodzą się z XIX-wiecznych ujęć personalistycznych, którym już mało kto z polskich historyków hołduje. W tym ujęciu zarówno federalizm jak i prometeizm nie są koncepcjami odzwierciedlającymi obiektywny układ stosunków, rodzonymi przez życie, ale pomysłami Piłsudskiego i przezeń realizowanymi.

3. Dziewanowski M. K.: *Joseph Pilsudski. A European Federalist*. Stanford, 1969.

Nikt nie zamierza odrywać tych koncepcji od Piłsudskiego, który stał na czele potężnego ugrupowania, które tę politykę realizowało, ale czy można poważnie badać ideologię piłsudczyków traktując Leona Wasilewskiego i Tadeusza Hołówkę tylko jako wykonawców, a zupełnie pomijając takie postaci jak Andrzej Strug, Adam Skwarczyński (jego rolę zgoła niedawno zaakcentował Micewski) Wojciech Stpiczyński, Marcei Handelsman, Stanisław Stempowski, Adolf i Aleksander Bocheński, St. J. Łoś? Nawet książka Rzymowskiego o Hołówce została zignorowana, a szkoda, bo skorygowałaby niejedną błędny passus. Pod tym względem — pod względem metody — praca Mikulicza stanowi regres w zestawieniu z wcześniejszymi publikacjami naukowców krajowych.

Do plusów pracy należy szeroka baza archiwalna i duża ilość przerobionej bibliografii. Minusem jest jednak zupełne niemal pominięcie prasy, a każdy kto parał się tymi zagadnieniami wie, jak ważnym źródłem są łamy *Rządu i Wojska, Narodu, Drogi, Buntu Młodych, Polityki, Biuletynu Polsko-Ukraińskiego*. Może sięgniecie do prasy i przeczytanie odpowiednich artykułów w *Polsce Zbrojnej* pozwoliło np. uniknąć włączenia gen. Kasprzycykiego do rządu aktywnych rzeczników prometeizmu. *De facto* to on kierował ostrą kampanią przeciwko prometeizmowi. Bo w ogóle, prometeizm nie był koncepcją wyznawaną przez wszystkich piłsudczyków. Hołdowały mu koła demokratyczno-lewicowe w tym obozie plus konserwatywne, podczas gdy przeciwstawiały się koła prawicowe. Pomijając Kasprzycykiego i jego grupę (Głuchowski, Sadowski) nie była to koncepcja mile widziana ani przez Becka ani przez Miedzińskiego i prawdę powiedziawszy, wbrew temu co można by wnioskować z książki, pod koniec lat trzydziestych prometeizm nie tylko pałętał się na peryferiach politycznych, ale nawet nie miał swojego rzecznika wśród ludzi dowodzących wpływowych w rządzącym obozie.

Dowodu na wpływy prometejskie ma dostarczyć cytowany nader obficie, opracowany przez Ekspozyturę II, memoriał „Stosunki polsko-prometeuszowskie” (CA MSW, EII/1-3), złożony Rydzowi-Śmigłemu. Jest to rzeczywiste fenomenalne źródło do dziejów prometeizmu. Trzeba by jednak dodać — czego Mikulicz nie robi — że memoriał ten nie uzyskał aprobaty ze strony adresata, czego przekonujące dowody można znaleźć w zbadanych przez Mikulicza materiałach archiwalnych.

Jak widać, recenzja jest dość krytyczna. Pomijam inne drobne usterki, chciałbym tylko by wojewoda wołyński, Józefski przeszedł do historii pod nie zniekształconym nazwiskiem.

Mimo tej krytyki pracę trzeba ocenić jako pożyteczną. Niedawno zmarły Stanisław Zabiełto ongiś, gdy pracował w poselstwie w Moskwie, grywał w brydża z Karolem Radkiem, już ostracyzowanym, ale jeszcze wpływowym działaczem komu-

nistycznym. Gdy Radek w przystępie gorliwości napisał artykuł o Stalinie jako o „wodzu i nauczycielu”, zdegustowany Zabiełło zapytał go przy najbliższej okazji: — Panie Karolu, czy nie wstyd Panu wypisywać takie azjatyckie pochlebstwa? Na to nie stropony Radek odparł: — Wstyd nie wstyd, grunt, że mi jeszcze dają pisać!

Otóż to! Książka mimo swych luk, a może i dzięki nim, zmusi czytelnika do refleksji i zastanowienia, a to ostatecznie jest najważniejsze.

W Związku Sowieckim diabelnie nie lubią przypomnienia prometeizmu, o czym sam niejednokrotnie się przekonałem. Owszem, w latach trzydziestych zarówno Żarscy i Sochacki jak i Leński zostali straceni jako agenci POW, których zadaniem było krzewienie prometeizmu na terenie ZSSR. Zdaje się, że ten zarzut stawiano wszystkim polskim komunistom, tak przynajmniej wynikałoby z relacji Teodory Feder, aresztowanej w 1939 roku. (O tym, na marginesie, warto Mikulicza poinformować, jako że bierze on orzeczenia sowieckiego wymiaru sprawiedliwości przesadnie na serio). Później wokół prometeizmu zapanowała cisza. Mikulicz ją przerywa i to jest jego zasługą, nawet jeśli ma ją on dzielić z innymi.

Z punktu widzenia nie tylko osobistego chciałbym wyrazić autorowi uznanie i szacunek z następującego względu: Niedawno na łamach *Kultury* doc. Paweł Korzec czuł się zmuszonym do ostrego napiętnowania tych historyków, którzy w porwie wiernopoddania wymazali go z polskiej nauki. Osobiście mógłbym przytoczyć szereg identycznych przykładów, jako że np. skreślenie mego nazwiska służyło X i Y do zdobycia priorytetu badawczego.

Wystąpienie Korca wzbudziło wśród emigrantów żywą dyskusję, w której m.in. słyhać było głosy, iż nie uwzględnia on sytuacji, w jakiej znajdują się historycy w kraju. Myślę, że Mikulicz dostarcza przekonującego dowodu, że ci wszyscy, którzy wymazują nazwiska emigrantów działają jedynie z własnego impulsu i sami za to ponoszą odpowiedzialność.

*Kwestia ukraińska w polityce III-ej Rzeszy**

Europa Wschodnia, opóźniona w procesie kształtowania się narodów i narodowych organizmów państwowych, posiada szereg nierozwiązanych kwestii. Na co dzień zwykliśmy więcej wagi przywiązywać do kwestii baskijskiej lub chorwackiej ale jest chyba truizmem twierdzenie, że właśnie Ukraina rozstrzyga o konturach mapy politycznej Europy.

Kwestia ukraińska jest kwestią tragiczną. Jeden z największych narodów Europy, od zarania niemal dziejów pozbawiony

* Ryszard Torecki: *Kwestia ukraińska w polityce III Rzeszy 1933-1945*. Książka i Wiedza, Warszawa, 1972, str. 378.

jest własnej państwowości. Jest to tragizm tym większy, że historia odmówiła mu nawet znamion wielkości. Niepowodzeniem kończyły się próby wykrzesania sił z głębi narodu, katastrofą — oparcia się na innych. Już ponad sto lat temu pisał Taras Szewczenko o hajdamakach, którzy co prawda zasiali żyto na Ukrainie, ale zasiali go dla obcych. Z bólem pytał się poeta, jakie stąd wyciągnąć wnioski i nie znajdował odpowiedzi. Równie trudno znaleźć odpowiedź i obecnie.

Praca Torzeckiego porusza jeden z najistotniejszych aspektów kwestii ukraińskiej tj. niemieckie próby wykorzystania ukraińskiego dynamitu dla ugruntowania swego panowania w Europie oraz ukraińskie usiłowania wykorzystania niemieckiej, a głównie hitlerowskiej agresywności dla narodowych celów ukraińskich.

Rozprawa powstawała w przeciągu kilkunastu lat — osobiście śledziłem jej losy od 1962 roku — w czasie których autor musiał pokonać szereg trudności, zarówno warsztatowych jak i czysto życiowych, by doprowadzić rozprawę do końca. Jest to więc dzieło autentycznej pasji. W tym chyba spoczywają zarówno walory pracy jak i jej niedostatki.

Torzecki przestudiował kolosalną literaturę i sama bibliografia zagadnienia, zamieszczona na końcu książki, stanowi wkład do naszej wiedzy o kwestii ukraińskiej. Torzecki przestudiował również wiele zbiorów archiwalnych krajowych i zagranicznych. Nie będąc specjalistą tych zagadnień, dostrzegam jedną tylko istotną lukę materiałową. Mianowicie Torzecki nie wykorzystał papierów St. J. Łosia, złożonych w Archiwum Wojewódzkim w Lublinie. Papiery te, należące do najwybitniejszego polskiego znawcy zagadnień ukraińskich, zawierają przede wszystkim korespondencję z czołowymi ukraińskimi działaczami, pisarzami politycznymi, publicystami w okresie międzywojennym i nawet w czasie II-ej wojny światowej. Są też one nieocenionym i, niestety, nie wykorzystanym dotychczas źródłem do zbadania takiego ewenementu historycznego jakim było porozumienie Kościakowski-UNDO zawarte w 1935 roku, które to porozumienie, niezależnie od tego, że godne zbadania samo w sobie, ma duże znaczenie dla problemów poruszanych przez Torzeckiego, który wielokrotnie w swej pracy styka się z jawnymi lub ukrytymi konsekwencjami tego porozumienia.

Ponadto — sprawa sposobu wykorzystania materiału archiwalnego. Odsyłacze służą, a przynajmniej winny służyć temu, by czytelnik mógł zrozumieć w oparciu o jakie źródło sąd był zbudowany. Stąd upowszechniająca się zasada, że równocześnie z oszczędnością odsyłaczy, unikaniem ich przy sprawach oczywistych, dawać je w postaci rozwiniętej, z podaniem daty i rodzaju dokumentu, przy sprawach nasuwających różne możliwości interpretacyjne. Torzecki tego nie robi, a szkoda, bo często korzysta z materiałów policyjnych i wywiadowczych. Nie lekceważę tego rodzaju źródeł, przeciwnie, uważam je za bardzo istotne, ale są to źródła wymagające szczególnej ostrożności oraz kontroli dosłownie każdego przekazu. Co więcej, czasem istnieją

przekazy prawdziwe w całości, ale niezgodne z prawdą w szczegółach. Niestety, Torzecki skłonny jest czasami do budowania daleko idących wniosków lub podaje pewne przypuszczenia jako pewniki, a odsyłacz prowadzi do źródła egzogenicznego, na domiar nie scharakteryzowanego.

Generalna teza Torzeckiego, że współpraca z Niemcami a w szczególności z hitlerowcami, była dla Ukraińców kiepskim interesem i to nie tylko w perspektywie dziejowej, ale i w wymiarze doraźnym, jest niepodważalna, ale również niepotrzebująca dysertacji. Zasadą natomiast Torzeckiego jest precyzyjne zestawienie faktów współpracy między Niemcami a określonymi ukraińskimi odłamami politycznymi. Aczkolwiek tematem rozprawy jest kwestia ukraińska w polityce niemieckiej w okresie hitleryzmu w latach 1933-1945, Torzecki cofa się dalej, by nawiązać do antecedenencji poczynając od 1917 roku. Jest to chyba słuszne, bowiem hitlerowska polityka ukraińska nie zaczynała się na pustym miejscu, lecz wkraczała na teren na którym główne linie i ich alternatywy były już wytyczone. Nie nawiązując do rozciągania rozprawy bardziej w czasie, chciałbym jednak w tej pracy przeczytać, że jakieś ramy ukraińskiej polityki Niemiec i niemieckich polityków w Austrii ustalały się jeszcze wcześniej, w połowie XIX wieku, i miały powiązanie z niemiecką polityką w sprawach polskich. To przecież ta polityka posłużyła Dmowskiemu do definicji równie niemądrej jak brzydkiej, odmawiającej Ukraińcom miana narodu i określającej ich jako „najlepszy wynalazek propagandy niemieckiej”.

Zasadą autora jest to, że występuje przeciwko stereotypowi polskich poglądów, jakoby OUN sprawowała niepodzielny rząd dusz w społeczeństwie ukraińskim, przeciwnie, szereg razy zaznacza, że zarówno ukraińska lewica jak i UNDO były przeciwne tendencji germanofilskiej. Boję się jednak, że wzmianki te są zbyt rzadkie i zbyt słabo podkreślone, by mogły przyczynić się do przewyciężenia stereotypów.

Polityka proniemiecka galicyjskich Ukraińców była w głównej mierze pochodną stosunków polsko-ukraińskich. Moim zdaniem, ten aspekt stanowi najstarszą stronę pracy. Stosunki polsko-ukraińskie u zarania niepodległości były nagromadzeniem wielorakich komplikacji: sprawy etnograficzne były krzyżowane warunkami ekonomicznymi, te ostatnie zaś — historycznymi. Nie sposób było znaleźć jakiejś linii rozgraniczenia, niesposób było też traktować Galicji Wschodniej jako czysto polskiej ale i też nie można było jej uważać za ukraińską. Po stronie polskiej była przewaga militarna. Co prawda nie brak było działaczy, którzy ostrzegali że należy dążyć do porozumienia z galicyjskimi Ukraińcami nawet kosztem dużych ustępstw. Do tych należeli zarówno Daszyński z L. Wasilewskim i większością działaczy PPS, jak i czołowi piłsudczyści: A. Skwarczyński, T. Hołówko, A. Strug i inni. Przez jakiś czas argumentacji tej ulegał i Piłsudski, a przynajmniej był o to oskarżany przez endecką większość sejmową.

Latem 1919 roku ZURL doznała porażki militarnej, jej rząd przeniósł się za granicę a jej oddziały zbrojne zostały wyparte za Zbrucz. Historycy polscy, niezależnie od politycznej proweniencji, zwykli mówić o zajęciu Galicji Wschodniej. Tak było niewątpliwie z polskiego punktu widzenia, tak jest też z historycznego punktu widzenia Torzeckiego. Jednak z punktu widzenia ukraińskiego było to zbrojne zniszczenie niepodległego ukraińskiego państwa — jednej z nielicznych prób jego zbudowania. W rezultacie w społeczeństwie ukraińskim musiał powstać stereotyp zasadniczej i nieprzejednanej wrogości polsko-ukraińskiej, wobec którego — jak słusznie kiedyś stwierdził Adam Skwarczyński — wszystkie późniejsze próby eksperymentowania zbyt były ryzykowne, by mogły być celowe.

Torzecki twierdzi, że klęska ZURL była konsekwencją maksymalizowania żądań przez Ukraińców (str. 27). Wątpię czy, gdyby dążenia ZURL były umiarkowane, czy istniałaby wówczas szansa porozumienia polsko-galicyjskiego, czy minimalizacja żądań byłaby czymś skutecznie przeciwstawiającym się armii Hallera. Torzecki przenosi ciężar konfliktu na rok 1922, gdy uchwalono ustawę o szczególnym samorządzie na terenie województw Galicji Wschodniej, ustawę, której nie zamierzano wprowadzić w życie, a która miała na celu uzyskanie czy wyjednanie stabilizującej uchwały Rady Ambasadorów. Torzecki ostro ocenia postępowanie ówczesnej większości sejmowej: „wprowadzono w błąd opinię międzynarodową, złamano prawo międzynarodowe i zastosowano przemoc wobec słusznych praw Ukraińców” (str. 49-50). Mniej miejsca i uwagi autor poświęca późniejszym elementom stosunków polsko-ukraińskich.

Czytając monografię odnosi się wrażenie, że na potraktowanie tematu w dużej mierze wpłynęła wiedza o ostatecznym wyniku: wojna, bulbowcy, banderowcy, SS Hałyczyna, Einsatzkommando, groby na Wołyniu, groby w Rzeszowskim, groby na Lubelszczyźnie. Nie zamierzam lekceważyć tych uczuć. Sam nieraz przeżywałem szok, gdy stykałem się ze skutkami działalności ukraińskiego nacjonalizmu. A mimo to uważam, że spojrzenie poprzez pryzmat ostatecznego wyniku prowadzi w rezultacie do jakiegoś aprioryzmu i znieczulenia na historyczną dialektykę.

Przejdźmy do uwag szczegółowych. Wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu, wbrew wielu pisemnym ujęciom, pola naftowe i rafinerie w Galicji Wschodniej do 1918 roku należały do kapitału czesko-austriackiego, na co są wystarczające dowody w archiwach czesko-słowackich. Kapitały zachodnio-europejskie angażowały się w miarę jak wycofywał się kapitał czeski (str. 26). Co do kogo należy — jest w okresie spółek akcyjnych dość trudne do stwierdzenia, na marginesie tylko dodam, że rząd polski też nie zdawał sobie z tego sprawy, ani też jakimi środkami nacisku na rząd czechosłowacki dysponuje w latach 1918-1920.

Nie nazwałbym aktu zjednoczenia Ukrainy „quasi-federacją”, to określenie bardziej pasuje do innych, znanych Torzeckiemu

organizmów państwowych. Było to po prostu nieurzędywistnie zjednoczenie, przy czym chyba m.in. dlatego, że zabrakło na to czasu (str. 27). Ostatecznie zjednoczenie Poznańskiego z Polską też nie dokonało się jednej nocy. Lewickiego bryk (str. 29) nie jest podstawą dla wyciągania wniosków w poważnych sprawach. Zakarpacie nie weszło w skład ZURL (str. 29). Razi niejednołitość pisowni. Prof. Smal-Stocki podpisywał się po polsku. Jeśli jednak autor stosuje transliterację z ukraińskiego to chyba będzie Drahomaniv zamiast Dragomanowa. Ukraiński Instytut Naukowy w Warszawie powstał dzięki energii i staraniom Marcelego Handelsmana (str. 61). Zabójstwo Hołówki skomentowane tak jednoznacznie (str. 67) kryje w sobie wiele momentów niejasnych. Zarówno Łoś jak i drugi wybitny znawca zagadnień ukraińskich, Aleksander Bocheński, nie ukrywali, że pewne ślady prowadzą w stronę lwowskiej policji, o czym zresztą przed laty pisałem. Autor słusznie podkreśla usiłowania porozumienia polsko-ukraińskiego, podejmowane uporczywie ze strony grupy „Buntu Młodych” - „Polityki”. Archiwum Senyka zdobyto nie dzięki współdziałaniu z czechosłowackimi władzami, ale wbrew nim.

Zmuszony do wielu koncesji na rzecz cenzury, przesadzając niekiedy ponad potrzebną miarę w pochwałach polityki narodowościowej ZSSR, odważył się jednak Torzecki stwierdzić, że „mniej jasne w tym względzie (w stosunku do Hitlera i nazizmu) wydaje się stanowisko W. Mołotowa, niejednokrotnie niezgodne z opinią publiczną w ZSSR” (str. 104). Niektórzy renomowani i uznawani profesorowie i na takie stwierdzenia nie potrafią się zdobyć.

Zestawienie Rohrbacha i Oberländera (str. 108) kuleje — tych panów dużo łączyło, ale i rozbieżności były wielkie. Słuszne i trafne przedstawienie rozbieżności UNDO-OUN (str. 132) jak i tragicznej ewolucji części UNDO i „Diła” w stronę hitleryzmu (str. 173) wymagałoby rozwinięcia, o czym już wcześniej pisałem. Faszyzacja społeczeństwa ukraińskiego to nie tylko i nie przede wszystkim wynik udanych zabiegów OUN (str. 152), przeciwnie następuje ono w momencie, gdy OUN przeżywa głęboki kryzys.

O usunięciu Józewskiego ze stanowiska wojewody wołyńskiego (str. 171) istnieje dość bogata literatura, najlepiej jednak wyjaśnia sprawę on sam w memoriale znajdującym się w papierach St. Stempowskiego (BUW). Sprawa oficerów kontraktowych przedstawia się inaczej niż autor ją zrozumiął (str. 189), na ten temat też istnieje literatura.

Wiadomość, że Borowец-Bulba działał za inspiracji A. Lewickiego (str. 233) wymaga dowodu, który musiałby również określić jak daleko działała inspiracja. Aczkolwiek oceny Szandruka są w tej książce o wiele bardziej wstrzemięźliwe niż w znanej anty-szandrukowskiej kampanii sprzed dziesięciu lat, to jednak Torzecki nie chce brać pod uwagę faktów podanych przez polską prasę emigracyjną. Do niedawna byłem skłonny oceniać rolę

prof. Kubijowicza podobnie jak ocenia ją Torzecki, ale otrzymane przeze mnie wiadomości z polskich ust o jego usługach, świadczonych w czasie okupacji polskiemu ruchowi oporu zmusiły mnie do relatywizacji ocen. Przypuszczam jednak, że tymi danymi Torzecki nie dysponuje.

Józef LEWANDOWSKI

Colloquium w Lindenfels

Tegoroczne Colloquium (czy Sympozjon) polsko-niemieckie miało za temat „Polsko-niemiecką wymianę kulturalną. Przeszłość, terażniejszość, przyszłe możliwości”. Trwało jeden cały dzień i dwie połówki. Posiedzenia przerywane były tylko na posiłki, w drugim dniu na pokaz paru filmów polskich i wieczorem tegoż dnia na towarzyszą „lampkę wina” przy akompaniamentem muzyki i piosenek polskich, utrwalonych na „recorder’ze” w ogromnym wyborze przez dr. R. Breyera, dyrektora Instytutu im. Herdera w Marburgu. Dzięki szczególnemu stylowi obrad, wprowadzonemu od początku przez prof. Rhode, panowała, jak za każdym razem, bardzo przyjemna, niewymuszona, żywa atmosfera.

Colloquia polsko-niemieckie w Lindenfels, często z udziałem emigrantów z innych krajów środkowo-wschodniej Europy, mają już swoją historię. Tegoroczne było szóstym z kolei. Nie jest mi dokładnie wiadomo kiedy i gdzie powstał pomysł tych polsko-niemieckich spotkań i dyskusji na tematy nie związane bezpośrednio z bieżącymi zagadnieniami politycznymi. Motywem ich, o ile rozumiem, była myśl stworzenia w okresie wielkiej wzajemnej izolacji w stosunkach polsko-niemieckich, powojennych, pewnego punktu styczego dla poznania się wzajemnego i wymiany poglądów ludzi dobrej woli po obu stronach. Wszystko wskazuje na to, że inicjatorem i głównym organizatorem był prof. dr Gotthold Rhode, historyk, przewodniczący niemieckiego Towarzystwa Studiów nad zagadnieniami Środkowej i Wschodniej Europy w Bonn. Urodzony w Poznańskim, maturzysta gimnazjum w Poznaniu, prof. Rhode zna doskonale język polski i jest autorem wielu dzieł i rozpraw na polskie tematy historyczne, m.in. znakomitej, jedynej w swoim rodzaju książki „Die Ostgrenze Polens. Politische Entwicklung, kulturelle Bedeutung, geistige Auswirkung” (ukazał się dotąd I tom), oraz związanej, z wielką erudycją i obiektywizmem napisanej „Kleine Geschichte Polens”. Najbliższymi współpracownikami w organizacji i układaniu programu Sympozjonów są pp. prof. dr Jerzy Hauptmann (Kansas City, USA), prof. dr Andrzej Vincenz (Heidelberg, NRF) i prof. dr Georg Strobel (Kolonja, NRF). W sześciu Sympozjonach w Lindenfels uczestniczyło w sumie około dziesięciu uczonych niemieckich, sporo dziennikarzy, literatów, teatrologów itp. Skład polskich uczestników był mniej więcej taki sam, z mniejszym udziałem naukowców ale znacznym — nowym uchodźców z PRL, zwłaszcza przymuszonych z lat 1968-69.

Tematy, skład uczestników i cała atmosfera dyskusyj była nastawiona na poznanie się i o mówienie przeszłości, terażniejszości stosunków ludzkich,

śasiadzkich pomiędzy Niemcami a Polakami głęboko zakłóconych przez dwie wojny i ich następstwa. Lekkie odchylenie od tego stylu zdarzyło się tylko podczas dyskusji na 4-ym Sympozjonie nad epoką Józefa Piłsudskiego w Polsce. Okazało się, że ta epoka, a szczególnie postać Marszałka, nie należą jeszcze do historii i omawianie ich rodzi emocje i oceny oparte na własnych przeżyciach lub obserwacjach. Referaty i koreferaty niemieckie i polskie na ten temat, dosyć zgodne w swoich konkluzjach, zdradzały jednak konwencjonalność ocen i brak psychologicznej analizy tego zjawiska, jakim był Józef Piłsudski i jego polityka.

W końcu każdego Sympozjonu prof. Hauptmann robił ustne *résumé* z przebiegu obrad, które później uczestnicy otrzymywali rozszerzone i powielane. Sprawozdania z pięciu Sympozjonów (bez ostatniego) będą wydane w książce w języku niemieckim i już są w druku. Szkoda tylko, że polskiej strony nie stać na przetłumaczenie i wydanie ich po polsku.

Podczas ostatniego Colloquium wypowiedziano dużo ciekawych myśli i wysunięto sporo słusznych postulatów i też z zakresu stosunków kulturalnych polsko-niemieckich, mając w szczególności na myśli emigrację polską. Po słowie wstępnym prof. Rhode i dalszych paru referatach, wypowiedziany został przez niżej podpisanego pogląd, że należy zasadniczo odróżniać tzw. wymianę kulturalną, będącą funkcją polityki, a więc oficjalną i konwencjonalną, od wymiany bezpośredniej pomiędzy ludźmi — pisarzami, artystami, uczonymi, placówkami kulturalnymi itp. Ta teza znalazła pełny oddźwięk u zebranych i u sprawozdawcy, prof. Hauptmanna. Dalej zwracano uwagę, że brak uniwersalizmu u pisarzy polskich w latach rozbiorowych i częściowo podczas Dwudziestolecia, był wielką przeszkodą w rozprzestrzenieniu się piśmiennictwa polskiego na inne kraje i języki. Obecnie, według p. Witolda Wirpszy, także oficjalny, hieratyczny styl wkracza do literatury, ale młody niemiecki teatrolog p. Pohl zwrócił uwagę, że wszyscy dramaturdzy polscy, mający powodzenie za granicą, są faktycznymi lub wewnętrznymi emigrantami. Prof. Korzec mówiąc o kontaktach naukowych, postawił emigracji polskiej sporo zarzutów: stagnację w dziedzinie historiografii, niezorganizowanie Sympozjonów z narodami sąsiednimi, braki we wzajemnej informacji pomiędzy placówkami naukowymi i kulturalnymi. Wesołość wywołało oświadczenie dr. Breyera, że Instytut im. Herdera w Marburgu może udzielić uczonym polskim pełnych informacji w zakresie wydawnictw polskich w Kraju i na emigracji Dr Breyer wygłosił też bardzo ciekawy referat, ilustrowany muzyką, o niemiecko-polskich początkach muzyki polskiej od XVI wieku. Pani Herda Leber-Hagenau (Wiedeń) mówiła o stosunkach kulturalnych polsko-austriackich, p. Świerk (Moguncja) o roli książki, bibliotek i tłumaczeń, p. Ściegienny (Tours) o filozofii polskiej, p. Uszakow — o udziale polskich prawników w kodyfikacji prawa niemieckiego w końcu XIX wieku. Prof. Rhode rozwiął jednak nadzieje p. Patka (Sztokholm) na opatrywanie polskich bibliotek naukowych przez wydawców niemieckich, ze względu na zarządzenia oszczędnościowe obecnego rządu. Specjalna grupa zagadnień była po krótko omówiona w ostatnim dniu obrad: rola tzw. mniejszości narodowych, emigracji, umów kulturalnych, możliwości i trudności bezpośredniej wymiany.

W ostatnim dniu obrad prof. Domes (Bonn) ostrzegł zebranych przed zbytnim optymizmem co do szczerości intencji ludzi, przyjeżdżających z krajów bloku komunistycznego dla nawiązania kontaktów kulturalnych — być może ludzi dobrej woli, lecz zmuszonych działać według ścisłych instrukcji z góry. Silnie akcentowane przemówienie należało rozumieć jako „wyznanie wiary” wspomnianego na wstępie T-wa Studiów Zagadnień Centralnej i

Wschodniej Europy, którego prof. Domes jest jedną z kierowniczych postaci.

Podsumowując całość obrad, prof. Jerzy Hauptmann (Kansas City, USA) zaproponował m.in. aby na przyszłość (i w druku) takie rozmowy pomiędzy sąsiadami-Europejczykami jak w Lindenfels nazywać „łącznością kulturalną” („*Kultur-Verbindung*”) zamiast „wymianą kulturalną” („*Kultur-Austausch*”), który to termin należy pozostawić tylko na oznaczenie czynności urzędowych, wynikających z bieżącej polityki i ozdabiających z reguły wszelkie traktaty i umowy państwowe. Różnicę pomiędzy tymi dwoma terminami prof. Hauptmann ilustrował przykładami.

Gdy się ma do czynienia z ustrojami totalnymi lub autorytatywnymi — mówił prof. Hauptmann — zaraz wchodzi w grę kontrola polityczna, cenzura, instrukcja obłożona sankcją itp. Czasami tego nie da się uniknąć i rezultat może być pożyteczny, np. jeżeli istnieje po obu stronach wola wyrównania różnic w nauczaniu historii, geografii, wiedzy ogólnej. Ale ta dobra wola nie zawsze istnieje, albo trwa niedługo. Często wynika z tego po prostu „*Kultur-Propaganda*”. Emigracja, zdaniem mówcy, nie powinna szukać jedności z ustrojem, który zwalcza, lecz akcentować swój własny światopogląd i swoją własną postawę.

Podczas ostatniego obiadu, prof. Rhode, żegnając uczestników obrad, wyraził nadzieję, że za półtora roku wszyscy spotkają się znowu — choć może w nieco zmienionym składzie — na następnym siódmym Sympozjonie w tymże tradycyjnym miejscu.

Kazimierz OKULICZ

Nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie

9, Charleville Road, London, W.14

oraz grona ofiarodawców z różnych krajów
wyszedł z druku i jest do nabycia

PAMIĘTNIK WILEŃSKI

Księga zbiorowa, zawierająca wspomnienia, przyczynki historyczne i etnograficzne, szkice literackie i krytyczne, eseje, dokumenty itp., dotyczące obszaru b. W. Księstwa Litewskiego i jego różnonarodowej ludności, — prace 22-ch autorów, pochodzeniem lub życiem związanych z tym obszarem.

WYDANIE OZDOBNE W OPRAWIE

456 stron, 26 ilustracyj.

Cena £.4.00.

Kraj

Polska Rzeczpospolita Wewnętrzna od «A» do «E»

W dwulecie rządów Edwarda Gierka chcemy zwrócić uwagę na dwie grupy aktów prawnych, bez których kształt naprawy Rzeczypospolitej, dokonany przez ekipę wyłonioną w grudniu 1970 roku wydaje się nam niepełny, a jej obraz krzywdzący. Dyskrecja prasy krajowej w tej sprawie jest tym bardziej niezrozumiała, że chodzi tu o decyzje bez precedensu nie tylko w powojennej historii Polski, ale zdaje się w obozie komunistycznym w ogóle.

Pierwsze dwa dokumenty dotyczą podstawowych spraw bytowych grupy osób najbardziej zagrożonych, najbardziej potrzebujących i najbardziej niepewnych swego losu. Dekrety Rady Państwa z dnia 5 października 1972 (*Dziennik Ustaw* z dnia 7. 10. 1972) o „uposażeniu” i „o zaopatrzeniu emerytalnym osób zajmujących kierownicze stanowiska polityczne i państwowe oraz ich rodzin” tę krzywdzącą lukę definitywnie usuwają.

Z analizy dekrétów wynika, że grupa osób odpowiedzialnych za los 33 milionów Polaków podzielona jest na kategorii pięć, od A do E. Takie ujęcie zagadnienia pozwala nareszcie naukowo ustalić kolejność wewnątrz elity władzy, co usuwa wszelkie wątpliwości i eliminuje możliwość pomyłki przy redagowaniu komunikatów prasowych lub planowaniu nasilenia i ciepła oklasków, powitań, okrzyków „hurra” i ilości zwrotek w hymnie „100 lat...”.

Kategoria „A” jest naturalnie nieliczna, ale dobrana i składa się z Pierwszego sekretarza KC PZPR, Przewodniczącego Rady Państwa i Prezesa Rady Ministrów. Nawet Marszałek Sejmu, przewodniczący najwyższego rzekomo organu władzy ludowej, został zesłany do kategorii „B”. Znalazł się tam w towarzystwie członków Biura Politycznego KC PZPR, zastępców przewodniczącego Rady Państwa, wiceprezesów Rady Ministrów, zastępców członków Biura Politycznego, sekretarzy KC i członków sekretariatu KC. Kategoria „C” jest bardzo liczna ale szalenie niejed-

nolicie dobrana. Są tu członkowie Rady Państwa, ministrowie, rozmaici prezesi: NIK, PAN, Sądu Najwyższego, prokurator generalny, kierownicy wydziałów KC PZPR. Cała reszta musiała się zmieścić w „D” i „E”. Nie warto ich nawet wymieniać, bo są tu wszyscy od „Mercedesów” aż do „Warszaw”, od szefów kancelarii Rady Państwa czy Sejmu, ogromnej rzeszy wiceministrów, kierowników administracji terenowej aż po dyrektorów generalnych ministerstw itp. tałatajstwo. Warto może jedynie podkreślić, że to dopiero w tej kompromitująco niskiej kategorii znaleźli się sekretarze komitetów wojewódzkich partii, ci posępni właściciele polskiej prowincji.

Oczywiście, dekrety Rady Państwa to literatura teoretyczna, więc na próżno w nich szukać stawek uposażenia czy odprawy emerytalnej. Targani niepewnością, jak też panowie od A do E dobrną do pierwszego, chcemy jednak poruszyć kilka spraw wynikających z uważnego przestudiowania przedmiotu.

Po pierwsze więc stwierdzamy, iż wysokość uposażenia i dodatku funkcyjnego „ustala Rada Ministrów po uzyskaniu zgody Rady Państwa”, czyli że ustalają to sami zainteresowani. I słusznie, któż bowiem lepiej niż oni sami znają swoje własne potrzeby? Nikomu więc naturalnie nie przyszło do głowy aby zapytać o zdanie najwyższy i suwerenny organ przedstawicielski, jakim jest Sejm PRL, czy choćby jakąś jego komisję. A może przedstawiciele polskiej wsi czy socjalistycznego przemysłu mają inne zdanie na temat zaszerogowania czy poziomu zaopatrzenia bytowego i emerytalnego, albo, broń Boże, odprawy inwalidzkiej poszczególnych członków od A do E?

Po drugie, ustawodawca — należy to podkreślić — zrywa z tradycyjną w tej branży hipokryzją. Nawet dziecko wie, że najważniejszy Polak to pierwszy sekretarz. Teraz już wiadomo, że także nie pierwsi sekretarze są najważniejsi. Nawet członkowie sekretariatu czyli mianowani urzędnicy partyjni kroczą na liście płac, emerytur, no i co z tego wynika w dostojństwie i zakresie władzy przed Radą Państwa, ministrami, Sądem Najwyższym i innymi nieważnymi instytucjami. A dlaczego, pytam, tow. członek Werblan daje prawo do wyższego zasiłku pogrzebowego niż tow. prezes Moczar? I dlaczego mianowani urzędnicy aparatu, np. kierownicy wydziałów KC PZPR, jednej z partii w wielopartyjnym (jak nas niedawno zapewniał w TV tow. Marchais) ustroju PRL, zajmują droższe miejsca niż nie tylko byłe wiceministrowie, ale i niż sekretarze wojewódzcy, znaczy się pochodzący z wyboru, a więc z suwerennej woli towarzyszy z dółów?

Dlaczego sprawa emerytur funkcjonariuszy jednej z partii politycznych PRL jest przedmiotem zainteresowania *Dziennika Ustaw* PRL? Czyżby byli oni opłacani bezpośrednio ze skarbu państwa, a nie ze składek partyjnych i innych dochodów partii? A co z aparatem stronnictw sojusznicznych? Dlaczego o nich

Dziennik Ustaw mówi tylko półgębkiem, tak jakby chodziło o choroby zwane wstydlivymi? Dlaczego wspomina się o nich tylko ogólnikowo, że oni też „mają prawo” i to jeżeli Prezes Rady Ministrów sobie zażyczy? Czyżby w PRL istotnie tylko PAX i Piasecki (kat. C) siebie i swoich pracowników opłacali z własnej kasy INCO?

Po trzecie, z ulgą stwierdzamy, iż po tym jak „sierotom po grudniu” nędza zagląda w oczy, autorzy dekretu pomyśleli zawczasu o własnej przyszłości. Kategoria „A” ma prawo do pełnych zarobków przez dwa lata po takim czy innym (hm...) opuszczeniu stanowiska, inni przez rok, ale z możliwością przedłużenia, jeżeli uzna tak... Prezes Rady Ministrów. Osoby zastużone dla ojczyzny od A do E mają naturalnie prawo do spokojnej starości. Emerytura w wysokości do 95 % uposażenia zapewni im skromny byt w atmosferze ciepła, jakim otaczać ich będą do końca życia wdzięczni rodacy. Dodajmy tu tylko, iż dekrety nie działają w zasadzie wstecz. Towarzysze odpowiedzialni za wydarzenia grudniowe i inne nie mogą więc — znowu w zasadzie — korzystać z dobrodziejstw od A do D. Chyba, że grzecznie poproszą, albowiem, w zasadzie, Prezes Rady Ministrów, może itd...

W sumie, nie można nie wyrazić zadowolenia, iż naród polski ma już z głowy najbardziej niecierpiącą zwłoki sprawę właściwego uszeregowania pocztu właścicieli PRL i zapewnienia im odpowiednich warunków życiowych i pośmiertnych. Fakt, iż społeczeństwo dowiedziało się o tym w drugą rocznicę grudnia nie jest pozbawiony głębszego sensu. Przypomina bowiem o obowiązku czujności i zapewnienia jak najdłuższego życia obu dekretem i ich beneficjentom.

Władza była tego obowiązku świadoma. Przy pomocy trzech rozporządzeń z sierpnia 1972 roku Rady Ministrów postarała się o gwarancje trwałości obu wyżej wspomnianych dekretów.

Rada Ministrów powołała mianowicie dwie wyższe szkoły oficerskie resortu Spraw Wewnętrznych. Zastużony ten resort cierpiał od dawna na brak naukowej kuzni swych kadr. Rada Ministrów (kategoria A i B) usunęła więc raz na zawsze tę przykrą bolączkę. Szkoły oficerskie im. Feliksa Dzierżyńskiego (a jakże) oraz gen. Józwiaka Witolda będą prowadziły „działalność dydaktyczno-wychowawczą o specjalizacji prawno-administracyjnej oraz ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego, kształcą i wychowując kadry na potrzeby resortu spraw wewnętrznych...” Absolwenci otrzymają dyplomy ukończenia wyższych studiów... zawodowych z odpowiednią specjalizacją i będą uprawnieni do starań o przyjęcie do Akademii... Spraw Wewnętrznych.

Tak, proszę państwa, to nie pomyłka! System kształcenia kadr specjalistów dla potrzeb resortu spraw wewnętrznych jest bowiem dwustopniowy. Trzecie rozporządzenia tworzy mianowicie Akademię Spraw Wewnętrznych nadającą tytuły magistrów...

określonej specjalności w zakresie zainteresowań naukowych wspomnianego tu resortu.

Choć nie ulega kwestii celowość powołania tych trzech placówek czystej wiedzy w warunkach absolutnego już, jak wiadomo, nasycenia i zaspokojenia wszystkich innych potrzeb naukowych PRL, nasuwać się tu może kilka uwag natury ogólniejszej.

Po pierwsze, trzeba pochwalić odważne i zdecydowane odseparowanie młodych intelektualistów policyjnych od całej reszty społeczeństwa. Jest to pociągnięcie ze wszech miar uzasadnione. W przeszłości wszakże aparat MSW narażany był stale na korozyjne oddziaływanie niepolicyjnego otoczenia, co powodowało rozprzężenie, korupcję, handel dewizami no i rozsypek szeregów przy pierwszej lepszej konfrontacji z losem, np. w Poznaniu w 1956 roku lub w Gdańsku w 14 lat później. W ten sposób zostaje zrealizowany postulat pomarcowego docenta M. Moczara o „branżę inteligentów z ludowym kręgosłupem”...

Po drugie, po zwycięskim pokonaniu obu szczebli wiedzy, trafiając do służby frontowej kadra intelektualistów MSW nie będzie odczuwała już żadnych burżuazyjnych przesądów i bezklasowych skrupułów. Getto MSW składać się będzie z serwilistów i cyników ale z dyplomem, dla których kariera i przywileje będą wynikać już nie tylko z łaski przełożonych i partii, ale będą miały motywacje teoretyczno-ideologiczne. Oczywiście, po ukończeniu kolejnych obu fakultetów, naukowe uzasadnienie łamania kości nie będzie przedstawiało żadnych trudności teoretycznych.

Po trzecie — zapobiega się w ten sposób nieprzyjemnemu zjawisku „rozmywania się” aparatu. Po 27 latach poszukiwań znaleziono nareszcie rozwiązanie problemu niepewności kadry MSW. Nie potrafiły temu zjawisku zapobiec wszystkie poprzednie systemy szkolenia od szkół MSW i UB aż po studium administracyjne, oddział Wyższej Szkoły Nauk Społecznych dla kadry MSW i UB, mimo iż dały one państwu tak wybitnych naukowców jak dr gen. Pietrzak lub dr płk Walichnowski. Grudzień 1970 jednak się przydał.

Jesteśmy więc na właściwej drodze i tylko patrzeć jak się nasze organy zapełnią od magistrów, doktorów i docentów o specjalnościach wewnętrznych. W świetle tego niesposób powstrzymać się od westchnienia: „A kiedy wydział spraw wewnętrznych Polskiej Akademii Nauk? Kiedy Instytut Spraw Wewnętrznych PAN? Kiedy po prostu Polska Akademia Wewnętrzna? I Polska Rzeczpospolita Wewnętrzna?!”

Możemy spać spokojnie. Aby dziś Polacy z kategorii A, B, C, D, E, mogli Polaków z kategorii od F do Z trzymać skutecznie za mordę zwyczajny cenzus już nie wystarczy.

Będziemy mieli docentów.

Pogrudniowych.

Prof. Dr X.

VII Kongres Związków Zawodowych

Motto: „Jesteśmy Wam — towarzyszu Gierek — wdzięczni zarówno za wysoką ocenę naszej działalności i doniosłe wytyczne dla naszej pracy zawarte w przemówieniu, które zapoczątkowało nasze obrady...”

Z przemówienia końcowego
Przew. CRZZ Wł. Kruczek.

Miejsce

Zapowiadano Wybrzeże. Jeszcze w czerwcu rzecznik prasowy CRZZ mówił zachodnim dziennikarzom że „dużym wydarzeniem w pracy związków będzie Kongres ZZ na Wybrzeżu”, mówił także, że na kongresie będzie dyskutowane prawo do strajku...

Ostatecznie Kongres odbył się w Warszawie. Wiadomo Stolica leży w centrum kraju i wszystkim delegatom tak samo daleko, a na Wybrzeżu mogło być stoczniowcom za blisko. Zresztą nie ważne Gdzie ale Jak.

Czas

Miejsce wybrano dobrze, gorzej z czasem. Kongresy ZZ w zasadzie winny się odbywać co cztery lata, w praktyce PRL-u nie było to ściśle przestrzegane. I Kongres (według nomenklatury przedwojennej VII) odbył się we wrześniu 1945, II — w 1949, III — w 1954, IV — w 1958, V — w 1962, VI — w 1967.

Obecny VII zbiegł się akurat z zakończeniem czasu ochronnego na podwyżkę cen żywności. Pan Premier (będący z niezrozumiałych względów członkiem ZZ Pracowników Budownictwa i Przemysłu Materiałów Budowlanych¹, na walnym zjeździe tegoż Związku określił jak widzi rolę ZZ: „Najważniejszym zadaniem ZZ jest aktywizacja mas pracujących Polski Ludowej dla pełnej realizacji i przekraczania zadań programu VI Zjazdu Partii. Tę niezwykle ważną funkcję Związków Zawodowych Partia nasza będzie utrzymywać i umacniać”. Później, po wymienieniu osiągnięć gospodarczych ostatnich dwóch lat, pan Premier puścił balon próbny:

1. Premier Jaroszewicz przed wojną był nauczycielem, w czasie wojny politrukiem, po wojnie pracował w administracji państwowej. Więc skąd budownictwo?

„Jesteśmy przy tym jednym z nielicznych krajów w Europie, w którym ceny na podstawowe artykuły spożywcze pozostają od 2 lat na tym samym poziomie”. Co partia przyrzekała, to dotrzymała, ale dalej... Ponieważ było to powiedziane akurat w parę dni po drakońskiej podwyżce opłat telekomunikacyjnych, w kraju zawrzało; w pracy, w kolejkach, w tramwajach ludzie dyskutowali: „Odważą się, czy nie?” Stoczniowcy na wszelki wypadek dali strajki ostrzegawcze a na domiar złego trwał właśnie parodniowy strajk w Gorlickiej Fabryce Maszyn Górniczych (na tle wewnętrzno-ekonomicznym). Władze były zmuszone się cofnąć. Pan Premier wystąpił w telewizji i powiedział, że o żadnej podwyżce nie ma mowy i mimo że do końca roku są jeszcze dwa miesiące to władze same już teraz z własnej i nieprzymuszonej woli przedłużają okres zamrożenia cen do końca przyszłego roku. Temat zamrożenia cen był później eksploatowany na Kongresie aż do znudzenia, przy czym delegaci Gierek i Kruczek próbowali w zamian wytargować dodatkowe zobowiązania od społeczeństwa, natomiast delegat Jaroszewicz, mimo że obecny na Kongresie, głosu nie zabierał.

Przygotowanie

Wnioski na Kongres zbierano od początku br., gdy na wrześniowym XXIV Plenum CRZZ opracowywano tezy na Kongres okazało się że sита związkowe działają sprawnie, żadnych „nieodpowiedzialnych” wniosków nie zauważono.

Kolejne Walne Zjazdy 22 Związków branżowych miały wybrać 1.431 delegatów ponadto 133 największe zakłady pracy (w tym stocznie) miały wybrać dodatkowo 276 delegatów (wypada to trochę więcej niż dwóch delegatów na kombinat czy stocznię)². Czyli w sumie miało być 1.707 delegatów.

Wybrano ich jednak trochę więcej bo 1.727 (1.444 zjazdy, 283 zakłady pracy) mniej niż połowę stanowili robotnicy (844) mimo, że członkowie ZZ w 80 % to robotnicy. Ostatecznie na Kongres stawiło się 1.706 delegatów — 21 nie dojechało.

Na Zjazdach branżowych nie wszystko szło tak jak zaplanowano; po często burzliwej dyskusji, oprócz delegatów „zaplanowanych” udało się uczestnikom wybrać kogoś dodatkowego, stąd ta niezgodność cyfr. Niepokój budzi, że końcowy wynik 1.706 obecnych zgadzał się prawie z zaplanowanym 1.707, czyżby tych 21 nieobecnych to byli ci nadprogramowi?

Czym dyskusja na Zjeździe była bardziej ożywiona — tym mniej miejsca poświęcano przebiegowi Zjazdu w prasie. Nie najlepiej musiało pójść na Zjeździe ZZ Pracowników Kultury, ponieważ komunikat PAP-u o tym wydarzeniu zaczyna się następująco:

2. Dla porównania: w 1967 na VI Kongresie ZZ 40 Wielkich Zakładów Pracy wybierało łącznie 58 delegatów.

„9. X br. rozpoczęły się krajowe Zjazdy Pracowników Kultury i Sztuki oraz Kolejarzy”. Po czym następuje szczegółowe sprawozdanie ze Zjazdu... Kolejarzy a na zakończenie streszczenie przemówienia Ministra Kultury i Sztuki Wrońskiego, z którego dowiadujemy się że: „Wiele uwagi poświęcił Minister pracom komisji programowania mającej przygotować projekt perspektywnego programu rozwoju kultury w Polsce do roku 1990”. Prosto i treściwie!

Od dawna już nikt w Polsce nie bierze poważnie Związków Zawodowych, dlatego i zainteresowanie przygotowaniem do Kongresu nie było wielkie, szczególnie po ogłoszeniu tez kongresowych. Liczono się jednak z możliwością zmian personalnych na samej związkowej górze. Ale i tu nie było niespodzianki. Na tydzień przed Kongresem okazało się że pozycja Kruczek jest mocniejsza niż kiedykolwiek, bowiem on to właśnie odczytał był przemówienie na oficjalnej państwowej Akademii Ku Czcii 55-iej Rocznicy Wielkiej Socjalistycznej... Przy okazji dowiedzieliśmy się że: „55 lat temu zwyciężyła w Rosji Wielka Soc. Rewolucja Październikowa, obalając zniechęcony reżym carski” (a nie jak myśleliśmy dotychczas Tymczasowy Rząd Kiereńskiego). O Rewolucji Lutowej pewnie Kruczek w ogóle nie słyszał. Dlatego gorąco popieramy apel, który delegat Kruczek w tygodniu później rzucił z trybuny kongresowej: „Ważnym zadaniem... jest ... przyswajanie, zwłaszcza młodzieży, rewolucyjnej, postępowej tradycji dziejów ojczystych i historii międzynarodowego ruchu robotniczego”. Ale nie sprzedajmy faktów.

Przebieg

13 listopada 1972 w sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina, rozpoczął obrady VII Kongres Związków Zawodowych. Od godziny 9-ej kto chciał to mógł (ale mało kto chciał) słuchać w Radio i oglądać w Telewizji (i to nawet kolorowej) Otwarcie Kongresu oraz powitanie nielicznych zagranicznych delegacji; z krajów zachodnich były reprezentowane tylko Włochy i Francja, z Krajów Dem.-Lud. nie było delegacji z Chin, Albanii i Mongolii, Wietnamu, Korei i Kuby.

Po czynnościach wstępnych Kongresu, głos zabrał delegat ZZ Górników Edward Gierek. Delegat Gierek nie przemawiał jednak (jak się należało spodziewać) w imieniu swego związku branżowego, ale w imieniu Komitetu Centralnego PZPR. Delegat Gierek pozdrowił Kongres w imieniu wyżej wymienionego Komitetu i życzył Towarzyszom delegatom owocnych obrad, delegat Gierek powiedział dalej, że pomiędzy VI a VII Kongresem ZZ „Przewyciężyliśmy poważne trudności. Polska Ludowa przyspieszyła swój rozwój”. „Ostatnie dwa lata (mówił dalej delegat Gierek) zamykamy pomyślnym bilansem. Osiągnęliśmy średnio rocznie 8 % wzrostu dochodu narodowego, 9,3 % wzrostu pro-

dukcji przemysłowej i wysoki, wynoszący 5,6 % wzrost produkcji rolnej”... „Rolnictwo — mimo trudnych warunków meteorologicznych — również dobrze wywiązało się z tegorocznych zadań”. Jednym słowem udało nam się przewyciężyć wszystko — z warunkami meteorologicznymi włącznie. Następnie delegat Gierek podziękował „wszystkim partyjnym i niepartyjnym ludziom pracy polskich miast i wsi — za dodatkową produkcję wartości ponad 25 mld zł w bieżącym roku oraz za tysiące usprawnień i inicjatyw”, po czym dodał: „Przekroczenie planu 1971 i 1972 roku pozwoliło odpowiednio zwiększyć zadania produkcyjne i społeczne na rok 1973”. Czyli im lepiej pracujecie — tym więcej od was żądamy.

W dalszym ciągu swego wystąpienia delegat Gierek obiecał, że będzie konsekwentnie stosował „socjalistyczną zasadę płacy według pracy”. Delegat wie „że nie rozwiązaliśmy jeszcze wszystkich problemów płacowych, że szereg grup pracowniczych czeka na podwyżkę zarobków”. Sądzi jednak, „że postępujemy w tej dziedzinie naprzód szybciej niż kiedykolwiek w przeszłości”. Przymińmy że władze postanowiły przedłużyć okres zamrożenia cen na podstawowe produkty żywnościowe delegat Gierek podkreślił, że do tej polityki cen państwo musi dopłacać rocznie około 25 mld zł, przy czym przyznał, że nie jest to ze strony państwa żadna darowizna, ale że są to właśnie „te środki wypracowane przez ludzi pracy”, za które poprzednio dziękował, boli go jednak że z dobrodziejstwa niskich cen korzystają wszyscy, a środki wypracowują tylko niektórzy. Dlatego radzi pracującym aby jedni patrzyli jak drudzy pracują. Chodzi „nie tylko o własną rzetelną pracę, lecz również o dbałość o taką rzetelność ze strony wszystkich współtowarzyszy”. Przechodząc do spraw zdrowia delegat Gierek podkreślił, że: „Przeciętna długość życia w Polsce wzrosła o blisko 20 lat w porównaniu z okresem przedwojennym”... „Młodzież polska wyrasta w dobrych warunkach, jest dorodna i sprawna. Od początku tego roku prawie cała ludność naszego kraju korzysta bezpłatnie z pomocy lekarskiej”. „Wszystko to jednak za mało. Wciąż odczuwamy dotkliwy niedostatek miejsc w szpitalach i braki w wyposażeniu wielu placówek zdrowia”. I dlatego zaproponował, by utworzyć Narodowy Fundusz Zdrowia i zrobić zbiórkę („w pełni dobrowolną”) na ten cel. Następnie delegat zwrócił uwagę, że niesłuszne jest określenie, „iż państwo 'daje' na ten lub inny cel”. Państwo nie „daje” tylko „dystrybuuje”, to co społeczeństwo wypracowuje. „Niestety są ludzie we wszystkich zawodach i na różnych szczeblach, nie tylko najniższych, którzy zagarniają znacznie więcej niż im się należy”. Trzeba powiedzieć twardą prawdę: „żyją oni kosztem wszystkich uczciwie pracujących” — powiedział delegat Gierek i niezupełnie na temat dodał: „To właśnie dywersyjne ośrodki nawołują do naruszania dyscypliny, ładu i porządku”.

Na tym delegat wyczerpał część ogólną swego wystąpienia i przeszedł do spraw związkowych. Podziękował górnikom polskim za to, że powierzyli mu mandat reprezentowania ich na

kongresie. Po czym załatwił główne sprawy personalne. „Po XX plenum CRZZ, które odnowiło skład najwyższych władz związkowych i powierzyło przewodnictwo *doświadczonemu działaczowi robotniczemu*, tow. Władysławowi Kruczkowi...”.

Od tego momentu najwięksi optymiści przestali się łudzić — Kruczek i jego ekipa pozostaną. Pod koniec swego wystąpienia delegat Gierek ostrzegł jeszcze: „Biurokracyzm, zniczulica, urzędowanie z za biurka, szkodzą wszędzie. W działalności związkowej stają się zabójcze, gdyż podważają zaufanie robotników i otwierają drogę ludziom wyzbytym odpowiedzialności za sprawy swego zakładu, za sprawy kraju”. Mówiąc o „ludziach wyzbytym odpowiedzialności” miał pewnie delegat Gierek na myśli tych autentycznych przywódców robotniczych, którzy ujawniają się w chwilach tak trudnych jak np. „grudniowe” i którym, w pewnym sensie, delegat Gierek zawdzięcza dzisiejszą swoją władzę.

Jeszcze tylko krótka deklaracja lojalności w stosunku do Wschodniego Sąsiada, wytłumaczenie dlaczego PRL musi utrzymywać dobre stosunki (szczególnie gospodarcze) z krajami o odmiennych ustrojach politycznych i delegat Gierek zszedł z trybuny VII Kongresu.

Znamienne, że z — w gruncie rzeczy, ciekawego i rzeczowego — przemówienia Gierka agencja TASS wyekspozowała tylko tę krótką deklarację wspólnoty celów z ZSSR.

Następny z kolei mówca, Gospodarz Kongresu delegat Władysław Kruczek, nie wniósł w swym wystąpieniu w zasadzie nic nowego. Z grubsza powtórzył główne tezy delegata Gierka z tym, że dodatkowa produkcja, która u Gierka wynosiła ponad 25 mld, u Kruczka urosła już do prawie 26 mld (miliard więcej miliard mniej!).

Delegat Kruczek uważa, że istnieje „dialektyczna jedność trzech podstawowych dziedzin działania ruchu zawodowego”, to jest spraw produkcji, bytu i wychowania. Dążymy do jedności tych trzech dziedzin. „Czy udało nam się to już w pełni osiągnąć?”, pyta delegat Kruczek i daje męską odpowiedź: „Trzeba otwarcie powiedzieć, że nie”. W ciągu ostatnich dwóch lat (zdaniem delegata) skoncentrowaliśmy się na sprawach bytowych zaniedbując dwie pozostałe dziedziny. „Obecnie chodzi o to, aby nie zaniedbując spraw bytowych — wzmóc pracę na dwóch pozostałych odcinkach frontu — w dziedzinie produkcji i wychowania”. Sprawy bytowe mamy z grubsza załatwione, produkcję mniej więcej, ale z wychowaniem jest źle. Nie da się ukryć — klasa robotnicza jest źle wychowana, o czym dobitnie świadczą choćby ostatnie strajki ostrzegawcze. Na zakończenie delegat przeszedł do spraw międzynarodowych, gdzie przy okazji potępił „agresję amerykańską w Wietnamie południowym i na Półwyspie Indochińskim”. (Co wskazywałoby, że znajomość geografii nie jest najmocniejszą stroną delegata).

Po Kruczku zabrał głos gość ze Związku Sowieckiego — Aleksander Szelepin. Stwierdził on słusznie, że: „Polskie związki zawodowe (są) zjednoczone monolitycznie wokół partii”. Mniej

słusznie, że „Związek Sowiecki podczas II wojny światowej rozgromił imperializm japoński” i trochę na wyrost, że: „Opracowany na naszym kongresie obszerny program pracy związków zawodowych jest w całej rozciągłości zgodny z linią partii i interesami ludzi pracy. Nie ulega wątpliwości, że program ten wykonacie z zaszczytem pod kierownictwem Komitetu Centralnego PZPR”.

Zważywszy że Kongres dopiero się zaczął, słowa te graniczyły z jasnowidzeniem. Gdy w przerwie pierwszego dnia Kongresu reporterka *Zycia Warszawy* pytała gości zagranicznych o wrażenia — prawie wszyscy rozwodzili się nad programem, ciekawą dyskusją, świetną atmosferą. Jeden tylko Luciano Lama (delegat włoski) zdziwił się: „Jakie wrażenia z Kongresu? Przecież Kongres dopiero się zaczął”.

Dyskusję na Kongresie otworzył Jan Leś (przewodniczący ZG ZZ Górników); podczas gdy Leś mówił wydawało się przez chwilę, że jest to kongres związkowy z prawdziwego zdarzenia. Leś mówił prostym językiem o prostych codziennych sprawach, nurtujących szeregowych członków jego związku. Mówił o ciężkiej pracy górnika i o tym jak się wyniki tej pracy marnuje. Mówił dalej o trudnościach w przełamywaniu biurokracyzmu i bezdusznosci towarzyszy z Central związkowych. Ale jeden Leś wiosny nie robi. Gdy wstąpił na trybunę następny mówca — czar prysnął — delegat Huty im. Lenina, Tadeusz Szwaczek, odczytał tekst pozdrowień dla narodów Związku Sowieckiego z okazji 50-lecia tegoż Związku. A potem potoczyła się lawina. Dalsze wystąpienia delegatów przypominały odprawę wojskową. Delegaci składali meldunki, kto, ile, czego wykonał i za co dziękuje władzom. I jeśli nawet się zdarzyło, że któryś z delegatów upomniał się nieśmiało o coś, co należało się członkom jego związku, to dodawał na zakończenie: „Przedstawiając na forum kongresu niektóre potrzeby pracownicze pragnę jednocześnie z mocą podkreślić, że należyce doceniamy postęp gospodarczy i socjalny osiągnięty w okresie ostatnich lat”.

I wreszcie w drugim dniu padły z trybuny kongresowej długo oczekiwane słowa: „Wybuchają liczne strajki, których uczestnicy domagają się zahamowania wzrostu cen, podwyższenia płac i emerytur, poprawy warunków pracy i skrócenia jej czasu. Słowa te wypowiedział Sekretarz Generalny CGT — Georges Seguy, a chodziło rzecz jasna o strajki we Francji. Ale i tak był to nietakt, słowa strajk na kongresie nie należało używać. O strajkach mówił jeszcze tylko gość z Czechosłowacji, przewodniczący URO — Karel Hoffman, tym razem chodziło o strajki przedwojenne. Gość z Czechosłowacji popełnił jeszcze jeden nietakt przypomniawszy bowiem inwazję z 1968 roku:

„Przekazuję robotnikom polskim naszą głęboką wdzięczność, wdzięczność wszystkich prawdziwych rewolucjonistów, za prawdziwie internacjonalistyczną pomoc udzieloną naszemu krajowi

w obronie socjalizmu w 1968 roku". Słowa te padły w głębokiej żenującej ciszy a sprawozdawcy prasy krajowej nie zamieścili ich.

W y n i k

Właściwie żaden. Około 400 delegatów wypowiedziało się łącznie na posiedzeniach plenarnych i w zespołach problemowych, do protokołu wpisało się jeszcze dodatkowo 250. Gdy sonduje się tę rzekę pustostawia, to przy najlepszej woli nic z niej wyłowić się nie da.

Kongres wprowadził niewielkie zmiany w statucie, z których najważniejsza (i słuszną) to zniesienie podziału na pracowników umysłowych i fizycznych, abstrahując od humanitarnej strony zagadnienia to system, w którym stemplującą na poczcie znaczki paniąkę zaliczano do umysłowych (i dawano jej wszystkie wyniki z tego przywileje) a obsługującego skomplikowaną maszynę robotnika do fizycznych, był po prostu przestarzały.

Drugą istotną zmianą statutową jest zniesienie (i tak fikcyjnego) Komitetu Wykonawczego CRZZ. Omawiany na kongresie projekt Kodeksu Pracy to sprawa Sejmu (gdzie dyskusja nad nim będzie tak samo fikcyjna). Proklamowany przez Gierka Fundusz Zdrowia jest inicjatywą słuszną, ale to także nie sprawa związkowa. Szumnie zapowiadanej dyskusji nad prawem do strajku w ogóle nie było. A prawie nie zmieniony skład ekipy³ nadzorującej związki jest pewnym gwarantem, że w tej instytucji nic w najbliższej przyszłości na lepsze się nie zmieni.

I właściwie jedynym zyskiem jaki wynieśli z Kongresu delegaci było „Love Story” Segala, bo (jak doniosło *Życie Warszawy*) tę bardzo poszukiwaną książkę można było nabyć w kularach Kongresu.

Jan HUSSOWSKI

Warszawa, listopad 1972

A N E K S

„Nowe Władze” Związków Zawodowych ukształtowały się na kolejnych XX, XXI i XXIV plenum CRZZ. Na XX plenum Centralna Rada wbrew statutowi dokooptowała do swego grona Kruczka i po „rezygnacji” Logi-Sowińskiego „wybrała” Kruczka przewodniczącym. Na XXI tzw. obrachunkowym plenum (24-25. II. 72) usunięto b. zastępcę Logi, Tuchodzieckiego i dwóch sekretarzy: Wiesława Kosa i Wiktora Obolewicza — uznanych za „gomułowców”. Miejsca po nich zajęli Eugeniusz Grochal — „gierkowiec” — zastępca przewodniczącego (Kruczka) i przewodniczący komisji „wytyczającej nową linię związkową” oraz Mieczysław Grand — „stalinowiec” były pracownik UB (objął nadzór nad całym sekretariatem CRZZ).

Na Kongresie omawiano projekt „Kodeksu Pracy” (chodzi o ustawę sca-

3. Ostatniej korekty władz CRZZ dokonano na XXIV Plenum we wrześniu; odeszli wtedy: Zbigniew Krawczyński i Henryk Całka.

lającą przepisy dotyczące praw i obowiązków pracowniczych); w tym wypadku ZZ mogą być co najwyżej ciałem opiniodawczym, rzeczowej dyskusji na temat kodeksu nie zanotowano.

PRL a «Kultura»

MONITOR POLSKI Nr 40
z dnia 24 września 1968 r.

Poz. 284.

Zarządzenie Prezesa Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk z dnia 16 września 1968 roku

o pozbawieniu debitu komunikacyjnego.

Na podstawie art. 2 ust. 1 pkt. 2 dekretu z dnia 5 lipca 1946 roku o utworzeniu Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (Dz.U. Nr 34, poz. 210 z późniejszymi zmianami) zarządza się, co następuje:

§ 1. Zakazuje się rozpowszechniania na obszarze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wydawnictw „Instytutu Literackiego” we Francji.

§ 2. Traci moc zarządzenie Naczelnego Dyrektora Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk z dn. 3 lipca 1950 roku o pozbawieniu debitu komunikacyjnego (Monitor Polski Nr A-79 poz. 920).

§ 3. Zarządzenie wchodzi w życie z dniem ogłoszenia.

Prezes Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk:

J. SIEMEK

Wolna trybuna

O amerykańskim i sowieckim globalizmie i historycznych analogiach

Podziału świata na strefy wpływów pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i ich ówczesnymi aliantami, a ZSSR dokonano ponad ćwierć wieku temu. ZSSR nie miało wówczas żadnych sojuszników, ponieważ trudno było nazwać sojusznikami kraje satelickie. Podział świata obejmował wówczas również terytoria kolonialne i mandatowe, które stanowiły część obozu zachodniego, a których status niewiele różnił się od ówczesnej sytuacji państw satelickich.

Chyba nie później jak w dwa lata po zakończeniu II Wojny Światowej nikt nie miał wątpliwości, że Stany Zjednoczone są zainteresowane jedynie w zachowaniu istniejącego podziału świata i że w wypadku prób zmiany strefy wpływów, ograniczać się będą do kroków defensywnych. Późniejsze wydarzenia aż do roku 1961 — czyli do kryzysu kubańskiego potwierdziły, że polityka *containment* oznacza wyłącznie odparowywanie ciosów — nie zaś karanie napastnika, który w tym stanie rzeczy mógł ponawiać swoje próby naruszania międzynarodowego *status quo* bez ryzyka. Po próbie oderwania części irańskiego Azerbejdżanu, krótko po zakończeniu wojny, ZSSR podejmował następne — blokadę Zachodniego Berlina i na znacznie poważniejszą skalę inwazję Korei Południowej w roku 1950. Korea była inicjatywą ściśle sowiecką, do której udziału nakłonili Rosjanie Chińczyków. Ci w końcowej fazie konfliktu przejęli na swoje barki niemal cały ciężar wojny. Chińczycy stracili wówczas, według danych polskiego wywiadu, około miliona ludzi. Amerykanie — ponad 40 tysięcy. Koreańczycy — ci z Północy i z Południa zapewne około 400 tysięcy. Straty Rosjan nie przekraczały około setki doradców. Innymi słowy, wszystko odbywało się bez strat własnych. Ten kierunek polityki amerykańskiej obowiązywał bardzo długo i nim determinowane były losy Europy Wschodniej, a z nią Polski, do chwili gdy globalizmowi amerykańskiemu nie zaczął na serio zagrażać globalizm sowiecki.

W zarysowującej się obecnie na naszych oczach, pod dymną zastoną traktatów i dyplomatycznych rozmów, konfrontacji sowiecko-amerykańskiej tkwią przesłanki nowych zaskakujących konfiguracji politycznych, które w bieżącej dekadzie mogą odmienić losy Polski, a z nią całej wschodnio-europejskiej strefy, stanowiącej integralną część sowieckiego imperium. Twierdzenie moje, które przedstawiam w formie przypuszczenia opartego na realnych przesłankach, pozostaje w zasadniczej sprzeczności z podstawową tezą Juliusza Mieroszewskiego, wyrażonej w artykule pt. „Amerykańska Ostpolitik i wnioski” w nr. 7/298-8/299 *Kultury*.

„... pomiędzy naszymi interesami a amerykańskimi — pisze Mieroszewski — istnieje sprzeczność podstawowa. Dla Polaków sprawa polska jest alfą i omegą wszelkiej politycznej działalności. Dla polityki amerykańskiej sprawa polska w ogóle nie istnieje. Amerykańska *Ostpolitik* — pisze dalej Mieroszewski — nie dąży do zmiany *status quo* w Europie, lecz przeciwnie dąży do odprężenia i współpracy z Sowietami za cenę upewnienia Moskwy, że Stany Zjednoczone nie zamierzają nikogo wyzwalać ani niczego zmieniać w Europie Wschodniej”.

Zacytowane twierdzenie wymaga krótkiego omówienia.

Po pierwsze — to że „sprawa polska” dla Ameryki nie istnieje, nie oznacza wcale „podstawowej sprzeczności” interesów. Ta różnica jest bardzo ważna, bo że dla Ameryki sprawa polska nie istnieje dzisiaj, tak jak nie istniała w istocie w ciągu ubiegłych 26 lat, nie wynika, że nie będzie istnieć za lat 2 lub 3.

Ponieważ w przeszłości, gdy układ sił pomiędzy USA i ZSSR był wybitnie niekorzystny dla Sowietów, Ameryka poza propagandą nie uczyniła dla Europy Wschodniej niczego, wielu ludzi uważa, że nie uczyni niczego tym bardziej teraz i w najbliższej przyszłości, skoro proporcje w arsenałach zbrojeniowych przesunęły się znacznie na korzyść ZSSR. Tego rodzaju wniosek jest jednak błędny.

Na trumanowską i dulesowską politykę *containment* — odparowywania ciosów bez dalszych zapobiegawczych kroków mogły sobie Stany Zjednoczone pozwolić wówczas gdy strefy podziału świata były wyraźnie określone i gdy wiedziały, że dzięki przyniatającej wyższości własnego potencjału wojennego wszelkie próby naruszenia *status quo* spotkają się z fiaskiem ze strony słabszego przeciwnika, jakim był wówczas ZSSR. Obecnie kontynuowanie tej polityki jest niemożliwe z wielu powodów.

Po pierwsze dlatego, że przeciwnik jest znacznie silniejszy uzyskując co najmniej parytet sił i że apetyty jego wzrosły niepomiernie. Po drugie dlatego, że w roku 1945 ZSSR miał tylko satelitów, obecnie zaś ma satelitów i sojuszników, zaś Stany Zjednoczone straciły wielu aliantów i są coraz bardziej osamotnione. Po trzecie dlatego, że w związku z likwidacją imperiów brytyjskiego i francuskiego, powstały nowe kraje należące poważnie do tzw. Trzeciego Świata. Jako państwa niepodległe, które wyłoniły się w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, nie

mogą one być objęte podziałem wpływów z roku 1945, wobec czego stanowią one obiekt ekspansji i strategicznych zainteresowań już nawet nie dwóch ale trzech supermocarstw, jeśli się pominie Japonię, która na razie jest wyłącznie ekonomicznym konkurentem Stanów.

Globalizm amerykański, który zainicjowany został po II Wojnie, stał się dla USA coraz bardziej kłopotliwy i trudniejszy do utrzymania. Nie był on nigdy popularny wśród izolacjonistycznie nastrojonej opinii amerykańskiej i prawdopodobnie Stany Zjednoczone wyrzekłyby się go od dawna, gdyby nie to, że stoją one w obliczu niemieckiej alternatywy zastąpienia własnego globalizmu — sowieckim. 26 lat temu nie byłoby to takie straszne, ponieważ przed wszelkimi możliwymi inwazjami chronił Amerykę ocean. Obecnie, na skutek pocisków dalekiego zasięgu — już nie chroni. *Ponieważ zaś Sowiety nie są państwem dążącym do utrzymania międzynarodowego status quo, lecz przeciwnie — mocarstwem, które chce je zmienić, Ameryka nie może sobie już pozwolić ani na containment ani na izolacjonizm*¹. I to w istocie musi determinować jej politykę, bez względu na amerykańskie tęsknoty za międzynarodową stabilizacją. W tym bowiem wypadku nie wchodzi już w rachubę utrata roli imperium, ale zagrożenie samego kraju — tym bardziej, że elita amerykańska — jej sfery najbardziej oświecone oraz ludzie kształtujący opinię publiczną za pośrednictwem środków masowej informacji — propagują nic innego jak słabo zakamuflowaną tezę, że czynnikiem ekspansjonistycznym na świecie są wyłącznie Stany Zjednoczone i że gdyby zrezygnowały one z roli „światowego żandarma”, kraje komunistyczne zachowałyby się potulnie, a na całym świecie zapanowałoby coś w rodzaju niczym nie zamąconego błogostanu. Jednym z rzeczników takiego właśnie światopoglądu, mającym niebłaha wpływ na opinię publiczną, jest *New York Times*, wyrażający jedynie od czasu do czasu chwalebna troskę o Izrael, zagrożony ekspansją sowiecką w basenie Morza Śródziemnego. Innych gróźb ze strony sowieckiej ten wpływowy dziennik zdaje się nie dostrzegać².

1. ICBM — międzykontynentalne pociski balistyczne, których budowę rozwijano już w latach pięćdziesiątych miały z reguły głowice nuklearne. „Opłacalność” rakiety uwarunkowana była tym, aby spowodowane przez nią szkody „amortyzowały” wysokie koszty jej produkcji. Taką gwarancję dawało zaopatrzenie ICBM tylko w głowice nuklearne. Ponieważ w ciągu następnych lat rozwoju balistyki, produkcja rakiet międzykontynentalnych ulegała dalszemu udoskonaleniu i potaniu, nie jest wykluczone, że Sowiety i Stany Zjednoczone mogą rozszerzyć swój arsenał strategiczny o budowę ICBM i MIRV z ładunkami nie-nuklearnymi, zawierającymi jakieś nowe rodzaje środków niszczących dotychczas nieznanymi. Jak wiadomo pionierami w tej dziedzinie były Niemcy hitlerowskie, które zadały ciężkie choć spóźnione ciosy Anglii pierwszymi pociskami balistycznymi V-1 i V-2.

2. Jedną z renomowanych dziennikarek p. Harriet van Horn pisująca codziennie artykuły wstępne w innym masowym dzienniku *New York Post* napisała niezbyt dawno artykuł, w którym demaskowała kłamstwa o „reżymie terroru”, który rzekomo miał panować w Chinach. Fakt, że Przewodniczący

Nie jest dokładnie wiadome jak głęboki jest wpływ masowych środków informacji na opinię publiczną, ale faktem jest, że wizja świata, którą wolna prasa, T.V. i Radio „sprzedaje” swej klienteli w USA, a częściowo również na Zachodzie, lansuje nie tyle nową filozofię, która kazałaby spojrzeć głębiej i po nowemu na genealogię konfliktów dzielących świat, ale prezentuje po prostu taką „diagnozę” rzeczywistości, w której jedne zjawiska zupełnie świadomie się pomija, a inne — wyolbrzymia³.

Do osamotnienia w Europie Zachodniej, do gromów prasy francuskiej, skandynawskiej, włoskiej i szwajcarskiej przeciw „amerykańskim ludobójcom” dochodzi izolacja rządu w Waszyngtonie — nie wobec własnego narodu, ale wobec elity umysłowej kraju która, jak wszędzie, stara się nadać ton opinii publicznej i identyfikować z najbardziej dominującym nurtem w narodzie.

Tego typu położenie nie pozostawia żadnych złudzeń, ukazując jasno jak dalece krytyczną jest sytuacja kraju, który demobilizowany od wewnątrz przez środki masowej propagandy, stoi w obliczu agresywnego i uzbrojonego jak nigdy dotąd przeciwnika, nie znającego żadnych moralnych skrupułów, nieskrępowanego obywatelstwa, w systemie totalitarnym, opinią publiczną.

Dlatego rozwój wydarzeń zmusił ostatecznie obecny rząd w USA do zainicjowania aktywnej roli w polityce międzynarodowej, która datuje się od lutowej wizyty Nixona w Pekinie.

Mao w latach pięćdziesiątych nie czynił tajemnicy z tego, że około 800.000 zamożnych chłopów wymordowanych zostało we wczesnych latach po objęciu przez niego władzy uszedł jej uwagi. Zarówno te jak i inne akty masowego terroru w Chinach i Płd.-Wschodniej Azji były, w przekonaniu wymienionej dziennikarki wymysłem kłamliwej propagandy antykomunistycznej, usiłującej zożyć w oczach świata Chinę. — Chińczycy — stwierdza p. van Horn, powołując się na Marco Polo — wychowani w nacechowanej humanitaryzmem nauce Konfucjusza przepojeni są dobrocią. Jak stwierdza C. P. Fitzgerald, wybitny znawca Chin — cytując tu dalek Harriet van Horn — tylko człowiek tak dobry jak Przewodniczący Mao mógł zdobyć się na poparcie Rewolucji Kulturalnej”.

W parze z infantylizmem dziennikarki typu Harriet van Horn szły inne podobne „rewelacje”. Do nich między innymi należy ekspiacja rządu Płn. Wietnamu z krwawej czystki, jaką przeprowadził Ho Shi Minh po objęciu przez niego rządów. To samo pismo, piórem innego dziennikarza stwierdziło, że oskarżenie tego rodzaju były wysrane z palca, ponieważ raport kompetentnej komisji ONZ nie ujawnił, aby od czasu Układu Genewskiego w roku 1954 do roku 1964 wykonano w Płn. Wietnamie ponad 18 ekzekucji.

3. Charakterystyczną jest pod tym względem kampania wyborcza George'a McGoverna i jego zwolenników. W ciągu kilkumiesięcznego okresu tej kampanii aż do chwili obecnej McGovern atakując gwałtownie decyzję Nixona, wznawiającą bombardowania Płn. Wietnamu ani jednym słowem nie wspominał, że jest to w istocie akcja odwetowa, której celem jest zahamowanie ofensywy Hanoi, rozpoczętej na wiosnę 1972 roku. McGovern i jego zwolennicy mogli nową inicjatywę militarną Nixona krytykować *nawet w kontekście* wszczętej przez Płn. Wietnam ofensywy, woleli jednak te ostatnią pominąć, tak jakby ona w ogóle nie miała miejsca. Posłużyli się w tym wypadku starą metodą propagandy komunistycznej, ukazywania tylko tej części prawdy, która jest im wygodna.

„Ponieważ — jak stwierdza Mieroszewski — istnieją tylko dwa supermocarstwa o stosunkowo wyrównanych potencjałach atomowych, zdolne zniszczyć się nawzajem, pomiędzy obydwojma tymi supermocarstwami nie może być wojny, ponieważ żadne z nich nie byłoby zwycięskie”.

Cytata ta wymaga chwili zastanowienia.

Choć historia zna niejednokrotnie sytuacje wojenne, z których żadna ze stron nie wychodziła zwycięsko, faktem jest, że co innego oznacza klęska a co innego całkowite biologiczne i materialne zniszczenie, jakie umożliwia broń nuklearna. Z tego jednak nie wynika, żeby ZSSR i USA nie mogły prowadzić wojny ograniczonymi środkami bez instrumentu totalnego zniszczenia, jakimi są strategiczne — nie-taktyczne bronie atomowe.

Istnieją pewne rodzaje środków prowadzenia wojen, których używa się tylko w wypadku gdy gwarantują one przewagę przynajmniej w pierwszej fazie zaskoczenia przeciwnika. Taką np. bronią były w I Wojnie Światowej gazy, których użył Mussolini w wojnie z Abisynią, a których nigdy nie stosował Hitler na pewno nie z powodu skrupułów moralnych, ale z tej racji, że wiedział że na tej drodze nie uda mu się osiągnąć przewagi. Sytuacja, w której obydwie strony, świadome są tego że nie mogą zadać przeciwnikowi decydującego ciosu, sprowadzając jedynie kompletne, biologiczne zniszczenie zarówno własnego narodu jak i nieprzyjacielskiego, nie wyklucza wcale możliwości wojny. Wyłącza ona jedynie stosowanie niektórych broni. W tym wypadku zbędne są wszelkie umowy, ponieważ przeciwne strony przyjmują to jako konieczność.

Kultura nie podziela, rzecz jasna, lunatycznego poglądu liberalnych kół amerykańskich, które nie widzą w ogóle niczego co kryje się poza fasadą wojny wietnamskiej i dla których imperium sowieckie z jego ambicjami dominowania nad światem prawie że nie istnieje. Przeciwnie — imperializm sowiecki jest jednym z najważniejszych tematów, który nie schodzi z łamów *Kultury*. Przy tym wszystkim jednak Mieroszewski, czołowy publicysta *Kultury*, patrzy na Nixona, wbrew temu co twierdzi, nie w kontekście sprawy polskiej. Ocenia go w istocie spojrzeniem zachodnio-europejskiego liberała, jako strażnika reakcyjnego amerykańskiego *establishment*, co wyraża się jego funkcją instygatora wojny wietnamskiej. To ostatnie klasyfikuje go jako wyraziciela i partnera kół finansowych i wojskowych, które w przekonaniu liberalnej lewicy były zainteresowane w kontynuowaniu wojny — tak długo, póki nie zaczęła ona przybierać katastrofalnych dla USA rozmiarów. Obecnie — jakby wynikało z rozważań Mieroszewskiego — ponieważ nie chcą się one pogodzić z porażką, brną w nią jeszcze dalej.

„Prawicowcy na Kremlu wolą rozmawiać z prawicowcami w Białym Domu — pisze Mieroszewski. Reakjoniści na Kremlu najłatwiej znajdują wspólny język z reakcjonistami na Zachodzie. Konserwatyści zachodni nie myślą bowiem o zmięczeniu komu-

nizmu czy o aranżowaniu wiosny w Pradze czy w Warszawie. Mają na uwadze zawsze *business* a nigdy ustrój”.

Powyższe twierdzenie, a raczej szereg twierdzeń, wymaga kilku krytycznych uwag.

Jeśli by konserwatyści w Białym Domu mieli na uwadze zawsze i wyłącznie *business*, to wówczas nie interweniowałiby nigdy przeciw Północnemu Wietnamowi, którego rząd pragnął i pragnie narzucić Południowi swoją władzę. W ogóle charakteryzowanie kół *business*'u jako inspiratorów wojen — wbrew pokułującym tu i ówdzie wierzeniom, które były częściowo uzasadnione w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia — nie ma obecnie już sensu. Hitler wszczął wojnę nie tylko wbrew generałom, którzy w zwycięstwo nie wierzyli, ale wbrew własnym kapitalistom, którzy bali się wojny tak, jak bał jej się każdy Niemiec nieotumaniony całkowicie retoryką Führera. Ameryka dwukrotnie przystępowała do wojny wbrew interesom własnej finansjery, która na równi z izolacjonistycznie nastrojonymi Amerykanami, pragnęła trzymać się z daleka od krwawych europejskich konfliktów. Ameryka nie włączała się wprawdzie do wojny z pobudek ideowych, natomiast czyniła to żeby zahamować potęgę jakiegos pęczniejącego ambicjami podbojów mocarstwa, albo po to, żeby zadość uczynić swym własnym ambicjom imperialnym. Podboje dyktowane interesami *business*'u zdarzały się w XIX i w początkach XX wieku, gdy chodziło o podział kolonii, surowce i rynki zbytu.

Obecnie surowce pochodzące z kolonii są nieco mniej potrzebne niż dawniej, na skutek rozwoju przemysłu syntetycznego, poza tym zaś zdobycie ich nie wymaga już żadnych wojen. Wbrew legendzie, że na wojnie bogacą się finansjści, przy jakichkolwiek pogłoskach wojennych, akcje na giełdzie nowojorskiej spadają na łeb i na szyję. W wojnę imperialistyczną z poduszczczenia wielkiego kapitału przestali już wierzyć dość dawno marksiści. Przestali — bo wiedzą, że w najbardziej imperialistycznym państwie świata, — w Sowietach — w których jako żywo nie ma żadnego *business*'u, który by określał ekspansjonistyczną politykę Państwa, jest Partia z jej nieprzerpartą żądzą władzy i dominowania jeśli na razie nie nad całym światem, to przynajmniej nad maksymalnie dużą jego częścią. Aż dziw bierze, że wojny z inspiracji Wielkiego *Business*'u wierzą obecnie na ogół socjaliści, którzy nigdy nie byli komunistami. Może dlatego, że przez długie lata nie mieli okazji oglądać na własne oczy owych „Cieni w Pieczarze” — świata mitów, w którym prawdziwe motywy ludzkich działań zastąpione są wersetami z doktryny, trymanej zresztą w komunistycznym tabernaculum.

Co się tyczy konfliktu wietnamskiego, to zaangażowanie się Stanów Zjednoczonych, jeśli by mierzyć je kryteriami finansowymi, byłoby całkowicie niewytłumaczalne. Kilkuset miliardowe wydatki amerykańskie na wojnę w Wietnamie przekraczają wielokrotnie ewentualne zyski jakie mogłyby osiągnąć Stany Zjedno-

zione z ekspansji ekonomicznej na terenie całych Indochin od roku 1950⁴.

Co się tyczy sprawy „zmiękczenia komunizmu”, to sędzę że wielu konserwatystom zachodnim dogadzałoby to prawdopodobnie z wielu względów. Bieda jest tylko z tym, że nikt nie wie jak to zrobić. Jest mnóstwo ludzi — „nie konserwatystów”, którzy to proponowali — w tej liczbie redaktor *Kultury* Jerzy Giedroyc, Juliusz Mieroszewski, Leszek Kołakowski i wielu innych. Nikt jednak, jak dotąd, żadnej praktycznej strategii „zmiękczenia” — czyli zliberalizowania reżymów komunistycznych nie zaprezentował, z tej prostej przyczyny, że strategii takiej w zastosowaniu do totalitarnie rządzonych państw komunistycznych skutecznie uniemożliwiających tworzenie jakichkolwiek podziemnych organizacji kadrowych, na razie nie ma. Sytuacja, jeśli chodzi o „zmiękczenie” czy nawet rozbięcie komunizmu, nie jest być może beznadziejna, natomiast bezradność antykomunistycznych publicystów i polityków jest w tej materii oczywista. Jeśli coś w Warszawie lub Pradze się dzieje, to albo jest inicjowane z góry albo odbywa się w formie spontanicznego wybuchu, zaskakującego zarówno rządzących jak i rządzonych. Zachód — w tej liczbie renomowani „sowieciolodzy” — nie znają po prostu mechanizmów, które kierują motywacjami ludzkich działań w systemach komunistycznych. Prawdopodobnie zresztą nie znają ich również sekretarze pozostających u władzy partii komunistycznych. Z tego też powodu trudno mieć obecnie pretensje do „konserwatystów” zachodnich, że nie myślą o zaranżowaniu „wiosny” w Pradze czy w Warszawie. Nie wierzą w żadną Praską Wiosnę czy w Polski Październik, ponieważ zdają sobie sprawę, że komunizmu nie można „zmiękczyć” ani drogą terapii wewnętrznej ani zewnętrznej. Można go tylko zniszczyć. Ponieważ zaś rozbięcie komunizmu w Pradze, Warszawie lub Budapeszcie pociągnęłoby za sobą reakcję łańcuchową, która doszłaby jeśli nie do samej Moskwy — to przynajmniej do Charkowa, Kijowa, Mińska, Rygi i Wilna — stawką Kremla byłby nie tylko ratunek przed klęską, ale przed fizycznym zniszczeniem kadry kierowniczej i milionowej rzeszy aparatczyków na rozległych terytoriach ZSSR przy przyjemnym sąsiedztwie Chińskiej Republiki Ludowej. W istocie szansa taka istniała, i w tym wypadku się całkowicie zgodzić z *Kulturą* — w roku 1956, w okresie Powstania na Węgrzech. Postępowanie Waszyngtonu w swej krótkowzroczności, wyszło wówczas rzeczywiście poza *containment* tyle tylko, że w odwrotnym kierunku. Zamiast pomóc rebeliantom budapesztańskim, USA wspólnie z ZSSR ratowały Egipt przed inwazją Anglii, Francji i Izraela. Ale nad piramidalną głupotą rządów amerykańskich z lat pięćdziesiątych nie ma obecnie celu rozzdzierać szat. Płacą one same za nią obecnie

4. Por. artykuł Waltera Laquera „From globalism to isolationism” *Commentary*, New York, wrzesień 1972.

wysoką cenę. Ważna jest przyszłość, a na tę przyszłość trzeba spojrzeć inaczej niż to proponuje *Kultura*.

W omawianym przeze mnie artykule, Mieroszewski przestrzega Amerykanów przed polityką, która „wpychałaby Chińczyków w ramiona Rosjan”. Przestrzega słusznie, ale moim zdaniem jego przestroga jest obecnie zbędna, ponieważ administracja nixonowska po długich i bezowocnych poszukiwaniach dróg wyjścia zrozumiała nareszcie, że jedynym ratunkiem dla Ameryki jest droga zbliżenia do głównego antagonisty ZSSR — Chin.

Ale właśnie z punktu widzenia stosunków chińsko-amerykańskich należy od nowa spojrzeć na konflikt wietnamski. W układzie trzech partnerów: Rosja, Chiny i Ameryka od momentu zbliżenia chińsko-amerykańskiego, rozstrzygnięcia, jakie może przynieść konflikt wietnamski dla międzynarodowego układu sił w świecie, różni się od tych, które implikował kierunek wojny wietnamskiej w latach 1963-1971. O ile bowiem do momentu nowej, chińskiej polityki Nixona głównym sprzymierzeńcem Hanoi był Pekin, o tyle od wiosny 1972 stała się nim Moskwa.

Od wczesnych lat konfliktu, zarówno Rosja jak i ChRL, mimo dzielących je różnic, traktowały wojnę z Sajgonem jako rozprawę ze wspólnym wrogiem — Stanami, z tym, że Sowiety coraz bardziej zdawały sobie sprawę, że korzyści polityczne wynikające z ewentualnej klęski amerykańskiej w Południowo-Wschodniej Azji w lwiej części przypadną Chinom. Stąd ich wstrzeźliwość i nieukrywana niechęć w zaopatrywaniu Północnego Wietnamu w pewne rodzaje broni strategicznych, które w latach 1967-1971 dostarczały np. Egipcjom. Tę broń zaofiarowałyby wówczas chętnie rządowi w Hanoi — Chiny, nie mogły jednak dać tego, czego same nie miały. W szczególności w latach 1966-68, do momentu zaprzestania bombardowań lotniczych, rząd w Hanoi zabiegał u Rosjan o dostarczenie im rakiet średniego zasięgu ziemia-woda, podobnego typu przy pomocy których Egipcjanie zatopili w roku 1967 statek izraelski „Elliat”. Pociskami tymi planowali północni Wietnamczycy atak na lotniskowce amerykańskie, operujące w promieniu rażenia rakiet średniego zasięgu. W działaniach lądowych nie zachodziła potrzeba stosowania pewnych rodzajów broni, ponieważ do ostatniej wiosny ofensywy Giapa, w sferach wojskowych Północnego Wietnamu panowała doktryna wojny ludowo-partyzanckiej, przejętej od jej głównego teoretyka i praktyka Mao Tse-tunga. W owym okresie, przy ograniczonych dostawach najnowszego sprzętu, których przemysł zbrojeniowy Chin nie produkował, pomoc tych ostatnich szła tak daleko, że choć chiński personel wojskowy nigdy nie został użyty w bezpośrednich działaniach wojennych, infrastruktura Północnego Wietnamu — a więc łączność, komunikacja i transport — nasycona była chińskimi specjalistami i chińskimi drużynami roboczymi. Do chwili wstrzymania bombardowań przez prezydenta Johnsona, czyli do wiosny 1968 roku, Chińczycy czynili wszystko, aby na zapleczu wojujących oddziałów usunąć skutki zniszczeń, spowodowanych przez amerykańską

skie lotnictwo. Ewakuacja personelu chińskiego nastąpiła w momencie gdy w Paryżu Amerykanie rozpoczęli rozmowy z przedstawicielami Północnego Wietnamu i NLF (Wietkongu).

Wizyta Nixona w Pekinie i pewne wzajemne nie ogłoszone publicznie zobowiązania obydwu pertraktujących ze sobą stron, spowodowały gwałtowne ochłodzenie stosunków Pekinu z Hanoi, przy utrzymaniu oczywiście wszelkich propagandowych pozorów. Przyczyniła się do tego głównie Rosja, na skutek trwającego od trzech blisko lat pogotowia wojennego przeciw Chinom. Bez względu na to czy ZSSR zdecyduje się ostatecznie na wojnę z ChRL — ta ostatnia wobec przeciągającej się koncentracji wojsk i setek polowych lotnisk na granicy mongolskiej musi się czuć zagrożona. W tych warunkach sprawa zaangażowań wietnamskich i perspektywa rozszerzenia swych wpływów w południowo-wschodniej Azji musiały zejść na plan dalszy. Wobec bezpośredniego niebezpieczeństwa ze strony ich dawnego sojusznika, Chiny musiały szukać oparcia w drugim adwersarzu Rosji — Stanach Zjednoczonych. I w tym tkwiła szansa Ameryki przewidziano wykorzystania przez Nixona. W obecnym układzie sił Ameryka musiała poprzeć Chiny. Trójkąt wzajemnie wrogich sobie mocarstw nie był dłużej możliwy do utrzymania. Chiny i Amerykę nic obecnie nie dzieli i nic dzielić nie będzie w najbliższych dekadach prócz ideologii, którą realności z Pekinu, mimo inflacji wywoleńczych haseł, traktują wybitnie użytkowo. Gdy przestaje pełnić swą rolę, przestają jej używać. Podobnie zresztą jak Rosjanie. Ze strony amerykańskiej nie ma zaś żadnych przeszkód ani obciążeń. Amerykanie nie wyznają, ani nie udają że wyznają jakąś „ideologię”. Powiadają co najwyżej że mają jakieś ideały, ale „ideały” — to rzecz bardzo niewinna w porównaniu z „ideologiami”.

Ofensywa kwietniowa Giapa była wyłącznie inicjatywą wspieraną i inspirowaną przez Sowiety i to w podwójnym znaczeniu: 1) Przyjęcie konwencjonalnych planów inwazji Południa przy pomocy zmasowanych oddziałów w liczbie 12-tu dywizji oznaczało odrzucenie chińskiej doktryny wojny partyzancko-ludowej, praktykowanej z powodzeniem przez długie lata przez Giapa. 2) Przyjęcie tego planu strategicznego pociągało za sobą konieczność zaopatrzenia północno-wietnamskich dywizji w ciężką broń, czołgi i samoloty, a więc wzmożoną pomoc militarną Moskwy, której ZSSR niezbyt skwapliwie udzielał Hanoi w ubiegłych latach.

Idea ofensywy w oparciu o nowe, a raczej stare, bo konwencjonalne zasady prowadzenia wojny, wydała się wiosną 1972 roku Rosjanom bardzo stosowna ze względu politycznych i wojskowych. Politycznych — ponieważ zbliżenie amerykańsko-chińskie rozszyfrowano trafnie w Moskwie jako pociągające za sobą daleko idące *disengagement* Chin z imprezy wietnamskiej. Militarnych — ponieważ wycofanie lądowych oddziałów amerykańskich z teatru wojennego, dawało w ocenie ekspertów poważne szansę sukcesu przy użyciu klasycznej strategii. To czego nie

wzięli pod uwagę sowieccy „amerykanolodzy” — to ewentualności wznowienia bombardowań przez Stany Zjednoczone, nie mówiąc już o blokadzie portów. Jedno i drugie — mogło być zawadę przy zwalczaniu działań partyzanckich, odegrało decydującą rolę przy zahamowaniu ofensywy Giapa, która w momencie gdy piszę te słowa jest w stanie paraliżu.

To że Rosjanie nie przewidzieli reakcji Nixona wynikało z tego, że dotychczasowa polityka amerykańska podejmowania kroków obronnych w obliczu ekspansji sowieckiej, weszła w latach 1967-69 w fazę kompletnego impasu. Szczytowym jej, a zarazem alarmującym, symptomem było oddanie Północnym Koreańczykom bez jednego wystrzału statku patrolowego „Pueblo” wraz z załogą w roku 1968 jak również znacznie późniejsze, bo przypadające w okresie prezydentury Nixona zestrzelenie wojskowego samolotu transportowego przez tychże samych Północnych Koreańczyków, bez żadnej reakcji ze strony Pentagonu i Prezydenta.

Prawdopodobnie więc w ocenie kremlowskich empiryków, dla których liczą się tylko fakty, Ameryka na skutek bezustannych niepowodzeń w wojnie wietnamskiej i potęgującego się fermentu wewnętrznego doszła do takiego stanu obojętności, że można było bez żadnego ryzyka przejść od Chińczyków inicjatywę wojny w Wietnamie, doprowadzając do kompletnej klęski Amerykanów i całkowitego — ku hańbie Chin — zebrania owoców zwycięstwa bez udziału Pekinu i ich materialnego wparcia.

Decyzja Nixona, która uznana została za ryzykowną nawet przez tych Amerykanów, którzy doceniali mechanizm równi pochyłej moralnego rozbrojenia, na której znalazła się w ostatnich latach Ameryka — stanowiła niewątpliwie kubeł zimnej wody na głowy członków sowieckiego Politbiura. W istocie ze strony administracji waszyngtońskiej był to nie tyle akt odwagi, ile konieczności. Wynikał on z uświadomienia sobie rozpaczliwego stanu w jakim znalazło się to potężne — jeśli mierzyć je kryteriami ekonomiczno-wojskowymi — mocarstwo. W wyniku długotrwałej presji imperializmu sowieckiego i wewnętrznych dezintegracyjnych procesów osłabiających coraz bardziej więź socjalną, doszło ono do takiego stanu, że pozbawione zostało niemal całkowicie zdolności obronnych. Taki był bilans 25-letniego okresu *containment*, który w końcowym efekcie nakazał Waszyngtonowi szukania dróg ratunku przed katastrofą. Pierwszym warunkiem tej akcji ratunkowej była drastyczna zmiana kursu w polityce zagranicznej, pociągająca za sobą dalsze decyzje w wojnie wietnamskiej. Gdyby Nixon na nie się nie zdobył, ofensywa Giapa zmiotłaby rząd sajgoński w przeciągu kilku tygodni. W rezultacie tej nowej klęski Stanów Zjednoczonych celebrowanej w Moskwie i Paryżu, sprawiłyby one ostateczny i nie do odrobienia zawód nie tylko swym nielicznym dawnym sprzymierzeńcom, ale przede wszystkim — Chinom. Te ostatnie przekonałyby się, że Ameryka jest w fazie takiego paraliżu, że na zneutralizowanie przez nią groźby inwazji rosyjskiej nie można już liczyć.

Sądzę, że po raz pierwszy od roku 1949, ograniczony zresztą sukcesywną inicjatywą USA, polegający na powstrzymaniu ofensywy Giapa, spotkał się z zadowoleniem w Pekinie. Oczywiście fasada polityczno-propagandowa musi być zachowana. „Orędowniczka wyzwolenia ludów spod jarzma imperialistycznego” nie może otwarcie przyznać się do tego, że ze strachu o własną skórę przed dawnym sprzymierzeńcem, weszła z obopólnymi zresztą korzyściami w stosunki z kapitalistyczną Ameryką, reprezentowaną w dodatku przez tak niepopularną we wszystkich sferach lewicowo-komunistycznych postać, jaką jest Richard Nixon.

Deklaracje propagandowe, na których widać zresztą pewne rysy i niedomówienia, nic tu jednak nie pomogą, ponieważ prawda o zmienionych międzynarodowych implikacjach wojny w Wietnamie przediera się na światło dzienne w sposób oczywisty. Nie oznacza to jednak — nawet przy najbardziej niepomyślnym obrocie spraw dla Hanoi — zwycięstwa Ameryki w Południowo-Wschodniej Azji, czyli wyeliminowania rządów komunistycznych z północnego Wietnamu. O tym Nixon dawno już przestał marzyć. Jego ograniczony i realny, jak sądzę, cel oznacza po prostu doprowadzenie na tym teatrze wojny do porażki Rosjan, jako inspiratorów ostatniej ofensywy Giapa, co przy wzajemnej konkurencji dwóch komunistycznych mocarstw, może w efekcie doprowadzić do jakiegoś przejściowego *status quo*. Tego nowego kierunku wojny nie docenia, jak mi się wydaje *Kultura*.

Wietnam przestał być od dawna sprawą pomiędzy bardzo ograniczoną liczbą partnerów, stając się problemem ogólno-światowym. W związku z tym, z wielu najzupełniej odmiennych od siebie powodów, mnóstwo organizacji i rządów, spośród których wyróżnia się rząd francuski, zaleca Amerykanom niezwłoczne opuszczenie Wietnamu. Do organizacji tych zaliczyć należy ugrupowania Nowej Lewicy, wszystkie partie komunistyczne i socjalistyczne, środowiska liberalne, poważną ilość kościołów, oraz wpływowe w Ameryce koła syjonistyczne, które pragnęłyby, aby Stany Zjednoczone zerwały ze swą polityką zaangażowań dalekowschodnich i skoncentrowały swą uwagę na Bliskim Wschodzie. Mimo zdecydowanego antysyjonizmu, ich myślenie globalistycznych tendencji Związku Sowieckiego. Pod tym względem poglądy ich są zbliżone do niektórych politycznie zaangażowanych emigrantów z Europy Wschodniej, którzy nie pozbyli się kontynentalno-lokalnego pojmowania współczesnych konfliktów. Nie mogą uznać tego, że losy tego czy innego kraju mogą się rozstrzygnąć na odległych od centrum ich zainteresowań teatrach zmagania dwóch konkurencyjnych potęg.

To co do opinii publicznej nie dochodzi w dostatecznym stopniu, to fakt, że obecna administracja nixonowska zapisała już od dawna Wietnam na straty, rezygnując z zachowania obecnych pozycji w Południowo-Wschodniej Azji, a przynajmniej godząc

się na ich poważne uszczuplenie. Pod tym względem propozycje Nixona kierowane pod adresem Hanoi są w istocie kapitulacją — tyle tylko, że kapitulacją nie-bezwarunkową⁵. Zapoczątkowana wizyta w Pekinie „chińska polityka” Nixona wskazuje na to, że choć gotów jest on do odwrotu, nie życzy sobie, aby poameerykański spadek w tej strefie świata przypadł Sowietom. A tak by się w rzeczywistości stało, gdyby Ameryka zaakceptowała proponowaną przed załamaniem się ofensywy Giapa 7-punktową formułę kapitulacyjną Hanoi i N.L.F. Chiny bowiem mogą z powodzeniem wciąż jeszcze przeliczyć Rosjan w obfitości hasel wyzwoleniczych, którymi raczą ludy azjatyckie i afrykańskie, natomiast ich militarno-ekonomiczne aktywa w porównaniu z sowieckimi są beznadziejnie słabe.

Jeśli Hanoi przystanie w tej chwili na warunki Nixona, godząc się na natychmiastowe zaprzestanie działań wojennych i opuszczenie Wietnamu przez wojskowy personel amerykański i przeciągu dwóch miesięcy, to wybory, których przeprowadzenie w Południowym Wietnamie proponują Stany Zjednoczone pod kontrolą Chin, Rosji, Francji, Wielkiej Brytanii i USA nie stanowiłyby dla Hanoi zbyt wielkiego ryzyka. Przeciwnie, przy notorycznej niewydolności wszelkiego typu Komisji międzynarodowych, Wietkong, wyspecjalizowany w praktykowaniu terroru, zastosowałyby go tym razem w wyborach. W tej sytuacji władza komunistyczna która by objęła prędzej czy później rządy w wyniku „wyborów” — balansując pomiędzy Sowietami a popieranymi nieoficjalnie przez USA Chinami — utrzymałaby pewnego rodzaju chwilową niepodległość Wietnamu. W efekcie równałoby się to wycofaniu się Stanów Zjednoczonych z zachowaniem prestiżu. Prestiż pozostałby uratowany, ponieważ kapitulacyjna w swej treści propozycja Nixona, formalnie oznaczalaby jego sukces, jako że byłaby przyjęta w momencie fiaska ofensywy Giapa. Ale w całej tej grze prestiż amerykański stanowi bardzo poważną stawkę i dlatego żądanie *bezwarunkowej* kapitulacji, które stawiało Hanoi, popierane było tak długo i zdecydowanie przez Sowiety, póki nie stało się jasne, że karta na którą postawił ZSSR inspirując wiosenną ofensywę Giapa została stracona. Odrzucenie kapitulacyjnej formuły Północnego Wietnamu stało się w tym momencie pobierzem pozycji Stanów w całym świecie. Gdyby Ameryka wyszła z Wietnamu z piętnem bezapelacyjnej klęski, zadałaby cios swym nielicznym już aliantom w świecie. Możliwość wyjścia na podstawie formuły kompromisowej oznacza, że będzie ona dzielić swą porażkę z Sowietami. Tego właśnie nie życzył sobie ZSSR. Odwrotnie niż Chiny, które z jednej strony nie wycofując swego poparcia dla Hanoi (wyrażającego się obecnie tylko w deklaracjach) z drugiej nie ukrywają — że w obecnych okolicznościach obecność floty amerykańskiej w tej strefie Pacyfiku jest przez nich mile

5. Interesujący jest pod tym względem artykuł Jamesa Burnhama opublikowany w *New York Times* z dnia 25 września 1972 roku.

widziana. Chińczycy wolą ją niż sowiecką, tak jak Amerykanie z dwójgą złego wolą widzieć w Południowo-Wschodniej Azji Chińczyków niż Rosjan. Tylko i wyłącznie dzięki inicjatywie amerykańskiej, Chiny nie są już więcej osamotnione w obliczu grożącej im bezustannie konfrontacji z Rosją. Rząd Nixona położył raz na zawsze kres tradycyjnej polityce kontynuatorów Dullesa, wymierzonej przeciw dwóm komunistycznym gigantom, z której realne korzyści odnosiły tylko Sowiety. Obecnie Pekin zbilansował swe zyski i straty, decydując się na nadszarpnięcie swej rewolucyjnej popularności w zamian za zbliżenie do Ameryki.

Tę właśnie radykalną zmianę jaka zaszła w trójkącie Pekin-Moskwa-Waszyngton ignoruje Mieroszewski. Bardziej dogadza mu, nie odpowiadająca rzeczywistości, koncepcja „Świętego Przymierza” Rosji i USA pod przywództwem dwóch — jak twierdzi Mieroszewski — największych konserwatystów świata — Breżniewa i Nixona.

Głównymi wydarzeniami nadającymi szczególną wagę wizycie Nixona w Moskwie są w przekonaniu wielu obserwatorów amerykańskich i europejskich, zawarte lub zawierane umowy handlowe i pakt ograniczający produkcję broni strategicznych⁶. W rzeczywistości fakty te, moim zdaniem, dowodzą jedynie nowej taktyki Stanów wobec Moskwy, która w niczym nie zagraża zacieśniającym się stosunkom pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem, mimo, że pomiędzy tymi dwoma krajami nie ma nawet stosunków dyplomatycznych a sprawa Tajwanu nie została właściwie załatwiona. To, że ChRL nie czyniła z tej ostatniej sprawy zasadniczej kwestii ma również swoją wymowę. Problem Tajwanu stracił swój priorytet w obliczu grożącego Chinom niebezpieczeństwa ze strony Rosji.

Tak jak w okresie „zimnej wojny” działalność propagandowa antykomunistycznych ośrodków informacyjnych na Zachodzie nie zapobiegła umocnieniu pozycji Sowietów na świecie, tak samo mało skuteczne okazały się ograniczenia handlowe i wszelkiego rodzaju embarga na towary strategiczne, do których Rosja zdobywa różnymi drogami dostęp.

Jeśli zasadnicza zmiana taktyki wobec Sowietów — odwrotna od tej, którą zdefiniował Mieroszewski — wymagała zmian w metodzie postępowania wobec ZSSR, to Nixon uczynił bardzo

6. Ten ostatni — SALT dotyczy ilościowej, a nie jakościowej strony broni strategicznych. Nie wyklucza więc doskonalenia posiadanych typów ani produkowania nowych — w miejsce dawnych. — Ponieważ przy traktowaniu tylko czynnika ilościowego, obydwa mocarstwa posiadały dostateczną ilość rakiet, aby się wielokrotnie unicestwić i w dalszej produkcji istniejących rodzajów broni, żadna ze stron nie była więcej zainteresowana, SALT firmuje jedynie istniejący stan rzeczy, mając znaczenie czysto dekoratywne. Zarówno ZSSR jak i USA kładą ostatnio nacisk na badania, zmierzające do doskonalenia posiadanych broni lub tworzenia nowych skuteczniejszych środków zabezpieczenia lub zniszczenia, czemu SALT bynajmniej nie zapobiega.

śluszenie ukazując uśmiechniętą twarz Moskwie i minując jednocześnie port w Haiphongu, przede wszystkim przeciwko statkom rosyjskim i ich satelitom. Do uśmiechającego się w Moskwie Nixona uśmiechał się Breżniew, ale ta atmosfera poklepywania się po plecach nie mogła złudzić wytrwałych wyjadaczy z Krem-la, choć złudziła Mieroszewskiego i Wiktora Zorzę. Breżniew i Kosygin wiedzieli doskonale, że wizyta Nixona w Moskwie, i wszystko co w związku z nią nastąpi, ma być czymś w rodzaju „alibi” nie tyle wobec nich, bo są zbyt sprytni, aby na tego rodzaju zabiegi się nabrać, ale przede wszystkim wobec opinii amerykańskiej. Wobec tej ostatniej Nixon musiał zaprezentować się jako szermierz pokoju na dwa fronty — wobec dwu potencjalnie najgroźniejszych przeciwników USA — Związku Sowieckiego i Chin.

Nixon uchodzi za polityka posługującego się bezustannie „trickami” wobec amerykańskiej opinii publicznej. Jest to prawda, ale sądzę, że jeśli chodzi o politykę zagraniczną, to ma on za sobą wielu poprzedników, w tej liczbie F. D. Roosevelta, który w pewnych sytuacjach zachowywał się podobnie. Nie ma po prostu żadnego sposobu aby wybić z amerykańskich głów zakorzeniony w nich izolacjonizm. Jedyne wyjście — to co innego w polityce międzynarodowej deklarować, a co innego — czynić.

Uwaga Wiktora Zorzy o dwóch „najpotężniejszych konserwatystach świata” — Nixonie i Breżniewie, którą cytuje Mieroszewski — jest efektowna, ale wprowadzająca czytelników *Kultury* w błąd. Niewątpliwie Nixon jest konserwatystą, ale jeśli chce utrzymać Amerykę taką jaką ona jest — z jej nieograniczoną swobodą dla przeciwników nie tylko rządu ale i ustroju — to konsekwencje takiego „konserwatyzmu” są zgoła odmienne od „konserwatyzmu” Breżniewa. Jeśli owym dysydentom amerykańskim nie udaje się obalić amerykańsko-kapitalistycznego *establishment*, to nie dlatego, że im władza w tym tak bardzo przeszkadza, ale dlatego, że nie znaleźli posłuchu wśród tych na których najbardziej liczyli — tzn. w masach.

Całkiem więc inaczej niż w systemie, którego strażnikiem jest Breżniew, a który zaklepany jest biurokratyczno-policyjnymi okulami. Ale o tym wszystkim wie doskonale Mieroszewski. Dlaczegoż więc pomimo zupełnie innego znaczenia słowa: „konserwatysta” w wypadku Breżniewa i Nixona przyczepia im tę samą nalepkę, zaciemniając zasadniczą różnicę jaka obydwu panów dzieli?

Przyrównując konsekwencje obecnych umów sowiecko-amerykańskich do sytuacji jaka zapanowała w Europie ponad półtora wieku temu po Kongresie Wiedeńskim, doprowadzając w końcowym efekcie do Wiosny Ludów, Mieroszewski niedwuznacznie stawia znak równości pomiędzy dysydentami antysowieckimi na Wschodzie i rebeliantami Zachodu. I tu powtórnie zaciemnia obraz dwóch odmiennych od siebie fermentów rewolucyjnych. Kryzysy ustrojowe, które wyłaniają się coraz wyraźniej w zaawansowanych państwach kapitalistycznych Zachodu nie mają

nic wspólnego z kryzysem i tłumioną opozycją, z którymi boryka się komunizm. Są to kryzysy zupełnie odmiennych stadiów rozwojowych, które nie doprowadzają do żadnej zbieżności celów, tym mniej do przerwania jakichkolwiek mostów pomiędzy tak odmiennymi od siebie nurtami, z których jeden chce podważyć totalitarny porządek systemu komunistycznego, a drugi — obalić demokrację burżuazyjną i ustrój kapitalistyczny.

Nie wykluczam odnalezienia jakiejś ogólnej formuły, która by okazała wspólną genealogię motywacji ludzkich przy odmiennych celach. Ale tej próby nie podejmuje Mieroszewski, bo też nie jest to celem jego artykułu. Tym bardziej zawodne są więc jego historyczne analogie. Nie wyjaśniają niczego. Przyczyniają się jedynie do spowodowania jeszcze większego zamętu w umysłach ludzi dostatecznie już skołowanych złożonością problematyki naszych czasów.

Zbigniew BYRSKI

New York, październik 1972

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 215 — CZESŁAW MIŁOZ

PRYWATNE OBOWIĄZKI

Retrospektywny wybór tekstów wybitnego poety i eseisty.
Wybór jest poprzedzony zasadniczym wstępem Autora.

Str. 256.

Cena F. 25 (dol. 5,50; £.2.00)

TOM 216 — DANUTA MOSTWIN

JA ZA WODĄ, TY ZA WODĄ...

Powieść z życia polskiej emigracji powojennej w Stanach Zjednoczonych oraz z życia stypendystów PRL w USA. Ich wzajemne stosunki, konflikty i tęsknoty.

Str. 304.

Cena F. 30 (dol. 6,50; £.2.50)

Sprawy i troski

Zaolzie

I

Pojęcie Zaolzia powstało w chwili podziału Śląska Cieszyńskiego wzdłuż rzeki Olzy. To co zostało za Olzą — nazwano Zaolziem.

Na festiwalu zespołów polonijnych w Rzeszowie w 1969 roku, organizatorzy nazywali skrótowo członków poszczególnych zespołów: „Francuzami”, „Belgami”, „Amerykanami”, „Czechami”.

— My nie jesteśmy Czesi — protestowali Zaolziacy.

— Ale my tak nazywamy Polonie — bronili się organizatorzy.

— My nie jesteśmy żadna Polonia, Polonia jest wtedy, gdy Polacy przyjadą do obcego kraju i tam potworzą swoje skupiska, a my jesteśmy u siebie z dziada, pradziada, a że historia z nami niedobrze się obeszała...

◆
Kto jak kto, ale mieszkańcy byłego Księstwa Cieszyńskiego szczęścia do historii nie mieli.

Od 1155 roku Księstwo należy do udzielnych książąt śląskich, rządzi nim zniemczona linia Piastów. W wyniku wojny trzydziestoletniej, zgodnie z zasadą *cuius regio eius religio*, staje się protestanckie, z biegiem lat głęboko religijne.

Mimo braku formalnej zależności kontakty z Rzeczypospolitą są bardzo żywe, np. w czasie Konfederacji Barskiej stolica księstwa — Cieszyn — była siedzibą Generalności Konfederacji.

Gdy Polska została rozebrana przez sąsiadujące z nią państwa, to w zaborach rosyjskim i pruskim walka o polskość była jednocześnie walką w obronie religii, bowiem Rosja była prawosławna a Prusy luterzańskie; trzeci zaborca, Cesarstwo Austriackie — spadkobierca Świętego Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, było super katolickie i to w dużej mierze rozbra-

jało katolickie społeczeństwo polskie. W skład Cesarstwa wchodziło także Księstwo Cieszyńskie, ale tam sytuacja była inna:

„U protestantów Śląska Cieszyńskiego rozwinął się wyjątkowo silny patriotyzm, walka bowiem o wolności religijne oraz narodowe szła u nich równoległe, gdyż rząd zaborczy (austriacki) był rządem katolickim” (prof. dr Walerian Kwiatkowski w monografii „Polska i jej dorobek dziejowy”, Londyn, 1956).

W tych warunkach przewodztwo w krzewieniu polskości wzięli na siebie pastory, całe rodziny pastorskie: Michejdów, Firlów, Bergerów. Ze świeckich działaczy należy wymienić: Pawła Stalmacha oraz Jerzego i Andrzeja Cinciałów.

W roku 1848 powstaje pierwsze polskie pismo na Śląsku Cieszyńskim, był to *Tygodnik Cieszyński*, przekształcony następnie w *Gwiadkę Cieszyńską*. Pismo to będzie później przez długie lata towarzyszyć ludowi śląskiemu we wszystkich jego poczynaniach. Wielkie zasługi w dziedzinie upowszechnienia oświaty położyli dwa stowarzyszenia: katolickie „Dziedzictwo błogosławionego Jana Sarkandra” (zał. w 1873 r.) oraz ewangelickie „Towarzystwo Oświaty Ludowej” (zał. w 1881 r.). Z połączenia tych stowarzyszeń powstała w roku 1885 Macierz Szkolna Księstwa Cieszyńskiego.

Z inicjatywy Macierzy powstaje w Cieszyńskim sieć szkół ludowych oraz wydziałowych, powstają także dwa gimnazja: w 1895 w Cieszynie i w 1909 w Orłowej. Po podziale dokonanym w roku 1920 Gimnazjum Cieszyńskie znalazło się po stronie polskiej i było tam jednym z wielu, natomiast Gimnazjum w Orłowej było jedynym po stronie czeskiej. Zasługi Gimnazjum Orłowskiego dla polskości Zaolzia są wprost niewymierne. Założone przy wydatnej pomocy Krakowskiego Towarzystwa Szkół Ludowych, jeszcze w okresie zaborów, miało żywy kontakt z dawną stolicą Polski. Wychowankowie tego Gimnazjum najczęściej uzupełniali swoją wiedzę na Wszechnicy Jagiellońskiej i nabyte wiadomości wykorzystywali z pożytkiem po powrocie na swój teren. Do dzisiejszego dnia większość polskich działaczy na Zaolziu rekrutuje się z wychowanków orłowskich.

W okresie międzywojennym, poza stosowaniem przez władze Republiki Czechosłowackiej pewnych szykan ekonomicznych, zamieszująca ziemię za Olzą ludność polska nie była ograniczana w swoich prawach. Działały niezależne polskie organizacje i stowarzyszenia, wychodziło 17 polskich periodyków (w tym 6 gazet codziennych). Działo się to wszystko mimo tego, że Polska i Czechosłowacja miały znacznie zróżnicowane ustroje a stosunki pomiędzy rządami krajów nie były najlepsze.

Dla porównania dzisiaj, gdy różnice ustrojowe zniknęły a kraje są w jednym obozie, na Zaolziu nie ma ani jednej niezależnej polskiej organizacji i wychodzą tylko dwa periodyki w języku polskim (jeden miesięcznik i jedna gazeta ukazująca się trzy razy w tygodniu).

Z okazji 60-lecia Gimnazjum w Orłowej jeden z wychowanków tej zastrzeżonej placówki, wspominał na łamach ostrawskiego *Głosu Ludu* swoich kolegów. Ginęli oni w walkach wrzesniowych, później w Oświęcimiu, Katyniu, w Powstaniu Warszawskim, pod Monte Cassino. Dzielił los wojenny innych Polaków, ale nie tylko. Zaolzie drogo zapłaciło za przyłączenie go do Polski.

Powstały spontanicznie na początku wojny ruch oporu nie mógł tu liczyć na poparcie całego (zróżnicowanego pod względem narodowościowym) społeczeństwa. Zaolzie nie należało ani do „Protektoratu” ani do „Generalnej Guberni”, było włączone bezpośrednio do Rzeszy Niemieckiej.

Dowódca Armii Krajowej, generał Bór-Komorowski, tak scharakteryzował panujące tam warunki: „W części wcielonej do Niemiec, stosunki pogarszały się gwałtownie. W obawie, że elementy polskie w tych okolicach będą oddziaływały demoralizująco na Niemców, zastosowano wobec nich terror jeszcze znacznie większy aniżeli w Polsce środkowej”.

Mimo tego ruch oporu na Zaolziu był znacznie większy niż na innych ziemiach przed wojną należących do Czechosłowacji. Ludność polska walczyła i płaciła za to drogo, straty ludnościowe przekroczyły 50 % stanu sprzed wojny. Najbardziej drastycznym przykładem była masakra w Żywocicach gdzie, w odwet za wykonanie przez A.K. wyroku śmierci na dwóch konfidentach gestapo, Niemcy spalili wieś i rozstrzelali trzydziestu sześciu mężczyzn. W pamięci ludności pozostała także egzekucja dokonana na 24 członkach ZWZ (AK) powieszonych publicznie na rynku w Wałce pod Cieszynem.

Po drugiej wojnie podział Śląska Cieszyńskiego utrzymano, Czesi korzystając z okresu masowych przesiedleń i deportacji chcieli pozbyć się całkowicie ludności polskiej, podobno były już przygotowane wagony, którymi miano tę ludność odesłać do Polski. Szczęśliwie do tego nie doszło. Z biegiem czasu sytuacja się unormowała. Reaktywowały się polskie organizacje (między innymi harcerstwo), wznowiły działalność polskie szkoły i inne placówki wyższej użyteczności. Nie trwało to jednak długo. Po Lutowym zamachu stanu Gotwalda nastąpiły szykany w stosunku do ludności polskiej, skonfiskowano własność polskich organizacji a same organizacje polikwidowano. Do najdotkliwszych strat należą nacjonalizacje: Polskiej Spółdzielni Spożywców w Łazach, Towarzystwa Oszczędności i Zaliczek, Hotelu-Ogniska „Polonia” oraz założonego przez Polaków Parku Sikory, przemianowanego na „Park Miru” (pokoju). Represje dotknęły też członków byłej AK: część z nich przesiedlono do innych regionów republiki, część zesłano do obozów pracy (w Komarnie). O walce AK z Niemcami nie wolno było wspominać. Dr J. Mazurek, lekarz Armii Krajowej, który zebrał dokumentację o działalności AK na terenie Zaolzia, przez długie lata nie mógł jej nigdzie opublikować. Dopiero w czasie Praskiej Wiosny udało

mu się wykorzystać część posiadanego materiału. Jedynym pozytywnym zjawiskiem w tym ponurym okresie było założenie w 1951 roku Sceny Polskiej przy Tesinske'm Divadle, jednego stałego, poza krajem, zawodowego teatru.

Polskie placówki wznowiły działalność dopiero w 1968 w roku wielkich nadziei — za rządów Aleksandra Dubczeka.

Nastąpiły wtedy rehabilitacje (w niektórych wypadkach pośmiertne) polskich działaczy. Reaktywowano harcerstwo i SMP (Stowarzyszenie Młodzieży Polskiej), a Polski Związek Kulturalno-Oświatowy przekształcił się w prawdziwego reprezentanta polskich interesów. PZKO jako jedyna polska organizacja przetrwało czasy stalinowskie i dzisiaj zrzesza ponad 20 tysięcy członków, co znaczy że co czwarty Polak (licząc i dzieci) jest członkiem tej organizacji. PZKO patronuje polskim szkołom, klubom, sekcjom twórczym i wydawnictwom.

W okresie Praskiej Wiosny pisma polskie, zarówno koncesjonowany *Głos Ludu* (Pismo północnomorawskiego KO KPCz dla ludności polskiej w Czechosłowackiej Socjalistycznej Republice) jak i organ Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego *Zwrot* stały się naprawdę polskie.

Na ich łamach Zaolzianie żądali naprawienia błędów i wypaczeń popełnionych przez władze w polityce narodowościowej. Chodziło między innymi o przywrócenie polskich historycznych nazw miejscowościom zamieszkałym przez Polaków oraz o przywrócenie naturalnych granic powiatów. (Władze CSR podzieliły powiaty w sposób sztuczny pod takim kątem, aby nie było powiatów o większości polskiej i by nigdzie Polacy nie mogli wybrać władz samorządowych). Zaolzianie żądali także dopuszczenia Polaków do decyzji w sprawach dotyczących ludności polskiej. Po raz pierwszy w dziejach te słuszne postulaty poparły czołowe pisma czeskie, w *Listach* i w *Reporterze* ukazały się życzliwe artykuły o polskiej mniejszości. *Listy* postulowały nawet wydzielenie polskich godzin w programie ostrawskiej telewizji (na razie są tylko polskie godziny w ostrawskim radio).

W tym też okresie odezwała się pełnym głosem Polska Literatura na Zaolziu.

II

ŻYCIE KULTURALNE NA ZAOLZIU

Zofia Kossak nazwała kiedyś Ziemię Cieszyńską ojczyzną bibliofilów. O dawności zainteresowania książką w tym rejonie świadczą bogate zbiory *ex-libris'ów* (najstarszy z 1612 roku). W Cieszyńskim nie tylko czytano, ale i pisano od najdawniejszych czasów.

Po okresie Wiosny Ludów, w połowie XIX wieku, rozwija się pisarstwo na większą skalę, wiąże się to z powstaniem na tym terenie polskich pism.

Na Zaolziu pisze się całymi rodzinami powołanie pisarskie przechodzi z ojca na syna. Obok różnych imion przewijają się te same nazwiska: Sikora, Berger, Kubisz, Łysek, Firla.

W okresie międzywojennym wybiły się na czoło nazwiska Pawła Kubisza, Adolfa Firla i Gustawa Morcinka, ten ostatni opuścił jednak Zaolzie na początku lat trzydziestych przenosząc się na stałe do Polski. Do tej trójki dorzucić jeszcze należy Karola Bergera, autora bardzo popularnych na Śląsku komedii obyczajowych. Najbardziej aktywną rolę odgrywał podówczas w zaolziańskim środowisku kulturalnym Paweł Kubisz, główny organizator powołanego w 1937 roku do życia Śląskiego Związku Literacko-Artystycznego. Kubisz był ponadto wziętym publicystą i redaktorem miesięcznika literackiego *Sztorcem*.

Przyłączenie w 1938 roku Zaolzia do Polski zaciążyło nad życiem kulturalnym tego rejonu po wojnie. Publicyści i pisarze zaangażowani w tamtym okresie, albo musieli opuścić Zaolzie albo zostali zepchnięci na boczny tor. Do tych drugich należał Paweł Kubisz, przywódca duchowy Zaolzia, poeta uznany po obu stronach Olzy. W 1956 na fali popaździernikowych nadziei, Paweł Kubisz podjął próbę ożywienia życia polskiego na Zaolziu. Nawiązał kontakt z władzami polskimi, w swojej naiwności wybrał sobie za pośrednika szefa UB w Cieszynie, kapitana Sejotę, na ręce którego złożył memoriały opracowane przez siebie i innych działaczy. Władze PRL na memoriały nie odpowiedziały, natomiast dziwnym trafem kopie memoriałów oraz innych dokumentów, dotyczących działalności Kubisza przed wojną, znalazły się w posiadaniu władz bezpieczeństwa CSR. W wychodzącej na Zaolziu prasie czesko- i polskojęzycznej zaczęła się na Kubisza nagonka, do której dołączyli się też publicyści PRL-u z Szewczykiem i Hierowskim na czele. Kubiszowi zabroniono wszelkich publikacji i wystąpień, zmuszono go do tego że jako pięćdziesięcioletni schorowany człowiek rozpoczął pracę w hucie w Trzyńcu przy wielkim piecu. Mimo że Kubisz był członkiem Polskiego Związku Literatów, PZL nie zrobił nic, żeby mu pomóc. Wstrząsające listy Kubisza kierowane do krakowskiego i warszawskiego Zarządu PZL były pozostawiane bez odpowiedzi. Mimo sztykan i ciężkich warunków Kubisz nie zaprzestał działalności, pisał do szuflady, spotykał się z przyjaciółmi, dyskutował.

„My mu zlomime vaz” („My mu złamiemy kręgosłup”) wypowiedział pod adresem Kubisza I sekretarz Komitetu Okręgowego KPCz w Ostrawie.

Na wychodzącego z Huty Kubisza najechał rozpędzony motocyklista, podobno był to wypadek. Po tym „wypadku” Kubisz nie powrócił już nigdy do zdrowia.

Praska Wiosna ożywiła go, jak wszystkich na Zaolziu. Został „zrehabilitowany”. W każdym prawie numerze *Głosu Ludu* z tamtego okresu można znaleźć fragment prozy lub urywek poezji Kubisza.

Zmarł 20 sierpnia 1968 roku, na dzień przed inwazją — choć tego jednego los mu zaoszczędził. Pozostały po nim książki, których nie zdążono wydać w krótkim okresie czeskiej odwilży.

W okresie „dubczekowskim” polska ludność Zaolzia nie zdążyła uzyskać nowych pozycji, ale stare, istniejące, wypełniła nowa treść. Nie powstały nowe polskie pisma, nie zwiększono limitu polskich wydawnictw. Działalności kulturalnej patronuje agenda PZKO — Sekcja Literacko-Artystyczna (SLA) grupująca pisarzy i plastyków, część pisarzy zrzesza ponadto „Grupa 63”, której patronował Paweł Kubisz. PZKO prowadzi także zespoły regionalne pieśni i tańca, z których np. „Olza” znana jest dobrze i poza granicami Zaolzia, między innymi z tego że uczestniczy w Festiwalach Zespołów Polonijnych gdzie zajmuje czołowe miejsca (w 1969 zajęła pierwsze miejsce na festiwalu w Rzeszowie), PZKO buduje także, ze składek społeczeństwa, polskie domyświatlice.

Gdy pod koniec 1967 roku, przytępiono w CRS działalność cenzury, pisma polskie w Czechosłowacji od razu włączyły się w nowy nurt. Zaroiło się od artykułów odwilżowych, obrachunkowych. Pisarze tamtejsi nie zasklepiali się w swoim terenie i w swoich sprawach, reagowali żywo na to wszystko co działo się w Polsce anno domini 1968. Zaolzie głosem swoich intelektualistów protestowało przeciw zdjęciu „Dziadów” z afisza, i później przeciw pomarcowym represjom. Te wszystkie poczynania śledził z niepokojem konsulat PRL w Ostrawie, wycinał artykuły, notował skrzętnie nazwiska autorów, w pierwszej fazie było to nie groźne, tyle tylko że ludziom umieszczonym na czarnej liście (a byli na niej prawie wszyscy piszący) odmawiano prawa wstępu na terytorium PRL-u. Mimo że mieli legalne przepustki władze graniczne ich nie wpuszczaly. Gorzej było później, już po inwazji, gdy konsulat przedstawił swoje listy władzom bezpieczeństwa CSSR z żądaniem ukarania „winnych”. Zaczęły się przesłuchania i aresztowania, jedna z zasłużonych publicystek przesiedziała się pół roku w śledztwie. Szczególnie „zasługi” w tej akcji położył ówczesny konsul — Korczyński.

Po grudniu sytuacja zmieniała się o tyle, że władze polskie zaprzestały sztykan, ale za to teraz Czesi nie udzielają działaczom polskim z Zaolzia przepustek. A pomimo zmiany konsula w Ostrawie, konsulat PRL w dalszym ciągu robi utrudnienia w kierowaniu na studia do Polski dzieci „skompromitowanych” rodziców, dzieci tych nie chcą też przyjmować na studia uniwersytety czeskie. W ten sposób pozbawia się możliwości zdobycia wiedzy, najwartościowszy element Zaolzia.

Sierpień 1968 nie od razu położył tamę poczynaniom polskich placówek. Broniły się jeszcze ponad rok.

Pierwsze „poinwazyjne” numery wydawał *Głos Ludu* dostawnie pod czołgami. Jeden z redaktorów wyglądał przez okno czy Rosjanie się nie zbliżają, a reszta składała numer. Po zajęciu drukarni wydawano gazetę na powielaczu. Gdy sytuacja się trochę unormowała kontynuowano normalną edycję. W tym go-

racym okresie dużo miejsca musiano poświęcać polemice z napaściami oficjalnej publicystyki PRL. Wtedy to telewizja katowicka uruchomiła specjalny program „Do przyjaciół w Ostrawie”; w tym programie ludności Zaolzia udzielano „dobrych rad”, tłumaczono, przekonywano, grożono. Z okazji śmierci Pawła Kubisza Wilhelm Szewczyk opublikował w *Życiu Literackim* (nr 36 z 1968) artykuł, zatytułowany „Po śmierci Pawła Kubisza”. Artykuł ten, będący czymś więcej niż biciem leżącego, był tym wstrętniejszy, że napisany przez kogoś, kto mienił się być „opiekunem literatury zaolziańskiej”. Wilhelm Szewczyk utrzymywał poprzednio żywy kontakt z Zaolziem, jeździł tam często na zaproszenie Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego, pisał (nie bezinteresownie) wstępy do wydawanych tam książek. W odpowiedzi na napaść Szewczyka przewodniczący „Grupy 63”, dr Janusz Gaudyn, wystosował do *Życia Literackiego* list otwarty, w którym bronił dobrego imienia śp. Kubisza i założonej przez niego grupy. Redaktor naczelny *Życia Literackiego*, Machejek, swoim zwyczajem listu tego nie zamieścił. List został opublikowany na Zaolziu, a Szewczyk nabawił się jakiegoś kompleksu Zaolzia i gdzie może publikacje Zaolzian utracą. W sprawie Kubisza o tyle się zmieniło na lepsze, że nazwisko jego nie jest już tabu, np. 12 maja br. w kalendarzu radiowym Polskie Radio poświęciło dłuższą notkę życiorysowi Kubisza z okazji 65-ej rocznicy jego urodzin (Kubisz urodził się 12 maja 1907). Notka była rzetelna i utrzymana w ciepłym tonie. Martwy Kubisz przestał być groźny, inaczej ma się sprawa z żywymi intelektualistami Zaolzia.

Z początkiem 1969 roku *Głos Ludu* rozpoczął cykl „Burzliwy rok 1968”, w którym to cyklu raz na miesiąc drukowano kalendarz wydarzeń ubiegłego roku. Ostatni z tego cyklu „Sierpień 1968” przypominał bez niedomówień wydarzenia sprzed roku. W kilka dni później cała redakcja została zwolniona z pracy. Miejsce redaktorów z prawdziwego zdarzenia zajęli politrucy.

O miesiąc dłużej utrzymała się stara redakcja organu PZKO *Zwrot*. Zmieniono też władze samej organizacji. Najwybitniejszy z żyjących poeta Zaolzia, Henryk Jasiczek, został zwolniony z funkcji Redaktora Naczelnego Polskiej Edycji wydawnictwa *Profil* w Ostrawie. Znalazł później pracę jako korektor w drukarni.

Henryk Jasiczek często drukował swoje poezje w prasie literackiej PRL, wydawane w Ostrawie tomiki jego wierszy były do nabycia w księgarniach na terenie całej Polski. Dzisiaj nie wolno w druku wymienić nawet jego nazwiska. Cenzura PRL stosuje się ściśle (na zasadzie wzajemnych usług) do „czarnej listy” dostarczonej przez władze bezpieczeństwa CSR. W tej dziedzinie nie zmienia się nic na lepsze. Zarówno Kazimierz Kaszper w *Życiu Literackim* (nr 26 z 1971) jak Bogusław Kunda w miesięczniku *Opole* (nr 2 z 1972) pisząc o literaturze Zaolzia nie tylko nie mogli artykułów swoich zilustrować próbką twórczości Jasiczka, ale nie mogli nawet omówić jego sylwetki.

W październiku 1971 roku Scena Polska Tesinskeho Divadla obchodziła 20-lecie swego istnienia, jej założyciel i długoletni kierownik, Władysław Niedoba, był na uroczystości już tylko gościem. Zwolniono go niemal w przeddzień jubileuszu...

Mimo tych wszystkich niekorzystnych zmian życie kulturalne Zaolzia nie zamarło. Pisma polskie mimo bardzo trudnej sytuacji, w jakiej się znajdują, starają się jednak bronić interesów ludności. Ludzie pióra, którym nie odebrano prawa publikacji, odeszli od współczesności. Zajmują się najczęściej historią regionu. Na podkreślenie zasługuje wydany w 1971 roku Album — Monografia Regionu „Płyniesz Olzo”.

Najwybitniejsi poeci prócz Henryka Jasiczka to: Władysław Sikora (były redaktor działu poetyckiego *Głosu Ludu* i autor paru tomików wierszy), Wilhelm Przeczek (też były redaktor *Głosu Ludu* i znany publicysta), Adolf Dostal, Tadeusz Wantuła, Danuta Siwkówna i Janusz Gaudyn (prezes „Grupy Literackiej 63”).

Najwybitniejsi prozaicy to Kazimierz Jaworski, Wiesław Adam Berger, Karol Piegza, Gustaw Przeczek i Maria Węglarza. Dwaj pierwsi drukują swoje utwory i na terenie PRL, ponadto opowiadania Bergera były dwukrotnie nagradzane na konkursach literackich w Polsce.

W sumie na Zaolziu pisze się dużo, drukuje znacznie mniej. Możliwości druku są bardzo ograniczone. *Głos Ludu* jest pismem ogólnoinformacyjnym i mało miejsca może poświęcić czystej literaturze. Organ PZKO miesięcznik *Zwrot* ma mały format i zawiera tylko 40 stron, toteż nie może wszystkich chętnych pomieścić. Jedyną szansą dla piszących jest „Kalendarz Śląski” — będący *sensu stricto* rocznikiem literackim: duży format, ponad 200 stron druku — tu mogliby się raz na rok pomieścić wszyscy, gdyby... nie czarna lista.

Wydawnictwo *Profil* w Ostrawie (na marginesie swej działalności edytorskiej) wydaje polskie książki, ale nie więcej jak dwa, trzy tytuły rocznie.

Natomiast krajowe wydawnictwa w PRL nie wykazują najmniejszego zainteresowania twórczością rodaków zza Olzy. Podobnie czasopisma literackie — do wyjątków należą wspomniane poprzednio artykuły Kaszpera i Kundy.

Co przyniesie ludziom pióra na Zaolziu przyszłość nie wiadomo, na razie pocieszają się aforyzmem z ostatniego wydania „Kalendarza Śląskiego”:

„Pchła także może wskoczyć na cokół, tylko że zazwyczaj długo na nim nie przebywa”.

I dodają mniej optymistycznie:

„Jeśli leżysz między młotem a kowadłem, nie krzycz, że jesteś kowalem własnego losu” („Kalendarz Śląski” 1972, Ostrawa — Rocznik XI).

Jan HUSSOWSKI

Polonia w ostatnich wyborach amerykańskich

Piękny start Polonii Amerykańskiej w wyborach w USA w 1972 roku, któremu początek dała kandydatura senatora Edmunda Muskie na urząd prezydenta USA, nie przyniósł nam oczekiwanych rezultatów. Czołowy do wiosny 1972 roku kandydat partii Demokratów a nasz rodak, E. Muskie, nie uzyskał przewagi w wyborach wstępnych i musiał wycofać swą kandydaturę. Straciliśmy też dwóch przedstawicieli polskiego pochodzenia w Kongresie St. Zjednoczonych oraz ponieśliśmy straty we władzach stanowych i lokalnych, gdzie sporo polonijnych kandydatów na stanowiska obieralne poniosło porażkę.

Pomówmy wpierrw o zwycięzcach. Do nowego Kongresu wybrano 8 kongresmanów polskiego pochodzenia (zamiast 10 jak dotychczas). Są to: w New Yorku Tadeusz J. Dulski (Demokrata), w stanie New Jersey — Henryk Helstowski (D), w stanie Michigan Lucien Nędzi (D) i Jan Dingiel (D), w stanie Illinois — Edward Derwiński (Republikanin), Dan Rostenkowski (D), i Jan Kluczyński (D) oraz ze stanu Wisconsin — Klemens Zabłocki (D). Wszyscy wymienieni wybrani zostali ponownie, natomiast przepadł dotychczasowy polonijny kongresman z Wisconsin, Alvin O’Koński, oraz z Chicago kongresman Roman Puciński, który obecnie ubiegał się o mandat senatora USA i nie zdobył większości głosów, mimo poparcia ze strony Polonii.

Polonia utraciła więc dwóch kongresmanów, ma ich obecnie 8-miu z czego jeden jest republikaninem a 7 demokratami. Polonia poniosła również straty w wyborach do władz lokalnych, spowodowane m.in. tym, że nie posiadała porozumień wyborczych z innymi grupami etnicznymi.

Zmieniająca się struktura ludnościowa wielu okręgów wyborczych odebrała szanse wyboru kandydatom, którzy polegali nadmiernie na poparciu ze strony jednej tylko, własnej, grupy etnicznej. Jest to lekcja dla wielu kandydatów polskiego pochodzenia, jak i dla całej Polonii, że potrzebne są porozumienia wyborcze z innymi grupami etnicznymi, jeśli chce się zapewnić zwycięstwo swoim kandydatom. Na porozumieniach wyborczych wyszły dobrze tym razem np. grupy etniczne z krajów Ameryki Łacińskiej. Próba zbliżenia grup etnicznych polskiej i żydowskiej, podjęta (dla innych celów) przez Kongres Polonii Amerykańskiej, nie dała żadnego efektu wyborczego, ponieważ niewiele jest okręgów wspólnego zamieszkiwania (różnice majątkowe m.in.).

Na niepowodzenie w wyborach 1972 roku, prócz trudności obiektywnych, złożyły się również własne niedociągnięcia, jak

np. ciągle jeszcze zbyt mały udział polskiej grupy etnicznej w życiu ogóln amerykańskim — gospodarczym, kulturalnym i administracyjnym — zjawisko pochodne od struktury życia polonijnego, które pod względem organizacyjnym tkwi jeszcze w epoce sprzed 50 i więcej lat; strzeże enklaw polonijnych, gdy inne narodowości szukają zbliżenia, na zasadzie wymiany własnych wkładów kulturowych, do społeczności amerykańskiej. Nie ten Polak przysłuży się w USA sprawie Polski i Polonii, który będzie ciągle domagał się dla nas uznania, lecz ten który zyska pozycję w życiu amerykańskim, zdobędzie autorytet w całym społeczeństwie amerykańskim i nie zapomni, że jest polskiego pochodzenia, a poprze to czynami.

Jest jeszcze jeden istotny problem polonijny w wyborach amerykańskich. Mianowicie jaką partię Polonia winna popierać — Demokratów czy Republikanów?

Z tradycji, Polonia popierała partię Demokratyczną. Tradycja utrzymała się, bo w 1972 roku w wyborach zwyciężył tylko jeden kongresman polonijny z partii republikańskiej i 7 z demokratycznej. Pisałem już w 1968 roku w *Kulturze* dlaczego Polonia popiera Demokratów. Jest to partia, która okazała biednym emigrantom więcej troski i dała im więcej prawnej i społecznej pomocy, aniżeli Republikanie z ich tradycjami izolacjonalistycznymi. Ale czasy się zmieniają. Dzisiaj demokratyczny kandydat na prezydenta, Mc Govern, jest raczej większym izolacjonistą niż republikanin Nixon. Zmieniła się również struktura socjalna i status ekonomiczny Polonii amerykańskiej. Kiedyś była to prawie sama biedota i sami niewykwalifikowani wyrobownicy, szukający oparcia u Demokratów a dziś nastąpiło już socjalne i ekonomiczne rozwarstwienie polskiej grupy etnicznej, upodabniającej ją do społeczności kraju zamieszkania.

Słusznie więc postawiona została przez prezesa Kongresu Polonii Amerykańskiej A. Mazewskiego teza — jak się wyraził — „że nie należy wszystkich jajek trzymać w jednym koszu”. Niewątpliwie, aby Polonia w USA mogła uzyskać należny jej wpływ na życie amerykańskie, powinna posiadać wpływowych przedstawicieli zarówno w partii demokratycznej, jak i w republikańskiej. Mazewski jest republikaninem. Gdyby — jako prezes KPA — chciał pójść za większością Polonii i poprze Demokratów, wyrządziłby sobie i Polonii niedźwiedzią przysługę. Straciłby u Republikanów swoją pozycję, która zaczyna nabierać znaczenia a niczego nie przyspożył Polonii u Demokratów. Republikanie zaczynają okazywać więcej zainteresowania dla potrzeb grup etnicznych, niż obecnie okazują Demokraci. Dobrze więc, że Polonia zdobywa sobie pozycję u Republikanów, jakiej dotąd nie miała. Amerykańska scena polityczna jest w ciągłym ruchu i Polonia nie może stać w miejscu.

Jednakże, w każdej działalności politycznej większe znaczenie przywiązuje się do realiów aniżeli do zamierzeń. Kierownictwo partii republikańskiej z pewnością darzy zaufaniem polonijnego

republikanina adwokata A. Mazewskiego, ale nie zapomina o wynikach głosowania w których Polonia wybrała 7 demokratycznych kongresmanów i jednego republikańskiego. W stanie Illinois przypadli w wyborach do władz stanowych i lokalnych bardzo wartościowi republikańscy reprezentanci Polonii, m.in. dlatego, że Polonia głosowała na listę demokratów. Przypadł też kandydat na senatora USA Roman Puciński, choć demokratą, pomimo pełnego dlań poparcia wyborców polonijnych. Zabrakło mu do zwycięstwa 1,1 miliona głosów, co świadczy, że głosami i poparciem jednej grupy etnicznej nie można dostać się do Senatu USA, co z gettowym podejściem polonijnym jest raczej nieosiągalne. Bo nie wybiera się, jak wielu mniema, polonijnego senatora tylko amerykańskiego (z polskim pochodzeniem).

Aby więc ambitny zamiar prez. A. Mazewskiego został zrealizowany i oceniony przez Republikanów, konieczne jest pozyskanie poparcia w masach polonijnych, poparcia *potwierzonego w maszynach do głosowania*.

Złudzenia a rzeczywistość

Kto obserwował przebieg ostatniego Sejmu Związku Narodowego Polskiego i obrady tegorocznej Konwencji Kongresu Polonii Amerykańskiej, ten mógł odnieść wrażenie, że Polonia amerykańska dokonała olbrzymiego odwrotu politycznego — od Demokratów ku Republikanom.

Na Sejmie ZNP prezesem ZNP wybrano jednogłośnie republikanina. To samo powtórzyło się na Konwencji KPA, gdzie najgorętsze oklaski zbierali politycy republikańscy z wiceprezydentem Agnew Spiro na czele. Gdzieś w szary kąt zeszedli demokratyczni przywódcy polonijni. Na Konwencji KPA w Detroit zjawił się tylko jeden polonijny kongresman-demokrata i to ten, który później przegrał wybory. Prasa polonijna już była „nawrócona” na nowy kierunek. Aż wreszcie nadszedł dzień wyborów i maszyny wyborcze zaczęły liczyć głosy. Skończyły się złudzenia, Polonia głosowała tradycyjnie na demokratów (i osobno na prez. Nixona).

Postaramy się rozwiązać tę zagadkę.

Na Sejmie ZNP 56 procent posłów (tj. głosujących) było tzw. sekretarzami finansowymi grup ZNP czyli pracownikami ZNP albo innymi płatnymi funkcjonariuszami Związku. Inaczej mówiąc, byli to pracownicy zatrudnieni przy zbieraniu składek ubezpieczeniowych, czyli inkasenci ZMP. Oni też wyznaczali w Grupach związkowych i w Gminach kto — prócz nich — ma zostać „wybrany” na posła na Sejm, z dotacją na wszystkie koszty podróży i pobytu. Skład takiego Sejmu ZNP jest wierną kopią Sejmu w PRL, jeśli idzie o sposób doboru posłów. Składa się z sekretarzy terenowych i z ich pupilków. Sekretarze finansowi

zależą od centrali, więc nie będą głosować na przekór prezesowi, dyrekcji i sugestiom prasy związkowej.

Konwencja Kongresu Polonii Amerykańskiej — to znów druga wierna kopia Sejmu w PRL, gdzie — dla oka — jest dużo partii, ale tylko jednej trzeba się słuchać. Do KPA należy sporo organizacji, na papierze, ale tylko jedna, ZNP, rządzi, bo sama prawie łoży na utrzymanie KPA. Ponieważ jednak w KPA (w odróżnieniu od ZNP) kadra funkcjonariuszy płatnych jest bardzo szczupła, więc uzupełniono ją *indywidualnymi* zgłoszeniami na „delegatów” na Konwencję KPA. Każdy, kto zapłacił parę dolarów składki na KPA (albo za którego składkę zapłacono) mógł jechać na Konwencję KPA z prawem głosowania i decydowania „w imieniu milionowej Polonii” (!!). W ten sposób np. z Chicago wyekspediowano do Detroit na Konwencję KPA aż 150 „delegatów” z których więcej niż połowa nikogo, prócz siebie samego, nie reprezentowała. Podobnie było z „delegatami” z New Yorku, z Filadelfii, z Detroit itd.

Przejdźmy teraz do konkluzji.

Słuszną i pożyteczną jest inicjatywa, aby Polonia amerykańska rozwarstwiła się politycznie i umocniła swoje wpływy w obu wielkich partiach amerykańskich. Trzeba jednak pracę rozpocząć *od dołów* polonijnych, a nie od góry, nie od urzędników, których pozyskać najłatwiej, lecz bez korzyści w dniu wyborów. Trzeba tkwić mocno w życiu amerykańskim, aby dobrze sprawie polskiej służyć.

Edward PUACZ

Fundatorzy POSK'u

Polski Ośrodek Społeczno-Kulturalny został powołany do życia przeszło osiem lat temu wołą paru organizacji społecznych i skromnym gronem ludzi. Na początku była wizja i marzenia, gdyż przeciw POSK'owi było prawie wszystko: brak zaufania po smutnych doświadczeniach gospodarką groszem publicznym; pustostowie uchwał i rezolucji, które poza demonstracją nie służyły nikomu i niczemu; zniechęcenie do zbiorowego czynu z uwagi na brak odpowiedniego kierownictwa i rozbitcie, spowodowane ambicjami czynników kierowniczych, zniechęcenie po napięciu w okresie wojennym ujawniające się coraz pełniej, wreszcie chęć ułożenia własnego życia zarówno od strony ekonomicznej jak i rodzinnej.

Obok tych przeciwności rosły nawyki i przyzwyczajenia. Społeczeństwo polskie na emigracji nawykło do nieponoszenia świadczeń na cele nieprzynoszące doraźnych korzyści osobistych. Przyzwyczajeniem stał się lokalny patriotyzm, płynący z przynależności do jednej z tradycyjnych, zwyczajowych lub religijnych, względnie towarzyskich organizacji.

Na tym podglebiu wyrosła wizja Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego. Determinacja i upór pionierów POSK'u zaczęły robić swoje. Świadczy o tym najlepiej poniższe sprawozdanie (Pierwsza lista Fundatorów ogłoszona była w numerze 3/294 *Kultury* w marcu 1972 r.).

Ale to wszystko ciągle nie wystarczy. Budowę POSK'u trzeba doprowadzić do końca. Fundatorów jest obecnie zaledwie 233, a powinno ich być co najmniej 1000. I to w niedługim czasie.

	£.stg.		£.stg.
113. H. Badowski	250.00	139. Janina i Izidor Haładej	250.00
114. S. Pilarczyk	280.00	140. Olgierd Eminowicz ..	250.00
115. Zygmunt i Xenia Gąsiorowscy, St. Zj. Winc.	250.00	141. S. P. K. Koło Ealing	250.00
116. Grupa Pracowników Polskiej Sekcji B.B.C. ..	250.00	142. Koło Stowarzyszenia Lotników Polskich w Nottingham	250.00
117. Polski Klub Parafialny w Bradford	250.00	143. Dr Witold Czerwiński	250.00
118. Koło Lwowian	250.00	144. Wanda Chmielewska .	250.00
119. J. Eks. Ks. Bp. Władysław Rubin	250.00	145. Jan Gurawski	250.00
120. Alfred i Christa Tytko	250.00	146. N. N.	250.00
121. Z. A. S. P.	250.00	147. Koło Pań — Gmina Polska Zach. Londynu	250.00
122. Teatr „Syrena”	250.00	148. S. Stachelski, Poł. Afr.	250.00
123. Związek S. M. O. Dla uczczenia zmarłych : Komendantki, Kadry i Koleżanek	250.00	149. Józef Narożański	250.00
124. Zrzeszenie Nauczycielstwa Polskiego Zagr.	250.00	150. Drs. Danuta i Tomasz Gołąb, St. Zj., Ind. ...	250.00
125. Józef Francyszyn ..	250.00	151. Koło Polskie w Manchester	250.00
126. Zofia i Zbigniew Ubysz	250.00	152. M. Nawarecki	250.00
127. Rosli J. Grzesik	250.00	153. Teodor Farbisz, Szwecja	250.00
128. N. N.	250.00	154. Śp. Aleksander Marian Romiszowski ..	250.00
129. Koło S. P. K. No. 274 w Peterborough ...	250.00	155. Adela Maria i Władysław Zeleny, Francja	250.00
130. Józef i Olga Hołowacz	250.00	156. N. N.	250.00
131. Ludmiła i Beno Koller	250.00	157. P. O. K. Wimbledon	250.00
132. N. N.	250.00	158. S. P. K. Koło Nr 106 „Żandarm”	250.00
133. Anna i Jan Rawicz-Radomyscy	250.00	159. N. N.	250.00
134. Maria i Jerzy Donat, Jaś i Małgosia Olszewscy, Niemcy Zachodnie	250.00	160. Józef Firek	250.00
135. Stowarzyszenie Lotników Polskich w W Brytanii	250.00	161. S. P. K. Koło Nr 25	250.00
136. Z. i A. Kalinkiewicz	250.00	162. Klub Polski w Slough	250.00
137. Tadeusz Zawisza Grzeszczyński	250.00	163. Koło byłych Żołnierzy 3. Karp. Pułku Artylerii P-lot i Sekcji Art. P-lot.	250.00
138. Szczepan i Halina Zimmerowie, St. Zj. Calif.	250.00	164. A. Z. Łubkowscy ..	250.00
		165. Mieczysław Brodziński	250.00
		166. S. P. K. Koło Nr 105 Glasgow	250.00

	£.stg.		£.stg.
167. W. Czereśniewski, Niemcy Zachodnie ..	250.00	192. Bogusława i Mieczysław Kosiewicz	250.00
168. Wacława i Józef Piowar	250.00	193. Śp. Gen. Leopold Okulicki — ufundowany darowizną Emerytów : Dar 28 — £ 100.01, Dar 122 — £ 10.00 Dar 298 — £ 160.00	270.01
169. Two Społeczno-Oświatowe Domu Polskiego im. Gen. Wł. Sikorskiego	250.00	194. Artur i Danuta Łozińscy	250.00
170. Zofia Szagonowa	250.00	195. p. Prez. R.P. Dr Stanisław Ostrowski	250.00
171. Fundacja Domu Pisarza w Londynie	500.00	196. Dr Joseph & Gwen Witek, St. Zjedn.	250.00
172. Stefan Zamoyski	250.00	197. J. Szkudłapski	250.00
173. Janusz Kazimierz Woyno	250.00	198. Śp. Stanisław Misiakowski	500.00
174. N. N. Za pośrednictwem Koła SPK Nr 106 „Żandarm”	250.00	199. Jan Strzembosz, Poł. Afryka	250.00
175. Mgr Mateusz Bronisław Grabowski	1000.00	200. M. A. O.	250.00
176. Ks. Franciszek Gabryl	250.00	201. Związek b. Jeńców z Niewoli Niemiec	250.00
177. Jadwiga i Stanisław Kosiecy	250.00	202. H. Z. Ł.	250.00
178. R. Rajpold	250.00	203. Wacław Hilary Bniński, St. Zjedn.	250.00
179. S. P. K. Koło Nr 181 Manchester	250.00	204. Jan Krupa	250.00
180. Polska Parafia Reading Rada Parafialna	250.00	205. Aleksander i Ryszard Saper	250.00
181. Dr George Geller, Szwajcaria	250.00	206. Józef Wierzbicki	250.00
182. Andrzej i Maria Wasung	250.00	207. Ludwik Dembiński ..	264.91
183. Kornel Krzeczunowicz ufundował Syn Andrzej	250.00	208. Stanisław Łuczycy-Wyhowski	250.00
184. Anna i Kazimierz Sabatowie	250.00	209. Tadeusz Świstak	250.00
185. Redakcja <i>Kultury</i> w Paryżu, Institut Littéraire, Francja	250.00	210. Antoni Bieniewski, Niemcy Zach.	250.00
186. F. A. R. Tyczyńscy .	250.00	211. Śp. E. K. Rzymowski, Spadek	750.00
187. Henryka i Piotr Kozłowsy, Malta	250.00	212. Niezależne Koło SPK, Chicago, St. Zjedn.	250.00
188. Związek Filatelistów Polskich w W. Bryt.	250.00	213. Koło 22 Pułku Piechoty Ziemi Siedleckiej	250.00
189. Halina i Włodzimierz Wirt	250.00	214. Koło S.P.K. Nr 28 ..	250.00
190. Józef Lewandowski ..	250.00	215. Werner Amberg	250.00
191. Zarząd S. P. K. Wielka Brytania	250.00	216. J. T. Herman	250.00
		217. Śp. Eugeniusz Łazarz	500.00
		218. Irena i Wojciech Kubiak	250.00
		219. Polski Ośrodek Katolicki Willesden Green ..	250.00

	£.stg.		£.stg.
220. Śp. Czesław Mikucki, ufundowany przez pp. Wiktorię (z Mikuckich) i Antoniego Krzyżkowskich, St. Zj.	250.00	226. Dr Stanisław i Helena Michna	250.00
221. Florian i Zofia Śmieja, Kanada	250.00	227. Konwent Polonia, Londyn	250.00
222. Z. i J. Grablewscy .	250.00	228. S. J. Stankiewicz	350.00
223. S. P. K. Koło 36 ..	250.00	229. S.P.K. Koło 123	250.00
224. Dr Mieczysław Sangowicz, Kanada	250.00	230. Dorota i Feliks Mantel, Paryż	250.00
225. Stanisława i śp. Romuald Fryzycy	250.00	231. Dr Imisław i Eugenia Rozbiczcy	250.00
		232. Ognisko Polskie w Turynie, Italia	250.00
		233. Henryk i Irena de Lapierre	250.00

A N A L I Z A

zadeklarowanych sum i dokonanych wpłat na budowę Polskiego Ośrodka Społeczno-Kulturalnego w Londynie w okresie od 1 października 1971 do 30 listopada 1972.

A. 1) 233 „Fundatorów POSK” zadeklarowało	£ 68960.00
2) Dary	6033.15
3) Dodatkowe prawa głosu	4620.00

Razem:

Co odpowiada 318 deklaracjom nominalnej kwoty „Fundatora” £ 250.00

4) Wpisowe członkowskie	7630.00
-------------------------------	---------

Ogółem zadeklarowano:

Z czego do kasy POSK wpłacono ogółem:

B) Podział społeczny:	Fundatorzy POSK		Dary	
	Ilość	jedn. à £ 250	ilość	jedn. à £ 250
Osoby indywidualne i inne ..	147	156	375	—
Organizacje społeczne	23	32	25	—
Przedsiębiorstwa	19	19	5	—
Koła S.P.K.	13	13	18	—
Wojskowe Organizacje	11	28	10	—
Polskie Ośrodki Katolickie .	7	7	7	—
Czołowi działacze na emigracji	6	9	—	—
Spadki i zapisy	5	10	—	—
Księża	2	2	10	—
Razem:	233	276	450	42

C) Podział Krajami:	Fundatorzy POSK		Dary	
	Ilość	jedn. à £ 250	Ilość	jedn. à £ 250
Wielka Brytania	209	249	373	
Stany Zjednoczone	9	9	33	
Kanada	2	2	16	
Australia	—	—	6	
Afryka Południowa	2	2	3	
Szwajcaria	2	5	2	
Niemcy Zachodnie	2	2	2	
Francja	3	3	2	
Włochy	2	2	1	
Malta	1	1	—	
Szwecja	1	1	2	
Belgia	—	—	4	
Norwegia	—	—	2	
Brazylia	—	—	1	
Zambia	—	—	1	
Dania	—	—	1	
Iran	—	—	1	
Razem:		276	450	42

**SPROSTOWANIA DO WYKAZU FUNDATORÓW P.O.S.K.-u
ZAMIESZCZONEGO W NUMERZE 3/294 KULTURY (MARZEC 1972)**

- poz. 1 — M. Chmielewski — zamiast £ 250, winno być £ 450.
 poz. 71 — S. Myron-Pietsch — zamiast sumy £ 250, winno być £ 500.
 poz. 78 — N. N. — £ 250 — winno być — F. W. Szykowie — £ 300.
 poz. 79 — zamiast Polski Związek Oficerów Marynarki Handlowej w Londynie £ 1.300 — winno być Fundusz Polskiej Marynarki Handlowej w Londynie £ 1.300.

Fundatorzy POSK		Dary	
Ilość	jedn. à £ 250	Ilość	jedn. à £ 250
Wielka Brytania	209	373	
Stany Zjednoczone	9	33	
Kanada	2	16	
Australia	—	6	
Afryka Południowa	2	3	
Szwajcaria	2	2	
Niemcy Zachodnie	2	2	
Francja	3	2	
Włochy	2	1	
Malta	1	—	
Szwecja	1	2	
Belgia	—	4	
Norwegia	—	2	
Brazylia	—	1	
Zambia	—	1	
Dania	—	1	
Iran	—	1	
Razem:		450	42

Kronika kulturalna

Konieczność i łaska

„Napisz do czego służy nam malarstwo” takie wezwanie otrzymałem z Polski wraz z esejem Stefana Kisielewskiego „Do czego służy nam muzyka”¹.

Pierwszym moim odruchem było odpowiedzieć mottem tegoż eseju „Wiem że nic nie wiem”, ale przypomniałem sobie, że w moich niezliczonych kajetach są całe hałdy rozważań na ten temat.

Ostatecznie nie potrafiłem się obronić przed próbą sformułowania chociażby mego, *jako malarza*, spojrzenia na tę sprawę, zastępując jednak słowo „nam” (Polsce, społeczeństwu, ludzkości?) słowem „mnie”, to znaczy skrajnie zwięzając problem do siebie, i dopiero potem próbując mój wątek myśli rozszerzyć.

Nie o socjologię malarstwa chodzić mi będzie, nie stać mnie na pisanie o malarstwie z tego punktu widzenia, tu chodzi najprościej o fragmenty odpowiedzi na zapytania, tak przecie we mnie jasne, a które sformułować tak trudno.

Wspominam zdanie Goethego w rozmowach z Eckermannem, które czytałem przed stu laty w skróconym chyba wydaniu niemieckim; jeszcze dziś zdaje mi się brzmieć w uszach: „Nie naszą rzeczą jest rozwiązywać problemy, ale je stawiać” (*aber die Probleme wohl zu stellen*).

Problem

Otóż i tu nie będzie mowy o rozwiązywaniu problemu, ale o zastanowieniu się nad nim, oraz o parę uwag, przykładów, doświadczeń z dziedziny malarstwa i *w ogóle sztuki*, bo na razie

1. „Forum Musicum” — socjologia muzyki, Polskie Wyd. Muzyczne Nr 11, Kraków, 1972.

uderzają mnie nie różnice, ale to co zbieżne równie dla malarstwa jak dla muzyki i dla poezji.

A więc pierwsze: do czego *mnie* służy malarstwo, dlaczego *muszę* utrwalić jakieś przeżycie, szok doznany, patrząc na przykład na ulicy na fioletowe łydki tłustej kobiety, czy w kościele na banalnego mężczyznę w szarozielonej deszczówce i z niebieskim „blikiem” na różowej gładkiej łysinie.

Wizja? Boję się nadużycia szumnych słów, nie mam jednak czym tego słowa zastąpić. Chodzi o to, że zwykle patrzę na świat jak na mapę geograficzną, wszystko równie ważne, prędzej wszystko równie nieważne, i naraz widzę taką czy inną kombinację form i barw, poprzez które nagle odkrywam skrawek świata otaczającego, więc przedmiot najobojętniejszy: łydki fioletowe, płaszcz czerwony, brudną chustkę na stole, niebieską szmatę do wycierania farb, która ma załomy i odcienie równie urzekające jak załomy i odcienie śnieżnych gór, czy nagle *tak samo*, jakby przez przypadek, człowieka, który istnieć dla mnie zaczyna jakby całą swą istotą, poprzez zauważoną zmarszczkę, asymetrię twarzy czy kolor krawata.

Chciałbym podkreślić, że mojego podejścia do malarstwa — przeważnie od przeżycia, szoku jakby wypadkowego i wyłącznie malarskiego, a nie takiego czy innego z góry zaprojektowanego czy wymarzonego tematu — nie uważam przecie za wzór uogólniający, był on chyba dominujący u malarzy mojej generacji, o podobnej genealogii malarskiej, dla której dosłownie straszakiem była „literatura”.

Zaczynając jednak pisać *od siebie* opisuję co sam doznaję i co wskutek tego mogę bez żadnej przymieszki imaginacyjnej stwierdzić. Czy takie widzenie stwarza koniecznie ten mus utrwalenia przeżycia? Hoffmannsthal w „Liście lorda Chandos” jest zdania wręcz odwrotnego. Niezależnie jak to widzenie nazwać, pewny jestem, że jest ono całkiem *inne* niż zwykłe i napełnione *inną* treścią. W tym pierwszym doznaniu nawet nie ma cienia myśli czy i komu może to poza mną do czegoś służyć. Sztuka dla ludzi? Ależ naturalnie, lecz to nie moja rzecz — *moja rzecz*, wyrażenie, utrwalenie doznania. Ale do czego ono służy? Myśląc o tym wypadkowo trafiam na tekst Mandelsztama w wyborze prozy tego poety, przełożonej i opatrzonej związłymi i treściwymi komentarzami Ryszarda Przybylskiego.

„... A zbyt często zapominamy, że poeta każde zjawisko podnosi do dziesiątej potęgi. Często niepozorna skorupa przesłania nam ukrytą głębiej cielesną realność dzieła. Tą realnością jest

w poezji słowo jako takie”². Otóż w malarstwie tą realnością jest plama barwna, która w obrazie buduje formę (Cézanne), czy wprost nadaje tej formie pełnię wyrazu.

*Ens realissimum*³

Zdaje mi się, że to wzmożenie, to potworne zagęszczenie przeżycia wobec nawet (czy właśnie) najobojętniejszego, najbanalniejszego zjawiska, to odkrycie, że ono JEST — więcej — że malarz odkrywa je jak jakieś „*ens realissimum*” — to jest właśnie istotą malarstwa i jego sensem. W muzyce, w poezji, dział się musi to samo, tylko w innej materii wyrażone. Próba przekazu takich przeżyć jest właśnie aktem sztuki. Ile razy sam artysta broni się przed tą próbą, odkłada, ucieka, bo to za wielki wysiłek, bo dla niego samego ta konieczność, ten mus wewnętrzny przekazu niezawsze jest jasny, „ach przecie to głupstwo, mówi sobie, ta moja konieczność ten szept we mnie za cichy, to złudzenie, a do tego przecie nie może poza mną nikogo obchodzić”.

Nierozumienie wagi decydującej tego szoku, tego szeptu, nawet niewiedza, że coś takiego istnieje, to źródło pomyłek nagminne, tylu podglądaczy i podsłuchiwczy, którzy ten jedyny powód lekceważąc oceniają pracę artysty czy według poziomu jego umiejętności, wypowiedzi takiej czy innej już przyjętej konwencji, czy jeszcze według mniejszej czy większej w danej chwili „akustyczności” jego prac. *Ilu* ludzi tę sztukę widzi i przyjmuje, albo *ilu* ta sztuka oburza i gorszy, jakby ta ilość pozytywna czy negatywna mogła być sprawdzianem!

„Kto do paru mówi, do wszystkich mówi” — pisze gdzieś Norwid. Aby trafić do człowieka zdolnego obraz przeżyć jest *jedna* droga: *aller au fond de ses sensations* (Proust) — iść w głąb swych doznań.

Współczesność

Sztuka robiona od pierwszej chwili z myślą o ludziach i to jeszcze o ludziach współczesnych, o człowieku współczesnym?

2. Tu chciałbym skorygować tłumaczenie, bo brzmi ono silniej po rosyjsku: „przesłania” po rosyjsku „obmanywajet” — co znaczy dosłownie „oszukuje”, „stwarza złudzenie”, a „głębiej cielesną realność” to najprościej po rosyjsku „czudowisznaja upłotnionnost”, więc „potworne zagęszczenie realności”.

3. Ten termin filozoficzny stosuje tu metaforycznie.

Ależ to już ucieczka przed sobą, przed wolą prawdy w sobie. Ja nie wiem co to jest człowiek współczesny i kto wie? Thibaudet pisał przed laty, chyba w jednym z artykułów które drukował przed wojną w *Nouvelle Revue Française*, że w latach trzydziestych ubiegłego wieku pewien krytyk napisał o tej epoce książkę pod tytułem „Epoka bez imienia”, bo te 10 lat miały w sobie tyle rozbieżnych tendencji i prądów, że nazwać jej nie umiał. Dziś w każdym podręczniku literatury czytamy, że była to epoka romantyczna.

Nie wiedząc czym jest człowiek współczesny, wiem czym jest człowiek wieczny, którego oblicze przeziernie w sztuce. Dlaczego rzeźba egipska daje mi coś więcej jak zachwyt, dlaczego rysunek konika w grocie sprzed piętnastu tysięcy lat jest mi równie bliski jak najlepszy rysunek z ostatniej epoki Dégasa.

Pamiętam dziwne wrażenie, pewnik przeżyty przed laty w Mellon Gallery w Waszyngtonie: urzeczony jednocześnie obrazami małego formatu z włoskiego Quattrocento, Greco, Cézannem, Dégasem i jeszcze innymi, zrozumiałem że ich wszystkich, tych z każdej epoki najlepszych, mógłbym razem zaprosić na herbatę. Piliby ją w zgodzie i z przyjemnością rozmawiali jak *sobie współcześni*. Już nawet Ingresa zaprosić by się nie dało, zepsułby wszystko. Przecie to, co by ich łączyło, to co jest poza czasem czy ponad czasem, to *coś* znaczy!

Więc może tu dochodzimy do sedna problemu.

Nowe wątpliwości

Gdzie, w czym tkwi samo przeżycie artystyczne? Czarny pies uciekający ze strzępem czerwonego mięsiwa w pysku — w obrazie Snydersa (Grenoble) — był dla mnie wstrząsem w 1935 roku, który na nowo przeżyłem dosłownie 30 lat później w 1965 i to z zadziwiającą świeżością pamięci. Czy los tego psa tak mnie obchodził? Nie. A więc wszystko to, może chwalbą jedynie działania czystych form i barw od wszelkich treści oderwanych? Również nie. Poliakov, czysty z czystych abstrakcjonista, studiował jakoby rozkłady brył i kolorów wczesnych mistrzów włoskich, naśladowując ich zestawienia i harmonie.

Dlaczego ten malarz dając również przeżycia, ale jakby czysto estetyczne, nigdy nie dociera, jak mi się zdaje, do tego dzikiego zgęszczenia, które osiąga sztuka zwana figuratywną, a ta figuracja

to i „Syn marnotrawny” Rembrandta i kilka białych skrzynek i kubeczków Morandiego. (Samo zestawienie Rembrandta z Morandim należałoby pogłębić. Może do tego wróce).

„Potworne zgęszczenie”

Więc malarstwo i sztuka w ogóle służą już nie mnie tylko, ale *nam* jako język zgęszczonego przekazu przeżyć, które zwykle w nas giną nie doprowadzone do żadnej pełni, do przeżyć, których zresztą nie można oceniać jako koniecznie uszlachetniających czy łagodzących obyczaj. Kisielewski na przykładach muzyki, polemizując z Waldorffem, wspomina łyżę Hitlera w Bayreucie.

Bohater „Kreutzerowskiej Sonaty” Tołstoja gromi muzykę, bo działa deprawująco i żąda, by ją państwo trzymało pod kluczem. Grecja bała się muzyki nie mniej od bohatera Tołstojowskiej noweli.

„W świecie starożytnym muzyka była żywiołem niszczycielskim (cytuje z Mandelsztama), Hellenowie bali się fletu i skali frygijskiej. Uważali że jest ona niebezpieczna i uwodzicielska i każdą nową strunę gitary Terpander musiał wywalczać z wielkim trudem”⁴. Strach przed muzyką, bardziej niż przed poezją i malarstwem, świadczy chyba tylko, że muzyka działa najsilniej na żywioły w człowieku.

Sam od lat odeszłem od muzyki, a przecie nagle usłyszany strzęp, ale już tylko dawnej muzyki od Vivaldiego, Bacha, Schumann, Chopina aż po Skriabina — nie dalej, daje mi takie przeżycia, że wobec nich nawet działanie malarstwa, którym żyję, nagle mi blednie. Cóż to są te doznania tajemnicze, tak różnorodne w skali działania, w materii klarownej czy ciemnej? Skąd, dlaczego rytm wiersza, urywek wiatku, wpływający z pamięci... „Myślałem ja, że lira i że styl choć fala je nosi jak łabędzia...” dać może szok nie mniejszy niż muzyka czy malarstwo, co znaczą te przekazy przeżyć które, nas samych przerastając, oświecają. Norwid wierzył, że wieszcz, który „dotyka kluczem u zenitu, skąd aura płynie letsza...”, ale tu natychmiast urywam, gdyż ton mojego artykułu musiałby się zmienić, gdybym chciał pisać tylko o szczytach, Rembrandcie, Bachu, Norwidzie. Ale i tu *nie ma* wyraźnego przedziału między nikłym ale autentycznym wyrazem sztuki nieznanego artysty, a tymi górami i skałami przeogromnymi.

4. Mandelsztam: „Puszkini i Skriabin”, tłum. Ryszarda Przybylskiego.

Konieczność i taska

Schodzę więc na grunt dnia powszedniego. Wracam do tych sekund szoku, wizji, konieczności, których zaniedbanie, zagłuszenie w sobie poprzez dnie „które robią szmaty z nas”, autentyczny artysta czuje jako grzech. Ten mus — wyrazić doznanie dla siebie samego niejasne — może dziś bardziej niż kiedykolwiek przybrać milion różnych form. Nieustanne zmiany rytmów, tempa życia, zmiany materiału, którym artysta operuje, przy zawrotności do tego narastającej ilości technik do wykorzystania — wszystko to gra i znaczy. Jądem jednak pozostanie wiecznie jedno: gatunek, waga samego przeżycia oraz przezroczystość jego wyrażenia, dotarcie samego artysty do jego istoty którą w swym dziele wyraża i przekazuje.

Sztuka (zatem i malarstwo), sztuka która była potrzebą człowieka od grot przedhistorycznych do naszych czasów, czym będzie po epoce kiedy artysta (współczesny?) wystawia w próbkach własną urynę na wielkiej wystawie w Grand Palais w Paryżu tego lata, lub inny artysta już dziś sławny wystawia i „sprzedaje jak bułeczki” w znanej paryskiej galerii tej jesieni śmiecie i odpadki zebrane w hermetycznych słojach — któż może wiedzieć; żadne „racjonalne planowanie nowego modelu kultury na 20 lat naprzód” nie wskaże nam tego. Czy pójdzie sztuka drogami, którym w muzyce wychodzi naprzeciw Panderecki „wybierając sobie — jak pisze Kisielewski — koncepcję estetyczną, może nieczystą i niemuzyczną, może hipotetyczną i pomocniczą czy oboczną, lecz mającą zaletę, że zawiera przymierze z życiem, sprzyja czynowi i życiu?”. Wtedy odpowiedź na zapytanie do czego służy muzyka, malarstwo, poezja — otrzymujemy jasną.

A może odwrotnie? Stanie się ona coraz bardziej lakoniczna, aluzyjna, tajna, sztuka dla garstki wtajemniczonych? Może drogą do autentycznej, religijnej kontemplacji? Wtedy również mamy odpowiedź czemu NAM służy sztuka. Tyle, że będzie ona bliższa katakumb i klasztorów. „Przecież klasztor to doznanie i osiągnięcie (znowu cytuję Kisielewskiego), będące własnością oraz dorobkiem całej ludzkości, choć bezpośrednio przeżyte tylko przez niektórych”.

Tak czy inaczej malarstwo i inne sztuki służyły nam zawsze od czasów zamierzchłych, i służyć nam dalej będą, jako spotęgowanie świadomości życia i świadectwo intymnej prawdy człowieka.

Józef CZAPSKI

Śmierć wygnańca

15 listopada tego roku umarł na tułaczce w Berlinie Zachodnim poeta polski Arnold Słucki. Urodził się 15 kwietnia 1920 roku w Tyszowicach na Chełmszczyźnie. Był Żydem polskim, łaknącym i pragnącym sprawiedliwości dla człowieka na ziemi, dla Polaka i dla Żyda, i stąd brały się zawiłości jego drogi na ziemi, jego prawowanie się i z Polakami, i z Żydami; pokoju do końca nie zaznał, możliwość jego osiągnięcia odebrano mu przemocą, gwałtem zadany z zewnątrz; sam wobec siebie także był gwałtownikiem i stąd jego niepokój twórczy.

Znał hebrajski i aramejski. Przypominam sobie z wczesnych lat sześćdziesiątych pewną rozmowę, toczoną w jego mieszkaniu na Krakowskim Przedmieściu. Chodziło o Osiem Błogosławieństw, ściślej: o sens jednego z nich. Jednoznaczna interpretacja, mówił, jest niemożliwa, ponieważ tekst aramejski jest dwuznaczny; napisano bowiem: żebracy ducha. A więc dopuszczalne jest, żeby to wyklądać: żebrzący o ducha; ale i dopuszczalne jest zarazem, żeby to wyklądać: ubodzy duchem. A może, dodał, są to tacy ubodzy duchem, którzy wiedzą, że o ducha należy żebrać. I tak wiódł rzecz ku temu, abym się z nim zgodził, że miejsca ciemne dobrze jest ciemnymi pozostawić, może dlatego, żeby budziły niepokój.

Rodzina, w której wzrósł, była bardzo biedna i bardzo ortodoksyjna. Chodził do szkół żydowskich, kształcił się na nauczyciela, przed wojną nawiązał łączność z komunistyczną organizacją młodzieżową: przeskok od jednej ortodoksji do drugiej, skrajnie przeciwnej, bywa przy zapalczowości uczuć naturalniejszy, niż się z pozoru wydaje. Wojna przegania go po Związku Sowieckim: jest nauczycielem na Ukrainie, w Rosji, w Uzbekistanie. Wraca do Polski jako propagandysta I. Armii Berlinga, potem pracuje w prasie codziennej, później kończy studia filozoficzne, w latach pięćdziesiątych i aż do likwidacji pisma w roku 1963 pozostaje członkiem zespołu redakcyjnego w *Przeglądzie Kulturalnym*. Żyje dwoma obsesjami jednocześnie: przeświadczeniem o unikalnej czystości doktryny komunistycznej oraz dążeniem do czystości wyrazu poetyckiego; przeświadczenie z czasem mu się zamąciło, dążenie się wzmogło i jęło owocować po trudnym okresie rozwoju. W roku 1966 zwraca — w związku z wydalaniem z partii Leszka Kołakowskiego — legitymację partyjną: partia jest niesprawiedliwa. Nieco wcześniej jeszcze poezja jego rozpoczyna śmiały lot: w poezji można dać wyraz sprawiedliwości, choćby nawet jej przedmiot był ciemny.

Rozwój poetycki Słuckiego jest jakby odwróceniem stereotypu, jaki w tej materii nie wiedzieć z jakich racji, a za sprawą

zramolałych filologów, zagnieździł się w powszechnej świadomości. Śluki nie przeżył młodzieńczej erupcji poetyckiej, nie zachłysnął się własnym śpiewem w wieku dojrzwania. Dopiero wiek dojrzały ukazał miarę jego możliwości. Materiał poetycki gromadził się w nim latami; zrazu twórczość jego — odpryski tego gromadzonego materiału — nie pozwalała przewidywać późniejszej pełni. Zapewne, istniał moment wyzwalający; była nim podróż na Bliski Wschód, kiedy zwiedził Ziemię Świętą i Grecję, która mu się też objawiła jako święta ziemia. Wówczas to zaczęły powstawać jeden po drugim wiersze, całe ich cykle, gdzie motywy judajskie i hellenckie, pogańskie i chrześcijańskie łączyły się w harmonijną — czy może raczej: dramatyczną i aż tragiczną — całość. Świadomie czy nieświadomie poeta odwrócił się od polityki w swojej twórczości i sensu przeznaczeń ludzkich jął szukać nie w przypadłościach politycznych, lecz w syntetycznym nawarstwianiu się złóż kultury: takie właśnie rozumienie historii, może norwidowskie nieco (a tłumaczył w tym czasie Chlebnikowa), przekładał na polszczyznę wzbogaconą o zaśpiew zmieszanego i zespolonego antyku, ukazywanego we współcześnie ujrzanym krajobrazie. Są w późnych wierszach Ślucckiego tonacje, polszczyźnie poetyckiej dotąd nieznanne.

I właśnie wtedy, kiedy szukając tropów sprawiedliwości w obszarach życia duchowego, odwrócił się był od polityki, polityka (jeśli jest rzeczą stosowną politykę antropomorfizować) jakby dla zemsty ugodziła go śmiertelnie. Nastąpił rok 1968-my. Zarządzony i brutalnie manipulowany w Polsce antysemityzm sprawił, że Arnold Śluki wyjechał z kraju, skazany na banicję za pochodzenie i brak pokory. Nie miał zamiaru tego uczynić, mówił o tym, że z takim zamiarem na przekór wszystkiemu się nie nosi, aż nastąpiła chwila, gdy prowokator policyjny do tego go zmusił. A nadto wydarzenia potoczyły się tak, że tej samej nocy, kiedy pociąg z dworca Gdańskiego w Warszawie przekraczał granicę Czechosłowacji, tę samą granicę przekraczały czołgi sowieckie i, cóż, tak je trzeba określić, polskie. Za opuszczającym kraj poetą piętrzyła się fala niesprawiedliwości.

Z Wiednia Ślucy wyjechali do Izraela, następnie przez Paryż i Amsterdam do Bonn. Tam następuje recydywa choroby płucnej. Pobyt w sanatoriach i szpitalach, przeprowadzka do Berlina, w Berlinie zawał serca. Udało się jeszcze ten zawał serca wyleczyć; ale w miesiąc po zwolnieniu chorego ze szpitala Berlin nawiedza orkan o niebywałej od dziesiątków lat sile. Śluki przeżywa tę nawałnicę: umiera w dniu, kiedy wiatr już ustał. Zasnął popołudniu, aby się już nie obudzić; obok niego leżała książka, na książce okulary.

W czasie swej tułaczki pisał dużo. Kiedy go z początkiem lata odwiedziłem w Bad Godesberg, pokazał mi pękata teczkę nowych wierszy, czytał ze dwie godziny. Były to chyba najlepsze wiersze, jakie w życiu napisał; dotąd pozostają w maszynopisie.

Witold WIRPSZA

Słowo o przyjacielu

„Wolność, moi panowie, jest to coś co się robi, nie to o czym się mówi”
— rozległ się tubalny głos pijanego von Frosta”.

(Piotr Wojciechowski, *Czaszka w czaszce*)

Wychowując się w małym Krakowie niesposób nie znać w nim ludzi. A o nim fama głosiła: cielę z dwoma głowami. Ponieważ cielę z dwoma głowami okazało to biologicznie dość rzadki, więc starałem się poznać go bliżej.

W sylwestra 1964 roku wraz z Maćkiem Kozłowskim**, jego siostrą i Andrzejem Mrozem zdecydowaliśmy się przejść przez góry z Hali Gąsienicowej do Morskiego Oka. Na ścieżce do Czarnego Stawu ratownik GOPR-u Józef Uznański zatykał w śniegu tablicę: „Przeście zamknięte z powodu niebezpieczeństwa lawin”. Wiał silny wiatr i było chyba z metr świeżego śniegu.

Podejście na nartach na Zawrat trwało długie godziny. Andrzej, który połamano narty kilka dni wcześniej, szedł piechotą. Widząc jak przekopuje się zanurzony czasem aż po piersi w stromym śniegu, pomyślałem: to musi być cholernie uparty facet. Potem już nocą zejście doliną Rostoki i podejście do Morskiego Oka. Na pusty żołądek i zmęczone ciało alkohol działał szybko. To był wspaniały sylwester.

Andrzej, jako twór z natury wesoły i tryskający życiem, miał niejakie trudności z zaadoptowaniem się do nowoczesnego społeczeństwa, trwającego głównie w pozycji siedzącej i patrzącego podejrzliwie na wszystkich, którzy się z tej pozycji wyłamują.

W Polsce było z tym jeszcze nie najgorzej. Jędrzek dość szybko pojął sens pracy w socjalizmie i z zazdrością zastanawiałem się nad tym, jak on to robi, żeby co rok obijać się po pół roku w Paryżu, Turcji czy Maroku, a przez resztę czasu studiować drugi fakultet, gdy ja już musiałem odwalac jakieś nudne asystentury.

* Jest to tytuł utworu Wł. Majakowskiego, wystawianego przez studencki kabaret „Salamandra” w Krakowie, z którym współpracował Andrzej Mróz.

** Później więzionym przez kilka lat w Polsce, w związku ze sprawą „Taterników”.

Gdy w 1970 roku dowiedziałem się, że Andrzej, naonczas w Paryżu, zaczął regularnie pracować jako programista komputerów, było to dla mnie szokiem nie mniejszym niż gdyby Chińczycy dolecieli na Księżyc. Musiało już być z nim zupełnie źle, aby Francuzom udało się zamienić Dyla Sowizdrzała w mrówkę.

Ponieważ Góry były dlań Sprawą Najważniejszą, przyziemnymi wydarzeniami interesował się bardziej jako obserwator niż uczestnik. Pamiętam jedną z nim rozmowę telefoniczną w Krakowie w pamiętnym marcu 1968. Był to czas regularnej psychozy w Polsce, ludzie bali się rozmawiać głośno na ulicy czy w kawiarni, każdy mógł się okazać agentem Ministerstwa Spraw Wiadomych. Rozmawialiśmy wtedy o tym, jaki to głupi lud ma strach, że gdyby się ludzie choć trochę mniej bali, to wspinały gmach komunizmu w Polsce rozleciałby się w kilka minut. Ponieważ według opinii publicznej telefony były na podsłuchu, więc dawaliśmy rozmaite praktyczne rady słuchającemu nas pracownikowi, nawet by mu pomóc w pracy podaliśmy nasze numery telefoniczne. Ale nie imiona — to byłoby niemoralnie — zdecydowaliśmy, iż winien popracować trochę na swe marne życie.

Później, w kwietniu 1969 roku, udało się nam namówić tego największego znanego mi polskiego egoistę i anarchistę na noszenie ładunków *Kultury* poprzez Tatry nielegalnie do Polski. Czynił to chyba bardziej dla przygody niż dla „Sprawy”. Sam niebardzo był demokratą, a znając Europę od lat, nie żywił zbytnej sympatii dla, jak się wyraził „pier... cywilizacji zachodniej”.

No i w końcu te góry. To było więcej niż pasja. To było życie. Magia życia w bezustannej walce ze skałą, pogodą i samym sobą, magia przygody i niebezpieczeństwa, perwersja niewygód; to życie było szyderstwem z życia współczesnych płazów, interesujących się wyłącznie komfortem i bezpieczeństwem własnego siedzenia. Mając zaledwie dwadzieścia lat już wchodził w czołówkę polskich taterników: większość dróg na Galerii Gankowej, samotne przejście prawie całej Grani Tatr Wysokich, wejście na najwyższy szczyt Hindukuszu afgańskiego Noshaq (7.492 m), nowa droga na najtrudniejszej ścianie Europy: narożnym filarze Mont-Blanc, w końcu największy sukces w Europie: zimowe przejście filara narożnego Mont Blanc. Ze wzmianek w *Le Monde* dowiaduję się w dalekim Berkeley o kolejnych nowych drogach. Andrzej ewidentnie stawał się jednym z najlepszych alpinistów na świecie.

W lipcu 1972 miał przyjechać z ekspedycją francuską do Peru. W ostatnim liście z właściwą sobie fantazją wyznacza mi miejsce spotkania:

... „Gdzie moglibyśmy się spotkać w Limie? Na przykład w 'Klubie pod Jaszczurami' na Rynku Głównym. Ale nie jestem pewien czy tam taki klub istnieje. Pozostaje zatem Rynek Główny, ale nie wiem czy w Limie jest Rynek Główny, a może kilka Głównych?... Najlepiej by było gdybyś chodził po ulicach i zaczepiał ludzi z głupia frant pytaniami czy nie widzieli Jędrusia Mroza. A jeśli w Limie nie ma w ogóle ulic?... Rozważajmy dalej: restauracja na Dworcu Głównym, znak rozpoznawczy: kufel piwka. Ale ja już nie pamiętam, czy Domeyko doprowadził kolej aż do Limy, a przyznać musisz, że jeśli tego atrybutu brakuje, to nie może być restauracji dworcowej... Posługując się niesłychanymi perypetiami logiki formalnej można by wnioskować, że w Limie jest przynajmniej lotnisko skoro mam na nie przylecieć...”

W Limie jednak nikt nic nie wiedział o Andrzeju. Gdy po kilku dniach dotarłem do obozu Francuzów nad jeziorem Llan-ganuco w Cordillera Blanca, dowiedziałem się, że Andrzej miał niewielki wypadek w Alpach i nie zdążył na lot charterowy. Nie zaniepokoiło mnie to zbyt, odwiedzałem już parokrotnie Jędrka w szpitalu, kurującego mniejsze kontuzje górskie. A w dodatku sam twierdził, że jemu się w górach nic złego stać nie może. Ponieważ wyprawa była zdekompletowana, zostałem przyjęty jako „substytut” Andrzeja.

W jakiś tydzień później spytałem przypadkowo spotkanych turystów francuskich czy nie słyszeli coś o wypadku Andrzeja. — „MROZ? — IL EST MORT!” — Na pewno, czytali o tym w gazecie. Zabił się w zejściu, przez głupi przypadek. Poczulem się jakby ktoś wyjął ze mnie wnętrze, głucha pustka, rzucić te góry w diabły, iść gdzieś, jak najdalej od wszystkiego. Po jakiejś godzinie reakcja się odwróciła. Popatrzyłem na bielącą się nad nami grań Huarascaranu. Z zaciekością powiedziałem do siebie: jeśli on tam już nigdy nie wejdzie, to ja to muszę zrobić.

Szef ekspedycji, Jean Frehel, na wieść o śmierci Andrzeja decyduje się nazwać grań, którą mamy zdobyć, granią Mroza. Po długich dniach walki ze śniegiem i skałą wychodzimy wreszcie na *plateau* podszczytowe. Ściskamy się radośnie. Grań Mroza została zdobyta! W kieszeni kurtki znajduję okulary lodowcowe, które zabrałem jako zapasowe z plecaka Andrzeja, przywiezionego przez Francuzów. Zatykam je na ostatniej igle lodowej i wlokę

się z tym na wierzchołek by tam je zatknąć jako nietrwały pomnik dla przyjaciela — człowieka który górom zaprzedał swą duszę.

Pamiętam jak Andrzej kiedyś mówił, że chciałby żyć tylko 32 lata: „Bo potem to już nie ma nic ciekawego do zrobienia na świecie”. Żył tylko 30 lat. A i tak, by opisać to krótkie życie trzeba by kilku książek, nie kilku kartek.

W Paryżu odwiedzam Irène z malutkim Mrozikiem. Mały śmieje się, wierci i jeść nie chce. Zupełnie jak ojciec.

Marek GŁOGOCZOWSKI

Genewa, listopad 1972

Emigracyjne nagrody pisarskie

Pragnąc odnotowywać wszystkie przejawy życia kulturalnego na emigracji, opracowaliśmy wykaz nagród i wyróżnień *pisarskich*. Wykaz ten nie obejmuje nagród i wyróżnień w dziedzinach naukowej, teatralnej, muzycznej, etc., z wyjątkiem tych wypadków kiedy te dziedziny pokrywają się ze sobą w osobie danego pisarza.

Zebranie tych danych nie było łatwe i zapewne wykaz zawiera wiele luk, opuszczeń czy nawet błędów. W związku tym prosimy naszych Czytelników o pomoc w skompletowaniu tego wykazu. Uzupełnienia będą zamieszczane w *Kulturze*.

REDAKCJA

- ANDRZEJEWSKI Bogumił — 1969 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze wiersze zamieszczone w *Wiadomościach*.
 AUTOR NIEUJAWNIONY — 1955 — wyróżnienie w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy”, przyznane przez Związek Pisarzy.
 BALIŃSKI Stanisław — 1970 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
 BĄCZKOWSKA Irena — 1963 — nagroda *Wiadomości* za „Wróble noce”.
 BIELATOWICZ Jan — 1955 — nagroda Związku Pisarzy dla krytyka; 1960 — nagroda *Wiadomości* za najlepszy wiersz „Ofiara”; 1961 — nagroda *Wiadomości* za „Książeczkę”.
 BIULETYN KOŁA LWOWIAN (Redakcja) — 1972 — nagroda im. Anny Godlewskiej.
 BOCHNAROWA M. — 1957 — wyróżnienie w konkursie im. Wł. Pańczonek na utwór dla dzieci, organizowanym przez Zw. Pisarzy (nagrody ufundowane przez Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne).

- BOGUSŁAWSKA Anna — 1963 — I-a nagroda za opowiadanie pt. „Ostatnie tygodnie z Leszkiem” w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego*, ufundowana przez Henrykę Kozłowską z Kenii.
 BOGUSŁAWSKI Antoni — 1954 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii — za całokształt twórczości.
 BOHDANOWICZOWA Zofia — 1955 — nagroda Związku Pisarzy w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” za utwór „Niedziela” — II-ga nagroda; 1963 — nagroda im. Anny Godlewskiej; nagroda literacka Fundacji im. Adama Mickiewicza w Kanadzie.
 BORKOWSKI Piotr — 1972 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze artykuły drukowane w *Wiadomościach* (ex aequo z ks. Walerianem Meysztowiczem).
 BÓR-KOMOROWSKI, Gen. — 1966 — nagroda Koła A.K. Manchester.
 BREGMAN Aleksander — 1965 — nagroda publicystyczna ufundowana przez f-mę „Tazab”, przyznana przez Związek Pisarzy.
 BRONCEL Zdzisław — 1954 — nagroda „Młodych”, ufundowana przez Koło SPK 11 dla krytyka.
 BRZEZIŃSKI Zbigniew — 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
 BUSZA Andrzej — 1962 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
 CHABROWSKI Wacław T. — 1965 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
 CHCIUK Andrzej — 1955 — nagroda *Kultury* za „Smutny uśmiech”; 1969 — nagroda *Wiadomości* za „Atlantyde”.
 CHMIEŁOWIEC Michał (redaktor *Wiadomości*) pseud. Michał SAMBOR — 1955 — I-a nagroda w Konkursie Związku Pisarzy na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy”, za utwór „Łódź, w której była jeszcze litość”; 1964 — III-a nagroda w konkursie na utwór literacki ufundowana przez Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im. S. Gruski w Sydney (Australia); 1972 — nagroda im. Anny Godlewskiej.
 CIENCIAŁA Anna, Prof. — 1968 — nagroda im. H. Korab-Janiewicza przyznana przez Instytut Historyczny Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku za książkę „Poland and the Western Powers, 1938-1939”.
 CIOŁKOSZ Adam — 1971 — nagroda *Wiadomości* dla uczczenia pamięci śp. Edmunda Kona — za całokształt twórczości (ex aequo z Wł. Bartoszewskim).
 CIOŁKOSZOWIE Lidia i Adam — 1967 — nagroda *Kultury* za „Zarys dziejów socjalizmu polskiego”; 1972 — nagroda Stowarzyszenia Polskich Kombatantów za „Zarys dziejów socjalizmu polskiego” (ex aequo z B. Obertyńską).
 CZAPSKA Maria — 1959 — II-a nagroda w konkursie literackim ustanowionym i ufundowanym przez Polaków w Wenezueli za „Szkice Mickiewiczowskie”; 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej wraz z Józefem Czapskim (ex aequo z J. Łobodowskim).
 CZAPSKI Józef — 1965 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej wraz z Marią Czapską (ex aequo z J. Łobodowskim).
 CZAYKOWSKI Bogdan — 1964 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
 CZERMAŃSKI Zdzisław — 1967 — nagroda Fundacji Domu Pisarza.
 CZERNIAWSKI Adam — 1967 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez „Ognisko Polskie” w Londynie; 1971 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
 CZUCHNOWSKI Marian — 1955 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii za całokształt twórczości.

- DANILEWICZOWA Maria — 1955 — „Mention honorable” w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” przyznana przez Zw. Pisarzy; 1958 — nagroda Związku Pisarzy; 1969 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1972 — Odznaczenie krzyżem oficerskim „Odrodzenia Polski”.
- DAROWSKI Jan — 1969 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- DOBEK Czesław — 1963 — I-a nagroda za reportaż pt. „Tajemnice angielskiej kielbaski” w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego* ufundowana przez p. Henrykę Kozłowską z Kenii; 1972 — III-a nagroda w konkursie Polskich Kompanii Wartowniczych i Technicznych (za pracę „Zegar z Orłem”).
- DZIEDUSZYCKA Teresa — 1969 — nagroda *Wiadomości* dla tłumaczy ku uczczeniu pamięci śp. Teresy Jeleńskiej (za przekłady z polskiego na język obcy).
- FOLKIERSKI Władysław — 1953 — nagroda Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za wydanie Księgi Pamiątkowej Juliusza Słowackiego.
- FRYLING J. — 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej.
- GAŁĘZOWSKA Irena, Prof. — 1972 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- GARLIŃSKI Józef — 1961 — nagroda Koła A.K. Detroit za książkę „Dramat i opatrność”.
- GIERGIELEWICZ Mieczysław — 1953 — nagroda Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za wydanie Księgi Pamiątkowej Juliusza Słowackiego.
- GNIATCZYŃSKI Wojciech — 1954 — nagroda „młodych” ufundowana przez Koło SPK-30 dla młodego krytyka.
- GOETEL Ferdinand — 1959 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Ognisko Polskie w Londynie.
- GOMBROWICZ Witold — 1960 — nagroda *Kultury* za „Pornografię”; 1962 — nagroda *Wiadomości* za „Dziennik 1957-1961”; 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- GRABOWSKA Zofia (Pseud. Klara EVANS) — 1965 — I-a nagroda w konkursie na relację świadków i uczestników wydarzeń po 18. 11. 1918 za opowiadanie pt. „Plebiscyt i kozioł” (nagrada ufundowana przez p. Barbarę Szubską).
- GROT Józef — 1972 — czwarta nagroda w konkursie Polskich Kompanii Wartowniczych i Technicznych (za pracę „Droga do wolności”).
- GRUBIŃSKI Waclaw — 1950 — nagroda literacka Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za całokształt twórczości; 1964 — nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* za całokształt twórczości teatralnej; 1969 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- GRYDZEWSKI Mieczysław — 1967 — nagroda im. Anny Godlewskiej; 1967 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- GUILLEY-CHMIEŁOWSKA H. — 1959 — nagroda *Kultury* za książkę „Spotkania na galerii”.
- GUZY Piotr — 1967 — nagroda *Kultury* za książkę „Krótki żywot bohatera pozytywnego”; 1968 — nagroda *Wiadomości* za „Stan wyjątkowy”.
- GÜNTHER Władysław — 1963 — nagroda Związku Pisarzy.
- HAUPT Zygmunt — 1962 — nagroda *Kultury* za „Pierścień z papieru”; 1971 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- HEMAR Marian — 1959 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Ognisko Polskie w Londynie; 1961 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze wiersze; 1966 — nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* za całokształt

- twórczości dramatopisarskiej; 1969 — nagroda im. Anny Godlewskiej; 1969 — nagroda *Wiadomości* dla tłumaczy ku uczczeniu pamięci śp. Teresy Jeleńskiej (za całokształt twórczości); 1969 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; odznaczenie Orderem Polonia Restituta (IV kl.); 1972 — odznaczenie Krzyżem Komandorskim orderu „Odrodzenia Polski”.
- HERLING-GRUDZIŃSKI Gustaw — 1958 — nagroda *Kultury* za „Wieżę”; 1964 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1966 — nagroda im. Herminii Naglerowej ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego — za całokształt twórczości; 1966 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- HŁASKO Marek — 1957 — nagroda *Kultury* za „Cmentarze. Następny do raju”; 1958 — nagroda *Wiadomości* za „Cmentarze”.
- HOFMAN Irena — 1963 — nagroda w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego* za opowiadanie „Uciezka”.
- IRANEK-OSMECKI Kazimierz — 1959 — nagroda Studium Polski Podziemnej za całokształt pracy pisarskiej ufundowana przez Koło A.K. w Detroit.
- IWANIUK Waclaw — 1965 — nagroda *Kultury* za „Wybór wierszy”; 1966 — nagroda literacka Fundacji im. Adama Mickiewicza w Kanadzie; 1969 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1971 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- JABŁOŃSKI Zygmunt — 1955 — III-a nagroda w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” przyznana przez Związek Pisarzy.
- JACEK (pseudonim) — 1955 — V-a nagroda w konkursie na pracę pt. „Moja droga do O.W.”, zorganizowanym przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.
- JAKSIŃSKI Józef — 1956 — nagroda dziennikarsko-pisarska „Młodych talentów” ufundowana przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.
- JANIN Józef — 1955 — I-a nagroda w konkursie na pracę pt. „Moja droga do O.W.” zorganizowanym przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.
- JANTA Aleksander — 1963 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Fundację Domu Pisarza; 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1968 — nagroda im. Mariana Kistera za przekład tomu poezji japońskiej „Godzina dzikiej kaczki” na język polski.
- JASIŃSKI Zbigniew — 1955 — III-a nagroda w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” przyznana przez Zw. Pisarzy; 1957 — II-a nagroda Koła A.K. Detroit za twórczość związaną z walką podziemną podczas ostatniej wojny.
- JELEŃSKI Konstanty A. — 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1968 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- JORDAN Zbigniew — 1971 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- KIERSNOWSKI Ryszard — 1964 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- KOCZOROWSKI Janusz — 1955 — IV-a nagroda w konkursie na pracę pt. „Moja droga do O.W.” zorganizowanym przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.
- KOCZY Leon, prof. dr — 1968 — nagroda literacka Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za wybitną działalność naukową i społeczną.

- KONARSKI Feliks — 1964 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- KORBOŃSKI Stefan — 1954 — nagroda za pracę „W imieniu Rzeczypospolitej” ufundowana przez Koło A.K. Detroit.
- KORIAN Tola — 1962 — nagroda teatralna *Dziennika Polskiego*.
- KOSSOWSKA Stefania — 1970 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze utwory ogłoszone w *Wiadomościach*.
- KOSSOWSKI Jerzy — 1969 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Dom Pisarza.
- KOTYŃSKA Genowefa — 1972 — wyróżnienie w konkursie Polskich Kompanii Wartowniczych i Technicznych (za pracę „Poza gniazdem”).
- KOWALEWSKI Janusz — 1950 — nagroda „Młodych” Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych; 1955 — nagroda Związku Pisarzy w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” za utwór „Sprawa Anny” (II-a nagroda); 1972 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- KOWALIK Jan — 1968 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- KOWALSKA Janina — 1969 — nagroda *Wiadomości* za najwybitniejszy utwór prozą w *Wiadomościach*; 1970 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- KOZARYNOWA Zofia — 1968 — nagroda literacka Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych, za całokształt pracy publicystycznej.
- KRAHELSKA Krystyna — 1963 — nagroda za pieśni akowskie, ufundowana przez Koło A.K. Detroit.
- KUKIEL Marian — 1967 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- LECHOŃ Jan — 1952 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Komitet Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii.
- LEDNICKI Wacław — 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- LEWKOWICZ Karol — 1955 — wyróżnienie w konkursie na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy” przyznane przez Zw. Pisarzy.
- LIPSKI Leo — 1955 — nagroda *Kultury* za książkę „Dzień i noc”.
- LISIEWICZ Mieczysław — 1964 — I-a nagroda w konkursie na utwór literacki ufundowana przez Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im. S. Gruszkii w Sydney, powierzonym Zw. Pisarzy; 1965 — nagroda Domu Polskiego im. gen. Sikorskiego, ufundowana przez Towarzystwo Społeczno-Oświatowe w Glasgow, przyznana przez Zw. Pisarzy; 1971 — nagroda im. Herminii Naglerowej ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego.
- LISIEWICZ Teodozya — 1964 — II-a nagroda w konkursie na utwór literacki ufundowana przez Polskie Koło Kulturalno-Artystyczne im. S. Gruszkii w Sydney, przyznana przez Zw. Pisarzy; 1967 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Ognisko Polskie w Londynie.
- LURCZYŃSKI Mieczysław — 1972 — druga nagroda w konkursie Polskich Kompanii Wartowniczych i Technicznych (za pracę „Maniana”).
- ŁOBODOWSKI Józef — 1961 — nagroda *Kultury* za całokształt pracy poetyckiej; 1967 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1967 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Fundację Domu Pisarza — za całokształt twórczości; 1968 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze utwory w *Wiadomościach*; 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej (ex aequo z Marią i Józefem Czapskimi).
- ŁYSEK Paweł — 1970 — nagroda *Wiadomości* za „Twarde żywobycie Jury Odcesty”.
- ŁYSY BOLEK (pseudonim) — 1955 — VII-a nagroda w konkursie na pracę pt. „Moja droga do O.W.”, zorganizowanym przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.

- MACKIEWICZ JÓZEF — 1961 — nagroda im. Herminii Naglerowej; 1963 — nagroda im. Anny Godlewskiej; 1968 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze utwory zamieszczone w *Wiadomościach*; 1972 — odznaczenie orderem Polonia Restituta; 1972 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- MARKOWSKI Jan — 1969 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- MAURER Jadwiga — 1970 — nagroda *Wiadomości* za „Ligę ocalałych”.
- MEKARSKA-KOZŁOWSKA Barbara — 1956 — nagroda dziennikarsko-pisarska Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych; 1963 — II-a nagroda za reportaż w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego*.
- MEYSZTOWICZ Walerian — 1972 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze artykuły drukowane w *Wiadomościach* (ex aequo z Piotrem Borkowskim).
- MIĄZEK Bonifacy — 1966 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze wiersze; 1972 — nagroda im. Kościelskich za tom wierszy „Ziemia otwarta”; 1972 — nagroda *Wiadomości* za „Antologię poezji kapłańskiej”.
- MICHALCZYK Jan — 1955 — II-a nagroda w konkursie Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych pt. „Moja droga do O.W.”.
- MIEROSZEWSKI Juliusz — 1972 — jubileuszowa nagroda *Kultury*.
- MIŁOSZ Czesław — 1957 nagroda im. Herminii Naglerowej; 1957 — nagroda *Kultury* za „Traktat poetycki”; 1968 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- MORAWSKI Kajetan — 1960 — nagroda *Wiadomości* za „Tamten brzeg”.
- MOSTWIN Danuta — 1966 — nagroda Związku Pisarzy ofiarowana przez Fundację Domu Pisarza za powieść „Olivia”.
- MROZEK Sławomir — 1962 — Nagroda Fundacji Kościelskich; 1964 — Nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- NAMITKIEWICZ Andrzej — 1955 — III-a nagroda w konkursie Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych „Moja Droga do O.W.”.
- NAGLEROWA Herminia — 1951 — nagroda Związku Pisarzy, ufundowana przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w W. Brytanii.
- NOWAKOWSKI Tadeusz — 1971 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- NOWAKOWSKI Zygmunt — 1952/53 — nagroda pisarska *Tygodnia Polskiego*.
- OBERTYŃSKA Beata — 1972 — nagroda Stow. Polskich Kombatantów za tom poezji „Miód i piołun” (ex aequo z Lidią i Adamem Ciolkoszami); 1972 — nagroda literacka Fundacji Lanckorońskich za tom poezji „Miód i piołun”.
- OŚNIAŁOWSKI Marian — 1965 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- OTWINOWSKA Jadwiga — 1957 — wyróżnienie w konkursie Związku Pisarzy za utwór dla dzieci (nagrodę ufundowały Polskie Kompanie Wartownicze i Techniczne).
- PALESTER Roman — 1965 — nagroda Fundacji im. Kościelskich; 1967 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- PANKOWSKI Marian — 1954 — nagroda *Kultury* za „Smagłą swobodę”; 1963 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez Fundację Domu Pisarza.
- PASZKIEWICZ Henryk — 1952 — nagroda Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za „The Origin of Russia”.
- PASZKIEWICZ Mieczysław — 1957 — nagroda „Młodych” im. Stanisława Strońskiego; 1969 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.

- PARNICKI Teodor — 1963 — nagroda *Kultury* za całokształt twórczości.
- PAWLIKOWSKI Michał K. — 1967 — nagroda Fundacji Domu Pisarza.
- POLITOWSKI Tomasz — 1955 — VI-a nagroda w konkursie Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych „Moja droga do O.W.”.
- PRAGIER Adam — 1967 — nagroda im. Herminii Naglerowej (ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego) za książkę „Czas przeszły dokonany”; 1967 — nagroda *Wiadomości* za najlepsze artykuły drukowane w *Wiadomościach*; 1971 — nagroda Zw. Dziennikarzy RP w Londynie, ex aequo z Wacławem A. Zbyszewskim; 1972 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- PRZYŁUSKI Bronisław — 1968 — nagroda im. Herminii Naglerowej (ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego) za całokształt twórczości.
- RACZYŃSKI Edward — 1965 — nagroda im. Herminii Naglerowej (ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego) za całokształt twórczości.
- RADZYMIŃSKA Józefa — 1956 — nagroda Koła A.K. Detroit za twórczość związaną z walką podziemną (za wiersze o Powstaniu Warszawskim).
- ROMANOWICZOWA Zofia — 1955 — wyróżnienie w konkursie Związku Pisarzy na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy”; 1956 — nagroda „Młodych” im. Stanisława Strońskiego za książkę „Baśka i Barbara”; 1964 — nagroda Fundacji im. Kościelskich; 1965 — nagroda *Wiadomości* za „Próby i zamiary”; 1971 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- ROSTWOROWSKI Jan — 1962 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- SAKOWSKI Juliusz — 1957 — nagroda Związku Pisarzy dla krytyka literackiego; 1959 — III-a nagroda w konkursie literackim ustanowionym i ufundowanym przez Polaków w Wenezueli za utwór „Wiecznie męski”; 1971 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- SAWCZYŃSKI Adam, płk dr — 1970 — nagroda im. L. A. Kupferwassera przyznana przez Instytut Historyczny Józefa Piłsudskiego w Nowym Yorku za najlepsze źródłowe opracowanie historii walk wojska polskiego w II-jej wojnie światowej („Polskie siły zbrojne w drugiej wojnie światowej”).
- SOWIŃSKI Kazimierz — 1955 — nagroda ufundowana przez Koło A.K. Detroit za sztukę „Dzień Dominika”.
- STRASZEWICZ Czesław — 1953 — nagroda Koła A.K. Detroit za powieść „Turyści z bocianych gniazd”.
- STEMPOWSKI Jerzy — 1950 — nagroda literacka Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za całość twórczości; 1961 — nagroda *Kultury* za najlepszy esej (ufundowana przez Izę Neuman); 1963 — nagroda im. Anny Godlewskiej; 1964 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; 1967 — nagroda *Kultury* za książkę „Eseje dla Kasandry”.
- STREŃK B. (redaktor *Biuletynu Polskiego* w Beneluxie) — 1972 — nagroda im. Anny Godlewskiej.
- STROŃSKI Stanisław — 1953/54 — nagroda pisarska *Tygodnia Polskiego*.
- SULIK Bolesław — 1961 — nagroda „Młodych” ufundowana przez Samo-pomoc Marynarki Wojennej; 1963 — nagroda za reportaże w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego* (ufundowana przez Henrykę Kozłowską).
- SULIMIRSKI Tadeusz — 1959 — nagroda *Wiadomości* za „Polskę przed-historyczną”.

- SUŁKOWSKI Tadeusz — 1956 — „Nagroda Mickiewiczowska” ufundowana przez społeczeństwo polskie w Glasgow.
- SURYNOWA-WYCZOŁKOWSKA Janina — 1970 — nagroda im. Herminii Naglerowej (ufundowana przez mec. Mieczysława Chmielewskiego) za całokształt twórczości.
- SZUDEK Przemysław — 1955 — III-a nagroda w konkursie Związku Pisarzy na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy”.
- ŚMIEJA Florian — 1959 — nagroda „Młodych” im. Stanisława Strońskiego.
- TABORSKI Bolesław — 1968 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- TARNAWSKI Wit — 1959 — nagroda dla krytyka ufundowana przez Związek Pisarzy; 1970 — nagroda Związku Pisarzy, ufundowana przez Fundację Domu Pisarza, za całokształt twórczości; 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej.
- TERLECKI Tymon — 1953 — nagroda Związku Pisarzy, ufundowana przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii, za eseje i krytykę literacką; 1972 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- TOPORSKA Barbara — 1966 — nagroda *Wiadomości* za „Siostry”; 1970 nagroda *Wiadomości* za najlepsze utwory drukowane w *Wiadomościach*.
- TROŚCIANKO Wiktor — 1972 — nagroda *Wiadomości* za „Wiek kłęski”.
- TRUSZKOWSKI Stanisław — 1968 — nagroda Koła A.K. Detroit za „Wspomnienia partyzanckie”.
- TYRMAND Leopold — 1967 — nagroda *Wiadomości* za „Życie towarzyskie i uczuciowe”.
- VINCENZ Stanisław — 1966 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- WANDYCZ Damian — 1972 — nagroda im. Tadeusza Sendzimira przyznana przez Radę Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Yorku.
- WANTUŁA Jan — 1955 — wyróżnienie w konkursie Związku Pisarzy na słuchowisko „Głosu Wolnej Europy”.
- WASIUTYŃSKI Wojciech — 1972 — nagroda dziennikarska Związku Dziennikarzy RP w Londynie.
- WĘGRZYŃSKA-KOŚCIAŁKOWSKA Janina — 1957 — I-a nagroda w konkursie im. Wł. Pańczaka na utwór dla dzieci ufundowana przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.
- WIADOMOŚCI (Londyn) — 1959/61 — nagroda literacka *Tygodnia Polskiego*.
- WIENIEWSKA Celina — 1964 — nagroda im. Mariana Kistera za przekład książki „Sklepy cynamonowe”.
- WIENIEWSKI Ignacy — 1961 — nagroda Związku Pisarzy ufundowana przez „Ognisko Polskie” w Londynie za przekład „Iliady”.
- WIERZYŃSKI Kazimierz — 1950 — nagroda literacka Polskich Oddziałów Wartowniczych i Technicznych za utwór „Krzyże i miecze”; 1964 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego; odznaczenie orderem Polonia Restituta III-jej klasy (pośmiertnie).
- WINCZAKIEWICZ Jan — 1963 — nagroda Fundacji im. Kościelskich.
- WITTLIN Józef — 1957 — nagroda Związku Pisarzy za całokształt twórczości; 1965 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.
- WOHNOUT Wiesław — 1972 — nagroda literacka im. Anny Godlewskiej.
- WOJTECKI Wojciech — 1968 — odznaczenie Złotym Krzyżem Zasługi za działalność na polu kultury i sztuki.
- ZAGÓRSKI Wacław — 1970 — nagroda Koła A.K. Detroit przyznana przez Zw. Pisarzy za książkę „Wolność w niewoli”; 1972 — nagroda Fundacji Alfreda Jurzykowskiego.

- ZAHORSKA Stefania — 1956 — nagroda Związku Pisarzy, ufundowana przez Komitet Obywatelski Pomocy Uchodźcom Polskim w Wielkiej Brytanii; 1959 — I-a nagroda w konkursie literackim ustanowionym i ufundowanym przez Polaków w Wenezueli za utwór „Ziemia pojoana gniewem”.
- ZAREMBA Paweł — 1963 — II-a nagroda w konkursie autorskim *Tygodnia Polskiego* za opowiadanie „Końskie weksle pana Michała”.
- ZAREMBA Zygmunt — 1959 — nagroda Koła A.K. Detroit.
- ZBYSZEWSKI Karol — 1964 — nagroda *Wiadomości* za „Wczoraj na wrywki”.
- ZBYSZEWSKI Wacław A. dr — 1971 — nagroda Związku Dziennikarzy RP w Londynie (ex aequo z dr. Adamem Pragierem).
- ŻEROMSKA Olga — 1955 — „Mention honorable” w konkursie Związku Pisarzy na słuchowisko „Głos Wolnej Europy”.
- ŻYWINA Józef — 1957 — II-a nagroda w konkursie im. Wł. Pańczaka na utwór dla dzieci ufundowana przez Polskie Oddziały Wartownicze i Techniczne.

WZNOWIENIE

W najbliższym czasie ukaze się drugie wydanie głośniejszej książki

ALEKSANDRA SOŁŻENICYN

ODDZIAŁ CHORYCH NA RAKA

Pierwsze wydanie od dłuższego czasu jest całkowicie wyczerpane.

Pragnąc udostępnić najszerszym kręgom Czytelników nabycie tej książki i korzystając z zachowania składu pierwszego wydania obniżamy cenę książki do F. 30,00 (\$ 6,50; £. 2.50).

Prosimy o nadsyłanie zamówień.

Najnowsza historia Polski

“Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego

Wśród rękopisów pozostawionych przez profesora Adama Krzyżanowskiego znajduje się m.in. obszerna praca zatytułowana „Dzieje Polski” a poświęcona jej dziejom w latach 1918-1939. Jest to dzieło ostatnich niemal lat życia Adama Krzyżanowskiego. Mimo iż celowość wydania „Dziejów Polski” nie ulega najmniejszej wątpliwości, jak i to że jedynie na emigracji wydawnictwo to może dojść do skutku, wydaje się rzeczą słuszną zastanowić się nad wartością tej pracy i jej naukowym znaczeniem. Jest to potrzebne chociażby z tego względu, że praca ta kształtowała się dwadzieścia lat temu a piętnaście lat mija, gdy Krzyżanowski, wówczas 85-letni, przestał nad nią pracować. Żyjemy w okresie szerokich przemian, szybko dewaluujących się wartości naukowych a w sferze nauki historycznej tylko nieliczne publikacje wytrzymują po takim czasie próbę aktualności.

Historia Polski okresu, którym zajmuje się Krzyżanowski posunęła się bardzo naprzód w okresie tych piętnastu lat. Zwróćmy uwagę, że gdy kilka lat temu Henryk Wereszycki układał listę najważniejszych pozycji monograficznych do odpowiedniego rozdziału wydanej po angielsku historii Polski* włączył do niej wyłącznie pozycje napisane po 1956 roku i to przez historyków, którzy zaczęli swe dziejopisarstwo po październiku 1956 roku. Jak się w tej sytuacji przedstawiają „Dzieje Polski” Adama Krzyżanowskiego?

Otóż stwierdzić należy, iż generalnie rzecz biorąc, wytrzymują one rywalizację nie tylko z pracami wcześniej napisanymi, ale i w dużej części i z pracami, które powstały później. Jest to mi tym łatwiej stwierdzić, iż jako historyk hołduję metodologicznym zasadom dość odmiennym niż te, które stosował autor wydanej pracy.

* Niniejszy artykuł jest „Słowem wstępnym” do pracy prof. Krzyżanowskiego, która ukaze się w niedługim czasie w „Bibliotece Kultury”.

* *History of Poland*. Warszawa, 1968, PWN.

Na szczególne podkreślenie zasługują te wielkie partie książki, które traktują o historii polityki zagranicznej II Rzeczypospolitej, dyplomatycznych źródła II wojny światowej i szczególnie niemiecko-sowieckich przygotowań do rozbioru Polski i rozpoczęciu wojny.

Sam autor przykładał wielką wagę do tej części manuskryptu. Pisał on m.in.:

„Est discernendum między pracami wydawanymi w kraju a ukazującymi się na Zachodzie. W kraju, cenzura, narzucona przez Rosję wyciskała na nich piętno propagandy w jej służbie. Niejakie zelzenie cenzury po październiku zeszłorocznym nie sięgnęło głęboko. Jeszcze teraz — koniec lipca 1957 — nie wolno w druku rozpowszechniać wiadomości, od roku podawanych z ust do ust, o umowach rozbiorowych, o prawdziwym udziale Rosjan w kampanii wrześniowej. Godnie zachowali się i zachowują milkliwi. Wielu poniżało się pisaniem i ogłaszaniem w druku fałszów. Mało wśród nich ignorantów prawdy. Dzieła wydawane na Zachodzie przez naszych emigrantów i tamtejszych historyków są znacznie bliższe prawdy. Jednakże także ich autorzy, choć mogli swobodnie wykorzystać materiały norymberskie, pisma Gamelina i Bonmeta nie docenili rozstrzygającej roli Rosji w ustaleniu przez Hitlera kolejności ataku i przebiegu kampanii wrześniowej, w szczególności w odstąpieniu od interwencji zbrojnej naszych sojuszników.

W przeciągu tego niemałego okresu czasu, który dzieli nas od napisania powyższych słów, bibliografia zagadnienia wzbogaciła się o wiele nowych pozycji, lepszych i gorszych, uczciwych lub konformistycznych czy też zakłamanych, ale ta część pracy Adama Krzyżanowskiego wygrała walkę z czasem, zachowała walory poznawcze i intelektualne. Krzyżanowski okazał się w szczególności niezrównanym analizatorem aktów prawa międzynarodowego, zapisów rozmów dyplomatycznych i posunięć politycznych. W tej dziedzinie osiągnął poziom, w którym mało kto mu dorównał, nie tylko w Polsce, ale i w skali międzynarodowej.

Inne, lecz nie mniejsze znaczenie mają te działy książki, które poświęcone są problemom wewnętrznym polskim po przewrocie majowym. Poseł na sejm, referent budżetu, członek wchodzącego w skład rządzącego obozu małego ale wpływowego Klubu Pracy, Krzyżanowski, brał udział w wielu sprawach politycznych i rozgrywkach, stykał się z czołowymi osobistościami i miał wyrobione zdanie w wielu zagadnieniach polityki państwa. Zwróćmy uwagę, że te pasjonujące wielu historyków zagadnienia — pozwolę sobie wymienić M. Drozdowskiego, L. Hassa, H. Jabłońskiego, Z. Landaua, A. Micewskiego, J. Tomaszewskiego, J. Żarnowskiego i wreszcie mnie samego — dalekie są od stadium generalizacji, przy czym jedną z zasadniczych trudności

badawczych jest wątpliwość i ułomność źródeł, jakie historycy mają do swej dyspozycji.

Ta więc część „Dziejów Polski”, pomijając jej wartość merytoryczną, ma wielkie znaczenie heurystyczne. Jak każdy pamiętnik, część ta nosi piętno subiektywne. W stosunku do niektórych wielbiący — a dotyczy to nie tyle Józefa Piłsudskiego — co Józefa Becka, autor grzeszy przerostem krytycyzmu w stosunku do innych, krytycyzmu niezawsze materialnie dowiedzionego, co uderza w przypadku Edwarda Rydza-Śmigłego. Ta znajomość faktów, którą posiadam, nie daje mi podstaw do solidaryzowania się z autorem.

Najtrudniejsze zadanie miał autor w tej części, która traktuje o odbudowie niepodległości. W tej dziedzinie odczuwał i brak dostępu do źródeł jak i luki opracowań pomocniczych, których nie mógł zrekomensować własnym doświadczeniem. Jest to zresztą dziedzina w której w ostatnich latach postęp badań zaznaczył się najmocniej, zarówno w kraju jak i za granicą.

Ale i ta część pracy ma swoje i to całkiem niepoślednie wartości. By je uzmysłowić, pozwolę sobie na pewne wspomnienie osobiste, zresztą jedyne związane z osobą Adama Krzyżanowskiego: We wrześniu 1958 roku byłem na V kongresie historyków polskich w Krakowie. Nie waham się nazwać tego kongresu historycznym, jako że miał kolosalne znaczenie dla przewyżczeni bolszewizacji nauk humanistycznych w Polsce a pośrednio i w całym obozie.

Pamiętam referaty Tadeusza Manteuffla, Henryka Wereszycy i Henryka Altmana, grzebiące stare kłamstwa i złudzenia i otwierające nowe pola do dociekań i badań. Pamiętam jak na mównicę zjazdu wszedł ponad osiemdziesięcioletni wówczas, emerytowany Adam Krzyżanowski by wygłosić przemówienie o czterdziestej rocznicy odbudowy państwa polskiego. Mimo iż badacze, bynajmniej nie stalinowcy — takich było na zjeździe zgoła niewiele — przyjmowali wystąpienie Krzyżanowskiego z krytycyzmem, salą wstrząsnął deszcz okłasków. Klaskali nauczyciele szkół średnich, dopuszczeni w dużej ilości na zjazd. Tak jest, nauczyciele historii, ci którzy ostali się w wielokrotnych czystkach ciała pedagogicznego, ci, którym powierzono czołową rolę w procesie indoktrynizacji młodego pokolenia i którzy rolę tę pokornie spełniali przez tyle lat, w przytaczającej swej większości członkowie PZPR. Chyba nie ja jeden wśród obecnych na sali miałem świadomość znalezienia się w obliczu przez życie pisanej wersji „Szyfowych prac”. Na marginesie, nauczyciele za swą spontaniczną owację zapłacili. Nie wiem czy były represje osobiste, chyba nie, bo wątplię czy wówczas ktoś notował klaszczących, ale były represje zbiorowe: w Komitecie Centralnym PZPR wydano decyzję, by nauczycieli nie dopuszczać do kongresów historycznych, by nie „mącić atmosfery naukowej”.

To co Krzyżanowski wygłosił, było rejestrem odpowiedniej części „Dziejów Polski”. Pisał ją w czarną noc stalinizmu, osaczony nie tylko przemocą i poczuciem niewoli, ale i kłamstwem wdzierającym się ze wszystkich stron, dążącym do obezwłasnowolnienia społeczeństwa odpowiednio spreparowaną wersją narodowej przeszłości. Krzyżanowski gwałt gwałtem odciskał. Epoka nie sprzyjała akademickiej obiektywności. Od niej jest zresztą Krzyżanowski daleko. Jest historykiem namiętym, święcie wierzącym w swą rację i sprawę. Jest dziejopisarzem walczącym. Ale właśnie dlatego „Dzieje Polski” są wielkiego znaczenia dokumentem epoki, jako że Krzyżanowski pisząc wyrażał uczucia tych, którzy całym swym istnieniem lub jego częścią nie godzili się z tym, co się podówczas działo. Praca Krzyżanowskiego — i po latach widzi się to chyba dokładniej niż można było zobaczyć przed laty — jest wyrazem społecznego, niezorganizowanego, socjolog powiedziałyby: nieformalnego ruchu oporu.

Redaktor niniejszej publikacji czuje się w obowiązku wyrazić wdzięczność Instytutowi Literackiemu za powierzenie mu przygotowania do druku tak ważnej części spuścizny historycznej Adama Krzyżanowskiego. Tym więcej doceniam ten akt, że Krzyżanowski w innym miejscu pisze o zaufaniu i przyjaźni jakimi darzył Jerzego Giedroycia i jego działalność przed wojną i na emigracji.

Nie chciałbym taić przed Czytelnikami, że wywodzę się z innej generacji, z innej części stratyfikacji społecznej i dużą część życia na przeciwstawnej Krzyżanowskiemu stronie barykady spędziłem. Nie kryję, że i obecnie nie podzielam wielu poglądów autora, jego tendencji światopoglądowej elitarniej i konserwatywnej, ani założeń metodologii dziejowej, heroistycznej i woluntarystycznej. „Czy ktoś kiedyś widział — drwi Krzyżanowski w innej pracy — masy ludowe, mające ponoć stanowić podmiot historii?”. W odróżnieniu odeń nie tylko wierzę w istnienie tych mas, ale je naocześnie widziałem, w Polsce, w Czechosłowacji. Trudno mi się godzić z historią abstrahującą od zagadnień społecznych i problemów gospodarczych.

Czuję się też w obowiązku sprostowania kilku nieścisłości tekstu. Pierwszym rządem mianowanym przez Piłsudskiego po przejściu władzy od Rady Regencyjnej był rząd Daszyńskiego, nie Moraczewskiego. Ustąpienie tego ostatniego nie odbyło się bez pewnej pirotechniki. Świętem państwowym Polski Odrodzonej stał się nie dzień powrotu Piłsudskiego — wrócił on 10 listopada — lecz dzień podpisania rozejmu na froncie zachodnim w Compiègne. Błąd zresztą powszechny. Błędne jest twierdzenie, że większość PPS w 1906 roku, wbrew Piłsudskiemu, dążyła do pokojowego urzeczywistnienia socjalizmu. Tu widać ślady PRL-owskich koncepcji pomawiających PPS o oportunizm.

W istocie rzeczy wszystkie frakcje lewicy były w Polsce rewolucyjne w stosunku do caratu.

Teza o podzieleniu przez Piłsudskiego marksowskiej teorii wartości dodatkowej może i uzasadniona, ale kłóci się ze znany zapisem samego Piłsudskiego. Piłsudski niezawsze był przeciwnikiem paktów multilateralnych, przeciwnie, dążył do nich, przestał jednak w nie wierzyć po załamaniu się zarówno koncepcji federacyjnej jak i koncepcji „Międzymorza” z już zawartym paktem bałtyckim (1922). Piłsudski wracając z Magdeburga nie wiedział jeszcze, że konferencja pokojowa zbierze się w Paryżu, nie mógł więc twierdzić, że ona rozstrzygnie o zachodnich granicach polskich.

Takich przykładów drobnych nieścisłości można znaleźć więcej. Zresztą, specjaliści poszczególnych dziedzin na pewno zauważą wiele opuszczonych przeze mnie. Nie należy do drobnych przeczeń przywiązywać istotnej miary, nie one decydują o wartości dzieła. W każdym rękopisie jest ich mnóstwo. Normalnie rękopis przed wydrukowaniem jest „czyszczony” przez recenzentów lub kolegów, ewentualnie przez promotora a później przez redaktora. Ze zrozumiałych względów konspiracji Krzyżanowski mógł z tej pomocy korzystać tylko w ograniczonym zakresie. Redaktor teraz jest w o wiele trudniejszej sytuacji, niż gdyby redagował pracę żyjącego autora. Tam, gdzie w grę wchodziły ewidentne pomyłki i błędy faktograficzne poprawiłem je bez omówienia. Nie mogłem jednak tego uczynić, gdy na pomyłce wspierała się dalsza konstrukcja logiczna lub chociażby stylistyczna.

Pasja autora i apologetyczny stosunek do polskiej polityki zagranicznej jest źródłem nie tylko nieadekwatnego w stosunku do rzeczywistości przedstawiania polityki wobec Czechosłowacji, połączonego z niezbyt ścisłym trzymaniem się chronologii wydarzeń, ale nawet dość swoistego przedstawienia genezy sojuszu polsko-angielskiego, zawartego w 1939 roku. To nie Polska była stroną wybierającą lecz Anglia. Ale to są sprawy, które czytelnik przy pewnym minimum odczytania sam sobie skoryguje.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę na jedną sprawę dyskusyjną, o dużym znaczeniu historycznym, mianowicie sprawę odsunięcia się Aleksandra Skrzyńskiego od aktywnej działalności politycznej po przewrocie majowym. Krzyżanowski pisze, że Skrzyński nie wierzył w trwałość rządów pomajowych. Można i tak, ale to jest już dość odległa derywata prawdy elementarnej. Ten nieprzejętny mąż stanu, stanowczo zbyt mało doceniany w Polsce, należał do tej grupy konserwatystów krakowskich, którzy rękojmię trwałości i rozkwitu państwa widzieli w unowocześnieniu struktury kraju — inaczej niż dla Krzyżanowskiego, „masy ludowe” nie były dla niego abstrakcją. Dlatego odmówił wejścia w skład rządu, gdy dowiedział się, że Piłsudski, wbrew oczekiwaniom, nie zamierza zaprosić doń socjalistów.

Śluszne oceny Stalina i sowietyzmu w pewnych miejscach zostały, moim zdaniem, zbyt daleko rozciągnięte na społeczeń-

stwo rosyjskie, ale stan ruchów społecznych albo lepiej: stan bezruchu społecznego w Związku Sowieckim za życia autora poglądy ten usprawiedliwia.

Autor nie przygotował materiału do druku, chyba nie bardzo nawet liczył się z prawdopodobieństwem jego szybkiego wydrukowania. Przed wydawcą stało trudne zadanie nadanie pracy charakteru całościowego. Trzeba było usunąć fragmenty, których miejsce stanowczo byłoby właściwe w innych ramach chronologicznych. Liczne powtórzenia przeciążyły też objętość pracy. Czułem się zmuszony niektóre fragmenty usunąć. Zostały one zaznaczone kłamrą kwadratową [...]. Podobnie zostały zaznaczone miejsca opuszczone z powodu nieczytelności tekstu. Tych ostatnich było zresztą niewiele.

Józef LEWANDOWSKI

11 listopada 1972

Książki

Tractaculum mythologico-philosophicum

Sądy są albo pewne i nieinformatywne, albo informatywne i niepewne. Dlatego poznanie metafizyczne pretendujące równocześnie do pewności i informatywności jest niemożliwe zasadniczo.

Isaiah Berlin, „*The Age of Enlightenment*”.

Termin „mit” w tytule i tekście świeżo wydanej książki* Leszka Kołakowskiego jest synonimem terminu „metafizyka”. Obejmuje on wszelkie sądy pozbawione podbudowy empirycznej, tzn. zdania typu: „Bóg rządzi światem”, „historia ma określony cel”, „istnieje obiektywne dobro i zło”. Naczelną tezę książki jest dualizm świadomości ludzkiej, nieunikniona współobecność wiedzy pozytywnej i mitu, fizyki i metafizyki.

Linia rozumowania autora przebiega trzy punkty: 1) — ukazanie obecności mitu u samych podstaw myślenia: postrzegania, rozumowania i wartościowania; 2) — analizę roli mitu w świadomości i kulturze; 3) — refleksje nad autonomizacją mitu i jego prawomocnością na równi z wiedzą empiryczną.

Nauka i mit stanowią niekomplementarne porządki myślowe; wspólną dla nich płaszczyznę — zdaniem autora — ustanawia fakt, że zaspakają one dwie różne potrzeby umysłu: nauka przedłuża się w opanowanie materii, mit zaś nadaje światu sens. W przyjętym przez Kołakowskiego znaczeniu „sens” jest uzasadnieniem istnienia; rzecz lub zjawisko ma sens, jeśli jest niezbędną częścią jakiejś całości. W tym znaczeniu mówienie o sensie czegoś wymaga znajomości obejmującej to coś całości. Można więc po-

* Leszek Kołakowski, „*Obecność mitu*”. Instytut Literacki, „Biblioteka Kultury”, t. 224, Paryż, 1972.

wiedzieć, że serce ma sens z uwagi na budowę żywego organizmu, można nawet zastanawiać się nad sensem pojedynczego organizmu w odniesieniu do gatunku. Gdy jednak pytamy o „sens” gatunku lub o „sens” świata, brak nam wiedzy o szerszej, „absolutnej” całości. Tę brakującą „wiedzę” można sobie dofantazjować, ale nie można jej udowodnić. To właśnie jest metafizyka.

Pozytywista powie, że pytania, na które odpowiedź dać może tylko metafizyka, są bezsensowne. Anty-pozytywista Kołakowski powiada, że pytania te są wyrazem prawomocnej potrzeby; skoro odpowiedzieć na nie może mit, mit ma prawo istnienia. Ponadto — mówi Kołakowski — przypisywanie wyższej wartości wiedzy empirycznej samo jest zabiegiem metafizycznym. Wartościowanie jest porządkiem zjawisk względem wartości podstawowej, ale sama ta wartość — to mit. Ściślej: jest ustanowiona arbitralnie i żeby ją uzasadnić trzeba odwołać się do mitu. Innymi słowy: podział na „fizykę” i „metafizykę” ma u podstawy arbitralną opcję. Jej arbitralność legalizuje — zdaniem Kołakowskiego — współistnienie tych dwóch porządków.

Arbitralność wartościowania oznacza ponadto, że wszystkie dziedziny życia na nim oparte (prawo, moralność, estetyka) są podobnie „pozanaukowe” — ustanowione mocą *fiat*, lub zakorzenione w micie. Jeśli służą człowiekowi, to u podstaw tej służby leży uznanie wartości ludzkich spraw. Ich sens funkcjonalny jest wynikiem tej akceptacji, nie na odwrót.

Ujawnianie mitycznych — a co najmniej: arbitralnych — podstaw myślenia sięga jeszcze głębiej, dotyka zwłaszcza „nieufundowania ostatecznego” kategorii *istnienia* i *logicznego wnioskowania*. Warto się nad tym zagadnieniem zatrzymać.

Mówimy, że coś, co postrzegamy — „istnieje”. Ale co to właściwie znaczy? Wyłożę rzecz po swojemu, bo o ile dobrze rozumiem wywód Kołakowskiego, wnioski nasze są podobne.

Oglądając (a także: dotykając, wążąc, etc.) jakiś przedmiot, np. stół, doznaję pewnych wrażeń, ale wrażenia te są *we mnie*, w mojej świadomości. Twierdzenie, że stół jest *poza mną* i że wiem *jaki* jest — jest już wnioskiem z moich wrażeń. Sformułował to Berkeley w sławnej formule: *esse est percipi* — „istnieć — to być postrzegany”. Logicznie formuła ta jest nie do obalenia; nie musi jednak prowadzić do idealizmu. Gdy potraktujemy ją jako definicję pojęcia „*esse*”, łącznik *est* traci znaczenie „jest elementem zbioru” i staje się równością definicyjną. To pozornie scholastyczne rozróżnienie pozbawia pojęcie „istnienia” charakteru tajemniczej, metafizycznej „jakości”. Z tego nowego punktu widzenia słowo „istnieć” okazuje się zbiorczym wyrażeniem, oznaczającym: „dawać o sobie znać za pomocą pewnych sygnałów”. Mówiąc, że stół istnieje, mówię w istocie,

że odbieram — lub: kiedyś odebrałem — pewne jego „sygnały” (np. odbite od niego promienie światła, ucisk na zakończenia nerwowe ręki, itd.).

Percepcja jest komunikacją i to jednostronną: od przedmiotu do „podmiotu”. Zauważmy, że z tego punktu widzenia mówienie o „istnieniu” rozpada się na dwa elementy: (1) *hipotezę*, że moje wrażenia są rzeczywiście sygnałami czegoś od mej świadomości niezależnego (innymi słowy: że stół nie jest moim ommem); (2) *przeświadczenie*, że wrażenia-sygnały informują mnie w sposób dostateczny o ich źródle (innymi słowy: że wiem, jaki jest „naprawdę” stół). Oba te elementy są mało „naukowe”: hipoteza (1) nie jest niezbitnie pewna; przeświadczenie (2) jest bezpodstawne i często okazuje się fałszywe. Wiedza np. o strukturze atomowej materiału z którego robi się stoły jest świeżej daty i niekompletna; nigdy więc nie mam podstaw do twierdzenia, że znam istotne cechy stołu — jako że w tym celu musiałbym znać najpierw wszystkie sygnały, „nadawane” przez stół.

Dotyczy to nie tylko stołów. Mówiąc po prostu, wiemy o rzeczach tylko coś nie coś. Na skutek tego termin „istnienie” nie ma sprecyzowanego sensu: jest prowizorycznym określeniem, odnoszącym się do uchwytanego dla nas wycinka spektrum *wszystkich możliwych* informacji o danym przedmiocie. Jest nie tylko wątpliwe, czy kiedykolwiek poznamy owo „wszystko”, ale można też wątpić o samej możliwości takiego poznania, z przyczyn zasadniczych. „Wszystko” można poznać tylko pod warunkiem, że jest ono skończone i przeliczalne. Nasza percepcja — w ogóle: zasada percepcji — jest „dyskretna”, tzn. nieciągła; dlatego mówimy o osobnych „cechach” przedmiotów. Nic jednak nie wyklucza możliwości, że substrat naszych wrażeń ma naturę ciągłą, jak *glissando* na skrzypcach. W tym zaś wypadku każdy „zbiór cech” będzie mocy *continuum*, czyli potrafimy go — w najlepszym razie — ogarnąć w sposób jedynie przybliżony, podobnie jak np. *glissando* na fortepianie jest jedynie przybliżoną repliką *glissanda* skrzypcowego. Z tej przyczyny problem „pełnego poznania” dość dosłownie przypomina kwadraturę koła, zaś bez takiego poznania pojęcie „istnienia” zawsze pozostanie niedookreślone.

Innymi słowy: posługiwanie się terminem „istnienie” jest pewnego rodzaju uzurpacją, a legitymizacja tego użytku osiągalna jest tylko drogą metafizyczną, czy — jak powiada Kołakowski — przez odwołanie się do mitu. Stabilizację ruchomych piasków istnienia może dać jedynie ufność, że nasza niedoskonała intuicja jest trafna; gwarantem jej zaś może być tylko jakiś „byt konieczny”: Bóg, który stworzył ludzi na swoje podobieństwo; odwiecz-

na materia, która sama siebie „odbija” w umyśle; samopoznający się Duch-Absolut, itp. Cóż jednak gwarantuje istnienie samych gwarantów? Tylko mit.

Bez gwarancji również — twierdzi Kołakowski — posługujemy się zasadami logiki. Ich istnienie jest — jak mówią fenomenolodzy — „heteronomiczne”, tzn. istnieją tylko w ludzkim umyśle, w podobny sposób jak istnieje np. V Symfonia czy alfabet łaciński — ale w przeciwieństwie do innych tego rodzaju tworów ich istnienie wydaje się konieczne. Skąd bierze się konieczność — a tym samym: pewność — reguły logicznego wnioskowania? Z czterech odpowiedzi, jakie na to pytanie wypracowała filozofia, Kołakowskiego zadawała jedynie rozwiązanie Husserla: że reguły logiczne nie są danymi istnienia, a jedynie postulatami. „Tak trzeba myśleć, jeśli się chce myśleć poprawnie”. Postulat, to arbitralność; z tego punktu widzenia i tu więc znika twardy grunt, a zaczyna *Abgrund* czy wręcz *Ungrund*.

Nie chcę nadużywać cierpliwości czytelnika, ale jest to punkt newralgiczny i należy mu się uwaga. Jeśli odetnie się logikę od pewności, mit pożre wszystko. Myślę, że trudno tu zgodzić się z Kołakowskim.

Husserlowskie wyjaśnienie pewności logiki nie jest przekonujące; nie jest pewne, czy nie ma w nim błędnego koła. Bardziej przekonującą wydaje się interpretacja empirystów, traktujących logikę jako wypreparowaną z języka strukturę, bez której nie ma komunikacji. Terminu „język” nie należy oczywiście identyfikować wprost z językiem naturalnym. Można by tu użyć tak ulubionej przez marksistów formuły: „język jest bezpośrednią rzeczywistością myśli”; w sensie nie-naiwnym nie znaczy to bynajmniej, że myślimy słowami, tylko że wszelka działalność myślowa jest w samym zaraniu symboliczna.

Przedstawiłem powyżej ujęcie percepcji jako komunikacji. Chodzi teraz o rzecz następującą: skoro postrzeganie jest odbiorem sygnałów, *ipso facto* istnieje rozróżnienie sygnału od braku sygnału. Mówienie, że coś „pojawia się” w polu świadomości jest w istocie stwierdzeniem, że tego czegoś tam przedtem nie było. Stwierdzenie to jest możliwe tylko dzięki pamięci. Bez pamięci nie ma rozróżnienia; bez rozróżnienia nie ma informacji; bez informacji nie ma percepcji; bez percepcji nie ma „istnienia” w jakimkolwiek sensownym znaczeniu tego terminu. Pamięć zaś z założenia konstrukcyjnego działa na zasadzie symbolicznej — czyli „językowej”.

Percepcja — i szerzej: świadomość — jest działalnością urzędzenia z pamięcią; można by więc rzec, że immanentne zasady konstrukcyjne „samoobjawiają się” w tej działalności. Np. roz-

różnienie na „tak” i „nie”, czyli zasada wyłączonego środka (w dowolnej reprezentacji) zachodzi jedynie przy możliwości porównania dwóch stanów rzeczy: aktualnego i potencjalnego, tzn. z pamiętanego jako możliwy. Brzmi to mętnie, ale chodzi o rzecz następującą: negacja (a tym samym afirmacja) może być stosowana tylko do czegoś, co już znam; powiedzenie „nie ma tu stołu” oznacza, że wiem, iż stoły istnieją i zakładam, że stół mógłby tu być. I odwrotnie: jestem w stanie stwierdzić, że „coś jest” tylko dzięki temu, iż pamiętam, że tego czegoś przedtem nie było, lub że tego mogłoby nie być (choćby w tym sensie, że jeśli zamknę oczy, to przestanę to widzieć).

Reasumując: pewność logiki wydaje się pewnością analityczną. Logika jest *raison d'être* komunikacji, a percepcja jest jedną z tej komunikacji „stron”. Z tego punktu widzenia stosunek logiki do poznania nie stanowi zagadnienia kury i jaja; raczej można by rzec, że logika i poznanie są jednym jajem. Jeżeli jajo jest tylko jedno, to innej logiki nie ma; ta więc, która jest, jest konieczna. Jest więc pewna — bez mitu.

Skoro o tym mowa — nasuwa się dygresja na temat tzw. dialektyki. Termin ten wymyślił Hegel, spopularyzował zaś marksizm — i pojawia się on często w poważnych skądinąd kontekstach. Mało kto zdaje sobie w pełni sprawę, co kryje się za jego — niemetaforycznym — użyciem.

Pojęcie „dialektyki przyrody” oznacza w istocie przeniesienie aparatury, stosowanej do symboli — na rzeczywistość, i do słowni. Dialektyka przyjmuje, że operacje logiczne mają odpowiedniki w „istnieniu”, szczególnie, że istnieje realny, namacalny odpowiednik negacji i sprzeczności. Jest to rozumowanie tego samego typu, co np. twierdzenie, że ziemia pokryta jest siatką murków czy rowków — bo przecież na mapie widzimy siatkę południków i równoleżników.

Genezę „dialektyki” u Hegla łatwo pojąć: traktował on świat jako rodzaj żywego, rosnącego organizmu, który m.in. uczy się myśleć za pośrednictwem swych „pędów”, czyli ludzi. Świat jest jeden, czyli „jednorodny”, tzn. składa się z tej samej podstawowej „substancji”, która w formie czystej objawia się w tym, co jest najbardziej rozwiniętą jej postacią: świadomości ludzkiej (a szczególnie: świadomości profesorów zwyczajnych *Naturphilosophie*). Jest więc Duchem, a prawa duchowe — to logika (za czasów Hegla nie było logiki symbolicznej i termin ten oznaczał całą werbalną działalność dyskursywną). Ponieważ Duch jest uniwersalną substancją, prawa logiki są uniwersalne: odnoszą się i do myśli, i do tego, co — „niefilozoficznie” — traktujemy jako materialną rzeczywistość. Nie ma więc osobno logiki

i osobno praw fizycznych: jedno i drugie jest — z pewnymi poprawkami — tym samym, „dialektyką”. Tu następował przykład (znamiennie: biologiczny) — pączek zamienia się w kwiat, a więc kwiat jest „negacją” pączka; kwiat zamienia się w owoc, a więc owoc jest „negacją” kwiatu. Powstanie owocu jest więc „negacją negacji”. Co więcej: wszystko tu odbywa się tak samo, jak w sporze naukowym: pączek i jego „negacja”, kwiat — to „sprzeczność”, tak jak teza i antyteza; jednak „negacja negacji” daje syntezę: owoc. *Quod erat demonstrandum*. Zbyteczne dodawać, że takie użycie pojęcia negacji ma dokładnie ten sam sens, co np. logarytmowanie stołu.

Marks przejął tę „metodę” z całym dobrodziejstwem inwentarza; sławne „postawienie Hegla na głowie”, tzn. podstawienie na miejsce Ducha — materii, raczej tylko podkreśla jej groteskowość. Poruszam tę sprawę dlatego, że „dialektyka” nadal stanowi chlubę i filar marksizmu — wymienianego też z pewną rewerencją w książce Kołakowskiego. Wydaje się, że wszelkie próby tzw. wyłuskiwania racjonalnego jądra z tej doktryny pozostaną daremne, dopóki marksizm nie pozbedzie się tego kompromitującego składnika.

Wróćmy do głównego tematu. Można by rzec: cóż z tego, że logika jest pewna, skoro jej „materiał” jest niepewny?! Można odrzec: tak, istnienie jest niepewne — ale *niejednakowo* niepewne. Hipoteza istnienia stołów ma za sobą więcej (indukcyjnych, to prawda) racji, niż hipoteza istnienia centaurów. Indukcja jest podejrzana, ale mity są jeszcze bardziej podejrzane. Zarówno „zrozumienie”, jak „perspektywa” jakiej są w stanie dostarczyć, są w końcu przecież iluzją. W pewnych sytuacjach życiowych iluzja może być dobroczynna, wręcz niezbędna; przerażonym dzieciom opowiada się wszak bajki. Doświadczenie jednak zdaje się wskazywać, że przyjęcie rzeczywistości bajkowej jako zasady postępowania na dłuższą metę jest zgubne. A to niedobrze.

Zgadzam się z Kołakowskim, że wybór wartości jest — w sensie absolutnym — arbitralny; wiele jednak wskazuje na to, że w obrębie spłotu: „świadomość — istnienie” obowiązuje zasada *first things first*. W splocie pierwsza — jako wartość, nie jako „byt” — jest świadomość. Innymi słowy: za wyjściową wartość przyjąłbym zasadę obrony świadomości. Oznacza to m.in. troskę o nosiciela, czyli własne ciało, ale nie tylko. Strategie obronne rozbudowują się i prowadzą do przyjęcia wartości derywowanych: np. do przyjęcia zasady, że cudze świadomości mają takie same prawa. Wobec doświadczenia zmienności ludzkich sytuacji domaganie się powszechnego stosowania takiej strategii świadczy nie tyle o szlachetności, co o rozsądku „gra-

cza”. Świadomość jest bowiem bardzo bezbronna: jedynie umiejętnie lawirowanie za pomocą — też tylko częściowo — posłusznego jej nosiciela ocala na jakiś czas jej trwanie, przesycone w dodatku specyficznie ludzką wiedzą o nieuchronności końca. Ta wiedza też przyczynia się do urozmaicenia strategii.

Myślę, że to ujęcie zbiega się w wielu punktach z ujęciem Kołakowskiego. W jego rozważaniach przewija się często bergsonowska koncepcja kultury jako ekwiwalentu instynktu. Odnajmy dla przykładu interpretację, jaką Kołakowski daje służebności sztuki: „*Sztuka jest sposobem wybaczenia światu jego zła*”. Chodzi o to, że zło, brzydota, tragizm, wprowadzone w wartościowanie zorientowane na wrażenie piękna, nabierają „sensu”, uzyskują miejsce w budowli świata. Zaczynamy je „rozumieć”, a więc i „wybaczać” — tzn. znosić.

Podobnie można uośmamić stałe poczucie zagrożenia świadomości ze strony „osobnego”, tzn. niekontrolowalnego świata, z tym, co Kołakowski nazywa *fenomenem obojętności świata* i co uważa za wspólny mianownik różnych przejawów cierpienia. Ból fizyczny, śmierć bliskiej osoby, zawód miłosny — to oślepiające przypomnienia, że świadomość jest nieodwołalnie sama — i że jest tylko wątłym płomykiem wśród obojętnych żywiołów.

Różnicę stanowiska Kołakowskiego i mojego tutaj wobec mitu można by więc interpretować jako różnicę zdań co do skuteczności różnych strategii. Osobiście uważam, że najlepszą strategią obronną jest „rozpoznanie sytuacji”, czyli próba ustalenia, jak jest naprawdę. Pozytywistyczny upór przy kryterium sprawdzalności interpretowałbym jako instynktowne ustanawianie tego priorytetu. Kołakowski zaś nie hierarchizuje. Każdy mit, łagodzący „egzystencjalne nieszczęście”, jest właściwie prawomocny. Stąd koncepcja dwudzielności interpretacji świata: naukowej i mitycznej. Nie wydaje się ona przekonująca.

Poszukiwanie pewności i sensu nie posługuje się chyba świadomym „odwołaniem się do mitu”, tylko polega raczej na tworzeniu teorii rzeczywistości. Każda teoria wykracza poza bezpośrednie dane, ma więc w sobie zawsze coś z *science-fiction* — w dość dosłownym znaczeniu. Ale ten prowizoryczny status wiedzy uświadomiono sobie dopiero niedawno — i bynajmniej nie powszechnie. Większość teorii — szczególnie tych „szerszych” — zaczyna karierę jako *science*, i dopiero kończy ewentualnie jako *fiction*. *Science* zawsze zaś traktowano z powagą — aż do rozlewu krwi włącznie. Giordano Bruno został spalony w imię „*science*”, nie „*fiction*”, Genesiz.

Rację będzie miał każdy — pisze Kołakowski — *kto będzie ostrzegł przed groźbą mitu*; trop rozumowania ściele się jednak

w wyraźne „*ale...*”. Opalizujące pojęcie „mitu” u Kołakowskiego oznacza w istocie dwie rzeczy: metafizykę świadomą i metafizykę nieświadomą — mit w znaczeniu potocznym i „mit” w znaczeniu niepotwierdzonej „wiedzy”. Piękno, patyna i nieszkodliwość mitu w pierwszym znaczeniu przenoszą się na „mit” w drugim znaczeniu. Traktat Kołakowskiego przesycony jest wiarą w Dobry Mit, w mitologię bez mitomanii; wyczuwa się w nim nostalgię za „*restytucją mitu w jego godności pierwotnej*”, za mitem „*nie zwyrodniałym w doktrynę*”, za niezmaconą przez ludzką głupotę głębią „*klasycznych tekstów naszej cywilizacji*”: *Genesis*, *Politei*, *Bhagavadgity*. Mowa wprawdzie o „*potrzebie czujności wobec mitu*” — ale cóż może to znaczyć, jak nie jedynie: czujności wobec jego użytkowników? Mit jako autonomiczna rzeczywistość idealna jest skarbnicą wartości i pocieszycielką strapionych. To tylko źli ludzie robią zeń zły użytek.

Na pewno przejaszkawiam. Książka Kołakowskiego jest bogata, subtelna i bardzo piękna — w stopniu wręcz niebezpiecznym. Nic się tu nie twierdzi autorytatywnie — to tylko rozkład akcentów i półcieni znaczy kierunek myśli filozofa w gąszczu odwiecznych problemów ludzkich, rodząc pokusę podążenia jego śladem — bez zastrzeżeń. Z pewnym żalem pogrubiam ten ślad, żeby móc precyzować zastrzeżenia.

„Autonomiczność mitu”, odrzucenie hierarchii wiedzy pozytywnej i mitu, oznacza w praktyce degradację kryterium sprawdzalności, czyli rozgrzesza się i „uprawomocnia” tu *fiction* jako szczególnie rodzaj *science*. Wracamy znów do kwestii skuteczności strategii, stosowanych przez *unglückliches Bewusstsein* w samoobronie. Kołakowski daje pocieszeniu stanowisko równorzędne z „rozpoznaniem sytuacji”.

Myślę, że można to wytłumaczyć; pomijając osobiste predykcje autora, „*Obecność mitu*” ma kontekst socjologiczny.

Jak dowiadujemy się z noty odautorskiej, książka została napisana w Polsce w 1966 roku, złożona w „Czytelniku” w 1967, po czym „*zabiegi wydawnictwa o zezwolenie na publikację trwały lat pięć i pół i spęły na niczym*”. Problem kontekstu można podzielić na dwa pytania: dlaczego ta książka została napisana? dlaczego jej w Polsce nie wydano?

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest pozornie oczywista: książka powstała jako obrona pewnych wartości. Ale jakich? Ogólnie: kultury, a szczególnie: tego, jak to pojęcie jest w Polsce rozumiane. Traktat Kołakowskiego jest dla tego rozumienia — na najwyższym poziomie — reprezentatywny. To co powiem, zabrzmiałby boleśnie: ta kultura też jest w dużym stopniu mitem. Jest idealną rzeczywistością, zaludnioną abstrakcyjnymi wartościami, których realizacja w życiu codziennym jest utrudniona lub

niemożliwa. Rzekłbym nawet: tym bardziej abstrakcyjnymi, im bardziej niemożliwa. Uczestniczenie w tym micie — usymbolizowane choćby w idei „klubu inteligencji” — jest w dużym stopniu kompensacją frustracji, bezsilności i upokorzenia. Przy braku możliwości realnego działania — „myślenie ma kolosalną przyszłość”. W sytuacji przymusowego tylko-myślenia zarówno „nauka” jak „mit” pozostają tylko-słowami; sens oparty na sprawdzalności ulatnia się, znaczenia nabiera „sens” w znaczeniu metafizycznym. Mam tu na myśli to, o czym powiada inny klasyczny tekst naszej cywilizacji: „*można czuć się panem niezmiernych obszarów będąc zamkniętym w łupinie orzecha*”. Brak rzeczywistej przestrzeni rekompensuje się przez rozszerzenie spłotu „świadomości — istnienie” do ostatecznych granic, „człowieka” i „absolutu”; pośrednie stopnie istnienia tracą przy tym swoje znaczenie. Rodzi się poczucie intymnej więzi pomiędzy świadomością i Bytem — z pominięciem konkretów, na które i tak nie ma wpływu.

Wydaje się, że ten klimat romantycznego irracjonalizmu jest stałym zjawiskiem towarzyszącym społeczeństwu pogrążonym w stagnacji. Nie jest przypadkiem „*ex Oriente lux*” — azjatyckie despotyzmy, w których jednostka zawsze była zerem, najobficiej produkują od wieków tzw. głębię duchową, sąsiadującą zresztą o miedzę ze zdumiewająco ciasną praktycznością na co dzień. Obawiam się, że jest to właśnie przykład podwójnej świadomości: mitycznej i „technologicznej”.

Grasujący po Europie od początku XIX wieku romantyzm też nie zdaje się być przypadkiem — zbiega się z podupadaniem tego kontynentu. Współczesna moda na irracjonalizm w „karatejańskiej” Francji jest z tego punktu widzenia mniej zadziwiająca — i zaznacza zasięg tego zjawiska.

Książka Kołakowskiego jest też owiana tym klimatem. Jest obroną mitu „głębokiego”, zagrożonego przez mit płytki. Powiedzmy wprost — polityczny. Strategia obronna jest w istocie propozycją liberalizmu w imię solidarności w micie. „*Niech każdy uprawia swój mit*” — zdaje się brzmieć *message* książki.

Dysponujący mitem praktycznym nie dopuścili do jej wydania w kraju. Rzekłbym, że potwierdza to moje wątpliwości co do wartości samej strategii. Przyczyn szczegółowych nie-wydania można by pewnie wyliczyć z tuzin (np. zaznaczone przez autora powątpiewanie w „znajomość praw historycznych”, wspomniana już „czujność wobec mitu”, sama osoba Kołakowskiego, etc.), ale przyczyna ogólna jest jedna i trywialna: niezgoda na mitologizację tzw. „podstaw ideowych”. W odmowie publikacji brzmi wyraźne stwierdzenie: „*marksizm, partia, komunizm — to nie żadne mity, rozumiecie, tylko najczystsza nauka, o!*”.

Leszek Kołakowski jako marksista, a przynajmniej były marksista (na podstawie książki trudno coś o tym powiedzieć) mógł być to przewidzieć z góry. Mógł być to zresztą przewidzieć jako czytelnik „klasycznych tekstów naszej cywilizacji”: w „Państwie” Platona stwierdza się przecież, że podwładni muszą wierzyć dla wygody rządzących w mit, który nadaje „sens” ich kondycji; stwierdza się też, że pod żadnym pozorem nie wolno ich uświadamiać, iż mit ten jest, hm, cyniczną bujdą.

Powiedz ktoś, że zakłada to z góry złą wiarę dysponentów „podstaw ideowych”. Odpowiem, że odrzucenie książki Kołakowskiego świadczy o złej wierze. W istocie bowiem traktat ten wytycza jedyną sensowną linię obrony — mitologizację — doktryn, których nieugruntowanie empiryczne jest oczywiste, a których mimo to nie chce się w dobrej wierze porzucić. Jedyną inną obroną jest „platońska”, w złej wierze: przemilczeć. Dla wszelkiej pewności. Istnieje niemieckie określenie: *idiotensicher*.

Dobrze się stało, że oxfordzki Leszek Kołakowski pozwolił się wypowiedzieć warszawskiemu. Ukazanie się „Obecności mitu” potwierdza obecność Leszka Kołakowskiego — mimo zmiany adresu. A poza tym i przede wszystkim: ta książka to przygoda umysłowa najwyższej klasy! Wyszukana zwięzłość i precyzja tej refleksji nadają tekstowi charakter dzieła sztuki — ową „niezastępowalność”, odróżniającą poezję od prozy. Filozofia i poezja? Jeżeli rację mają pozytywiści, że nie można mówić „sensownie” o metafizyce z przyczyn zasadniczych, to takie połączenie jest przypuszczalnie jedynym sposobem ustanowienia komunikacji w tej materii. „*Wovon man nicht sprechen kann, darüber muss man dichten*”.

M. BRONSKI

O logice norm

Miał na temat logiki norm napisać dla czytelników *Kultury* Henryk Skolimowski¹, ale wymówił się od tego, wyznając z właś-

1. Profesor filozofii uprzednio w University of Southern California, w Los Angeles, a od obecnego roku akademickiego w Ann Arbor University w Michigan, autor m.in. *Polish analytical philosophy*, Londyn, Routledge and Kegan Paul, 1967, seria „International Library of Philosophy and Scientific Method”, i *Polski marksizm*, Londyn, Odnova, 1969.

ciwą sobie otwartością: „Musiałbym nad tym siedzieć i siedzieć. A i tak trzeba by mi potem dać swój tekst do przejrzenia komuś, kto się na tym lepiej zna. Czy więc nie prościej, by logikę norm przedstawił jakiś specjalista?”. I tak przyszło to zrobić autorowi *Logique des normes* (Paryż, P.U.F., 1972, seria „Le Philosophe”, nr 103) i *Etudes de logique déontique* (Paryż, L.G.D.J., 1972 seria „Bibliothèque de Philosophie du Droit” nr 13). Niewątpliwie, sprawa to dla niego łatwiejsza niż dla jego kolegi zza oceanu. Ale zarazem bardzo żenująca, bo niesposób mu nie pisać również i o samym sobie. Dlatego, przyjmując ostatecznie propozycję, prosi gorąco Czytelnika o wyrozumiałość ze względu na okoliczności.

Jak każdy od razu widzi, w tytułach wymienionych dopiero co książek występują dwie nazwy: „logika norm” i „logika deontyczna”. Przy pewnym, szerszym, a równocześnie i mniej sprecyzowanym znaczeniu, stają się one synonimami. Tak też są traktowane wew zmianowanych pracach. Ale już dla takiego G. H. von Wrighta na przykład, logika i filozofa finlandzkiego, który najbardziej przyczynił się do rozpowszechnienia się terminu „logika deontyczna”, istnieją dwie równoległe logiki mogące nosić, jedna i druga, nazwę „logika deontyczna”, mianowicie logika norm i logika zdań o normach (normą jest wyrażenie takie jak: „*Należy jeździć prawą stroną*”, a zdaniem o tej normie wyrażenie: „*Został wydany przepis: 'Należy jeździć prawą stroną'*”). Jasne jest, że gdy wyrażenie „logika deontyczna” jest używane jako synonim wyrażenia „logika zdań o normach”, to przestaje już być synonimem wyrażenia „logika norm”. Dodajmy, że dla pewnych kontynuatorów G. H. von Wrighta, dla Ziembę powiedzmy, logika deontyczna jest wyłącznie logiką zdań o nakazach². Zdaniem tego ostatniego logika nakazem jest wyrażenie o budowie: „*Każde X niech będzie Y*”, a zdania o nakazach brane przezeń pod uwagę przybierają m.in. postać: „*Każde a ze względu na n ma obowiązek być b*”, przy czym „n” jest zmienną indywidualną, za którą wolno podstawiać nazwy zbiorów nakazów, np. „Kodeks Napoleona”.

Ale czy norma jest nakazem?... Niektórzy utożsamiają jedno z drugim. Coraz częściej jednak, śladem Husserla, Marii Ossowskiej czy G. H. von Wrighta i szeregu innych autorów, odróżnia się oceny, normy i rozkazy (terminu „rozkaz” używamy jako synonimu nazwy „nakaz”). Wszystkimi trzema kategoriami wypowiedzi zajmuje się *logika praktyczna* w arystotelesowskim słowa znaczeniu, tj. logika wypowiedzi, do istoty których należy wyłącznie i bezpośrednio kierowanie działaniem. Zwięzły obraz jej historii i stanu obecnego daje wzmiankowany już dwukrotnie G. H. von Wright w *The Logic of Practical Discourse*³. Tak rozumiana logika praktyczna obejmuje trzy działy: *logikę ocen*

2. *Logika deontyczna jako formalizacja rozumowań normatywnych*, Warszawa, PWN, 1969.

3. W *Contemporary Philosophy* ed. by R. Klubansky, Firenze, La Nuova Italia Editrice, 1968, str. 141-167.

zapoczątkowaną przez Edmunda Husserla⁴, logikę rozkazów naznaczoną przez N. Reschera⁵ i interesującą nas tu logikę norm.

Ta ostatnia uchodzi — i słusznie — za całkiem nową gałąź logiki, co autor niniejszych uwag zaznacza m.in. w samym tytule jednego ze swych artykułów⁶. Posiada ona jednak, jak się coraz lepiej okazuje przy dokładniejszym badaniu sprawy, długą i bogatą prehistorię. Zaczyna się ona, co nikogo nie zaskakuje, od Arystotelesa, u którego znajdujemy szereg tzw. sylogizmów praktycznych (głównie w traktacie *O ruchu zwierząt*) wplecionych niekiedy (ma to miejsce w *Etyce Nikomachejskiej*) w filozofię czynu. „Jeżeli człowiek powinien czynić to co dobre, a dobre jest chodzenie, to człowiek powinien chodzić” — píše np. Stagiryta. Uwagi jego stały się podstawą sylogistyki normatywnej pojętej jako swoista teoria logiczna, zaksjomatyzowanej i sformalizowanej w *Teorii zdań normatywnych*, której wersję francuską, pochodzącą jeszcze z 1953 (*Studia Logica*), podają na pierwszym miejscu, w przejrzanej redakcji, *Etudes de logique déontique*.

Pomijając różne drobniejsze przyczynki, przechodzimy od Arystotelesa do Leibniza. Być może, iż w międzyczasie niejedynemu logik, zwłaszcza średniowieczny, należący do tradycji czy to arabskiej czy to łacińskiej, wniósł też coś i do logiki norm. Nic jednak o tym, jak dotąd, nie wiemy, gdyż spuścizna starożytności i średniowiecza (ta ostatnia pozostająca nadal jeszcze w rękopisach często nie tylko nie odczytanych lecz nawet nie zidentyfikowanych) nie została na razie przebadana w całości pod tym kątem widzenia. Wiemy natomiast dzięki Robertowi Blanché, że *Elementa iuris naturalis*⁷ zawierają zarys szeroko zakrojonej logiki wyrażen normatywnych (*obowiązkowe, zabronione, dozwolone* itp.). Najważniejsze w tym względzie jest stwierdzenie przez Leibniza podstawowej analogii, która poszła w zapomnienie i którą skutkiem tego po kilkakroć następnie, w całości lub w części, ponownie odkrywano (m.in. A. Höfler w 1885, J. Ray w 1926, K. Menger w 1934, von Wright w 1951), a która zachodzi między wyrażeniami modalnymi (*koniecznie, niemożliwie, możliwe*), deontycznymi (*należy, nie należy, wolno*), kwantyfikującymi (*każdy, żaden, pewien*) i czasowymi (*zawsze, nigdy, czasem*). W oparciu o tę analogię Leibniz zarysowuje teorię opozycji między wyrażeniami deontycznymi (stwierdza np. że *żaden czyn obowiązkowy nie jest czynem niedozwolonym* itd.) i teorię stosunków między wyrażeniami deontycznymi i modalnymi (zau-

4. Próbę przedstawienia myśli Husserla w języku logiki współczesnej znaleźć można w G. Kalinowski, *La logique des valeurs d'Edmund Husserl* (*Archives de Philosophie du Droit* 13 (1968) str. 267-282); przedrukowane w *Etudes de logique déontique*.

5. N. Rescher, *The Logic of Commands*, London, Routledge and Kegan Paul Ltd. i New York, Dover Publication Inc., 1966.

6. *Une nouvelle branche de la logique: la logique déontique* (*Archives de Philosophie* 34 (1971) str. 3-36).

7. Znaleźć je można w Leibniz, *Sämtliche Schriften und Briefe*, Darmstadt, O Reichl Verlag, 6. Reihe, I. Band, N 12, fragment 125.

waża m.in., że *co jest obowiązkowe* — dla Leibniza jest obowiązkowym sprawiedliwe — *to co jest możliwe, a co jest niemożliwe jest tym samym niedozwolone* (tj. niesprawiedliwe). Te ostatnie stosunki są dziś badane we Francji, w sposób zupełnie niezależny od uwag na ten temat Leibniza, przez J. L. Gardiesę (*Essai sur les fondements a priori de la rationalité morale et juridique*, Paryż, L.G.D.J., 1972, cz. I, roz. II, III i IV).

Cały, wzmiankowany wyżej dorobek Leibniza poszedł, jak już zostało zauważone, w zapomnienie, a z nim i logika norm w ogóle. Do logiki tej zaczęto dopiero powracać w XIX wieku i na początku XX wieku, w szczególności B. Bolzano, A. Höfler, E. Husserl, P. Lapie, E. Mally, K. Menger (o nich wszystkich jest mowa w *Logique des normes*, a logika norm Husserla jest nadto przedmiotem osobnego studium, które zawierają *Etudes de logique déontique*). Za śladem i pod wpływem tych autorów coraz to większa liczba innych zaczęła zajmować się jak nie wprost logiką norm to przynajmniej gałęziami pokrewnymi logiki, na przykład logiką imperatywów (nawiasem mówiąc, nie należy mieszać imperatywu, tj. wyrażenia będącego, z gramatycznego punktu widzenia, zdaniem rozkazującym, z rozkazem; każdy rozkaz słowny wyrażony jest imperatywem, ale nie każdy imperatyw w wyżej podanym znaczeniu jest rozkazem; może być prośbą, radą lub czymś innym jeszcze). Wymienić tu należy na pierwszym miejscu W. Dubislava, J. Jorgensena, A. Rossa, Mc Kinseya i Hofstadtera, no i — *last but not least* — Rose Rand. Dopiero jednak lata 1951-1954 przyniosły pierwsze systemy, od ukazania się których autorami są — w kolejności ogłoszonych drukiem prac — G. H. von Wright, O. Becker, R. Blanché, E. Garcia Máynez, autor niniejszych uwag i H. N. Castaneda. Zupełnie odmiennymi i całkowicie niezależnymi, mimo pewnych nieuniknionych z natury rzeczy punktów zbieżnych, są systemy von Wrighta, Garcii Máyneza i piszącego te słowa. System Roberta Blanché, którego aksjomatyzację i formalizację znaleźć można w *Etudes de logique déontique* (w studium przedrukowanym z *Les études philosophiques* z 1968 roku), osiągnął swą pełnię pod pewnym wpływem refleksji nad pierwszymi pracami von Wrighta. Pokrywa się z nim w zasadzie system K_1 z *Teorii zdań normatywnych* z 1953 (patrz wyżej str. 204). System Beckera, choć wypracowany, zdaje się, niezależnie od systemu von Wrighta, jest mu niezmiernie pokrewny. Podobnie i system Castanedy, który jednak, jak można sądzić, wyrósł z przemyślenia systemu von wrightowskiego. Zastępuje na uwagę, że system Garcii Máyneza idzie drogą algebry predykatywów deontycznych, obraną, w pewnej mierze, blisko 200 lat wcześniej, przez Leibniza. *Teoria zdań normatywnych* przyniosła w rzeczywistości dwa systemy: K_1 formalizujący teorię opozycji w sferze wyrażen deontycznych i K_2 formalizujący z kolei sylogistykę normatywną, nad którą pracowała już uprzednio Rose Rand i do której powrócił ostatnio Z. Ziemba.

Tak przy konstruowaniu różnych tych systemów jak przedtem i potem, prace na terenie logiki norm szły, z grubsza biorąc,

dwutorowo, zależnie od tego, czy miały one za autorów logików, czy prawników. Pierwsi skłonni byli z miejsca tworzyć, w sposób w pewnym sensie mechaniczny, a nawet niekiedy i kombinatoryjny, systemy sformalizowane, dla których później szukałoby się interpretacji pozwalającej na stosowanie uzyskanych ostatecznie tą drogą reguł wnioskowania w życiu moralnym lub prawnym. Drudzy natomiast wychodzili raczej od badań analitycznych nad rzeczywistymi rozumowaniami moralnymi i prawniczymi, w szczególności nad rozumowaniami przeprowadzanymi w celu uzyskania uzasadnionych rozumowo norm moralnych lub prawnych. Chodziło tu, jak łatwo odgadnąć, o tzw. rozumowania normatywne, tzn. o wnioski, których wniosek jest normą i które skutkiem tego mają również normę za przesłankę lub przynajmniej za jedną z przesłanek (jeśli występuje ich więcej). Dopiero od wyników tych badań starano się wznieść do konstrukcji odpowiedniego systemu dedukcyjnego, zaksjomatyzowanego i zformalizowanego, o z góry wobec tego ustalonej początkowej interpretacji i takim zastosowaniu tejże. Do pierwszej grupy zaliczyć można logików jak G. H. von Wright, A. R. Anderson, A. N. Prior i wielu innych, do drugiej z kolei autorów jak L. Philipps, I. Tammelo i Z. Ziemba.

Logique des normes daje syntetyczny obraz wszystkich tych dociekań i ich wyników, poddając nierzadko krytyce jedne i drugie. *Etudes de logique déontique*, poza *Théorie des propositions normatives* i studiami, które rozwijają systemy K_1 i K_2 , względnie starają się pokazać ich zasadność i znaczenie, poświęcone są omówieniu kilku ważniejszych systemów (von Wrighta, Blanché'go, Rossa, Ziemby i Husserla), omówieniu, które uzupełnia przegląd współczesnej problematyki logiki deontycznej (*Les thèmes actuels de la logique déontique*), drukowany uprzednio w polskich *Studia Logica*.

Dociekania, których wynikiem jest współczesna logika norm (logika deontyczna), zaczynają się od bardzo prostych stwierdzeń, stwierdzeń, które każdy zdolny jest poczynić i tak banalnych, że aż można się dziwić zajmowaniu się nimi. Weźmy dla przykładu dwa:

- (1) *Jeśli Piotr powinien powiedzieć prawdę, to Piotr ma prawo powiedzieć prawdę.*
- (2) *Jeśli każdy człowiek powinien postępować sprawiedliwie, a dotrzymywanie danego słowa jest postępowaniem sprawiedliwym, to każdy człowiek powinien dotrzymywać danego słowa.*

Pomijając treść wyrażań (1) i (2), którą się logik jako logik nie zajmuje, ich struktura formalna, główny przedmiot badań logika, jest tak nie skomplikowana że aż wprost nie ciekawa. A jednak i nad nią warto się zastanowić jak nad czymkolwiek bądź innym. Refleksja zawsze otwiera horyzonty. W naszym wypadku sprawy stają się z miejsca zagmatwane i niejasne. I czym głębiej w las, tym więcej drzew. Czy w wypowiedziach (1) i (2) jest coś zmuszającego do wyjścia poza logikę zdań stwierdza-

jących (w średniowieczu, po łacinie, nazywano je zdaniem *de inesse*)? Już w starożytności i w średniowieczu wiadano, że poza logikę tych zdań wychodzi właśnie logika zdań modalnych (zdania *de modo*). Otóż czy wyrażenia deontyczne są rzeczywiście analogiczne do wyrażań modalnych? Jaka jest waga tej analogii? Co z niej wynika? Czy można tworzyć logikę norm przez analogię do logiki zdań modalnych? Czy normy są w ogóle dla logika zdaniami? Czy podpadają pod kategorie prawdy i fałszu? Jak się przedstawia sprawa negacji na terenie norm? Co tu może być negowane? Jakie są rodzaje występujących w tej dziedzinie negacji? Jakie są tych negacji właściwości? Czy jesteśmy jeszcze na terenie dwuwartościowości? itd., itd.

Ale nie mnożmy już tych pytań, które i tak trzeba, z uwagi na dopuszczalne rozmiary niniejszych uwag i czasopismo, które je zamieszcza, pozostawić bez odpowiedzi. Stwierdźmy tylko krótko, że badania logiczne nad normami prowadzą do szeregu innych badań pokrewnych, m.in. do dociekań semiotycznych nad językiem prawa lub moralności i nad językiem prawników lub moralistów, oraz do ukonstytuowania się tzw. informatyki prawniczej. *Semiotyka* jest potrójną nauką mającą za przedmiot jakiś język (początkowo był to jakiś język sformalizowany, język takiego lub innego sformalizowanego systemu logiki lub matematyki; dziś semiotyka rozciąga swe badania i na języki nie sformalizowane, w tym i na języki naturalne, badane jednak w tym wypadku nieco inaczej niż to czyni lingwistyka): bada ona stosunki zachodzące między samymi znakami językowymi (*syntaktyka*), między znakami językowymi a rzeczami, względnie stanami rzeczy oznaczanymi (*semantyka*) i między znakami językowymi a osobami posługującymi się nimi (*pragmatyka*). Z zakresu badań semiotycznych nad językiem prawa wymieńmy dla przykładu: z prac już dawniejszych — Br. Wróblewskiego, *Język prawny i prawniczy* (Prace Wydziału Prawa UJ, 1948), a z prac nowszych — E.-J. Lampe'go, *Juristische Semantik* (Bad Homburg v.d.H., Gehlen Verlag, 1970). *Informatyka prawnicza* jest natomiast techniką konstruowania komputerów zdolnych udzielać prawnikowi pewnego rodzaju informacji potrzebnych mu w jego pracy zawodowej, w szczególności informacji o obowiązujących normach prawnych. Zagadnieniom teoretycznym informatyki prawniczej poświęcone jest m.in. czasopismo *Systema* wydawane przez Uniwersytet w Turynie (Edizioni del Poligramma). Budowa odnośnych komputerów uzależniona jest m.in. od zarytmetyzowania języka wchodzącego w grę, na przykład języka prawniczego, co wymaga w tym wypadku wzięcia pod uwagę również wyników logiki norm. Arytmetyzacja, o której mowa, polega na zastąpieniu poszczególnych wyrażań przez odpowiednio dobrane liczby, które mogą być, jak wiadomo, zapisywane na różne sposoby, m.in. wyłącznie przy pomocy cyfr „0” i „1” ogromnie wygodnych w tej sytuacji, gdyż pozwalających na łatwe powiązanie odnośnych liczb z sieciami o kontaktach otwartych (biernych) lub zamkniętych (czynnych). Bardzo pomysłową technikę takiej

arytmetyzacji właśnie języka prawniczego, arytmetyzacji opartej m.in. na logice deontycznej, proponuje M. Sánchez Mazas w referacie *Le calcul automatique des normes et propositions juridiques* zgłoszonym na międzynarodowy kongres informatyki we Florencji (październik 1972)⁸.

Okazuje się więc ostatecznie, że logika norm (logika deontyczna), niewątpliwie bardzo wyspecjalizowane odgałęzienie logiki, dyscyplina treściowo dla wielu być może zupełnie nie ciekawa, a technicznie nawet, niewykluczone, wprost odstręczająca, w każdym zaś razie zdająca się pociągać jedynie umysły o bardzo szczególnych i rzadkich zainteresowaniach teoretycznych, wymagających wysoce abstrakcyjnego sposobu myślenia, jest jednak w istocie nauką leżącą u podstaw pewnych praktycznych realizacji technicznych, niezwykle dla życia ważnych, choć dotyczących bezpośrednio pewnej określonej jego sfery. Równocześnie zaś związana jest bardzo ściśle z jednymi z najważniejszych życiowo problemów filozofii człowieka: z problemem sposobów i środków uzasadniania norm ludzkiego postępowania, z problemem wartości logicznej norm moralnych i prawnych (problemem wyrażającym się w pytaniu, czy normy te podpadają pod kategorie prawdy i fałszu) i ostatecznie z problemem charakteru racjonalnego, względnie irracjonalnego moralności i prawa. Czymkolwiek bowiem się zająć umysłowo, co nas w jakiś sposób dotyczy, nieuniknienie przychodzi prędzej czy później zająć postawę odnośnie do istoty człowieka i sensu ludzkiego życia, od czego zależy rozwiązanie wymienionych wyżej problemów. Normy naszego postępowania i ich logika nie stanowią tu bynajmniej wyjątku.

Jerzy KALINOWSKI

8. Referat ten ukazuje się w *Archives de Philosophie du Droit* 18 (1973).

Antologia Baudouin de Courtenay

W Stanach Zjednoczonych ukazała się niedawno antologia prac lingwistycznych najwybitniejszego polskiego językoznawcy, jednego z twórców współczesnej lingwistyki strukturalnej, Jana Baudouina de Courtenay. Materiały zawarte w antologii zostały opracowane, opatrzone komentarzami i bibliografią, oraz przetłumaczone na język angielski przez Edwarda Stankiewicza, profe-

sora lingwistyki i slawistyki na uniwersytecie Yale*. Antologia daje doskonałe pojęcie o podstawowych kierunkach myśli lingwistycznej Baudouina, nie przekraczając przy tym objętością średnio dużego tomu. Czytelnik znajdzie tu prace, lub wyjątki z prac z wielu dziedzin lingwistyki, od językoznawstwa ogólnego do słowiańskiego, od fonologii do morfologii, od typologii czy patologii języka do historii językoznawstwa. Świadczą one o niezwykle wielostronności naukowej Baudouina, o jego nadzwyczaj bogatej wyobraźni twórczej, dzięki której nawet najwcześniejsze jego studia, napisane w 70-tych i 80-tych latach ubiegłego stulecia, nie tylko zachowują aktualność, ale wciąż jeszcze uderzają swym nowatorstwem.

W obszernym wstępie do antologii Stankiewicz omawia znaczenie teorii Baudouina w kontekście rozwoju myśli lingwistycznej XIX i XX wieku od Humboldta do Jakobsona. W szczególności przeciwstawia on prace Baudouina lepiej znanym pracom wielkiego lingwisty genewskiego Ferdynanda de Saussure'a. Choć słynny saussurowski *Cours de linguistique générale*, wydany pośmiertnie w 1916 roku, jest często uważany za najbardziej pionierską pracę dwudziestowiecznej lingwistyki, to jednak, jak przekonywująco dowodzi Stankiewicz, myśl naukowa Baudouina zachowała więcej wagi dla dzisiejszego językoznawstwa, niż teorie jego szwajcarskiego rówieśnika. Podczas gdy de Saussure widzi w systemie języka zbiór usystematyzowanych stosunków relacyjnych, w których rolę główną grają układy formalnych opozycji bez względu na ich treść, to dla Baudouina różnice formalne są równie istotne jak i zawartość każdego członu opozycji. System baudouinowski uwzględnia wielowarstwowość języka uzależniając ją od czynników społecznych, emocjonalnych, gwarowych i psychologicznych. Tym samym zanika w nim ostra i sztywna saussurowska granica między historią języka a jego stanem na danym etapie rozwoju, czyli różnica między diachronią a synchronią. Dla Baudouina współistnienie kilku norm w jednej strukturze jest źródłem dynamiki języka. Jak słusznie pisze Stankiewicz, opozycje uznawane przez Baudouina są mniej biegunowe niż opozycje de Saussure'a, a przez to okazują się bardziej realistyczne i płodne. Dlatego też „nie ma chyba zagadnienia we współczesnych badaniach lingwistycznych, które by w jakiejś mierze nie było inspirowane przez Baudouina”. W szczególności jego idee lingwistyczne wywarły wielki wpływ na tzw. szkołę praską, teoretycy której, z Rosjanami Trubieckim i Jakobsonem na czele, rozwinęli i zastosowali szereg pojęć wprowadzonych i zdefiniowanych po raz pierwszy przez Baudouina (fonem, morfem, cecha dystynktywna, alternacja i inne).

Mówiąc o udziale Baudouina w rozwoju myśli lingwistycznej, warto przypomnieć, że praca naukowa nie zaprzętała bez reszty jego genialnego umysłu. Ten Polak pochodzenia francuskiego

* *A Baudouin de Courtenay Anthology: The Beginnings of Structural Linguistics*. Translated and edited with an introduction by Edward Stankiewicz. Indiana University Press, Bloomington & London, 1972.

który najbardziej twórcze lata swego życia spędził w Rosji miał wszystkie dane po temu, by uważać się za obywatela świata. Wszelkie granice, które nie miały podłoża językowego były dla niego czymś nienaturalnym i szkodliwym. Z podziwu godną odwagą i pasją tępił on wszelkie przejawy szowinizmu, nietolerancji wyznaniowej i niesprawiedliwości społecznej. Owym aktywizmem politycznym ścigał na siebie gniew zarówno ludzi małych jak i możnowładców. Gdy w roku 1898 ogłosił w Krakowie broszurkę pod tytułem „Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomyślniej”, w której potępiał fałszywą fasję podatkową praktykowaną przez kamieniczników krakowskich, został prawie że przepędzony z miasta. Za broszurę atakującą imperializm rosyjski „Nacionalny i territorialny pryznak awtonomii”, opublikowaną w Petersburgu w 1913 roku przesiedział kilka miesięcy w twierdzy. Z drugiej strony jego nieugięte prawa, idealistyczna postawa zyskiwała mu zwolenników wśród tych, którzy uważali go za swojego rzecznika i obrońcę. Na wyborach 1922 roku kandydował na prezydenta państwa i został poparty przez wszystkich przedstawicieli mniejszości narodowych. To co mu się wydawało prawdą mówił prosto w oczy nie uznając uprzejmościowych niedomówień. Choć przez całe życie walczył z antysemityzmem, to jednak widział i otwarcie wytykał Żydom ich megalomanię i „antygojizm”. Żył według swojej własnej parafrazy łacińskiej maksymy: *De mortuis sicut de vivis nihil nisi verum*.

Pisma publicystyczne Baudouina, rozsypane po wielu trudnych dziełach do zdobycia w periodykach, wciąż zachowują swą aktualność i świeżość. Sądzę, że czytelników *Kultury* zaciekawia kilka przykładów politycznych wypowiedzi Baudouina zaczerpniętych z dostępnych mi publikacji.

Oto kilka zdań o mechanizmie ruchów masowych, które cytuję z odczytu pod tytułem „O zjeździe sławistów”, wygłoszonego przez Baudouina w Krakowie, 16 czerwca 1903 roku:

Dzieje ludzkości są prawie wyłącznie wynikiem czynów, dokonywanych w stanie półsennej. Nie mówię tu o śnie urzędowo uznanym, o śnie fizjologicznym, ale mam na myśli sen lub też pół-sen psychiczny, tj. stan nieświadomości. Jak we śnie fizjologicznym, nie będąc wcale lunatykami, pod wpływem nieokreślonych wyobrażeń, doznajemy nieraz dotkliwych skutków i dopuszczamy się czynów, na które byśmy na jawie nigdy się nie odważyli, tak też sen lub pół-sen psychiczny, z zachowaniem wszelkich pozorów czuwania, umożliwia postępkę, do których nigdy nie byłby zdolny żaden człowiek psychicznie obudzony, tj. żyjący w całej pełni świadomości indywidualnej. Można się gwałtownie zapalać, entuzjasmować, wybuchać, można niszczyć, zęcać się, mordować, można przewodzić, podpisywać wyroki, wydawać rozkazy i rozporządzenia nawet z wyżyny tronu, można

być wodzem, prawodawcą, „filozofem”, prorokiem, „wieszczem narodowym”, można tworzyć stronnictwa, wyznania, ... a jednak pomimo tego wszystkiego spać, spać nieprzerwanie.

A już wszelkie tak zwane „zbrodnie tłumowe”, choćby najkrwawsze i najgłośniejsze, są zawsze i wszędzie objawami snu psychicznego. Człowiek, psychicznie obudzony, nie mógłby przyjmować udziału w takich zbrodniach. Tłumy, owe tłumy, co to „się nigdy nie myślą”, a jak uderzą, to zawsze trafiają, te tłumy śpią. A usypia je, hipnotyzuje je państwo z całą swoją organizacją wojskową i administracyjną, usypia je kościół, usypia je szkoła, usypia je prasa. Bęben, choć głośny, usypia, a tłum maszerujący w takt bębna, śpi. Tresura wyznaniowa ze wszystkim, co do niej należy, odurza i podtrzymuje senność. Szkoła nie tylko religijnie, ale także państwowo i narodowo wyznaniowa, szkoła, jednakowa dla wszystkich i zabijająca indywidualność, szkoła z nieprzebraną kopalnią „prawd” i „uogólnień”, rozróżnianych przede wszystkim w katechizmie i w historii, zwłaszcza w historii „świętej” i „ojczystej”, szkoła taka przyzwyczajają do myślenia na komendę i wdraża do snu psychicznego już w latach młodości. A cóż dopiero mówić o beznamiętnej prasie, podtrzymującej dzień w dzień drzemkę duchową czytelników!...

Główną cechą tego snu lub też pół-snu psychicznego jest pomieszanie pojęć. Zamiast ścisłego rozbioru pojęć i ich dokładnego rozróżniania poddajemy się, jak w zwykłym śnie, panowaniu asocjacji czysto wyrazowych i wywoływanych przez nie wrażeniom. Rządzi nami nie myśl jasna i trzeźwa, nie chłodna rozważa, ale nastroje, powstałe pod działaniem tych lub owych wyrazów. A w takim stanie pewnego rodzaju „sylogizmy” potężnie działają. Jakież to bowiem uczucia i wnioski wywołują w nas wyrazy w rodzaju „ateusz”, „papista”, „nihilista”, „socjalista”, „arystokrata”, „tyran”, „goj”, „giaur”, „żyd”... na widok osobników lub też grupy osobników, dających się podprowadzić pod odpowiedni sylogizm! A od sylogizmu do działania, mającego na celu ubezwładnienie i tępienie, tylko krok jeden.

W dwa dni później Baudouin mówi o różnych rodzajach panslawizmu:

A jakże też na „arenie dziejowej”, w polityce?

Otóż tu spotykamy się u pewnych osobników ze stałym nastrojem sentymentalnym, pragnącym tulić zbłąkanych „braci” do swego łona i, o ile się da, oswabadzać ich od „obcego jarzma”, nawet wbrew ich woli, za pomocą armat i bagnatów.

Od takiego panslawizmu sentymentalnego, przypominającego sentymentalizm krokodyla, zalatuje zapach krwi i świeżego mięsa. Jest on doskonałym pretekstem do przedsięwzięcia wojen zabor-

czych w celu oswabadzania „współplemieńców” i „współwyznawców”, chociaż nie da się zaprzeczyć, że wielu uczestników podobnych wojen bierze w nich udział całkiem bezinteresownie i z własnej woli, w imię, jak to mówią, idei i powodując się entuzjazmem. W roku 1877 nawet niektórzy szeregowcy rosyjscy zapalali się do oswabadzania spod „jarzma tureckiego” tak zwanych „Sołowiów”.

Ów panslawizm wojowniczy, zaborczy stworzył nawet osobną geografję, wynalazłszy szóstą część świata, mianowicie Rosję z całą Słowiańszczyzną. Na tę szóstą część świata składa się Europa wschodnia i Azja północna, tj. akurat tyle, ile potrzeba na głodny żąb, dla zaspokojenia wilczego apetytu. Granicę zachodnią szóstej części świata stanowi linia o tyle o ile prosta, a poprowadzona od Gdańska do Triestu. Prawda, że w obrębie granic szóstej części świata znajdują się i nie-Słowianie, ale któż by tam zważał na takie żdźbła i drobiazgi, jak Rumuni, Grecy, Albańczycy, Turcy, Węgrzy, Finnowie z Estończykami, Litwini z Łotyszami, Niemcy, Szwedzi, Tatarzy, ludy kaukaskie itd., itd.! Wszystko to oczywiście powinno się „zesłowianić”, choćby tylko ... ze względów pedagogicznych, dla uproszczenia geografii. Zresztą, co do Greków, to niech się uspokoją. Przecież to ma być świat nie wyłącznie słowiański, ale grecko-słowiański, prawosławny oczywiście, także ze względów pedagogicznych, dla ulżenia pamięci. Majaczenia te sprawiają wrażenie bredni i marzeń dzieciennych, ale, niestety, marzeń dzieciennych, pachnących krwią, rabunkiem i gwałtem.

W tej przez sentymentalistów panslawistycznych wymarzonej i wyśnionej szóstej części świata ma być trochę inaczej, niż w innych pięciu częściach świata. Tam spotykamy rozmaite państwa i rozmaite formy rządu. Szósta zaś część świata powinna być jedną jednolitą niepodzielną monarchią absolutną, także ze względów pedagogicznych, dla ulżenia pamięci, oraz ze względów ekonomicznych, dla oszczędzenia wydatków na rząd i administrację. Również dla ulżenia pamięci uczniów, studiujących geografję, usuwa się pstrokaciznę językową i nie tylko nie-Słowian skazuje się na pożarcie etnograficzne przez Słowian, ale także między Słowianami wszystkie ludy drobniejsze, choćby nawet wielomilionowe, mają się stać jedynie kadrami, przeznaczonymi do powiększania zastępów ludu, liczebnie przemagającego.

I dalej:

Panslawizm „platoniczny” czyli „słowianofilstwo” toć to niby „miłość Słowian”, „kochanie Słowian”. A tymczasem, skutkiem dziwnego jakiegoś nieporozumienia, zaliczano do „słowia-

nofilów” Katkowa oraz innych słowianożerców i w ogóle ludożerców.

Przyjrzyjmy się też nieco bliżej owej „miłości słowiańskiej”, „miłości wszechsłowiańskiej”, „miłości międzysłowiańskiej”.

Przecież jeżeli kogo „kocham”, to słucham z przyjemnością jego głosu, jego języka, wspieram go w jego dążeniach. Tymczasem niech mówią fakta, aż nadto wymowne i nie potrzebujące żadnych komentarzy.

W pewnym państwie słowiańskim, — (obecnie jest kilka takich państw), — w którym to państwie, nie powiem, — *nomina sunt odiosa*, — zabrania się w pewnych miejscach i w pewnych razach mówić innym, miejscowym językiem słowiańskim, za jego używanie wypędza się ze szkół, pozbawia się posad. Oczywiście bardzo miły musi być „braciom Słowianom” ów „po-bratymczy” język słowiański.

W tym samym państwie wolno telegrafować we wszystkich językach świata, choćby nawet w języku chińskim, ale w tym ukochanym „bratnim” języku słowiańskim telegrafować nie wolno. Klasyczny przykład „wzajemności” i „miłości” „wszechsłowiańskiej”!

A wreszcie:

Mnie osobiście nic a nic nie obchodzą „bracia Słowianie”, i za to tylko, że są Słowianami, nie zasługują w moich oczach na szczególne wyróżnianie. Jeżeli np. Madziarzy lub Prusacy gnębią „braci Słowian”, ja staję po stronie Słowian. Ale jeżeli znowu „bracia Słowianie” gnębią i prześladują Niemców, Finów, Szwedów, Litwinów, Ormian, Żydów, Chińczyków..., ja całą duszą staję po stronie uciśnionych.

A oto kilka zdań o stosunkach polsko-rosyjskich przetłumaczonych przeze mnie z broszurki „Projekt osnownych położeńij dlja reszenija polskiego woprosa”, wydanej w Petersburgu w 1906 roku:

Stosunki wzajemne między Rosjanami a Polakami, jak i w ogóle między wszystkimi ludźmi i wszystkimi grupami ludzkimi, nie powinny w żadnym wypadku być uwarunkowane sentymentalizmem, powoływaniem się na „braterstwo” i na wzajemną miłość. Hasło „kochajmy się” było dobre w okresie nieokreślonej szlacheckiej swawoli, ale teraz zupełnie się nie nadaje. Polacy nie mają za co kochać Rosjan, a Rosjanie nie mają za co kochać Polaków. Żydzi nie mają za co kochać chrześcijan, a chrześcijanie nie mają za co kochać Żydów... W ogóle jeden człowiek nie ma za co kochać drugiego człowieka.

Ale tak jak współlokatorzy lub mieszkańcy jednej gminy, tak też i mieszkańcy jednego kraju, czy jednego państwa, bez względu na różnice w poglądach, gustach i dążeniach, bez względu na wzajemne antypatie, powinni mimo wszystko, celem uniknięcia nieustannych sporów, bójek i morderczych zapędów, okazywać sobie tolerancję...

Nie kochać się trzeba, ale trzeba być sprawiedliwym w stosunku do innych, trzeba szanować wśród innych godność ludzką w najszerszym tego słowa znaczeniu...

Wracając do doskonałej książki Stankiewicza pragnę zaznaczyć, że jest to już druga antologia prac lingwistycznych Baudouina. Rosjanie szczącący się długoletnią działalnością Baudouina na uniwersytetach rosyjskich i stworzoną przez niego tzw. kazańską szkołą lingwistyczną, wydali w roku 1963 dwutomowy wybór jego prac, bądź to przedrukowanych z rosyjskiego oryginału, bądź też przetłumaczonych na rosyjski.

Wyrażając wdzięczność Stankiewiczowi za udostępnienie choć części spuścizny naukowej Baudouina angielskiemu i amerykańskiemu czytelnikowi, nie sposób skryć zdziwienia i smutku, że Polska nie zdobyła się jeszcze na zebranie i wydanie dzieł jednego ze swych największych uczonych.

Aleksander M. SCHENKER

Czytając Tyrmanda

I

Z ostatniej strony „Cywilizacji komunizmu”* dowiedziałem się, że jest to ósma już książka Leopolda Tyrmanda: z tego przeczytałem pięć. Myślę, że to niemało, zważywszy, że gdy Tyrmand wydawał swój pierwszy tom, mnie, opakowanego w gustowny becik, wożono na spacerach do Łazienek. Czytywałem później zbiory jego opowiadań, znam dobrze „Złego” i „Życie towarzyskie i uczuciowe”. Te dwie ostatnie książki były w literaturze współczesnej Polski czymś szczególnym — zawarty w formach powieściowych reportaży historyczny, kronikarski niejako zapis dziejów Warszawy od wojny po połowę lat sześćdziesiątych, wrywały się spod standartowego strychniaka ówczesnych wzorców literackich. Stanowiły bardzo rzetelną publicystykę pisarską; jeżeli, pomimo bardzo konkretnego umiejscowienia czasu i problematyki,

* Polska Fundacja Kulturalna, Londyn, 1972.

przetrwały w jakiś sposób próbę lat, to stało się to głównie dzięki ich czysto historycznej wartości. Były to reportaże uczciwe: da się to wymierzyć zarówno prawdziwością zawartej informacji, jak i owym charakterystycznym dla publicystyki felietonowej, uniwersalnie ironicznym obiektywizmem autora.

Znajdowałem tam wiadomości o dniach, których pamiętać nie mogłem — zasmarkany, w bawełnianych pończoszках biegałem wtedy do szkoły, gdzie bardziej niż historii uczono mnie szlaków bojowych Gwardii Ludowej. Potem zaś przeczytałem „Cywilizację komunizmu”. Ta, jak chce tego autor, jest pamfletem, operuje elementami groteski i surrealizmu. W rzeczywistości jest to długi reportaż z krajów Europy Wschodniej, urozmaicony pewnymi rozważaniami i uogólnieniami natury niemal filozoficznej. Ale jeżeli Tyrmand pisze, że w marcu 1968 roku „na bruku ulicy zatratowano na śmierć ciężarną studentkę”, to nie jest to ani reportaż, ani pamflet. Nie ma w tym też surrealizmu czy groteski — jest tylko fałsz.

II

Jeżeli w „Złym” jakieś występne typy mordują się nawzajem w sposób tak perfidny, że boję się o tym napisać, to jest to konwencja; i autor, i jego czytelnik wiedzą o tym doskonale. Fantazja Tyrmanda stanowi wtedy jego wyjątknie prywatną sprawę. „Cywilizacja komunizmu” to dokument; ten, z definicji niejako, konwencję zna tylko jedną — prawdę.

W Polsce Ludowej przeżyłem dokładnie tyle lat, ile Tyrmand — wiem, że jeżeli Tyrmand pisze, że wszystkie listy przychodzące zza granicy są brutalnie rozcinane, to jest to nieprawda. Ale „Cywilizacja komunizmu” ukazała się jednocześnie w języku angielskim. Jak przekonałem się podczas mego krótkiego skądinąd życia na Zachodzie, czytelnik tutejszy z reguły dokumentom wierzy — obowiązuje go bowiem owa jedyna, właściwa konwencja. Tyrmand uczy go rzeczy nowych — konwencji, która mnie, a zapewne i autorowi „Cywilizacji komunizmu” także, kojarzy się na przykład z pismem *Nowe Drogi*.

Według Tyrmanda komunizm to boschowska nieomal wizja Hadesu, po którym ugania się stado oszalałych małp. Paulina Preiss w swej książce „Biurokracja totalna” przedstawia obraz Zachodu w aranżacji propagandy komunistycznej; studenci będą tam tłumkiem ogłupiających baranów, o mózгах eksplodujących od nadmiaru narkotyków, robotnicy nad Sekwaną czy Tamizą podgryzają sobie gardła w walce o lepsze miejsce pod mostem. U Tyrmanda Europa Wschodnia to to samo, tylko *à rebours*.

III

Od obrony komunizmu jestem równie daleki, jak i Tyrmand.

Świadczy o tym fakt najprostszy — i Tyrmand, i ja mieszkamy na Zachodzie. Komunizm z Tyrmandem właśnie walczył przy pomocy cynicznej dezinformacji, trywialnie płaskiego dowcipku, zakłamanej „agitki”. Były to metody, których przyjąć nie chcę i nie mogę. Jeżeli Tyrmand w publicystyce dokumentarnej akceptuje elementy złej, kłamliwie paszkwilanckiej propagandy, to w jakimś sensie wynajduje platformę dyskusji z racjami tamtymi, wytwarza wspólny — obojętnie z jakich pozycji — język. Ja języka takiego nie znam — gdybym znał, mieszkałbym w Polsce.

Ktoś powie, że są to sprawy nieważne, marginalne: że zasadniczo Tyrmand wiernie przedstawia immanentne, podstawowe cechy komunizmu. Ale merytorycznym, elementarnym zarzutem, jaki chcę Tyrmandowi postawić, nie są owe taniutki epatacje grozą, głupawe rozmówki inwigilowanego z inwigilującym, do Koestlera mające się tak, jak doktor Sapirstein do Mefista — to wszystko mieści się w ramach lepszego czy gorszego literackiego rzemiosła. Jest w „Cywilizacji komunizmu” aspekt, który, jak mi się wydaje, przesądza klęskę tej książki.

W „Życiu towarzyskim i uczuciowym” komunizm był analogiczny do tego z „Cywilizacji komunizmu” — dno beznadziei, upiorna ruja prostytucji, cynizmu i zakłamania. Tacy byli też bohaterowie tej książki — z jednym tylko wyjątkiem.

W książce występuje człowiek nazwiskiem Mikołaj Plank. Postać tę autor maluje jako swoisty konglomerat talentu, odwagi, nonkonformizmu wreszcie, zaprawiony zresztą zdrowym ładunkiem kabotynizmu. Wśród galerii szubrawców i dziwek jest to — biały nosorożec w zasiedlonym gadami ogrodzie zoologicznym — bezsprzecznie człowiek.

„Życie towarzyskie i uczuciowe” to tzw. powieść z kluczem; Tyrmand-kronikarz pisał o tych, których oglądał na co dzień. W „Cywilizacji komunizmu” człowieka nie ma. Nie oznacza to, że zmienił się komunizm — zmienił się sam Tyrmand. Wolno być każdemu optymistą lub czarnowidzem, można wierzyć w zmiany komunizmu lub uciekać do Nowej Zelandii — ale odmawianie człowiekowi w komunizmie prawa do człowieczeństwa to metoda tamtych. Większość swej książki Tyrmand poświęca rozpisywaniu się na ten właśnie temat: ale w powodzi metafor i generalizacji, w całej chorej na elephantiasis quasi-histerycznej ściągawce dla ludzi o mentalności indyka człowieka znaleźć mogłem. I o to ja, czytelnik — nie krytyk i nie cmokier — mam do Tyrmanda pretensję.

Tyrmand nie wymyślił Mikołaja Planka, nie wymyślił dysydentów sowieckich ani Czechów. Stalinizm, najstraszliwszy w dziejach komunizmu okres, zaowocował polskim październikiem. Nieważne, że była to zaledwie chwila, sekunda historii — w sekundzie tej zrodzili się Bursa i Wróblewski, Cybulski i Hłasko, no, niech będzie nawet i Tyrmand. Ktoś powie, że byli to gwiazdorzy zaledwie; zgoda, ale czy można być wice-gwiazdorem?

IV

Rozumiem sprawę, jaką do komunizmu ma Tyrmand. Rozumiem nienawiść, rozpaczliwy i zapiekły żal. Nie rozumiem taniej demagogii w dyskusji o rzeczach tak strasznych, że nie ma po co dolewać im nowych demonów czy strachów. To, co Tyrmand nazywa groteską czy surrealizmem jest zbyt często płaszczykiem skrywającym banał, z ludzkiej sprawy robiącym Czerwonego Kapturka. Nie widzę celu komponowanych *ad hoc* historyjek o „agentach CIA”, nie wiem dlaczego przedstawiciel inteligencji twórczej, Tyrmand, jako przykład inteligenta pracującego podaje pisarza. Nie rozumiem wewnętrznych nakazów, które zmuszają do przydawania rakowi wulgarnych symptomów trypra.

Pisał kiedyś Tyrmand o swych fascynacjach książką „Jeden dzień Iwana Denisowicza”, o jej prostocie. Nie bardzo wiem, komu potrzebny jest barokowy ornament i zbyteczna, stiukowa retoryka: ci, którzy tam mieszkali, wiedzą i tak. Tym, którzy komunizmu nie znają, wystarczy powiedzieć prawdę.

V

Podczas lektury „Cywilizacji komunizmu” w listopadowym numerze *Kultury* wyczytałem anons o wznowieniu „Pięknych dwudziestolennich” Marka Hłaski. O Hłasce bardzo trudno jest cokolwiek napisać, w związku z tym zapewne nie pisze się nic; szkoda. Niewielu zdaje sobie sprawę z rozmiarów i potęgi legendy. Byłem na pośmiertnej mszy za duszę Hłaski w kościele Świętego Krzyża w Warszawie: widziałem tłum ludzi tak młodych, że gdy Hłasko wyjeżdżał z Polski, nie umieli jeszcze czytać. Mam w Nowym Jorku kolegów — Izraelczyków, dla których kawałkiem Polski jest bardziej parę opowiadań Hłaski, przełożonych na hebrajski, niż owi umęczeni, milczący kuzyni, tłumnie zjeżdżający po roku 1968.

Mit ten można odrzucić lub zaakceptować totalnie. Wskubywanie włókienek i oglądanie pod światło, wywracanie podszewką do góry nie tłumaczy niczego. Mimo całego ładunku szmiry, knajactwa i złego westernu — a trochę i dzięki temu — Hłasko pozostał fenomenem na skalę mi nieznaną; sprawiła to wielka chęć widzenia prawd najoczywistszych, tak rzadko przecież dostrzeganych.

W pośmiertnym wspomnieniu o Hłasce Tyrmand napisał, że każda dziewczyna w Warszawie chciała być Agnieszką z „Osmego dnia tygodnia”. Jest to błąd. Gdyby było tak, jak chce Tyrmand, „Osmego dnia tygodnia” stanowiłby zaledwie jednodniową fascynację na miarę „Love Story”, byłaby to szmira bez prawd. Każda dziewczyna w Warszawie była w jakimś stopniu ową Agnieszką.

ką i dlatego w kraju, gdzie ludzi zapomina się zanim jeszcze uklepano ziemię na ich grobach, Hłasko jest tym, czym jest.

Proszę mi wybaczyć. „Cywilizację komunizmu” mogłem odczytać tylko — niestety — jako zmarnowaną szansę na „Materiały informacyjne do napisania noweli pt. „Cmentarze”. Jeżeli szukam jakichkolwiek prawd o Polsce — smutnych czy wesołych, subtelnych czy trywialnych — nie sięgam po „Cywilizację komunizmu”. Sięgam po „Pierwszy krok w chmurach”.

Ryszard CZECH

Krajowe nowości wydawnicze

Opracowała Maria Danilewiczowa na podstawie nowych nabytków Biblioteki Polskiej w Londynie.

Książka roku*

37. KIJOWSKI, Andrzej: *Listopadowy wieczór*. Warszawa, 1972, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 128.

Narodowy rachunek sumienia na miarę Mochnackiego czy Askenazego. Kijowski nie waha się przed rozdrapywaniem najboleśniejszych ran, — świeżym i bystrym spojrzeniem przecenia wydarzenia „załatwione” sankcjonowanymi zbiorowo sądami historyków. Punktem wyjścia jest wieczór listopadowy 1830, — data otwierająca wojnę polsko-rosyjską, określaną zazwyczaj mianem „powstania listopadowego”. Kijowski stara się rozszyfrować pobudki i plany rewolucyjnych grup młodzieży, podejmującej — nie tylko w Polsce — ruchy zbrojne, bez wyjątku stłumione brutalnie i pozorowanie bezwzględne. Pozornie — bo, jak ujmuje rzecz Kijowski — „do stołu obrad w Wersalu zasiadła Europa romantyczna, to znaczy nacjonalistyczna”. Na tle XIX-wiecznych marzeń, zaspokojonych *pozornie*, wybuchło nowe „ognisko wojny”. W analizie poszczególnych spisków młodzieżowych uderza Kijowskiego „łatwość, z jaką ci ludzie dysponowali życiem innych”. W zestawieniu z czynami — literatura romantyczna „była pisaną korekturą obłądnych czynów”, rehabilitującą politykę, jako „idealny obraz ludzkich dążeń i czynności, które w praktyce z reguły są ułomne”. To właśnie literatura wypracowała „nową filozofię narodu” i „włączyła Polskę do stuletniej wojny narodów, z której wyłoniła się nowoczesna Europa”.

W rozdziale pt. „Słuchajcie wieszczą niemylną przestrogi” Kijowski rehabilituje „intelektualną i mistyczną ideę ojczyzny” uformowaną przez mesjanizm (nie zapominając o „skandalu z towiańszczyzną”) — uważa, że nie był on „wstydliwą chorobą polskiej literatury” ale czynnikiem wiążącym ją z ówczesną myślą europejską i potężnym zastrzykiem nadziei, że „kiedyś, za przewodnictwem i pomocą Bożą, — jak ujął to Mochnacki — w jedną nierozdzielnie sprzężemy (się) całość, że będziemy twierdzić Europę, pogromem dla złych sąsiadów i wybranym Słowiańszczyzny ludem”.

* Ocena sformułowana 10. XII. 1972.

Bardzo interesująco interpretuje Kijowski żywy do dziś bonapartyzm polski. „Polacy — pisze — nie byli jedynym narodem europejskim przez Napoleona wykorzystanym a nawet ujarzmionym, ani też jedynym, który go tak umiłował”. Działo się tak dlatego, że uznano go za „postać cudu historycznego”, — „dla całego pokolenia romantycznego Bonaparte był po prostu młodzieńcem, który sięgnął po władzę”, „każdy ambitny człowiek w epoce ponapoleońskiej mówił sobie, że ma koronę cesarską w biurku”.

Tak właśnie butnie, lekkomyślnie, odważnie rozdziły się w klimacie biedy emigracyjnej aredyzieła poezji polskiej, podbudowane wysiłkami prekursorów, porywające się na szukanie nowych rozwiązań i dróg.

Rehabilitacja porywów romantycznych nie jest panem na część młodych. Jest obrachunkiem, z którego wyłania się rola młodych, „zaczynających od początku”, powtarzających błędy poprzedników — ale wyruszających stale do walki pod znakiem „widma wolności”.

„Listopadowy wieczór” jest niewątpliwie książką roku (a może i wielu lat). Jest także świadectwem niewygasłej aktualności wielkich problemów historii XIX-wiecznej.

Literatura piękna (poezja)

38. WIERZYŃSKI, Kazimierz: *Poezje wybrane, 1951-1964*. Pod redakcją Marii Dłuskiej. Kraków (1972), Wydawnictwo Literackie, str. 197, front. port.

Zgon, zgodnie z etykietą PRLu, może przynieść całkowitą lub częściową „amnestię” pisarza emigracyjnego. W wypadku Wierzyńskiego jest to ułatwienie częściowe: po długich deliberacjach, których echem są daty „oddania do składania” i „podpisania do druku” zdecydowano się na ujawnienie części twórczości powojennej w wyborze zestawionym przez autora (czy istotnie dla wydawnictwa krajowego?) w roku 1966 tj. przed powstaniem utworów, składających się na „Czarny polonez” i przedśmiertny tom znakomitych wierszy „Sen mara”. Nakład okrojonego wydania rozszedł się błyskawicznie, recenzenci ocenili go ciepło, ale ostrożnie, jeśli nie tchórzliwie. Jest sprawą sporną, czy takie imprimatur z cenzorskiej łaski przybliży czy oddala pisarza „zakazanego”, choć fakty zdają się wskazywać, że rozbudza apetyt na poznanie całokształtu twórczości.

39. BOROWSKI, Tadeusz: *Poezje*. Wybór i wstęp Tadeusza Drewnowskiego. (Warszawa, 1972), Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 232. (Seria „celofanowa”).

Drewnowski przypomina słusznie, że Borowski uważał się przez długi okres swej twórczości (trwającej zresztą tylko osiem i pół roku) za poetę. Oderwał go od wierszy sukces prozy powstałej na marginesie owej właściwej twórczości — poetyckiej. Po powrocie do Kraju z Monachium i nakreśleniu uwag „O poezji i poecie” Borowski pisał już tylko prozą.

Tom obejmuje m.in. wiersze powstałe w obozie, odtworzone z pamięci przez Borowskiego i przyjaciół po roku 1945. Wydawca, Tadeusz Drewnowski, uważa, że poezja Borowskiego „jest piękną swą pasją poznawczą, spostrzegawczością, niepokojem sumienia, głębokim — i niestety nieuleczalnym — urazem psychicznym”.

40. KARPOWICZ, Tymoteusz: *Odwrócone światło*. Wrocław, 1972, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 424.

W znikomym nakładzie 1.500 egzemplarzy, po rocznym odpoczynku w drukarni, ukazała się książka, której znaczenie dostrzegą w pełni zapewne dopiero przyszli historycy literatury za lat kilkadziesiąt. Jest zbiór wierszy

powstałych w ciągu „dziesięciu lat zmagani z oporną materią poezji i życia”, oglądających z bliska słowa i dźwięki, dający różne wersje poetyckie tematów („kalki logiczne” i „kopie artystyczne”), potrafiący zamknąć w niewielu słowach wazki ładunek myślowy. Mimo nasuwających się analogii z „poezją lingwistyczną” Mirona Białoszewskiego, trudno nie podziwiać inwencji twórczej i horyzontów myślowych Karpowicza.

41. BARAŃCZAK, Stanisław: *Dziennik poranny*. Wiersze 1967-1971. Opracowanie graficzne Wojciech Freudenreich. Poznań, 1972, Wydawnictwo Poznańskie, str. 81 (3).

Najciekawszy debiut ostatnich lat, poeta poznański, ur. 1946, — zasłużenie popularny wśród młodzieży, nazwisko przyszości. W „Dzienniku porannym” obok nowych wierszy i przekładów powtórzono wybór utworów z „Jednym tchem” (1970), co jest wymownym dowodem zainteresowania twórczością Barańczaka. Wiersze mocne, patetyczne, zwracające się do audytoria żarliwie i autorytatywnie z wysokiej klasy ironią (np. wiersz „Wypełnić czytelnym piśmem”).

Literatura piękna (utwory powieściowe)

42. BRANDYS, Kazimierz: *Wariacje pocztowe*. Warszawa, 1972, Czytelnik, str. 232.

Książka wywołuje sprzeczne wrażenia. Jak „Rękopis znaleziony w Saragossie” każe podziwiać erudycję i imaginację autora. Z sarmackiego nałogu każe doszukiwać się „myśli przewodniej”. A gdzież ona? Na przestrzeni lat dwustu, ściśle od I-go rozbioru, siedmiu ojców o życiorysach barwnych jak siedem barw tęczy, poucza synów, spowiadając się z grzechów żywota. Przy sposobności — poucza. Ostatni tylko, nam współczesny, nie poucza, a co najwyżej mgliście daje do zrozumienia, że „ten kraj” nie przestał być ojczyzną siedmiu kolejnych wygnańców, zesłańców, itp. — nie z własnej chęci opuszczających rodziną Szymowiznę.

„Wariacje pocztowe” określono jako „epistolarny apokryf”. Nie jest to wynalazek autora. Wyrzuciła go Hanna Malewska i Jerzy Zawieyski, dając podobnie pomyślane sagi rodzinne o większej jednak przejrystości zamierzeń a mniejszej skłonności do efektów z gatunku samojedźtwa czy sodomii Jakuba Zabierskiego.

43. KIJOWSKI, Andrzej: *Grenadier-król*. Warszawa, 1972, Czytelnik, str. 157 (3).

Szyfr? „Sennik współczesny”? Powiastka filozoficzna? Kontynuacja „Dziecka przez ptaka przyniesionego”? Podjęcie wątków „Grenadiera-filozofa” Cypriana Godebskiego, w mieszaninie prozy i wiersza, w równie gorzkim obrachunku z wojennymi „pożytkami”? Czegoż nie można się dopatrzeć w sennyh rojeniach krakowskiego pacholecia, przeobrażonego w monarchę — jak korczakowski „Król Maciuś Pierwszy”!

Jest to właściwie utwór pisany wierszem — jak recytowane w starożytności poematy epickie. Niezmiernie konsekwentny — ale i monotony w rytmie, wybijanym mocno i natężonym, jak żałobne werble. Trudny do czytania, czego nasze rozleniwione mózgownice starają się uniknąć. Ale wart trudu (podobnie, jak utwór Godebskiego).

44. TERLECKI, Władysław: *Dwie głowy ptaka*. Warszawa, 1970, Państwowy Instytut Wydawniczy, str. 210 (1).

17 lutego. 1865 zginął na stokach Cytadeli ostatni naczelnik Warszawy

w czasie powstania styczniowego, Aleksander Waszkowski. Powieść Terleckiego (jednego z laureatów nagrody Fundacji im. Kościelskich w roku 1972) stara się odtworzyć koleje śledztwa, któremu poddawany był Waszkowski po uwięzieniu i zidentyfikowaniu. Przesłuchującym go chodziło właściwie o jedno tylko: o ustalenie losów poważnych sum z Kasy Głównej Komisji Skarbu przejętych z inicjatywy Waszkowskiego na rzecz powstania a w okresie tragicznego finału przekazanych do Anglii na rzecz kontynuacji walki o niepodległość. Waszkowski, poddawany wymyślnym torturom *brain-washing*, obstawiony chytrymi zasadzkami, nie umie sprostać zadaniu „samodzielnej oceny zarówno wytworzonej sytuacji w dziejach zbiorowego losu, jak własnego w tym losie uczestnictwa”. Zeznania złożone na ręce konsula angielskiego White'a przesądzają los funduszy skarbowych: Waszkiewicz stracił zdolność rozróżnienia między załamaniem a zdradą.

Literatura piękna (eseistyka)

45. PEIPER, Tadeusz: *Tędy. Nowe usta*. (Przedmowa, komentarz, nota biograficzna: Stanisław Jaworski. Opracowanie i redakcja: Teresa Podoska). Kraków (1972), Wydawnictwo Literackie, str. 442 (1). (Tadeusz Peiper: Pisma).

Pierwszy tom szeroko zakrojonego wydania zbiorowego, które objąć ma w bliskiej przyszłości „Poematy i utwory teatralne”, „Powieści”, tom artykułów z lat 1942-1955 i rozproszone eseje, wspomnienia, recenzje itp. Czy wywołają wtórną falę zainteresowania twórczością, która dotąd nie potrafiła wyjść poza wąski krąg teoretyków? — Chyba nie. Pięknie wydany tom pierwszy nie usprawiedliwia wkładu pracy Podoskiej i chwilami tylko podrywa uwagę (np. sądem o Iwaszkiewicu).

46. BARAŃCZAK, Stanisław: *Nieufni i zadufani*. Romantyzm i klasycyzm w młodej poezji lat sześćdziesiątych. Wrocław, 1971, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, str. 179 (2).

Zbiór esejów o „młodej” poezji, wywodzących się z credo autora z przedmowy do tomu wierszy pt. „Jednym tchem” (1970): poezja „powinna być nieufnością. Krytycyzmem, demaskacją. Powinna być tym wszystkim aż do chwili, gdy z tej Ziemi zniknie ostatnie kłamstwo, ostatnia demagogia i ostatni akt przemocy. Nie sądzę, aby to właśnie poezja miała do tego doprowadzić (jeśli zresztą cokolwiek jest w stanie do tego doprowadzić). Ale wierzę, że poezja może się do tego przyczynić: może nauczyć człowieka myśleć o świecie w kategoriach racjonalnej nieufności wobec wszystkiego, co zagraża mu pod postacią kłamstwa, demagogii i przemocy”. Barańczak — „romantyk dialektyczny” — stara się zasygnalizować „nowe, przełomowe zjawiska” w twórczości młodych poetów na przykładzie wierszy Krzysztofa Karaska, Jarosława Markiewicza i Ryszarda Krynickiego.

Historia literatury

47. Instytut Badań Literackich. PROBLEMY POLSKIEGO ROMANTYZMU. Seria pierwsza. Praca zbiorowa pod red. Marii Żmigrodzkiej i Zofii Lewinówny. Wrocław, 1971, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wydawnictwo PAN, str. 408.

Na tom składa się 8 rozpraw poddających rewizji główne problemy romantyzmu polskiego, a więc: stosunek do walk niepodległościowych, mesjanizm, ludowość itd. Autorzy podkreślają utopijność romantycznych wizji

przyszłości: „zbawić się przez cierpienie, zbawić się przez misję odrodzenia świata, zbawić się przez demokrację i lud” („lud-naród”) — w rozprawie Aliny Witkowskiej. Maria Żmigrodzka w rozprawie pt. „Historia i romantyczna epoka” słusznie określa funkcję tematu historycznego, jako „pozwalającego na krzepiący powrót do wciąż żywych źródeł wielkości narodu” przy równoczesnym spełnianiu funkcji „pola doświadczalnego ideologa i historiozofa”. Osadzanie utworów w przyszłości już w epoce romantycznej „pozwalalo ujawniać konflikty postaw moralnych i kształtować ich wzory, odsłaniać dramatyczne starcia sił dziejowych i podsuswać sposoby ich interpretacji (i) ujawniać mechanizmy historycznego rozwoju”. Adam Sikora w „Dwu postawach mesjanizmu” analizuje poglądy głównych ideologów: Hoene-Wrońskiego i Towiańskiego — myślicieli o wspólnych aspiracjach ale różnych drogach działania: przez „naukę ostateczną” (Hoene-Wroński) i „serce” (Towiański).

48. DŁUSKA, Maria: *Studia i rozprawy*. T. III. (Kraków, 1972), Wydawnictwo Literackie, str. 193. (Biblioteka Studiów Literackich pod redakcją Henryka Markiewicza).

Na tom, poświęcony w całości analizie utworów Kazimierza Wierzyńskiego, składa się siedem rozpraw, w większości drukowanych już poprzednio w czasopiśmie krajowych. Są one poprzedzone wstępem, luźno związanym z całością tomu i nadającym się raczej do słownika biograficznego. *Studia* o poszczególnych wierszach („Gdzie nie posięgę mnie...”, „Mowa i ziemia”, „Piąta pora roku”, „Badania lekarskie”, „Nie lękaj się” (koncentrują się na języku i formie typowych dla twórczości Wierzyńskiego wierszy i problemie „niepowrotu” i nostalgii. Poza wspomnieniami o Poeccie i zwięzłą — ale niezmiernie trafną — syntezą jego roli i poetyckiej wielkości w poemacie artykule Tymona Terleckiego, jest to pierwsze opracowanie na szerszą skalę, tym ważniejsze iż ukazało się w Kraju, gdzie w okresie powojennym utwory Wierzyńskiego przemilczano lub zaliczono do „prohibitów”. Do dziś nie mają debitu w Kraju powojenne tomy jego poezji i prozy. Tym większe znaczenie rozpraw prof. Marii Dłuskiej.

Fotografika

49. GARZTECKI, Juliusz: *Mistrz zapomniany*. O Michale Greimie z Kamieńca. Kraków (1972), Wydawnictwo Literackie, str. 408, ilustr.

Mimo pewnej nieporadności ujęcia, książka fascynująca i rewelacyjna zarówno ze względu na szeroko podmalowane tło monografii (Kamieniec Podolski), jak i bogactwo szczegółów. Bohaterem opracowania jest fotograf-pionier (ur. 1828, zm. 1911), utrwalający planowo na doskonałych zdjęciach zabytki architektury podolskiej, typy ludowe i mieszczańskie, sceny targowe, Żydów, wydarzenia aktualne itp. — od roku 1860. Był on nadto archeologiem i numizmatykiem, związanym przyjaźnią i współpracą ze współczesnymi największymi nazwiskami. Trudno nie podziwiać fotografii *pozowanych* — a artystycznie dociągniętych — z targów, bóżnic, chederów itp. (opisał je Julian Bartyś w piśmie „Yeda-Am”, organie Israel Folklore Society w nrze 50 z roku 1965 w oparciu o albumy przesłane Orzeszkowej w roku 1890 przez Greima).

Garztecki włączył do monografii historię początków fotografiki polskiej i ciekawe realia z Podola. Kto np. pamięta, że jak podaje autor monografii, emigranci polscy roznosili po świecie dagerotypy, a później fotografie! Ze pierwsze zakłady fotograficzne w Konstantynopolu, Brukseli i Oslo otworzyli Polacy! Ciekawy szczegół: na fotografiach z Zakładu Greima widniał zazwyczaj napis: „Photographie M. Greim à Kamenetz Pod.” „Francuszczyz-

na — wyjaśnia Garztecki — pozwalała omijać nakaz „napisów cyrylicą” i wprowadzała „czynnik wykintu”. Przypomina też Garztecki *cartes de visite* — „wizytówki”, dodając, że taki „kartonik z wydrukowanym imieniem, nazwiskiem i tytułami lub funkcjami właściciela jest współcześnie w wielu krajach traktowany jako dostateczny dokument legitymacyjny czyli dowód tożsamości jego nosiciela”. Inny ciekawy rozdział dotyczy procedury legitymacji szlachectwa.

Współcześni porównywali Greima z Eugènem Atgetem, fotografem paryskim; dziś nasuwa się analogia z Cartier-Bressonem. Nasz Greim był jednak, z musu, wszechstronniejszy, a bieda zmuszała go do zyskowych transakcji handlowych, czasem tak wątpliwej natury jak np. masowa produkcja podobizn członków rodziny carskiej. Pikantnym uzupełnieniem tej wiadomości jest fakt, że podjął ją do spółki z Karolem Beyerem, fotografem warszawskim, którego dziełem były słynne fotografie pięciu poległych.

Książka Garzteckiego jest bogato ilustrowana źle wykonanymi reprodukcjami dobrych fotografii Greima.

Historia muzyki polskiej

50. *Dzieje przyjaźni*. Korespondencja Karola SZYMANOWSKIEGO z Pawłem i Zofią KOCHAŃSKIMI. Opracowała Teresa CHYLIŃSKA. (Kraków, 1971), Polskie Wydawnictwo Muzyczne, str. 399, ilustr. (Źródła pamiętnikarsko-literackie do dziejów muzyki polskiej, t. XI).

Początkujący kompozytor — 19-letni Szymanowski zetknął się z 14-letnim Pawłem Kochańskim, już wówczas słynnym skrzypkiem-wirtuozem o paroletniej karierze estradowej w roku 1901-ym w Warszawie. Chylińska sądzi, że przyjaźń Szymanowskiego z Kochańskim była „szczególnym przypadkiem artystycznej symbiozy”. „Techniczna maestria” skrzypka imponowała Szymanowskiemu i poddawała mu pomysły twórcze; świadectwem są liczne dedykacje utworów. — Korespondencja obejmuje 159 listów (w tym 91 Szymanowskiego) z lat 1918-1934 (do śmierci Kochańskiego na raka). Część ogłosił już wcześniej Aleksander Janta w *Wiadomościach*. Autografy znajdują się obecnie w Bibl. Uniwersyteckiej w Warszawie — przekazane do Kraju przed śmiercią przez Zofię Kochańską. — Szymanowski przeżył Kochańskiego i poświęcił mu piękne wspomnienie, dziękując za „inicjację” w „tajemniczą wiedzę o skrzypcach”.

Pamiętniki

51. ROGOYSKI, Jędrzej: *Pamiętniki moje*. Tekst opracował, wstępem i komentarzem opatrzył Andrzej Jastrzębski. (Warszawa), 1972, Instytut Wydawniczy PAX, str. 225 (3), ilustr.

Wspomnienia spisane dla syna, Witolda, i „dla swojej własnej satysfakcji”, bez zamiaru publikacji, przez szlachcierza galicyjskiego, wychowanka Teresianum w Wiedniu, ur. w roku 1815, zm. w 1862. Autor odnosi się krytycznie do środowiska ziemianńskiego, winiąc je o stałe pogłębianie rozdziewków między szlachtą a ludem („chłop, który chociaż niższy, jest jednak naszym bratem, bo tej samej krwi, tego języka i religii”). W opisie „rabacji” 1846 roku Rogoyski obciąża szlachtę i emisariuszy emigracyjnych („Robespierów, Maratów i Dantonów”) o przygotowanie gruntu pod krwawe wypadki: „gdy liberały zaczęły rozpowiadać nową ewangelię, tak chłopom zaczęło się przewracać w głowach i zaczęło się przewidywać, że są nie- szczęśliwi”.

KRAJ — BLOK WSCHODNI

14-11-72

Na VII Kongresie Związków Zawodowych. E. Gierek zapowiedział utworzenie Narodowego Funduszu Zdrowia, który by powstał z „dobrowolnej zbiórki całego społeczeństwa”. Fundusz miałby służyć sfinansowaniu inwestycji w służbie zdrowia, a przede wszystkim budowie i wyposażeniu szpitali. A więc po „szkołach tysiąclecia” społeczeństwo ma znów uzupełniać nieudolną gospodarkę państwową.

15-11-72

Dowiadujemy się, że usunięte z bibliotek PRL dzieła Stalina nie zostały zniszczone, lecz jedynie zmagazynowane w dawnym opactwie Cystersów Lubiąż, pow. Wołów, woj. wrocławskie. Zmagazynowano tam 8 milionów tomów pism Stalina. ■ Warszawski *Kurier Polski* podaje, że w PRL organizuje się konne oddziały MO. Mają one służyć głównie do rozpędzania demonstracji publicznych. Oficjalny komentarz głosi, że zadaniem tych oddziałów ma być walka z chuliganami i patrolowanie terenów miejskich, zarosły oraz parków. ■ Stowarzyszenie PAX zorganizowało w Ojrzanowie pod Warszawą międzynarodowe sympozjum działaczy katolickich 16-tu krajów europejskich. Tematem sympozjum była działalność na rzecz pokoju i zaangażowanie polityczne. W myśl, ma się rozumieć, wytycznych Moskwy. ■ Eugeniusz Szleper został mianowany ambasadorem PRL w Peru. Ostatnio był on wicedyrektorem departamentu w MSZ. ■ Dla uczczenia 50-lecia powstania ZSSR Wyższa Szkoła Pedagogiczna w Rzeszowie i Instytut Pedagogiczny w Drohobyczu zorganizowały konferencję naukową na temat związków kulturalnych polsko-ukraińsko-rosyjskich. ■ Od czerwca 1973 uruchomione zostanie nowe połączenie promowe między Gdańskiem a Helsinkami. Linia ta przeznaczona będzie do przewozów pasażerskich i samochodowych. Prom kursujący na tej linii będzie zawiązał do Helsinek dwa razy w tygodniu. ■ Stan wkładów pieniężnych w PKO wyniósł na dzień 31. 10 1972 roku 136 miliardów 714 milionów złotych, w tym na rachunkach oszczędnościowych 132 miliardy 140 milionów złotych. ■ W Kijowie rozpoczęła się dekada książki polskiej. Wystawiono ogółem ponad 2 tysiące tytułów. ■ W Moskwie otwarto wielką wystawę współczesnej grafiki polskiej. Wystawiono 90 prac 40-tu polskich artystów. Jednocześnie w Charkowie rozpoczęła się dekada polskiej literatury. ■ *Głos Szczeciński* podaje, że rolnikom woj. szczecińskiego miano dostarczyć 17 tys. ton nawozów, a dostarczono jedynie około 4 % planowanych dostaw. ■ PRL zakupiła w Związku Sowieckim próbną partię 50 ton koncentratu kwasu chlebowego i jeszcze w b. roku ma się rozpocząć na wielką skalę produkcja kwasu chlebowego w woj. katowickim i w Trójmieście. ■ Przez PRL przeszła nowa fala strajków. Zaczęły się znowu w stocznicach Gdyni i Gdańska. Tym razem robotnicy wysunęli roszczenia polityczne w związku z Kongresem Związków Zawodowych. Chodziło przede wszystkim o swobodę wyboru władz, uprawnienia ZZ i o niezależnienie ich od partii. Sytuacja była o tyle napięta, że na Wybrzeże natychmiast przyjechali Gierek i Jaroszewicz, obiecując „rozpatrzyć” szereg spraw (jeśli idzie o postulaty dotyczące Związków Zawodowych niczego nie dotrzymano). Następnie ruszyła Łódź: zastrajkowały trzy fabryki tekstylne (strajk wahadkowy co dwa-trzy dni przerwa). Kobiety domagały się utrzymania cen i podwyżki płac o 15 %, gdyż praktycznie o tyle wzrosły ceny w ciągu ostatnich dwóch lat. Drugiego

dnia, gdy groził strajk całego przemysłu tekstylnego — przerwano program telewizyjny i Jaroszewicz zapowiedział dalsze „utrzymanie cen”. Wreszcie Śląsk: jedno lub dwudniowe strajki w czterech kopalniach węgla w Rybniku i Katowicach. Żądano 25 % podwyżki płac. Około 30 górników aresztowano. Sprawę załagodzono rozdzieleniem pewnej ilości bonów. ■ Rozgłoszenia w Olsztynie nadaje raz na tydzień półgodzinny program w języku ukraińskim. Na muzykę przypada od 8 do 15 minut, a pozostały czas na różne informacje, głównie jednak o życiu ukraińskim w Polsce i w innych państwach komunistycznych.

16-11-72

Na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR i Rządu PRL podkreślono m.in. szereg ujemnych zmian jak: nieuzasadniony wzrost w wielu zakładach absencji i pracy w godzinach nadliczbowych, niedostateczny postęp w dotrzymywaniu terminów osiągania projektowanych zdolności produkcyjnych, niewykonywanie przez niektóre przedsiębiorstwa planowych zadań. ■ W Warszawie odbyła się sesja naukowa z udziałem polskich i sowieckich historyków, poświęcona stosunkom polsko-sowieckim w latach 1917-1939. Sesja ponadto przedyskutowała sprawy związane z przygotowaniem syntezy stosunków polsko-sowieckich w latach 1917-1945, historii polskiej dyplomacji w latach 1918-1945 i jednotomowego wydawnictwa na temat historii stosunków polsko-sowieckich od 1917 do chwili obecnej.

18-11-72

W Warszawie zmarł, w wieku 75 lat, Bolesław Podedworny, jeden z założycieli Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego, z-ca Przewodniczącego Rady Państwa. ■ Tegoroczne nagrody im. Władysława Pietrzaka (nagrody PAX-u) zostały przyznane m.in. Prof. Marianowi Biskupowi, Zygmuntowi Lichniakowi, Bogdanowi Ostromeckiemu, Władysławowi Pięnkowskiemu, Elżbiecie Barszczewskiej, Janko Bryłowi (pisarz białoruski). ■ Wychodzący w Berlinie Wschodnim *Berliner Zeitung*, zaczął ukazywać się w języku polskim. Pismo to będzie się ukazywać początkowo co 14 dni, a później co tydzień. *Berliner Zeitung* nie wzbudza najmniejszego zainteresowania, natomiast niemiecka edycja *Życia Warszawy* jest rozechwytywana przez turystów wschodnio-niemieckich. Mimo wszystko *Życie* przypomina normalny dziennik. ■ Wyniki ekonomiczne kółek rolniczych w PRL uległy znacznemu pogorszeniu. Straty w działalności bieżącej kółek wzrosły do 179 milionów zł., w 1971 r. tj. o 79 % w porównaniu z 1969 r. Równocześnie wzrosły straty na likwidację środków trwałych, spowodowane przedwczesnym zużyciem (z 276 milionów zł. w 1969 roku do 400 milionów zł. w 1971 r.). Przyczyną wzrostu strat jest niewłaściwa gospodarka, a zwłaszcza rozrzutna gospodarka materiałowa, brak konserwacji maszyn, niska wydajność pracy, i brak należytej kontroli.

19-11-72

Życie Gospodarcze podaje, że w r. 1971 gospodarka PRL straciła z tytułu zwolnień chorobowych 165 milionów dni roboczych. Publicysta *Życia Gospodarczego* stwierdza, że dużo w tym jest winy lekarzy, gdyż nie wszystkie orzeczenia o czasowej niezdolności do pracy zgodne są z przepisami. Zaostrzenie orzecznictwa pozwoliłoby zredukować absencję o 6 milionów dni w skali rocznej. ■ Rząd sowiecki powziął uchwałę w sprawie rozwijania ogólnozwiązkowego socjalistycznego współzawodnictwa w zakresie zwiększenia produkcji i skupu artykułów hodowlanych w okresie zimy 1972/73. Postanowiono, że mają współzawodniczyć ze sobą republiki, kraje, obwody, rejon, gospodarstwa i fermy i brygady. ■ Do Rady Najwyższej Związku Sowiec-

kiego wpłynęły dwa memoriały podpisane przez 50-ciu intelektualistów sowieckich, domagających się zniesienia kary śmierci oraz amnestii dla więźniów politycznych. Memoriały były podpisane m.in. przez A. Sacharowa, Roya Medwediewa i Mstisława Rostropowicza. Ze smutkiem należy stwierdzić że usiłowania protestu przeciw karze śmierci wśród czołowych polskich intelektualistów w związku ze skazaniem na śmierć Jerzego Kowalczyka w Opolu spełżyły na niczym.

20-11-72

Polska dostarczyła Związkowi Sowieckiemu „konteinerowiec” (drobnicowiec). Jest to drugi z kolei statek z tej serii: ZSSR zamówiło w polskich stoczniach 35 jednostek tego typu. ■ W Moskwie odbyła się uroczystość przekazania ZSSR trzymilionowego aparatu telefonicznego, dostarczonego przez polski przemysł. ■ Ogłoszono nagrody ministra Obrony Narodowej PRL. Nagrody otrzymali m.in.: prof. Stefan Kieniewicz, Edmund Osmańczyk. ■ Prasa warszawska podaje, że zakłady przemysłowe zatrująją powietrze, wyrzucając rocznie do atmosfery 2,3 miliony ton pyłu i około 2 milionów ton szkodliwych gazów. Najbardziej zanieczyszczone powietrze mają województwa: katowickie, krakowskie, wrocławskie i warszawskie. Emisja gazów ma wzrastać i zwiększy się w przyszłym roku o 73 tysiące ton. ■ Andrzej Jaworski, tłumacz i poeta, założyciel i redaktor lubelskiej *Kamery* obchodził 75-lecie urodzin. ■ Katowicki *Dziennik Zachodni* podaje, że spośród 224 osób mianowanych na stanowiska naczelników i sekretarzy w woj. katowickim tylko 24-ch ma wyższe wykształcenie. ■ *Trybuna Opolska* podaje, że w ciągu 1971 roku zmieniono 21,8 % ogółu kadr. Część kadr zwolniona została za wykorzystywanie stanowisk dla korzyści osobistych, za niewłaściwą postawę moralną i nadużycia gospodarcze.

22-11-72

Jerzy Lobman został mianowany korespondentem *Trybuny Ludu* w Pekinie.

24-11-72

Wiesław Adamski został mianowany sekretarzem generalnym Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia”. ■ Nagroda literacka im. Wilhelma Macha została przyznana Filipowi Bajonowi za powieść „Białe niedźwiedzie nie lubią słonecznej pogody”, uznaną za najlepszy debiut prozatorski w 1971 roku.

25-11-72

W Rzymie konsekrowano nowego biskupa łotewskiego Valeriana Zondaksa, który wyznaczony został koadiutorem w Rydze. Na uroczystości obecni byli: biskup kowieński Matulajtis Labukas oraz administrator apostolski diecezji ryskiej biskup Vairods.

26-11-72

W VI międzynarodowym konkursie skrzypcowym im. Henryka Wieniawskiego przyznano trzy pierwsze nagrody paniom: I-sza nagroda — Tatiana Grindienko (ZSSR). II-ga nagroda — Shizuka Ishikawa (Japonia) i III-cia nagroda — Barbara Górzynska (Polska).

27-11-72

Według informacji radia Warszawa PRL jest członkiem około 550 organizacji międzynarodowych. ■ W PRL wprowadzono udogodnienia dotyczące nadawania przesyłek zagranicznych. Będzie można m.in. załatwiać wysyłki

w 232 obwodowych urzędach pocztowych i telekomunikacyjnych oraz w 36-ciu miastach powiatowych i wojewódzkich. Do tej pory można było załatwiać wysyłki jedynie w 69-ciu placówkach pocztowych.

28-11-72

Rzecznik prasowy MSZ PRL podał do wiadomości, że Józef Cyrankiewicz zrezygnował z objęcia stanowiska ambasadora PRL w Szwajcarii z powodów rodzinnych. ■ W Warszawie zostały zakończone dwudniowe obrady VII plenum KC PZPR poświęcone sprawom młodzieży.

1-12-72

W PRL skompletowano już kadrę przyszłych naczelników urzędów gminnych. Wymaga się od nich wykształcenia wyższego lub średniego zawodowego. Ich pensja wyniesie 4.200 zł miesięcznie. Są to prawie z reguły ludzie młodzi. W województwie białostockim na przykład 40 % przyszłych naczelników nie przekroczyło 30 lat; najstarszy ma lat 46. W tymże województwie na 247 byłych przewodniczących gromadzkich rad narodowych tylko 11 obejmie urząd naczelnika gminy. ■ Od Nowego Roku wprowadzone zostaną książeczki walutowe, w których rejestrowane będą zakupy dewiz na wyjazdy prywatne do wszystkich krajów. Równocześnie obowiązywać będzie nowa norma roczna przydziału dewiz (równowartość 7 tys. zł na 1 osobę) do wszystkich krajów socjalistycznych łącznie (z wyjątkiem Jugosławii). Przejściowo (do 31 stycznia 1973 r.) ograniczono (do 200 marek na osobę sprzedaż dewiz na wyjazdy do NRD. ■ Granicę między Polską a NRD przekroczyło w roku 1972 blisko 16 milionów osób, w tym 9,3 milionów obywateli polskich i 3,3 milionów obywateli NRD. ■ W Oświęcimiu odbyło się seminarium poświęcone stosunkom polsko-niemieckim. W seminarium zorganizowanym przez „Znak” uczestniczyły kierownice osobistości zachodnio-niemieckiej Pax Christi i Bensberger Kreis. ■ W ciągu ostatnich pięciu lat handel między ZSSR a krajami arabskimi wzrósł 37-miokrotnie. W chwili obecnej Związek Sowiecki bierze udział w budowie 350 zakładów przemysłowych (m.in. 106 w Egipcie, 62 w Iraku, 62 w Algierii). ■ Zna-na pisarka Ewa Szelburg-Zarembina obchodziła 50-lecie twórczości pisarskiej. ■ Jan Strzelecki otrzymał tegoroczną nagrodę literacką wrocławskiego miesięcznika *Odra* za tom eseju pt. „Próby świadectwa” (PIW). ■ W PRL przewiduje się zwiększenie powierzchni użytkowej mieszkań, budowanych od 1976 roku, średnio o 10 m. kw. tj. do 52 m. kw.

7-12-72

W Lipsku został otwarty konsul generalny PRL.

12-12-72

Zwolniono z więzienia czeskiego dziennikarza Jiri Lederera, który w lutym 1972 roku został skazany w Pradze na dwa lata więzienia za krytykę Gomułki w marcu 1968 roku.

15-12-72

W Warszawie zmarł nagle, w wieku 75 lat, Jan Cybis, wybitny malarz, kapista. W roku 1956 w Paryżu — nagroda Guggeheima. ■ Sowiecka republika Czecheno-Inguska została odznaczona orderem Rewolucji październikowej „za czynny udział w utworzeniu i wzmocnieniu władzy sowieckiej i wzięcie udziału w zniszczeniu nieprzyjaciela w czasie ostatniej wojny”. Jak wiadomo w czasie wojny republika ta została zlikwidowana przez Stalina a jej ludność deportowana za współpracę z Niemcami. Czecheny zostali „zrehabilitowani” przez Chruszczowa w roku 1957.

ZACHÓD — EMIGRACJA

15-11-72

Szwecja otworzyła w Wiedniu Państwowy Sekretariat Handlowy, którego zadaniem ma być rozwijanie kontaktów handlowych z krajami socjalistycznymi. ■ Ekonomiczna *Ostpolitik* kanclerza Brandta: NRF rozpoczyna budowę kompleksu metalurgicznego w Kursku (ZSSR). Koszt wyniesie 5 miliardów franków. Ponadto podpisano kontrakt na dostawę do ZSSR rur do rurociągu gazowego na sumę 4 miliardów franków. ■ Premier belgijski zaprosił Edwarda Gierka do złożenia oficjalnej wizyty w Belgii. Jak podaje radio Warszawa „zaproszenie zostało przyjęte z zadowoleniem”. ■ W Rzymie toczą się rokowania między przedstawicielami Watykanu a delegacją rządu czechosłowackiego. Dotyczą one diecezji w Czechosłowacji. Obecnie w Czechosłowacji jest 12 diecezji, z tych jedna tylko ma urzędującego biskupa. ■ Jury światowej selekcji jakości konserw w Genewie przyznało 5 złotych medali polskim konserwom eksportowym. M.in. konserwowej golonce. ■ W Waszyngtonie miało miejsce posiedzenie wspólnej polsko-amerykańskiej komisji do spraw handlu. Stwierdzono, że obroty między obu krajami w ciągu najbliższych 5-ciu lat powinny ulec przynajmniej trzykrotnemu zwiększeniu. Ugodniono także utworzenie polskiego przedstawicielstwa handlowego w San Francisco. Mają być wprowadzone uproszczenia formalności związanych z zawijaniem polskich statków handlowych do portów amerykańskich. ■ Po 10-ciu latach negocjacji podpisano umowę między Bonn a Warszawą w sprawie odszkodowań dla polskich ofiar hitlerowskich „eksperymentów medycznych”. NRF ma wpłacić rządowi polskiemu 100 milionów marek. Do sumy tej należy dodać 40 milionów marek przyznanych od 1961 roku 1.357-miu osobom za pośrednictwem międzynarodowego Czerwonego Krzyża. ■ Libia podpisała z PRL kontrakt na budowę 2.500 km. dróg.

16-11-72

W uzupełnieniu informacji, podanej w numerze wrześniowym (1972) o odznaczonych orderem Polonia Restituta przez Radę Trzech Zjednoczenia Narodowego przed jej rozwiązaniem, podajemy pozostałe nazwiska: Krzyżem Kawalerskim orderu Polonia Restituta odznaczeni zostali S. Borezyk, Z. Jasińczyk-Stupnicki, W. Choroszewski, A. Rynkiewicz, M. Sas-Skowroński. Krzyżem Zastugi w okresie od 1958 do 1972 odznaczonych zostało 2.340 osób, w tym 350 cudzoziemców. ■ Prof. J. A. Wojciechowski, przewodniczący Foreign Relations Committee, The Humanities Research Council of Canada, wziął udział w VIII-ym „Interamerican Congress of Philosophy”, który miał miejsce w mieście Brasilia. Prof. Wojciechowski wygłosił referat pt. „Science and the Multiplicity of Cultures”. Niezależnie od kongresu odbył rozmowy z brazylijskim ministerstwem Spraw Zagranicznych i szeregami uniwersytetów. Celem rozmów było zbadanie możliwości nawiązania współpracy, wymiana profesorów, wspólne projekty itp. między humanistami kanadyjskimi i brazylijskimi. ■ Towarzystwo Przyjaciół *Kultury* w Sztokholmie zorganizowało wieczór dyskusyjny „O polskim nacjonalizmie”. Dyskusję zagaili: p. Ewelina Lipko-Lipeczyńska i p. Norbert Żaba. ■ Polskie Towarzystwo Historyczne w Londynie zorganizowało zebranie naukowe z odczytem płk. Aleksandra Kędziora pt. „Strategia w obecnej sytuacji świata”.

17-11-72

W Berlinie Zachodnim odbyła się konferencja komitetu wykonawczego międzynarodowego Penklubu. Przedstawiciele polskiego Penklubu byli nieobec-

ni gdyż władze odmówiły wydania paszportu sekretarzowi Penklubu Władysławowi Bartoszewskiemu, a reszta polskiej delegacji, solidaryzując się z Bartoszewskim, odmówiła wyjazdu.

18-12-72

Ks. Bonifacy Miązek uzyskał stopień doktora filozofii na uniwersytecie Wiedeńskim.

22-11-72

Paryski *Le Monde* zamieścił list konsula generalnego PRL w Paryżu, który podaje, że obywatel PRL oczekuje na załatwienie przez konsulaty francuskie w Polsce podania o wizę francuską od jednego do trzech tygodni. Można przekroczyć granicę francuską dopiero w 6 dni od dnia otrzymania wizy. ■ W Londynie zmarł, w wieku 76 lat, Kazimierz Schleyen, żołnierz, pisarz i działacz społeczny.

28-11-72

Czechosłowacki mistrz szachowy, Ludek Pachman, przybył do NRF po uzyskaniu wizy emigracyjnej. Ludek Pachman był aresztowany w 1970 roku za „propagandę antysowiecką” i skazany w 1972 na dwa lata więzienia za „działalność dywersyjną, prowokację i zagrażanie interesom państwa”. ■ W ramach III dorocznego kiermaszu książki i sztuki polskiej w Waszyngtonie odbył się wieczór autorski Henryka Grynberga.

29-11-72

W gmachu Biblioteki Polskiej w Paryżu, staraniem Towarzystwa Historyczno-Literackiego, odbył się obchód 500-ej rocznicy urodzin Mikołaja Kopernika. Przemawiali: Andrzej Poniatowski, Irena Gałęzowska, prof. Lucjan Krawiec, T. Samulak. Jednocześnie otwarto w gmachu Biblioteki wystawę „Mikołaj Kopernik i astronomia w Polsce”. ■ W końcu listopada obwództwo marynarki norweskiej stwierdziło przebywanie w Sognefjorden do- wództwo marynarki norweskiej stwierdziło przebywanie w Sognefjorden do- wej łodzi podwodnej. Ustalono według wszelkiego prawdopodobieństwa, że była to polska łódź podwodna. ■ Adam Heymowski został mianowany naczelnym bibliotekarzem centralnej biblioteki uniwersytetu sztokholmskiego.

1-12-72

W Paryżu, w lokalu im. S. Petlury, odbył się odczyt Konstancyna Żelenki na temat „Wielka Brytania a Ukraina”. Odczyt dotyczył głównie angielsko-ukraińskich stosunków w pierwszej połowie XX wieku oraz działalności Jewhena Konowalca i OUN w świetle dokumentów dyplomatycznych. ■ Według ostatnich obliczeń zachodniemieckiego Czerwonego Krzyża ilość żołnierzy niemieckich, którzy zginęli w czasie ostatniej wojny wynosi 3 miliony 850 tys. Obliczenie to nie jest ostateczne, gdyż z tej pory Czerwony Krzyż nie mógł wyjaśnić losu 900 tysięcy żołnierzy zaginionych.

2-12-72

W Londynie na zjeździe delegatów Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Pracy powołano do życia nowy ośrodek polityczny pod nazwą Polskie Zjednoczenie Narodowe. Zjazd powołał do życia radę Polskiego Zjednoczenia Narodowego, w skład której wchodzi 48 członków, w tym 11-tu delegatów niezależnych. Przewodniczącym Rady został płk. F. Buczek. Przewodniczącym Komitetu Wykonawczego został Antoni Dargas. W skład Komitetu wchodzi ponadto: T. Drzewicki, Józef Baraniecki, Zygmunt Bienkowski, Roman Grausberg, płk. J. Niedzielski, Józef Płoski, Tadeusz Siedlik i A. Treszka. ■ Fundacja Jurzykowskiego nadała w roku 1972 szereg nagród. Uroczyste wręczenie ich nastąpi w New Yorku w dniu 9 lutego

1973 roku. *W dziale medycyny*: Prof. Dr Wiktor Dega (Uniwersytet w Poznaniu), Prof. Dr Marian Garlicki (Uniwersytet w Warszawie), Prof. Dr Jerzy Konorski (Instytut Biologii Doświadczalnej im. Nenckiego w Warszawie). *W dziale matematyki i nauk przyrodniczych*: Prof. Karol Borsuk (Uniwersytet w Warszawie), Prof. Walery Goetel (Akademia Górnicza w Krakowie), Prof. Alfred Jahn (Uniwersytet w Wrocławiu), Prof. Andrzej Mostowski (Uniwersytet w Warszawie). *W dziale filozofii*: Prof. Janina Kotarbińska (Uniwersytet w Warszawie). *W dziale historii*: Prof. Henryk Barycz (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), Prof. Karol Estreicher (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie), Prof. Marian Serejski (Uniwersytet w Łodzi). *W dziale literatury*: Prof. Konrad Górski (Uniwersytet w Toruniu), P. Mieczysław Jastrun (Warszawa), P. Józef Mackiewicz (Monachium), Prof. Adam Prager (Londyn), P. Wiesława Szymborska (Kraków), Prof. Tymon Terlecki (Chicago), P. Stefan Wiechecki (Warszawa), P. Wacław Zagórski (Londyn). *W dziale muzyki*: P. Roman Maciejewski (Redondo Beach, Kalifornia). *W dziale nauk społecznych i humanistycznych*: Prof. Tadeusz Sulimirski (Londyn). *W dziale zasług kulturalnych*: Prof. Irena Gałęzowska (Paryż), P. Anatol Girs (West Chesterfield, N.H., USA), Dr Leopold Póbg-Kielanowski (Londyn). *Za tłumaczenia*: Prof. Györgi Gömöri (Cambridge, Anglia), Prof. Alain Van Crugten (Bruksela). Fundacja Alfreda Jurzykowskiego nadała wymienione nagrody na wniosek Komisji Doradczej w składzie: Jan Fryling, Alicja Iwańska, Aleksander Janta, Mark Kac, Leon Katowicz, Jerzy Krzywicki i Ludwik Krzyżanowski.

3-12-72

W Londynie zmarł Wiktor Martin, ekonomista i działacz społeczny.

8-12-72

W Centre d'Etudes de Politique Etrangère w Paryżu Henryk Birecki, b. ambasador PRL, wygłosił odczyt pt. „Les développements récents dans la politique des pays de l'Est européen”.

9-12-72

W Stowarzyszeniu Polskich Kombatantów w Paryżu odbył się odczyt dr. Michała Borwica pt. „Oddziały AK w terenie — walki — życie codzienne — inicjatywy kulturalne”. ■ W Księgarni Polskiej w Paryżu z okazji tradycyjnej sprzedaży świątecznej książek, Józef Łobodowski podpisywał swoją ostatnią książkę „W połowie wędrówki”, a Jan Winczakiewicz „Guide de Paris — Polak zwiedza Paryż”.

10-12-72

Związek Artystów Scen Polskich za granicą w Londynie zorganizował wieczór jubileuszowy 50-lecia pracy pisarskiej Mieczysława Lisiewicza.

13-12-72

Znany sowiecki uczyony Walerij Czalidze, przebywający obecnie w USA z cyklem odczytów, został pozbawiony obywatelstwa sowieckiego za „postępowanie niezgodne z honorem obywatela sowieckiego”. Urzędnik ambasady sowieckiej w Waszyngtonie przybył do New Yorku, by odebrać mu paszport. ■ W Sztokholmie, staraniem Towarzystwa Przyjaciół Kultury, odbył się odczyt red. Michała Lisińskiego pt. „Dwa lata rządów Gierka”. ■ W Los Angeles, staraniem Leonidas D. Ossetyńskiego, prezesa klubu Kultury im. Heleny Modrzejewskiej, odbył się odczyt Andrzeja Strachockiego, prof. Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, na temat „Scenografia w polskim teatrze”.

14-12-72

Nagroda teatralna *Dziennika Polskiego* w Londynie została przyznana *ex aequo* Barbarze Reńskiej (Warsztat teatralny ZASP-u w Londynie) i Oldze Zeromskiej (Zespół Pro Arte). Nagroda wynosi £.stg.150. ■ Z okazji 25-lecia istnienia firma londyńska Haskoba ufundowała nagrodę dla najlepszego współczesnego humorysty-satyryka. Nagroda wynosi 100.000 lirów włoskich plus dwutygodniowy urlop na Costa Smeralda, Sardynia. ■ W Londynie ukazała się książka Zb. Herberta „The passion of our Lord” w przekładzie Adama Czerniawskiego.

16-12-72

Ofensywa propagandowa PRL na Francję. W prasie francuskiej ukazały się ogłoszenia Radia Warszawa o konkursie wśród słuchaczy audycji Radia Warszawa w języku francuskim. Konkurs polega na nadesłaniu najlepszych odpowiedzi na trzy pytania: 1) Co — zdaniem biorącego udział w konkursie — należy zrobić, aby jeszcze pogłębić pokojową współpracę międzynarodową; 2) Jakie wydarzenia specjalnie przyczyniły się do rozwoju współpracy między Francją i Polską; i 3) W jakich dziedzinach istnieją największe możliwości rozwoju współpracy polsko-francuskiej. Rezultaty konkursu będą ogłoszone przez Radio Warszawa w dn. 31 stycznia 1973. Nagrodą jest 10-dniowa wycieczka do Polski. Przed ogłaszaniem podobnych konkursów należałoby najpierw zorientować się ile osób we Francji słucha audycji Radia Warszawa w języku francuskim. *Biorąc pod uwagę, że ogłoszenie ukazało się 16 grudnia 1972, a termin nadsyłania odpowiedzi upływa 31 grudnia 1972 można przypuszczać, że rezultaty konkursu są już przygotowane.*

19-12-72

W Paryżu w galerii Cimaise de Paris została otwarta wystawa obrazów E. Mazuryka.

KRONIKA KANADYJSKA

W Loyola College w Montrealu przy współpracy uniwersytetu w Alberta z Edmontonu i Laval z Quebecu odbyła się druga międzynarodowa konferencja na temat pozytywnej dezintegracji. Teoria dezintegracji pozytywnej została wypracowana przez prof. Kazimierza Dąbrowskiego, autora licznych prac z tej dziedziny w językach: francuskim, angielskim, niemieckim i polskim. Dr Dąbrowski jest profesorem na uniwersytecie w Alberta od 1964 roku i na uniwersytecie Laval od 1968 roku.



Najdonioślejszym wydarzeniem dla Polonii jest nominacja dr. Stanley'a Haidasza, posła z okręgu Toronto-Parkdale, na sekretarza Stanu do spraw wielokulturowości. W poniedziałek 27 listopada 1972 roku premier Trudeau uformował nowy gabinet w składzie którego znalazł się poseł Haidasz. W ten sposób po raz pierwszy w skład rządu federalnego wszedł Kanadyjczyk polskiego pochodzenia. Stanley Haidasz, 49-letni lekarz, syn imigrantów polskich, urodził się i wychował w Toronto. Ojciec jego był robotnikiem, pracownikiem kolejowym, który zapewnił swoim dzieciom wyższe wykształcenie. Młody Haidasz był czynny w Polonii w okresie szkolnym i studenckim. Studiował filozofię na uniwersytecie w Ottawie, a następnie przerwucił się na wydział medyczny uniwersytetu w Toronto. Ożeniony jest z Polką, córką działacza Związku Polaków w Kanadzie, którego sam jest członkiem. Był

prezesem okręgu Toronto Kongresu Polonii Kanadyjskiej. Do Izby Gmin został po raz pierwszy wybrany w 1957 roku jako jedyny poseł liberalny z Toronto. Stracił mandat w następnym roku, a od 1962 roku zasiada bez przerwy w Izbie Gmin. Był od 1963 roku sekretarzem parlamentarnym różnych ministrów, brał udział jako delegat Kanady w licznych konferencjach międzynarodowych. Odwiedził kilkakrotnie Polskę w charakterze oficjalnym. Zarówno on sam, jak i jego żona i dzieci mówią doskonale po polsku i biorą udział w życiu Polonii. Byłoby jednak fałszywe uważać nominację dr. Haidasza za dowód siły i roli politycznej Polonii w Kanadzie, czy jej pozycji w Partii Liberalnej. Jak dotychczas udział polskich Kanadyjczyków w życiu politycznym jest mikroskopijny i niewiele większy w Partii Liberalnej. Polonia niewątpliwie stanowi zaplecze dr. Haidasza, popiera go, ale on sam działa bodajże we wszystkich grupach etnicznych, posiada w nich wielkie wpływy, cieszy się ich zaufaniem i uznaniem. Obecny zakres jego pracy ma na celu zdobycie i umocnienie wpływów liberalnych w grupach etnicznych przez wykazanie, iż rząd liberalny realizuje podstawowe postulaty kulturowe grup etnicznych.

W wyborach samorządowych w prowincji Ontario, które odbyły się 4. 12. 1972 r. w większych miejscowościach ubiegali się o różne stanowiska kandydaci pochodzenia polskiego. Sporo kandydatów ubiegało się o „najniższe” w hierarchii samorządowej stanowiska, a mianowicie przedstawiciele w radach szkolnych. Nie zdobyli mandatów, ale dali się poznać, występując na zgromadzeniach publicznych. Nie odnieśli również większych sukcesów ubiegając się o stanowiska radnych, niemniej jednak ważne jest, iż znaleźli się na listach wyborczych. Na obszarze metropolitalnym Toronto jeden dawny radny polskiego pochodzenia stracił mandat a drugi zachował go. Nawet w Ottawie kandydował do Rady Miejskiej jeden polski śmiałek, ale mandatu oczywiście nie uzyskał.

Teatr studencki uniwersytetu McGill w Montrealu („Théâtre 1”) ma w swoim repertuarze sztuki polskich autorów: Witkiewicza i Mrożka, a w zespole Piotra Borkowicza, utalentowanego studenta i aktora. Urodził on się i wychował w Kanadzie, ale mówi doskonale po polsku i — co ważniejsze — żywo interesuje się polską twórczością dramatyczną. Jemu to „Théâtre 1” zawdzięcza polski repertuar. Zespół ten występuje z powodzeniem na scenach teatrów uniwersyteckich w Kanadzie.

Klub Dyskusyjny w London, Ont., który powstał z inicjatywy prof. Floriana Śmieji, zorganizował w listopadzie 1972 roku wieczór poświęcony St. Moniuszce.

Polski Kościół Narodowy obchodził w październiku 1972 roku 75-lecie swego istnienia, a w grudniu tegoż 1972 roku ks. biskup Józef Niemiński, ordynariusz diecezji kanadyjskiej — 25-lecie probostwa w katedrze św. Jana w Toronto.

Komitet Kopernikowski znajdujący się pod protektoratem Zarządu Głównego Kongresu, którego przewodniczącym jest dr inż. Zdzisław Przygoda, zaprosił na cykl wykładów prof. W. Iwanowską z uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu.

Ministerstwo turystyki prowincji Manitoba ogłosiło ostatnio m.in. dane dotyczące siódmego Festiwalu Ukraińskiego w Kanadzie, który odbył się latem 1972 roku w miejscowości Dauphin. Festiwal trwał 4 dni a wzięło w nim udział ponad 30.000 osób, które wydały około \$ 600.000. Sprzedaż w lokalnych sklepach wzrosła w tym czasie o 34 %. Według danych statystycznych przeciętna grupa 3,5 osobowa wydała \$ 103,50.

Edward Józef Babin, inżynier, syn imigrantów ukraińskich, urodzony w Krydor, Saskatchewan w 1921 roku, znajduje się na bardzo eksponowanym stanowisku w resorcie Obrony Narodowej. Jest naczelnym dyrektorem Defence Research Establishment (Instytut Badawczy do Spraw Obrony) w Valcartier pod Quebec. W instytucie tym pracuje około 900 osób, w tym 125 specjalistów naukowych, szereg wysokich oficerów wszystkich broni. Inż. Babin studiował fizykę na uniwersytecie w Saskatoon i specjalizował się na uniwersytecie John Hopkins w Baltimore. Całą karierę zawodową odbywa w instytucjach wojskowych.

Na terenie Toronto czynnych jest jedenaście ukraińskich kas kredytowo-pożyczkowych. Liczą one razem — stan na 31 grudnia 1971 roku — 17.461 członków. Dalszych jedenaście Kas Montrealu, Sudbury, Oshawa, Hamilton, Thunder Bay i St. Catharines posiadały 15.923 członków. Majątek kas w Toronto wynosił \$ 33.022.227, a wszystkich wyżej wymienionych razem — \$ 43.160.867.

SKŁAD NOWEGO ZARZĄDU GŁÓWNEGO KONGRESU POLONII KANADYJSKIEJ

Prezes — K. Bielski.

Wiceprezesi: J. Barankiewicz, R. Kogler, T. Kottowa, H. Pierchalska (z urzędu).

Wiceprezesi terenowi: J. Wojciechowski (reprezentacja przy rządzie federalnym), J. Trzcński (Kanada Wschodnia), T. Leczyński (Kanada Centralna), P. Czartoryski (Kanada Zachodnia).

Sekretarz generalny — inż. A. Cwalina.

Skarbnik — W. Korzeniowski.

Członkowie Zarządu: M. Antoniszynówna, Z. Berezowski (z urzędu — Kongres Młodych), M. Brodzka, Ks. J. Capiga, M. Dobrzańska, P. Kulesza (Komisja Inwalidzka), M. Lewicka, S. Leszczyński (Komisja Opieki Społecznej), Z. Przygoda (Komitet Kopernikowski), J. Śliwiński, Z. Szpikowski.

Zjazd zostawił dwa miejsca w prezydium dla reprezentanta Związku Polaków w Kanadzie i dla reprezentanta Stowarzyszenia Techników, a także nieokreśloną ilość miejsc (zdecyduje Zarząd Gł. KPK) w Zarządzie dla przedstawicieli tych organizacji.

N.B. — wiceprezes R. Kogler wchodzi do prezydium z urzędu jako dyrektor Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, p. H. Pierchalska — jako prezes Związku Nauczycielstwa Polskiego w Kanadzie i jako taka — przewodnicząca Wydziału Szkolnego KPK, p. Z. Berezowski — jako prezes Kongresu Młodzieżowego — jako członek Zarządu.

KOMISJA REWIZYJNA

Przewodniczący — L. Jurkowski; członkowie: J. Bucko, L. Kowalska, Z. Metrzyk, W. Załutynska.

KOMISJA SPRAW SPORNYCH

Przewodniczący — S. Lewicki; członkowie: J. Burski, O. Dunin-Borkowski, Z. Jurczyński, K. Koskowski, K. Rekliński, E. Urbanek, A. Witlib.

KRONIKA AMERYKAŃSKA

29-10-72

W Chicago odbył się zjazd Związku Harcerstwa Polskiego w USA, na którym postanowiono zorganizować kształcenie młodych instruktorów harcerstwa; mają oni zastąpić instruktorów z lat wojny. ■ Mayor miasta Detroit, Roman Gribbs (Grzyb), Amerykanin polskiego pochodzenia, został obrany na zjeździe mayorów miast amerykańskich w Indianapolis — prezesem Ligi Miast Amerykańskich.

4-11-72

W Kalifornii zmarł znany polonijny malarz i karykaturzysta Kazimierz Majewski.

14-11-72

Wernisaż wystawy Jana Lebensteina w Bodley Gallery w New Yorku.

15-11-72

■ W Chicago powstał Klub Przyjaciół Polskiej Książki. Zadaniem Klubu będzie organizowanie dyskusji o nowych książkach, spotkań autorskich i wystaw książek. ■ Kolegium Związkowe w Cambridge Springs (USA) obchodziło 60-lecie swego powstania. W tym okresie studia w Kolegium ukończyło 5.000 osób. ■ Federalna ława przysięgłych w Pittsburgu postawiła w stan oskarżenia dwóch dalszych wyższych urzędników związku górników w USA pod zarzutem wzięcia udziału w zabójstwie Józefa Jabłońskiego i jego rodziny. Józef Jabłoński został zamordowany, gdy zabiegał o prezesurę związku górników, walcząc z korupcją panującą w związku. Do tej pory jest 7-miu oskarżonych w tej sprawie. Dwóch bezpośrednich sprawców mordu zostało już skazanych na wieloletnie więzienie. ■ W Nowym Jorku odbyły się 23. 10. 1972 dwudniowe narady przedstawicieli kół Stronnictwa Narodowego USA i Kanady. W naradach wzięło udział 50 delegatów. Były dyskutowane: 1) zmiany w Polsce, 2) sytuacja między-narodowa, 3) kontakty Kraj-emigracja.

18-11-72

Fundacja Kopernikowska w Chicago ogłosiła plan budowy w tym mieście dużego ośrodka życia polonijnego, który ma powstać w ciągu 5 lat, kosztem 5 milionów dolarów. Na organizatora ośrodka został powołany Amerykanin polskiego pochodzenia J. Dressel (Dreszer). Planuje się wybudowanie dużej sali teatralnej, biblioteki, sali na wystawy artystyczne i imprezy, muzeum polonijnego, oraz pomieszczeń na biura organizacji polonijnych i na polskie lokale handlowo-rekreacyjne. Fundacja Kopernikowska rozpoczęła sprzedaż udziałów po \$ 500.

19-11-72

Prof. St. Piwowarski z katolickiego uniwersytetu w Chicago — jako pierwszy naukowiec — ogłosił wyniki badań nad ostatnim spisem ludności w USA (z 1970 r.), opracowane w odniesieniu do polskiej grupy etnicznej. Prof. St. Piwowarski akceptuje podaną w tym spisie liczbę polskiej grupy

etnicznej w USA na ok. 4 miliony ponieważ metody obliczeń były słuszne. W wyniku tego ostatniego spisu ludności okazało się, że tylko ok. 5 % osób zaliczających się do polskiej grupy etnicznej określiło język polski jako swój język domowy (*nota-bene* dla grupy łacińsko-amerykańskiej — 47 %).

25-11-72

Uniwersytet w Buffalo, N.Y. zorganizował z inicjatywy prof. F. Jakubczaka otwarty konkurs na pracę-pamiętnik na temat „Rola Polaków w gospodarce i kulturze kraju zamieszkania”.

28-11-72

Kardynał Jan Król z Filadelfii, USA, złożył amerykańskiemu Episkopatowi sprawozdanie ze swojej podróży do Polski, w którym m.in. powiedział: „Sytuacja Kościoła w Polsce jest raczej wyjątkowa, bo kraj ten jest areną dwóch ideologii — wiary w Boga i ateizmu, które toczą śmiertelną walkę”. Kardynał Król dodał: „Siły ateizmu ani nie ukrywają, ani nie maskują swoich ostatecznych celów, natomiast robią użytek z administracyjnej i militarnej siły celem narzucenia swoich poglądów”.

2-12-72

Prezydent R. Nixon mianował Richarda Davis'a nowym ambasadorem USA w Warszawie. Davis jest zawodowym dyplomatą i w czasie swej kariery dyplomatycznej przebywał już w Warszawie na stanowisku radcy Ambasady USA. Davis towarzyszył prez. Nixonowi w czasie jego podróży do Polski w 1972 roku.

7-12-72

W Chicago zorganizowano obiad ku czci p. Kraśko, przewodniczącego T-wa „Polonia”, na który zaproszono czołowych przedstawicieli Polonii. Prezes A. Mazewski i szereg innych osób odmówiło udziału, natomiast stawił się Zarząd Polskiego Zjednoczenia Rzymsko-Katolickiego.

Z OSTATNIEJ CHWILI

18-12-72

Sąd Najwyższy w Warszawie zatwierdził wyrok Sądu Wojewódzkiego w Opolu, skazujący Jerzego Kowalczyka na karę śmierci, a Ryszarda Kowalczyka na karę 25 lat więzienia. W skład kompletu orzekającego wchodził sędziowie: Antoni Hapon, Stefan Kaciczak, Aleksander Kafarski, Henryk Kempisty i Wacław Sikorski. Ludzie ci hańbią tradycje polskiego sądownictwa.

21-12-72

W Moskwie obchodzono niezmiernie uroczyste 50-lecie utworzenia ZSSR. Zwraca powszechną uwagę wybranie tej daty, gdyż ZSSR był proklamowany 30 grudnia 1922 roku, natomiast... 21-szy grudnia jest 93 rocznicą urodzin Stalina. ■ Sołżenicyn w rozmowie z dziennikarzami zachodnimi oświadczył, że znajduje się w więcej niż ciężkiej sytuacji materialnej. Gotów był nawet przyjąć propozycję jednego z pisarzy amerykańskich, który chciał mu sędować swoje honoraria w Związku Sowieckim — jako pożyczkę, ale minister kultury, p. Furcewa, oświadczyła, że p. Maltz nie należą się żadne honoraria, gdyż ZSSR nie podpisał nigdy konwencji międzynarodowej, regulującej prawa autorskie.

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Toronto, 7 grudnia 1972.

Upierzejmie proszę o zamieszczenie sprostowania notatki która ukazała się w listopadowym numerze *Kultury*.

Wiadomość jaka ukazała się jakoby w imieniu Fundacji Władysława Reymonta zaprosił p. W. Kraśko do odwiedzenia Polonii Kanadyjskiej jest błędna. Z p. Kraśko rozmawiałem jako z Prezesem Towarzystwa Łączności z Polonią Zagraniczną „Polonia” w sprawie kursów letnich w Polsce z kursem na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim włącznie, ponieważ wszelkie transakcje z polskimi instytucjami kulturalnymi i naukowymi muszą być załatwiane za pośrednictwem tego Towarzystwa.

W toku rozmowy z p. Kraśko, w odpowiedzi na pytania o Fundację, użyłem powszechnego zwrotu „Niech Pan przyjedzie na nasz dożynkowy bal we wrześniu, to Pan zobaczy”. Inne wersje na ten temat są owocem fantazji reporterów.

Dlatego informacja podana w *Kulturze*, powtórzona z „Czasu” z Brooklin oraz komentarz i wnioski są fałszywe.

Jednocześnie pragnę wyjaśnić, że Fundacja Władysława Reymonta jest instytucją kanadyjską, działającą dla dobra Polonii Kanadyjskiej na statucie zatwierdzonym przez miejscowe ustawodawstwo. Pielęgnowanie i szerzenie polskiej kultury jest jednym z celów Fundacji i dlatego oczywiście mamy kontakty kulturalno-naukowe z Polską, podobnie jak Fundacja Kościuszkowska w Ameryce.

W ramach naszej dotychczasowej akcji, całkowicie odpłatnej, przeprowadzonej przy finansowym poparciu Rządów: Federalnego i Ontaryjskiego, było w Polsce w 1972 roku około 50 studentów na kursach polskiej kultury na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie oraz ponad 120 młodzieży na Hestiwalu Folkloru w Rzeszowie, Wczasokursach w Olsztynie i Kursach Folkloru w Krośnie.

Fundacja Władysława Reymonta nie jest instytucją polityczną. Działa i działać będzie zgodnie ze swoimi statutami, zgodnie z dobrze zrozumiałymi interesami kulturalnymi Polonii Kanadyjskiej.

Notatka i komentarz które ukazały się w *Kulturze* wysoce krzywdzą Fundację Władysława Reymonta i Związek Polaków w Kanadzie.

Z wyrazami poważania,

J. DOBRANOWSKI,
przewodn. Kuratorium Fundacji
W. Reymonta i wiceprezes ZPwK.

Wiadomość podaliśmy na podstawie komunikatu urzędowej agencji prasowej PRL. O ile nam wiadomo wzmianka ta ukazała się w prasie krajowej w czasie pobytu p. J. Dobranowskiego w Polsce. Szkoda że wówczas p. Dobranowski nie uważał za potrzebne rozesłać sprostowania. — *Redakcja*.

Szanowny Panie Redaktorze,

„Turysta (I)”, który w liście do *Kultury* (Nr 11/302, 1972) zarzuca mi, „oskarżanie całego społeczeństwa polskiego” w opowiadaniu „Ojczyzna” (*Kultura* Nr 12/179-1/280-2/281), pisze, że „jako b. dziennikarz (i zapewne członek Partii)” powinienem wiedzieć, że bezczeszczenie grobów w Polsce ma podłoże polityczne, że wprawdzie „żałosny to przejaw opozycyjności wobec reżymu, lecz nie można obciążać winą jednostronnie społeczeństwa, czy nawet jego chuliganów, skoro nie ma w nim żadnych innych legalnych możliwości przejawiania opozycyjnego nastawienia wobec ustroju”.

Wyjaśniam nieporozumienie: nigdy nie byłem dziennikarzem. Studiowałem na Wydziale Dziennikarskim Uniwersytetu Warszawskiego (1954-59), ale już na drugim roku studiów wiedziałem, że za żadne skarby nie będę dziennikarzem w PRL. Mam tytuł „magistra dziennikarstwa”, ale do egzaminu przygotowywałem się na seminarium historii literatury powszechnej u prof. Romana Karsta (dziś również emigranta), a moja praca magisterska miała tytuł „Nowele Tomasa Manna”.

Jeszcze bardziej nie byłem nigdy członkiem żadnej partii (ani przez duże ani przez małe „p”). Można powiedzieć, że wręcz przeciwnie. Zawsze, od kiedy dorosłem, uważałem, że świat mógłby być na jakiś czas zbawiony, gdyby naraz wszyscy postanowili wystąpić z wszelkich partii i nigdy do żadnych nie wstępować.

W opowiadaniu „Ojczyzna” nie oskarżam ani „całego społeczeństwa polskiego”, ani żadnej z jego poszczególnych części. Tego rodzaju podejście do literatury jest mi najbardziej obce. Przedstawiam tylko głębokie, biologiczne przywiązanie mojego bohatera (z którym się utożsamiam) do ojczyzny i tragiczny los, który zmusza go do ekspatriacji, nie pozostawiając żadnego wyboru.

Nawet nie będąc ani dziennikarzem, ani członkiem partii, wiedziałem, że bezczeszczenie grobów w Polsce miało czasem charakter polityczny. Ale nie zawsze. Było ono jednak zawsze przejawem najordynarniejszego chamstwa. W moim opowiadaniu występuję właśnie przeciwko chamstwu, które (nie bez przyczyn politycznych) pleni się w naszej ojczyźnie (i nie tylko w naszej).

Nie uważam, że autor powinien wyjaśniać to, czego nie zrozumiał czytelnik, ale podejrzewam tu przypadek patologiczny. Przedtem „Robotnik z Kanady” (*Kultura* Nr 6/285) stwierdził, że popełniam „nietakt” wspominając o zbezczeszczonym grobie mojego zamordowanego ojca, a teraz „Turysta” z PRL uważa, że nie powinienem obciążać winą za to „nawet chuliganów”, którzy nie mają „żadnych innych legalnych możliwości”. Jestem pewny, że ktoś tu zwariował.

W 1960 przywoziłem z Izraela do Polski list Marka Hłaski do Agnieszki Osieckiej. List składał się z czterech słów: „Nie dajmy się zwariować”. Przyrzekłem sobie wtedy, że się nie dam i się nie dałem. Ale za innych nie ręczę.

Z poważaniem,

Henryk GRYNBERG

Szanowny Panie Redaktorze.

28 listopada 1972 r.

Pragnę z zalem sprostować *lapsus calami*, który wkradł się do mojego artykułu „Socjalistyczne prawo międzynarodowe”, wiersz przedostatni, ustęp

1. str. 65 *Kultury*, Nr 11/302. Zamiast „Klementa Gottwalda” winno być „Klementisa”.

Łączę wyrazy poważania,

Józef GIDYŃSKI

Monachium, 1 grudnia 1972.

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

Otrzymałem cenny dla mnie list z Watykanu. J.E. kardynał Slipyj (Josephus Card. Slipyj, Archiepiscopus Maior Ucrainorum etc.) w bardzo serdecznych słowach dziękuje mi za moją książkę „W Cieniu Krzyża”, i życząc mi — jak to zechciał łaskawie wyrazić: „wielkich sukcesów w dalszej twórczej pracy”, zwraca uwagę na jedyną, zauważoną przez niego „niedokładność”. Oto wizyta oficjalna, jaką po swoim oswobodzeniu z łagrow zmuszony był złożyć w sowieckiej ambasadzie przy Kwirynale w Rzymie, nie była pierwszą (jak u mnie na str. 141), lecz jedną z późniejszych oficjalnych wizyt. Ponieważ książka moja, „W Cieniu Krzyża”, jest już w sprzedaży od wiosny 1972, nie jestem fizycznie w możności sprostowania tej omyłki inaczej, jak chyba prosząc uprzejmie Pana Redaktora o łaskawe opublikowanie niniejszego listu.

Lapsus, o którym mowa jest raczej, historycznie, z kategorii niezbyt ważnych. Poczuję się wszelako w obowiązku sprostowania tego drobnego szczegółu z uwagi na czcigodną postać kardynała Slipyja. Jego tyloletnie cierpienia w kaźniach sowieckich nie ustępują chyba tamtym, doznany przez św.św. męczenników, a jego niezłamana tym męczeństwem i nieugięta dyplomatycznymi naciskami postawa, na tle tak niepokojącej dziś polityki Watykanu — kompromisów wobec światowego komunizmu, należy — obok postawy kardynała Mindszientego — do najbardziej wzniostych Duchem wyjątków w naszym, przeżywającym kryzys, Kościele.

Łączę wyrazy szacunku,

Józef MACKIEWICZ

Bruksela, 17 listopada 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W numerze listopadowym *Kultury* (Nr 11/302) na str. 145 w wydawnictwach miesiąca pod datą 6. 10. 72 wkrađa się nieścisłość co do nazwy wydawnictwa w Beneluxie.

Wydrukowano: „Wreszcie przyznano nagrody w wysokości 2000 fr. szw. Biuletynowi Koła Lwówian i redaktorowi Biuletynu Polskiego w Beneluxie, B. Strenkowi”.

Proszę Pana Redaktora o sprostowanie. Wydawnictwa pod nazwą „Biuletyn Polski w Beneluxie” nie ma. Natomiast jest wydawany „KOMBATANT POLSKI W BENELUXIE — Organ Stowarzyszeń Polskich Kombatantów w Belgii i Holandii”.

Gratuluje przyznanej nagrody im. Anny Godlewskiej redaktorowi Bogumiłowi Strenkowi w Holandii.

Łączę wyrazy głębokiego szacunku,

Stanisław MERŁO
Redaktor działu belgijskiego
Kombatanta Polskiego w Beneluxie

Londyn, listopad 1972.

Szanowny Panie Redaktorze,

W związku z artykułem p. Marii Danilewiczowej pt. „Polacy w Anglii w czasie 1-ej wojny”, zamieszczonym w Nrze 6-ym *Kultury*, 1972, pozwalam sobie przesłać kilka uwag prostujących zawarte tam twierdzenia, w nadziei, że Pan Redaktor zechce je ogłosić w swoim Piśmie.

Artykuł p. Danilewiczowej, streszczający rozprawkę na powyższy temat prof. Normana Daviesa w „The Slavonic and East European Review”, przytacza szereg rzekomo rewelacyjnych opinii tego młodego historyka angielskiego. W rzeczywistości rozprawka jego nie zawiera żadnych odkryć naprawdę rewelacyjnych, podaje natomiast rozmaite informacje częściowo nieprawdziwe a częściowo bałamutne w ich przedstawieniu.

Idąc za radą p. Danilewiczowej poddałem gruntownej analizie cytowane przez p. Daviesa dokumenty, co zabrało mi z konieczności sporo czasu. Z analizy tej się okazało, że szereg spośród cytowanych dokumentów głównie z archiwów Foreign Office w Public Record Office w Londynie, autor interpretował nie bardzo według ich treści, a niektóre streszczał w sposób całkiem dowolny, myląc się nawet przy tym w numeracji dokumentów.

W świetle zbadanych przeze mnie aktów informacja p. Daviesa o aresztowaniu Augusta Zaleskiego w Anglii w roku 1916, rzekomo z „denuncjacji” Romana Dmowskiego, jest wierutną bajką. W jednym z powołanych przez p. Daviesa dokumentów, F.O. 371, 3280/81294, nie ma o tym najbliższej wzmianki. Drugi, F.O. 371, 2919/11695, musiały się znajdować w tecze spraw chińskich i tam go oczywiście nie ma. Że August Zaleski nie mógł być nigdy aresztowany ani więziony w Anglii, można się łatwo przekonać z jego *arrestulum* podanego dla Foreign Office przez dyrektora Departamentu Wywiadu Wojskowego Wielkiej Brytanii (D.M.I.) w raporcie z dnia 10 października 1917 (F.O. 371, 3016/195992).

Podobnie ma się rzecz z informacją Daviesa, którą powtarza za nim p. Danilewiczowa, o tym, że Dmowski „pragnąc zniszczyć Zaleskiego... metodami wypracowanymi w carskiej szkole spod znaku Ochrany”, wręczył w roku 1916 „w Scotland Yardzie listę osób 'niebezpiecznych' rozpoczynającą się nazwiskiem Augusta Zaleskiego”. To miałyby prowadzić do późniejszego „aresztowania” Zaleskiego. Norman Davies powołuje się tutaj na memoriał Wywiadu Admiralicji o sytuacji partii politycznych w Królestwie Polskim z dnia 25 czerwca 1918 roku, F.O. 371, 3279, podając błędnie bezpośredni numer aktu, którym powinien być 169676, a nie jak on cytuje 169678. Memoriał, według słów jego autora, oparty był głównie na materiałach ze źródeł nieprzyjanych Narodowej Demokracji. Odnośny ustęp tego, z którego Davies wyciągnął swą konkluzję, brzmiał:

„Warto może dodać, że najważniejszy zarzut jaki wysuwa się przeciw Narodowej Demokracji, dotyczy metod jakimi posługuje się ona w Anglii. Na długo przed oficjalnym uznaniem (Komitetu Narodowego — T.P.) dostarczona została Cenzurze lista Polaków, których korespondencja powinna być przedmiotem szczególnej uwagi. Na czele tej listy znajdowało się nazwisko Zaleskiego...”.

To wszystko. Daleka droga od tej informacji ze stroniczego źródła, w której nazwisko Dmowskiego w ogóle nie występuje i treść całkowicie różna, do twierdzenia że „Dmowski wręczył w Scotland Yardzie (sic!) listę osób niebezpiecznych” etc. I na dodatek zarzut o metodach „wypracowanych w carskiej szkole spod znaku Ochrany”!

Tak samo dalekie od rzeczywistej prawdy są niemal wszystkie inne informacje p. Daviesa o Dmowskim i Zaleskim w Anglii, zebrane przez niego chyba po to tylko, żeby uczynić z Augusta Zaleskiego ofiarę „intryg” Dmowskiego. W istocie rzeczy byłoby wręcz na odwrót, tylko że Dmowski

zanadto górował nad swoim przeciwnikiem, żeby być ofiarą. Ze wszystkich bowiem informacji i opinii p. Daviesa, powtórzonych na pewno w dobrej wierze, choć może trochę bezkrytycznie, przez p. Danilewiczową, jedna była niewątpliwie prawdziwa: że Dmowski był politykiem większego kalibru od Zaleskiego.

Łączę wyrazy poważania,

Dr Tadeusz PISZCZKOWSKI

ODPOWIEDZI REDAKCJI

G. M., *Mentana (Włochy)* — Że nie najlepiej dzieje się w Europie i w ogóle w świecie zachodnim — o tym powszechnie wiadomo, ale trudno za ten stan rzeczy obciążać EWG, czy też wszystko przypisywać „agenturze moskiewsko-komunistycznej”.

Z. J. W., *Vancouver (Kanada)* — Pana ocena opowiadania Koraba pt. *Blizniak*, jest na szczęście odosobniona. To doskonale opowiadanie było przez Czytelników *Kultury* przyjęte bardzo pozytywnie, a obecnie jest tłumaczone na szereg języków zachodnich.

SPROSTOWANIE

W numerze 12/303 *Kultury* (grudzień 1972) podaliśmy w „Wydarzeniach miesiąca” wiadomość o śmierci Wiery Imber z komentarzem, że „występowała bardzo odważnie w obronie Pasternaka”. Niestety wiadomość ta jest niecisła. Było wprost odwrotnie. Wiadomość tę wydrukowaliśmy za paryskim *Le Monde*, zapominając, że na prasie francuskiej nie można polegać jeśli idzie o sprawy Europy Wschodniej.

REDAKCJA

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, 78-Maisons-Laffitte

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Dépôt Légal : 1^{er} Trimestre 1973.

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
AFRYKA POLUDNIOWA : Dr F. Kaluza, 219 Giovanetti Str., New Muckleneuk, Pretoria	R. 1,20	R. 7,50	R. 14,50
ARGENTYNA : Tadeusz Dabrowski, « Libreria Polaca », Serrano 2076, Buenos Aires, Suc. 25	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
AUSTRALIA : « Vistula » (Australia) Pty. Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney N.S.W. 2000	\$ A 1,50	\$ A. 9,00	\$ A. 17,50
AUSTRIA : Henryk Odlanicki-Poczobut, Wien I, Schönlaterngasse Nr 5/2, Stiege/Türe 14, Tel. 52-40-762	—	Sch.A. 250,00	Sch.A. 450,00
BELGIA : Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Armée Lynen app. 57, 1030 Bruxelles, Nr konta pocztow. 7315-20. Tel. 18.69.23	F.B. 90,00	F. B. 500,00	F. B. 950,00
BRAZYLIA : Janina Pomian-Piatkowska, rua Guara 143, villa Pompeia, Sao Paulo. Tel. 62-0523	\$ US 2,00	\$ US. 11,00	\$ US 20,00
FRANCJA : do nabycia w redakcji « KULTURY » i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 9,00	F. 48,00	F 90,00
HOLANDIA : Inz. J. Minkiewicz, Wielingenlaan 6, Vlissingen. (01184) 4073, Postgiro 1379176	Flo. h. 6,00	Fl. h. 35,00	F. h. 65,00
KANADA : Krystyna Krakowska, 5109 Blvd de Maisonneuve O., Montreal 260 Que., Tel. 482-4673; B. Krasuski, 8 Higi Park Blvd., Toronto 3, Ont.; Rev. Donald Malinowski, 361 Burrows Ave., Winnipeg 4, Man., Tel. 586-3825; Z. Micherdzinski, 24 Facer Str., St. Catherines, Ontario, Jozef Polkowski, 110 Cobourg Street, apt. 301, Ottawa 2, Telefon 233-7212; « Polish Voice Publishing » Co., 1089 Queen str. W., Toronto 145, Ont.; « ZWIĄZKOWIEC », 1475 Queen St. W. Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491	\$ Can. 2,00	\$ Can. 11,00	\$ Can. 20,00
NIEMCY : St. Mikiciuk, 8 München 45, Gablonzerstr 7/1	DM. 6,00	DM. 35,00	DM. 65,00
NORWEGIA : Br. Lubinski, Klommenstengt 8, Moss	F. 9,00	F. 50,00	F. 95,00
SZWAJCARIA : Maria Wasung, 6, rue des Lillas, Case postale, 1211 Genève 7. Tel. 33 34 20, Nr konta pocztow. 12.14431	F. . 8,00	F. S. 40,00	F. S. 75,00
SZWECJA : Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm., Tel. (08) 60 15 70	K. S. 9,00	K. S. 50,00	K. S. 95,00
U.S.A. : S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York N.Y. 10009; L. Dudarew-Ossetyński, 1601 No Fuller Ave., Hollywood, Cal. 90046; Maria E. Dobrowolska, 4419 N. Pershing Dr., Arlington, Va. 22203; T. Konopacki, 27437 Detroit Road, Cleveland, Ohio, 44145, Tel. 8714847; Christian M. Kretowicz, 4477 Wilson Av., San Diego, Cal. 92116; V.B. Kwast, 376, Wallingford Terr., Union, N.J. 07083, Tel. MU 8-0346; M. Kosciuch, 12331 French Road, Detroit, Mich. 48234; Polish Book Store, BOX 11410, Philadelphia, Pa. 19111; Edward Posyniak, 595 Fillmore Av., Buffalo N.Y. 14212; The Polish Book Importing Co., 410 Matchaponix Av., Jamesburg, N.J. 08831. POLONIA, Bookstore, 2921 Milwaukee Ave., Chicago, Ill. 60618. R.J. Sas-Babczynski, 15717 Woodruff Ave., Nr 44, Bellflower, Cal. 90706, Tel. 867-1857; Jan Wojcik, 674 Farmington Ave., New Britain, Conn. 06053;	\$ US 2,00	\$ US 11,00	\$ US 20,00
W. BRYTANIA : P.C.A. Publications Ltd., 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7.	£ 0,75	£ 4,00	£ 7,75
WŁOCHY : Witold Zahorski, Roma, via Gallia 60 int. 27., Tel. 75-67-241	L. It. 1200	L. It. 6000	L. It. 11000

W krajach niewymienionych prenumerata roczna F. 95; półroczna F. 50.
Przesyłka pojedynczego numeru: F. 0,80.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze na konto pocztowe:

INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil le Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18-228-56 (z Francji)

lub C.C.P. PARIS 18-228-38 (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 222 — ALEKSANDER SOŁŻENICYN

KRĄG PIERWSZY



Wydanie drugie

Dwa tomy str. 704.

Cena I/II F. 60 (dol. 12,50; £. 5,25)



TOM 223 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT DWUDZIESTY DRUGI

Zawiera m.in. P. Korzec: *Materiały do studiów nad historiografią PRL*; E. Żagiell: *Dwadzieścia lat niepodległej Litwy*; P. Wandycz: *Sprawa Józefa Becka jako attaché wojskowego w Paryżu*; St. Kirkora: *Rozmowy polsko-sowieckie w 1944 roku*; K. Iranek-Osmecki: *Meldunek Specjalny 1/R. Nr 242. Pociski raketowe; Sprawozdanie Komisji Specjalnej Rady Narodowej R.P. z dotychczasowego wyniku prac*; K. Skirmunt: *Instrukcja Ogólna dla Placówek*; Wł. Gomułka *na aktywie partyjnym Huty Warszawa (I)*; B. Miedziński *Sprostowania spoza grobu oraz bogate działy WSPOMNIENI, POLEMIK, RECENZJI i LISTÓW DO REDAKCJI.*

Str. 240.

Cena F. 18,50 (dol. 4,25; £. 1,50)



TOM 224 — LESZEK KOŁAKOWSKI

OBECNOŚĆ MITU

Praca zawiera następujące rozdziały: *Rozróżnienie wstępne. — Mit w pytaniu epistemologicznym. — Mit w świecie wartości. — Mit w logice. — Sens mityczny miłości. — Mit, istnienie, wolność. — Mit i przypadkowość natury. — Fenomen obojętności świata. — Mit w kulturze analgetyków. — Trwałość i chwiejność mitu. — Wnioski.*

W przedmowie Autor pisze m.in.: „Pisałem tę rozprawkę od 1966 roku i na początku 1967 zwróciłem się do wydawnictwa „Czytelnik” w Warszawie z propozycją jej wydania. Zabiegi wydawnictwa o zezwolenie na publikację trwały lat pięć i pół i spełzyły na niczym”.

Str. 136.

Cena F. 14; \$ 3,25; £ 1.25